



SUSAN WIGGS



Droga nad jeziorem

CZEŚĆ PIERWSZA

Luty

Efekt jezior

Każdej zimy, gdy nad Amerykę Północną nadciąga zimne arktyczne powietrze, w okolicy jezior tworzą się nawałnice śnieżne. Zawieje te, znane jako efekt jezior, przynoszą intensywne opady na stosunkowo niewielkim obszarze. Często bywa tak, że w jednym miejscu szaleje burza śnieżna, a już w niewielkiej odległości utrzymuje się czyste, błękitne niebo.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Avalon, hrabstwo Ulster, stan Nowy Jork

Wszystkie stacje w samochodowym radiu Noaha Shepherdza bezustannie nadawały ostrzeżenia. Państwowa Służba Meteorologiczna zapowiadała śnieg, oblodzenie, wiatr i ograniczoną widoczność podczas zamieci. Władze apelowały do obywateli, by pozostali w domach i nie wyjeżdżali na drogi, po których służby ratownicze i tak poruszały się z trudem. Lotnisko zamknięto już wiele godzin temu. Nawet najcięższe pługi miały trudności z przejazdem szosą. Tylko szaleniec lub głupiec opuszczałby w taką pogodę przytulny dom.

Czy raczej szaleniec, głupiec i weterynarz. Noah żałował, że wycieraczek nie da się przełączyć na szybszy bieg. Nawiewany wiatrem śnieg sypał mocno i gęsto, tworząc jednolitą białą ścianę.

Powinien był przyjąć propozycję Osmondów i po odebraniu porodu źrebaka zostać u nich na noc. Mógłby poczekać, aż się przejaśni, a drogi zostaną oczyszczone, i dopiero wówczas wrócić do oddalonego o wiele kilometrów domu i sąsiadującej z nim kliniki. Z drugiej strony jednak z komunikatów wynikało, że śnieżycy potrwa jeszcze kilka dobrych dni. Tymczasem w klinice miał należącego do Palmquistów starego psa rasy beagle, kota, który wracał do zdrowia po operacji kręgosłupa, a także własne zwierzęta, wśród których był porzucony szczeniak. Mógł co prawda zadzwonić do Gayle, swojej sąsiadki, i poprosić, żeby zajrzała do zwierzątek, ale wolał tego uniknąć. Jej mąż odbywał służbę za granicą, w domu było troje dzieci, więc i bez wędrowek do kliniki miała wystarczająco dużo na głowie.

Pochylił się nad kierownicą i mrużąc oczy, wpatrywał się w drogę przed sobą. W światłach furgonetki płatki śniegu, niczym filmowe efekty specjalne, wydawały się lecieć prosto na niego. Przyszły mu do głowy „Gwiezdne Wojny”, gdzie statek kosmiczny Sokół Millennium pędził z szybkością warp. Ledwie o tym pomyślał, a już gwizdał motyw przewodni z filmu. Znużony powolną jazdą, zaczął sobie wyobrażać, że przednia szyba

to okno na odległą galaktykę. On był Hanem Solo, a płatki śniegu to gwiazdy. Wydał rozkaz drugiemu pilotowi, który ożywił się, słysząc głos swojego pana.

- Przygotuj się, Chewie. Zwiększymy prędkość, jasne?

Rudy, kundel, który siedział na fotelu pasażera, zaczął ziajać w odpowiedzi, zaparowując dokładnie szybę.

Ostatnia dziewczyna Noaha, Daphne, zarzucała mu, że zachowuje się jak wieczny chłopczyk. Na co Noah, który nie miał za grosz taktu, zasugerował pół żartem, pół serio, że mogą wyprodukować kilkoro własnych dzieci, to wreszcie będzie miał się z kim bawić.

Wtedy widział Daphne po raz ostatni.

Nie ma co! Miał wyjątkowy talent do postępowania z kobietami.

- Generale Kenobi, detektor termiczny namierzył obiekt. - Wyobraził sobie niewolnicę z innej galaktyki ubraną w bikini z drucianej siatki. Gdyby tak mogli przysłać mu kogoś takiego z kosmosu...

Zmienił głos na baryton z nader kiepskim angielskim akcentem:

- Ufam, że znajdziesz to, czego szukasz. I... O cholera! - Na drodze tuż przed nim pojawił się jakiś cień. Gwałtownie skręcił i zdjął nogę z gazu. Pikapem zarzuciło. Rudy rozpaczliwie usiłował utrzymać się na fotelu. Na środku drogi stała wielkooka łania. Przez grubą zimową sierść można było policzyć jej żebra.

Nacisnął klakson. Łania zerwała się do biegu, przeskoczyła rów i zniknęła w ciemnościach.

Dom był tuż-tuż, choć nic tego nie potwierdzało. Ogromne zasy zakryły słupki, na których zawieszono skrzynki pocztowe, jednak przeczucie mówiło mu, że już się zbliża. Nigdy, poza nauką w college'u i studiami weterynaryjnymi na Uniwersytecie Cornella, nie mieszkał nigdzie indziej.

Czuł, że już dojechał do Wierzbowego Jeziora, które leżało po lewej stronie drogi, ale nie mógł go dojrzeć. To było najpiękniejsze jezioro w całym hrabstwie. Prawdziwe чудо otoczone dzikimi górami Catskill. W tym jednak momencie kryło się za śnieżną kurtyną. Dom Noaha znajdował się trochę wyżej na wzgórzu, po drugiej stronie drogi. Nad samym jeziorem stało kilka starych letnich chat, w których zimą nikt nie mieszkał.

- Generale, będą nam potrzebne posiłki - oznajmił. Miał wrażenie, że w uszach rozbrzmiewa mu muzyka z filmu, nadal więc pogwizdywał do wtóru. - Proszę niezwłocznie kogoś przysłać!

I w tym właśnie momencie wśród śnieżnej zamieci pojawił się czerwony błysk. Melodia zamarła Noahowi na wargach. Zdjął nogę z gazu, wpatrując się w szkarłatną poświatę, aż wreszcie połapał się, że to tylne światła samochodu, który najwyraźniej ugrzązł w zaspie.

Zatrzymał pikap na środku szosy. Silnik tamtego samochodu wciąż pracował. Z rury wydechowej, która ustawiona była pod dziwnym kątem, wydobywał się dym. Jeden z przednich reflektorów zakopany był w zaspie. Drugi oświetlał potrąconego przez auto jelenia.

- Zostań - polecił Rudy'emu i chwycił torbę. Miał tam środki uspokajające, których powinno wystarczyć, żeby uśpić jelenia. Zabrał też latarkę, a na głowę włożył umocowaną na elastycznej opasce czółówkę.

Włączył światła awaryjne i ruszył przez zacinający śnieg w stronę zakopanego auta. W środku siedziała jedna osoba, kobieta.

- Przyjechał pan, dzięki Bogu - powiedziała, wysiadając z samochodu.

Z całą pewnością nie była odpowiednio ubrana na taką pogodę. Elegancki płaszcz i cienkie skórzane botki na wysokich obcasach. Bez czapki. I rękawiczek. Rozwiewane przez wiatr jasne włosy zasłaniały twarz.

- Bardzo szybko pan tu dotarł! - zawołała.

Domyślił się, że bierze go za pracownika pomocy drogowej albo policjanta z drogówki, ale nie było czasu na wyjaśnienia.

Chwyciła go za rękaw i chwiejąc się na wysokich obcasach, pociągnęła w stronę maski samochodu.

- Proszę... - powiedziała błagalnie. - Nie mogę uwierzyć, że to się wydarzyło. Myśli pan, że uda się go uratować?

Skierował światło latarki na jelenia. To nie była łania, którą wcześniej widział na drodze, lecz młody kozioł ze złamanym rogiem. Z drugiej strony wyrastały trzy odnogi.

Oczy miał szkliste i ciężko dyszał. To był przerażony oddech zwierzęcia w szoku. Noah nie zauważył żadnych krwawiących ran, ale przecież często to obrażenia wewnętrzne bywają śmiertelne.

Cholera. Nie cierpiał usypiać zwierząt. Nienawidził.

- Bardzo pana proszę! - odezwała się znów nieznajoma. - Musi go pan ocalić.

- Proszę to wziąć. - Podał jej latarkę i ostrożnie pochylił się nad zwierzęciem. - Spokojnie, kolego. - Zdjął rękawice i wcisnął je do kieszeni parki. Szorstka sierść ogrzewała mu palce, gdy obmacywał brzuch jelenia. Nie wyczuł żadnej wilgoci, żadnego nie-naturalnego zmiękczenia czy ciepła. Może...

Raptem rogacz zamłócił nogami, próbując znaleźć oparcie w głębokim, miękkim śniegu. Noah cofnął się, gdy dostał silny cios w ramię. Zwierzę gwałtownie podniosło się na nogi i przeskoczyło przez zaspę.

- Nie zabiłam go - powiedziała nieznajoma. - Ocalił go pan.

Wcale nie, pomyślał, chociaż tak to musiało wyglądać, jakby zwierzę ożyło pod jego dotknięciem. Nie powiedział tego, ale mogło się przecież i tak zdarzyć, że jelen padnie gdzieś w lesie.

Wyłączył lampę czołową i wyprostował się.

- Gdzie pani jedzie? - spytał, wciągając rękawice.

- Ulica Nabrzeżna 1247. Dom Wilsonów. Wie pan, gdzie to jest?

Zmrużył oczy i schylił się po torbę. Kobieta wypadła z szosy tuż przy zjeździe do jego domu.

- Wystarczy przejechać jeszcze kilkaset metrów w kierunku jeziora. Mogę panią podwieźć.

- Dziękuję. - Zamrugnęła, żeby pozbyć się z rzesz płatków śniegu. Dopiero teraz zobaczył jej twarz... niepokojąco ładną, chociaż pobladłą i zmęczoną. - Wezmę swoje rzeczy. - Oddała mu latarkę, po czym zabrała z auta torebkę i dużą torbę. Miała też walizkę na kółkach z mnóstwem przywieszek.

W świetle padającym z wnętrza samochodu widział napisy w obcym języku. Gravenhage? Nie miał pojęcia, co to może być. I coś, co wyglądało na urzędową pieczęć,

jakby z Departamentu Stanu czy czegoś podobnego. No, no... Tajemnicza i bywała w świecie dama, pomyślał. Nieznajoma wyłączyła silnik i światła.

- Z samochodem chyba nie da się nic zrobić - powiedziała.

- W każdym razie nie dzisiaj.

- W bagażniku mam jeszcze kilka toreb. Myśli pan, że mogę je tu bezpiecznie zostawić?

- To chyba nie jest najlepsza pogoda dla złodziei.

- Ruszył przodem w stronę pikapu. - Idź do tyłu - polecił Rudy'emu, który przeskoczył na składane siedzenie za fotelem pasażera.

Kobieta przycisnęła torebkę do piersi, przyglądając mu się z wahaniem. Mimo że padające z kabiny światło było przytłumione, zauważył, że oczy ma niebieskie. Teraz już najwyraźniej nie widziała w nim Zaklinacza Jeleni. Spoglądała na niego nieufnie, jakby był seryjnym mordercą.

- Patrzy pani na mnie jak na Kubę Rozpruwacza - objawił swoje impresje na temat mowy jej oczu.

- Skąd mam wiedzieć, czy nim pan nie jest?

- Noah Shepherd. Mieszkam tutaj. - Wskazał ręką. - To podjazd do mojego domu. - Na drodze, wzdłuż której stały ośnieżone sosny, potworzyły się zaspysy wysokie do kolan, a może i do pasa. Z okna migotało światło, a lampa na ganku utworzyła wokół drzwi niewyraźną żółtą poświatę. Droga do kliniki, psich bud i stajni znajdowała się bardziej na lewo i tamtejsze latarnie były ledwie widoczne.

Wciąż niezdecydowana przygryzła dolną wargę.

- Nawet maniakalny zabójca musi przecież gdzieś mieszkać.

- Zgadza się. Tylko skąd ja mam wiedzieć, że pani nie jest wygłodniałą wampirzycą?

- Nie może pan tego wiedzieć. - Wsiadła do furgonetki.

Obchodząc samochód, Noah zastanawiał się, czy nie działała tu jakaś siła nadprzyrodzona. Na ogół nie zastanawiał się nad takimi sprawami, lecz przecież właśnie marzył, żeby kogoś spotkać. Czyżby wszechświat go wysłuchał?

Tylko tego nie schrzań, upominał się w duchu, siadając za kierownicą. I nie próbuj niczego przyspieszać. Nic o niej przecież nie wiedział. Mogła się z kimś spotykać, mieć męża albo też być lesbijką lub osobą chorą psychicznie...

- O cholera! - zaklął, nim zdołał się powstrzymać. - Czemu pani nie powiedziała, że jest ranna? - Chwycił latarkę i skierował światło na jej nogę. Lepka czerwona plama ciągnęła się aż do rozdartych na kolanie spodni.

Z jej gardła wydobył się dziwny rzeżący dźwięk. Był tak przerażający, że Noah się wzdrygnął. Kobieta zaczęła dygotać, jej oddech stał się krótki i urywany. Powiedziała coś w obcym języku, który skojarzył się Noahowi z jakimś niemieckim dialektem. Kiedy podniosła wzrok, w jej oczach malował się paniczny strach.

To tyle, jeśli mowa o spapraniu sprawy, pomyślał.

- Hej, nie ma powodu do obaw - rzucił uspokajająco, ale do niej nic nie docierało. Była obezwładniona paniką i nagle... odpłynęła. Zapadła się w fotelu, głowa przechyliła się na jedną stronę. - Hej - powtórzył głośniej.

Cholera, czyżby zemdląca? Ściągnął rękawiczkę i położył palce na tętnicy szyjnej, próbując wyczuć puls. Dzięki Bogu, było tętno. - No, dziewczyno! - ponaglił, obejmując dłonią jej policzek. - Otrząśnij się.

Słyszał, jak Rudy popiskuje i wierci się na tylnym siedzeniu. Pewnie wyczuł strach i krew nieznanym. Nagle zamarł, odrzucił łeb do tyłu i zawył.

Będę miał nauczkę, skarcił się Noah w myśli. Powinien być bardziej precyzyjny, kiedy prosił gwiazdy, żeby mu kogoś przysłały. Mógłby na przykład powiedzieć: „Ześlijcie mi gorącą kelnereczkę”. Tymczasem trafiła mu się jakaś kretynka, która mdleje na widok własnej krwi.

Utratę przytomności mogły wywołać rana, strach i stres. U zwierząt tak działał mechanizm obronny. A u ludzi... Nie był pewien, co mogło spowodować taką reakcję. Jednak bez względu na wszystko, powinien zmierzyć jej ciśnienie i opatrzyć ranę.

Ostrożnie wjechał na podjazd. Minął dom i skierował samochód w stronę kliniki. Kiedyś była tu rodzinna farma mleczarska, a w tym budynku mieściły się biura. Gdy przed trzema laty podjął tu praktykę, przerobił go na klinikę dla zwierząt.

Wysiadł z samochodu i podszedł do tylnych drzwi, żeby wypuścić Rudy'ego, jednak pies zwinnie przeskoczył przedni fotel i pognał przez ośnieżone pole. Najwidoczniej chciał jak najprędzej oddalić się od nieznajomej.

Noah okrążył samochód.

- Proszę pani! Słyszysz mnie pani?

Kobieta nadal nie reagowała. Niezgrabnie wyciągnął ją z kabiny, zataczając się w głębokim śniegu. Nie była duża, lecz bezwładne ciało ciążyło bardzo, gdy niósł ją do kliniki. Otworzył drzwi ramieniem, wyłączył alarm i przez ciemną recepcję przeszedł do pokoju badań.

Położył nieznajomą na stalowym stole, który rozsunął na jej długość.

- No już, wracaj. - Potrząsał ją jedną ręką, a drugą wyciągał maskę tlenową. Miała stożkowaty kształt dostosowany do zwierzęcego pyska, ale gdy mocno przycisnąć, nada się i dla człowieka.

Kobieta otworzyła oczy. Nagle całkiem przytomna zaczęła się wyrywać i krzyczeć. Noah cofnął się, podnosząc ręce w geście poddania.

- Proszę się uspokoić. - Delikatnie ujął jej nadgarstek, zamierzając sprawdzić puls.

Błąd. Szarpnęła się do tyłu, jakby ją oparzył, po czym z trudem usiadła. Patrzyła na niego jak na szaleńca z siekierą.

- Proszę pani. - Stał tuż przed nią, na wypadek gdyby miała znowu zemdleć. - Wszystko będzie dobrze, naprawdę. Proszę na mnie spojrzeć.

W końcu słowa Noaha do niej dotarły. Jej przerażony wzrok zaczynał trochę łagodnieć. Odetchnęła głęboko, starając się odzyskać kontrolę nad sobą.

- Proszę się uspokoić. - Powstrzymał pragnienie, by wziąć ją za rękę. - Wszystko będzie dobrze - powtórzył łagodnie. - Jesteśmy w mojej klinice. Jestem... Mam kwalifikacje. - Lepiej nie mówić, że jest weterynarzem. - Muszę panią zbadać, rozumie pani?

Znów zaczęła drzeć. Twarz miała bladą jak ściana.

- Tak - powiedziała. - Tak, dziękuję... Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Co ty nie powiesz? - pomyślał.

- Wydaje mi się, że zemdlała pani na widok własnej krwi. Doznała pani jakiegoś urazu, więc będę musiał zadać pani kilka pytań i zmierzyć ciśnienie.

Teraz już miał pewność, że rozumiała jego słowa.

Postanowił zaryzykować, ujął ją pod brodę i zbadał źrenice. Aksamitnie gładka skóra nieznajomej była zimna i wilgotna od potu. Czuł, z jakim wysiłkiem próbowała opanować dreszcze.

- Przepraszam - powiedziała drżącym głosem. - Zachowałam się wprost niewybaczalnie. - Wyprostowała ramiona i uniosła głowę. Odzyskała pewność siebie i nagle całkiem się odmieniła. Zniknęła przerażona ofiara, a na jej miejsce pojawiła się opanowana, choć wciąż trochę zszokowana młoda kobieta.

- Nie ma powodu do przeprosin. Wielu ludzi wpada w panikę, gdy się zrania i krwawia.

- Co tu się znajduje?

- Moja klinika.

- Rozbiłam samochód przed pana kliniką? Dobrze to sobie wymyśliłam. - Uśmiechnęła się blado.

- Czy zdarzało się to pani wcześniej? Mam na myśli omdlenia?

- Nie. Dobry Boże, nigdy.

- Czy zanim to się stało, odczuwała pani ból głowy, ból w piersi? A może pojawiły się kłopoty z oddychaniem?

- Nie. Czułam się dobrze, aż nagle... Nie pamiętam.

Zdjął kurtkę i w tym momencie przypomniał sobie, że ubranie ma wybrudzone krwią. Odwrócił się pośpiesznie, żeby tego nie zauważyła, ściągnął koszulę, wcisnął ją do kosza z brudnymi rzeczami i sięgnął po czysty fartuch.

Pacjentka zachowywała się teraz wyjątkowo cicho. Kiedy się odwrócił, spostrzegł, że wpatruje się w jego nagi tors. Jej usta - jak na wariatkę miała prześliczne usta - ułożyły się w idealne „O”.

- Muszę włożyć czystą koszulę. - Na studiach nie uprzedzano ich, żeby nie rozbiegali się w obecności chorych, bo też ich pacjentów rzadko kiedy to obchodziło.

- Przepraszam. - Zawiesił na szyi stetoskop, licząc na to, że to ją uspokoi. - Przyśięgam, że chcę tylko pani pomóc.

Nacisnął stopą pedał i obniżył stół.

- Wciąż pani krwawi... Nie, proszę nie patrzeć. - Wyszorował ręce nad zlewem, wyjął z pojemnika bezlateksowe rękawiczki i wkładając je, przyglądał się ranie.

- Proszę przesunąć się do tyłu, żeby noga była wyprostowana.

Ku jego zdumieniu, posłuchała go bez protestu. Oparła się na rękach i rozejrzała po gabinecie, zatrzymując wzrok na wykresach wzrostu psów i kalendarzu od firmy produkującej leki dla zwierząt.

- Nie jest pan lekarzem, prawda?

- To moje ulubione pytanie. Widzi pani, gdybym był lekarzem, znałbym anatomię i choroby tylko jednego gatunku, a nie sześciu. I miałbym zaledwie jedną specjalność, a nie dziewięć.

- Pewnie często je pan słyszy.

- Na tyle często, żeby mnie denerwowało. - Cofnął się o krok, unosząc osłonięte rękawiczkami dłonie. - Nie muszę tego robić.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wołałabym, żeby pan kontynuował.

To tyle, jeśli chodzi o zgrywanie niedostępnego.

- Będę musiał panią zbadać i sprawdzić, gdzie jeszcze się pani zraniła.

- Tylko w kolano.

Nie zamierzał nalegać.

- No dobrze. Wobec tego na razie zajmę się tylko kolaniem, ale jeśli pojawią się jakieś inne objawy, na przykład podwójne widzenie, zawroty głowy, cokolwiek, musi mi pani o tym powiedzieć. - Ciśnienie miała w normie, a to był dobry znak.

Wybrał nożyce do cięcia bandaża i zaczął przecinać spodnie z ciemnej wełny. Cienka, kosztownie wyglądająca skóra botków była przesiąknięta krwią.

Skaleczenie miało łukowaty kształt. Musiała rozciąć nogę o coś pod deską rozdzielczą.

- Tuż nad kolaniem jest głęboka rana cięta. Trzeba będzie założyć szwy.

- Może pan to zrobić?

- Nie jestem chirurgiem plastycznym. Z całą pewnością po moim szyciu zostanie blizna.

- W niczym nie będzie mi to przeszkadzać.

- Dobrze więc. Dam pani znieczulenie. - Zastanawiał się nad podaniem jej środka nasennego, tyle że nie był pewien, jaką dawkę zastosować. Tak na oko ważyła pewnie tyle, co przeciętny rottweiler, więc osiemdziesiąt miligramów powinno wystarczyć. Choć może i nie... Lepsze chyba będzie znieczulenie miejscowe. Kiedy robił zastrzyk, nawet się nie skrzywiła. - Za jakieś dwie minuty znieczulenie zacznie działać.

Zmienił rękawiczki i zabrał się do oczyszczania rany. Do szycia wybrał nici chirurgiczne numer trzy i tnącą igłę. Wiele zwierząt miało skórę delikatniejszą niż ludzie, a to był standardowy zestaw do zakładania szwów koniom.

Założył okulary powiększające, ustawił lampę i zabrał się do szycia. Poczuł, że pacjentka znów zaczęła drżeć. Może powinien podjąć jakąś błahą rozmowę, by ją uspokoić? Za wszelką cenę musiał sprawić, żeby leżała nieruchomo. Jego pacjentom zwykle wystarczało współczujące cmokanie.

- Nie usłyszałem, jak się pani nazywa - zaczął.

- Sophie. Sophie Bellamy.

- Jest pani może krewną Bellamych, którzy mają dom letniskowy na północnym brzegu jeziora?

- W pewnym sensie. Byłam żoną Grega Bellamy'ego, ale jesteśmy po rozwodzie. Jednak wciąż używa jego nazwiska, pomyślał.

- W Avalonie mam dwoje dzieci - dodała.

Pewnie dlatego pozostała przy nazwisku męża. Nie rozumiał tylko, czemu dzieci nie mieszkają razem z nią. Lecz to nie jego sprawa.

- Przyjechała pani w odwiedziny? Czy może wraca pani z podróży?

Zawahała się, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią. Zdziwiło go to, bo przecież pytanie było całkiem proste.

- Dziś po południu wylądowałam w Nowym Jorku - powiedziała w końcu. - Z powodu pogody nie było żadnego połączenia z lotniskiem Kingston-Ulster, więc wynajęłam samochód i ruszyłam w drogę. Pewnie powinnam wsiąść do pociągu, ale bardzo chciałam znaleźć się tu jak najszybciej.

Nie spytał, skąd przyleciała na lotnisko Kennedy'ego, spodziewając się, że zaraz sama to powie. Kiedy nie dodała nic więcej, skupił się na pracy.

- I zatrzyma się pani u Wilsonów?

- Nie całkiem. Skorzystam z ich letniego domku. Znamy się z Bertie Wilson od czasu studiów prawniczych.

- Och. - Znieruchomiał. - Jest pani prawnikiem?

- Tak.

- Nie mogła mi pani powiedzieć tego, zanim założyłem te końskie szwy?

- Czy wówczas potraktowałby mnie pan inaczej?

- Nie wiem - przyznał szczerze. - Możliwe, że w ogóle nie zająłbym się panią, a już na pewno poprosiłbym o podpisanie zrzeczenia się prawa do odszkodowania.

- Dobrego prawnika to by nie powstrzymało - rzuciła spontanicznie, zaraz jednak dodała: - Ale nie ma pan powodów do obaw. Uratował mnie pan, powstrzymał krwawienie. Nigdy bym pana nie pozwała.

- Dobrze wiedzieć. - Zdjął z jej nogi chustę chirurgiczną i jeszcze raz przemył ranę.

- Choć może powinna pani najpierw na to spojrzeć. Nie wygląda zbyt ładnie.

Oparła się na rękach i usiadła. Na jasnej skórze, która została pomalowana środkiem dezynfekującym na bursztynowo, szwy tworzyły cienki czarny łuk.

- Powstrzymał pan krwawienie - powtórzyła.

- Na to wygląda. - Przykrył ranę gazikiem. - Teraz zabandażuję nogę. Musi pani uważać. Nie należy ruszać szwów ani ich naciągać, a także w miarę możliwości proszę nie moczyć rany.

- Myślę, że sobie poradzę. - Siedziała nieruchomo, czekając, aż skończy zakładać bandaż. - Dziękuję. Naprawdę nie wiem, jak mam panu dziękować.

Przytrzymał ją za ręce, gdy niepewnie zsuwała się ze stołu. Kiedy się zachwiała, otoczył ją ramieniem.

- Ostrożnie. Dziś powinna pani jak najczęściej trzymać nogę w górze.

- Dobrze.

Ze zdumieniem spostrzegł, że objęcie tej kobiety sprawiło mu przyjemność. Jedwabiste włosy musnęły mu brodę. Pachniała świeżym zimowym wiatrem, a ciało było miękkie i lekkie.

Wydawało się, że ona również była zaskoczona. Poczuł, że wstrząsnął nią dreszcz. Nie potrafił jednak powiedzieć, co go wywołało. Strach? A może ulga? Po chwili łagodnie wysunęła się z jego objęć.

Przeszli do recepcji.

- Jeszcze raz panu dziękuję - powiedziała Sophie. - Nie powiedział mi pan jeszcze, ile jestem winna.

- Chyba pani żartuje?

- W żadnym razie. Wykonał pan profesjonalną usługę. Ma pan prawo wziąć za nią zapłatę.

- Jasne. - Teraz mówiła jak prawnik. Gdyby wykonał taki zabieg na dobermanie, zainkasowałby kilkaset dolarów. - To na koszt firmy. Powinien panią jak najszybciej obejrzeć lekarz.

- Cóż, zrobił pan więcej, niż pan musiał. Mój bohater.

Jej głos wciąż trochę drżał z niepokoju. Podejrzewał, że to właśnie dlatego stara się nadrabiać miną. A może to była ironia?

- Jak dotąd, nikt mnie tak nie nazywał.

- Jestem pewna, że niektórzy pacjenci zrobiliby to, gdyby umieli mówić. - Odwróciła wzrok, a jej policzki zaróżowiły się lekko. Była naprawdę bardzo atrakcyjna. - No dobrze... Powinnam już jechać do domu.

- To niemożliwe. W każdym razie nie dzisiaj.

- Ale...

- Drogę są jeszcze bardziej zasypane. Do Wilsonów prowadzi podjazd, ale teraz pokrywa go półmetrowa warstwa śniegu, a w domu jest z pewnością lodowato. Zostanie pani tutaj.

Rozejrzała się po klinice.

- A więc umieści mnie pan w klatce?

- Tuż obok kota pani Levinson. - Wskazał pokrytą skajem ławkę w poczekalni. - Niech pani tu usiądzie i położy nogę wysoko. Zajrzę do swoich pacjentów, a potem przejdziemy do domu. Nie jest to co prawda Ritz, ale dostanie pani coś do zjedzenia i miejsce do spania.

- Już i tak przysporzyłam panu zbyt wielu kłopotów...

- Więc jeszcze trochę nie zrobi wielkiej różnicy.

- Ale...

- To naprawdę żaden kłopot. - Przeszedł do tylnej części kliniki, oświetlonej niebieskawymi lampami nocnymi. Kotka Toby była może zbyt ożywiona, ale wyglądało na to, że czuje się dobrze. W klatce miała wystarczająco dużo wody. Brutus, pies rasy beagle, spał mocno i donośnie chrapał. Druga kotka, Clementine, siedziała i systematycznie wylizywała futerko.

Noah odczepił prawie opróżnioną butelkę z wodą.

- Widziałaś ją, Clem? - szepnął. - Możesz uwierzyć w moje szczęście? Wygrałem dziewczynę, która utknęła w rowie! - Kot zmrużył oczy, po czym uniósł przednią łapkę i zaczął ją lizać. - Doskonale, też ci przybijam piątkę. - Jasne, że to wypadek przyniósł mu Sophie. Możliwe jednak, że szczęśliwy los też miał w tym swój udział. Najwspanialsza kobieta z tej galaktyki, kobieta, która nazwała go swoim bohaterem, zamieszkała po przeciwnej stronie drogi.

Ale fart! Była piękna i sama zwróciła mu uwagę, że jest wolna. W dodatku miała dzieci, a on przecież ubóstwiał dzieci. Zawsze chciał mieć ich pełen dom.

Myjąc ręce przy zlewie, nakazywał sobie, żeby z niczym się nie wyrwać, co niestety miał w zwyczaju. Los podarował mu wspaniałą szansę. Teraz od niego zależy, jak ją wykorzysta.

Nigdy wcześniej nie spotkał takiej kobiety jak Sophie Bellamy. Ciekawiło go, kim naprawdę była. Chciał wiedzieć, skąd pochodziła, co przywiodło ją tutaj w środku śnieżycy i czy powinien martwić się tym, że w jej oczach dostrzegł rozpacz.

CZEŚĆ DRUGA

Miesiąc wcześniej

Epifania

Epifania to nagłe olśnienie, objawienie lub odrodzenie, często spowodowane wydarzeniem, które odmieniło życie.

Z greckiego „ukazanie się” lub „zjawienie się”. Epifania jest świętem chrześcijańskim, znanym jako święto Objawienia Pańskiego lub Święto Trzech Króli. W wielu krajach obchodzi się je uroczyście podczas uczt i zabaw.

Gougères - ptysie serowe

Gougères to lekkie francuskie ptysie serowe. Tradycyjnie podaje się je o tej porze roku z wytrawnym szampanem.

1 szklanka wody

1/2 kostki niesolonego masła pokrojonego w kostkę

1/2 łyżeczki soli

1 szklanka mąki

4 duże jajka

1 1/2 szklanki grubo startego sera gruyère

Nagrzewaj piekarnik do 190°C. Blachę wyłóż papierem do pieczenia. Do garnka wlej wodę, dodaj masło oraz sól. Doprowadź do wrzenia, po czym zmniejsz ogień. Dodaj całą mąkę i ubijaj drewnianą łyżką, aż masa będzie odchodzić od brzegów rondla.

Przełóż masę do miski i wbijaj po jednym jajku. Wkręcaj je do masy przy użyciu elektrycznego miksera. Gdyby ciasto było za gęste, dodaj jeszcze jedno jajko.

Wmieszaj do masy ser i nakładaj ciasto na blachę łyżką, zachowując mniej więcej dwucentymetrowe odstępy. Piecz dwadzieścia pięć minut lub do zrumienienia. Podawaj ciepło.

ROZDZIAŁ DRUGI

Pałac Pokoju

Haga, Holandia

6 stycznia, Święto Trzech Króli

Błyszcząca czarna limuzyna podjechała pod ozdobny gotycki budynek, którego masywna sylwetka odcinała się wyraźnie w żółtym świetle przeciwmgielnych reflektorów. Rzęsisty deszcz stukał w dach citroena, powodując metaliczny odgłos.

Za kuloodporną szybą Sophie Bellamy po raz ostatni sprawdziła fryzurę i makijaż, po czym zamknęła puderniczkę i wsunęła wieczorową torebkę do schowka w podłokietniku. Środki bezpieczeństwa w pałacu były obecnie tak zaostrzone, że wygodniej było tam wchodzić, mając przy sobie wyłącznie identyfikator.

Kiedy zaczynała uczęszczać na różne uroczystości w Pałacu Pokoju, bez torebki czuła się jak bez ubrania, teraz jednak nauczyła się spędzać wieczór bez szminki, grzebienia, kluczy czy telefonu komórkowego.

Tego wieczoru zachowanie wszelkich środków ostrożności było wyjątkowo uzasadnione. Najnowszy werdykt Międzynarodowego Trybunału Karnego w sprawie zbrodni wojennych budził kontrowersje i mógł dać impuls do aktów przemocy. Tej sprawie Sophie poświęciła dwa lata swojego życia.

Limuzyna stanęła za kilkoma innymi samochodami, czekając na swoją kolej. Kiedyś Sophie odczuwała ogromne podniecenie przed uroczystymi wydarzeniami, teraz jednak stały się codziennością. Szoferzy, ochroniarze, stroje od czołowych projektantów, uśmiechnięci dygnitarze, tłumaczenia szeptane do słuchawek - wszystko to było dzisiaj chlebem powszednim.

Goście osłonięci czarnymi parasolami przechodzili do drugiego wejścia. Ich falujące cienie tworzyły srebrzyste odbicia na kamiennej powierzchni dziedzińca. Mówiono jej, że można się spodziewać obecności mediów, na razie jednak dostrzegła tylko jeden wóz transmisyjny, którego przemoczona deszczem załoga rozstawiała sprzęt jakieś trzydzieści metrów od budynku. Mimo że było to epokowe wydarzenie, co więcej, miała w

nim wziąć udział sama królowa Beatrycze, uroczystość przejdzie niezauważona. W Ameryce ludzie byli zbyt zajęci najnowszą grą internetową, by zauważyć, że właśnie zmieniła się geopolityczna mapa Afryki.

Poczuła wibrowanie komórki. Jej syn, Max, przysłał SMS-a i zdjęcie. Biała piaszczysta plaża, turkusowe morze i podpis:

St. Croix jest odlotowe. Tata i Nina już się szykują. Buziaki!

Wpatrywała się w wiadomość od dwunastoletniego synka. Wiedziała, że to dziś jest ten dzień, choć starała się o tym nie myśleć. Jej eksmaż był na tropikalnej wyspie i właśnie miał poślubić kobietę, która zajęła zwolnione przez Sophie miejsce. Delikatnie zamknęła telefon i przycisnęła go do piersi, próbując opanować wzburzenie. Bezskutecznie. Nawet dziś było to niemożliwe.

André, jej szofer, włączył światła awaryjne, by zasygnalizować, że będzie wysiadać. Na głowę włożył wełnianą czapkę z daszkiem, która była częścią jego liberii, wyprostował ramiona i odetchnął głęboko. Pochodził z Senegalu i nie był entuzjastą pogody, która panowała w północnej części Europy, szczególnie w styczniu.

Rozległ się pisk opon i dźwięk podobny do wystrzału. Bez chwili wahania Sophie opadła na podłogę, jednocześnie sięgając po telefon samochodowy. Po chwili dało się słyszeć trąbienie klaksonu i głos z megafonu, który po holendersku, francusku i angielsku odwołał alarm.

André opuścił szybę oddzielającą go od części dla pasażerów i powiedział:

- To tylko gaźnik w którymś z aut.

Sophie wyciągnęła puderniczkę i jeszcze raz sprawdziła, czy makijaż i fryzura są w porządku. Przeszła wielogodzinne szkolenie z zakresu radzenia sobie w sytuacjach kryzysowych, miewała też do czynienia z ludźmi uważanymi za najbardziej niebezpiecznych na świecie. Nigdy jednak nie bała się o własną skórę. Zresztą tutaj zastosowano takie środki ostrożności, że ryzyko było minimalne.

André uniósł dłoń w rękawiczce. W ten sposób pytał ją bez słów, czy jest gotowa. Sophie przestała zajmować się swoją urodą i zacisnąwszy w dłoni laminowany identyfikator, skinęła głową.

Drzwi od jej strony otworzyły się i ukazał się czarny parasol, trzymany przez ubranego w liberię pracownika obsługi pałacu.

- *On y va, alors* - powiedziała do André. Czyli: „No to idziemy”.

- *Assurément, madame* - odparł śpiewnym akcentem. - *J'attends*.

To jasne, że będzie czekał, pomyślała. Zawsze tak było. I dzięki za to Bogu. Pod koniec wieczoru będzie w sztok pijana zarówno szampanem, jak i szczęściem po doprowadzeniu sprawy do końca, a gdyby nie André, nie miałyby komu opowiadać, co się wydarzyło. On zaś był świetnym słuchaczem. Podczas krótkiej jazdy z domu do pałacu wyznała mu, jak bardzo tęskni za swoimi dziećmi.

Tak bardzo pragnęłaby, żeby dzisiejszego wieczoru Max i Daisy byli świadkami jej triumfu. Niestety, znajdowali się teraz z ojcem po drugiej stronie oceanu. Być może w tym właśnie momencie jej były mąż brał ślub ze swoją drugą żoną.

Kiedy wysiadała z limuzyny, poślizgnęła się na mokrym bruku i przez jeden koszmarny moment myślała, że upadnie, zaraz jednak poczuła silne ramie, które objęło ją w pasie i pomogło utrzymać równowagę.

- André - powiedziała, z trudem łapiąc oddech. - Właśnie zapobiegłeś katastrofie.

- *Rien du tout, madame* - odparł, wciąż ją podpierając.

W blasku światła widziała jego poważną, miłą twarz.

Nagle przyszło jej do głowy, że od bardzo dawna nie znalazła się w objęciach mężczyzny. Natychmiast odepchnęła tę całkiem niewłaściwą myśl, stanęła pewnie na nogach i odsunęła się od André. Zadrżała z zimna. Długi płaszcz z kaszmiru nie był wystarczająco ciepły. W każdym razie nie przy takiej pogodzie. Zapowiadano śnieg. Schowana pod szerokim parasolem, minęła pośpiesznie wartownię i podeszła do pierwszego posterunku kontrolnego. Pasaż otaczał postument z wiecznym ogniem pokoju, który przed deszczem osłaniał wykuty z metalu daszek. Od portyku, który na dzisiejszą okazję osłonięto płóciennym dachem i wyłożono czerwonym chodnikiem, dzieliło ją jeszcze jakieś dwadzieścia metrów. Kiedy tylko stanęła pod płócienną markizą, pracownik obsługi życzył jej przyjemnego wieczoru i ponownie zanurkował w deszcz, żeby przyprowadzić następnego gościa. Kolejka w stronę wejścia posuwała się bardzo powoli. Trzeba było przejść przez szatnię i następny posterunek. Sophie nie знаła osobiście nikogo ze stojących w

kolejce ludzi, ale wielu z nich rozpoznawała: ubranych na czarno dygnitarzy ze swoimi rodzinami, Afrykanów w ceremonialnych strojach, dyplomatów z całego świata. Przybyli tu, żeby uczcić odrodzenie afrykańskiego kraju. Trybunał uwolnił Umoję od przywódcy, którego finansowało skorumpowane i działające poza prawem konsorcjum diamentowe.

Tuż przed Sophie stała rodzina Amerykanów. Mężczyzna w mundurze miał swobodną postawę zawodowego wojskowego. Żona i nastoletnie córki krążyły wokół niego jak satelity. Sophie niewyraźnie pamiętała, że wojskowy jest attaché z Naczelnego Dowództwa NATO w Europie z siedzibą w Belgii.

Żona attaché przytuliła się do niego, jakby chciała osłonić się przed chłodem. Była pulchna i sprawiała wrażenie bardzo łagodnej. Tak jak Sophie, w uszach miała proste złote kolczyki bez kamieni. Dzisiejszego wieczoru drogie kamienie, a brylanty w szczególności, byłyby przejawem braku taktu.

Amerykańska rodzina najwyraźniej czuła się dobrze i bezpiecznie w swoim małym, czteroosobowym świątku. W tym momencie brak dzieci wydawał się Sophie szczególnie bolesny.

Poczuła szczypanie w oczach, gdy na dziedzińcu zaczął wiać przejmująco zimny wiatr. Przy bocznym wejściu do pałacu stała furgonetka firmy Haagsche Voedsel Dienst, S.A. Świetnie, pomyślała Sophie. To była najlepsza firma cateringowa w mieście. Musieli się spóźnić, bo kelnerzy w białych kitlach rozmawiali z sobą nerwowo i w gorączkowym pośpiechu pchali ciężkie wózki w kierunku służbowego wejścia.

Sophie weszła do szatni, drżąc z zimna. Chyba niewiele było równie nieprzyjaznych miejsc jak Haga w czasie zimowych sztormów. Miasto leżało poniżej poziomu morza. Zbudowano je na ziemi wydartej Morzu Północnemu i odgrodzono groblami. Podczas sztormu można było odnieść wrażenie, że przyroda chce odebrać z powrotem to, co do niej należało. Wiatr siekł jak nożem, przenikając aż do kości.

Niechętnie ściągnęła rękawiczki i razem z długim płaszczem oddała szatniarzowi. Wygładziła suknię i odwracając się do wejścia, spostrzegła, że żona attache przygląda się jej z mieszaniną zazdrości i podziwu.

Sophie spędziła pół dnia, przygotowując się do tego wieczoru. Włożyła suknię od znanego projektanta i pantofle, które kosztowały więcej niż niejeden mebel. Suknia leża-

ła na niej znakomicie. W college'u pływała na długie dystanse, w czasie studiów wciąż brała udział w zawodach, dzięki czemu miała znakomitą sylwetkę. Blond włosy ściągnięte były do tyłu i spięte w kok.

Uśmiechnęła się do żony wojskowego, myśląc o ironii losu. Nie masz mi czego zazdrościć, miała ochotę powiedzieć. Jesteś ze swoją rodziną, z mężem i dziećmi. Czego ci jeszcze trzeba?

Przeszła przez wykrywacz metalu, a potem ruszyła samotnie otoczonym kolumnadą pasażem w stronę sali balowej. W kłębiącym się tłumie ludzi czekała z wejściem, aż zostanie zaanonsowana.

Stanął na palcach i wyciągnęła szyję, żeby móc coś widzieć. Tyle czasu spędzała w zbudowanym ze szkła i stali wieżowcu Międzynarodowego Trybunału Karnego, że często zapominała o romantycznych ideałach, dzięki którym dotarła do tego właśnie punktu w swojej karierze zawodowej. Jednak w tym przepysznym pałacu zbudowanym bez oszczędzenia kosztów przez Andrew Carnegiego, poczuła się jak Kopciuszek. Tyle że bez księcia...

Majordomus w olśniewającej liberii pochylił się w jej stronę, żeby odczytać identyfikator. Miał założony mikrofon, a spiralny kabel ciągnął się do maleńkiej słuchawki w uchu.

- Jest pani z osobą towarzyszącą, madame?

- Nie, jestem sama. - W tej pracy nikt nie miałby czasu na księcia.

- *Madame Sophie Lindstrom-Bellamy* - zapowiedział donośnym głosem - *au Canada et aux Etats-Unis.*

Z Kanady i Stanów Zjednoczonych... Miała podwójne obywatelstwo, bowiem jej matka była Kanadyjką, a ojciec Amerykaninem. Stany Zjednoczone nie były członkiem Trybunału, lecz reszta świata zgadzała się z koniecznością ścigania zbrodniarzy wojennych, więc w tym sądzie Sophie występowała jako obywatelka kanadyjska. Przywołała na usta uśmiech, jakby miała stanąć przed kamerami, i wkroczyła do sali balowej zalanej złotym światłem z żyrandoli i ściennych kinkietów. Powietrze drżało od głosów witających ją gości. Mimo tak ciepłego przyjęcia wiedziała, że spędzi ten wieczór podobnie jak niemal wszystkie najbardziej doniosłe chwile w swoim życiu. Samotnie.

Z wysokim kieliszkiem szampana, który podał jej kelner, przecisnęła się dalej. Nie będzie przecież psuła sobie przyjęcia biadoleniem i uzalaniem się nad sobą.

Ostatecznie nie każdego wieczoru spotyka się prawdziwą królową i odbiera odznaczenie od wdzięcznego narodu.

Haga była miastem królewskim, siedzibą holenderskiego rządu, a królowa Beatrycze była nieustrudzona w wypełnianiu oficjalnych obowiązków. Wokół brytyjskiej rodziny królewskiej było głośno z powodu różnych skandali, natomiast panująca w Holandii dynastia Orange-Nassau miała monarchinię, która pracowała równie ciężko, jak niejeden pobierający pensję wysoki urzędnik. Agenci ochrony dyskretnie patrolowali obrzeża sali balowej, nieustannie lustrując tłum międzynarodowych gości. Była tam kobieta z głową owiniętą szalem, ubrana w wielopoziomową suknię o intensywnych, jaskrawych kolorach, inna w kimonie, mężczyźni w barwnych afrykańskich koszulach, a także ludzie z Zachodu w eleganckich garniturach i wieczorowych sukniach. Sophie poczuła się pełna energii i życia. Przez chwilę mogła zapomnieć o tym, co dzieje się z jej rodziną. W wykrochmalonych i świeżo wyprasowanych szkolnych mundurkach, z uśmiechami, które odsłaniały szczyty po zgubionych zębach mlecznych, chór dziecięcy śpiewał z zaraźliwą radością. Dźwięczne głosiki wypełniały ogromną neogotycką salę. Program składał się z międzynarodowej mieszanki. Chór wykonywał tradycyjne pieśni związane ze świętem, a także narodowe piosenki i nuconą gardłowymi głosami rytualną pieśń.

Te wojenne sieroty wciąż jeszcze mogą śpiewać, pomyślała wzruszona Sophie. Żałowała, że nie może każdego z tych dzieci zabrać z sobą do domu. Niektóre z nich rozpoznawała, bo liczną grupą przyszły z kwiatami do zespołu oskarżycieli.

Cały swój czas i uwagę poświęcała walce ze zbrodniami przeciw dzieciom, a cenę za to płaciły jej własne dzieci. Ile przedstawień Maksa i Daisy opuściła z powodu pracy? Czy jej syn i córka kiedykolwiek śpiewali z tak rozradowanymi buziami, czy przeszukiwali spojrzeniem publiczność, a blask w ich oczach gasł, gdy nie mogli odnaleźć mamy? Dobry Boże, ileż by dała, żeby mogli zobaczyć efekty ich poświęcenia. Może wówczas byliby w stanie zrozumieć. Może mogliby jej wybaczyć...

W chórze była dziewczynka z wystającymi kolankami i dużymi białymi zębami, która śpiewała, jakby śpiew był dla niej równie ważny jak oddychanie. Kiedy występ się skończył, Sophie odszukała dziecko, które tak zelektryzowało publiczność.

- Pięknie śpiewasz - powiedziała. Och, co za uśmiech.

- Dziękuję, madame - odparła dziewczyna i wstydliwie dodała: - Na imię mam Fatou. Pochodzę z wioski Kuumba.

Nie musiała mówić nic więcej. Atak żołnierzy na tę wioskę był bardziej przerażający niż największe wojenne okropności. Wspominając raporty z Kuumby, Sophie poczuła, że znów ogarnia ją fala wściekłości na ludzi, którzy popełnili te straszne zbrodnie na takich dzieciach jak Fatou.

- Jestem szczęśliwa, że jesteś tu z nami - powiedziała - i że jesteś bezpieczna.

- Tak, proszę pani. Dziękuję, proszę pani. - Znowu się uśmiechnęła.

Ten uśmiech odzwierciedlał wszystkie powody, dla których Sophie zajmowała się taką właśnie pracą, dlaczego mieszkała z dala od rodziny i pracowała więcej godzin, niż w rzeczywistości miała doba - a w każdym razie tak często mogło się wydawać.

W tym właśnie momencie przez tłum gości przeleciał szmer. Podobno zaczął padać śnieg.

- Chodź. - Sophie wzięła Fatou za rękę. Poprowadziła ją do wysokiego okna i odsunęła ciężkie aksamitne story. - Popatrz.

Fatou osłoniła rękami oczy i pochyliła się do przodu. Śnieg padał gęsto, zamieniając pałacowe ogrody w cudowną zimową krainę, skąpaną w ciepłym świetle sodowych latarni.

- Nigdy nic takiego nie widziałam. To czary, proszę pani.

Na małym brukowanym dziedzińcu cienie migotały na szybko bielejącej ziemi. Sophie przysunęła się bliżej szyby. Na zewnątrz było cicho i pusto. Tak bardzo chciała, żeby Max i Daisy mogli zobaczyć wspaniałość tego wieczoru. Cieszyła się, że przynajmniej ta miła dziewczyna może z nią przeżywać tę chwilę. Odwróciła się do dziecka z uśmiechem.

Jednak Fatou nic nie zauważyła. Wciąż wyglądała przez okno i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w śnieg.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy już wszyscy zachwycili się śniegiem, występy zaczęły się na nowo. Sophie podeszła do dużego stołu i spojrzała na przekąski. Podobnie jak muzyka, oferowane dania reprezentowały obecne tutaj narody. Ślinka napłynęła jej do ust na widok półmiska maślanych gougères, upieczonych na złotobrazowo serowych ptysiów, oparła się jednak pokusie. Nie powinna teraz nic jeść. Musiała dobrze wyglądać na rozdaniu nagród, a okruszki ciasta i wyblakła szminka z pewnością popsująby efekt.

Ku jej zaskoczeniu stół, który zwykle prezentował się tak elegancko, dziś zastawiono bardzo chaotycznie. Zarówno dania, jak i kwiaty ułożono jakby na chybił trafił. Kierownik sali, grubokościsty blondyn, pstryknął palcami i powiedział coś do mikrofonu połączonego ze słuchawką. Kiedy sięgnął do półmiska, żeby uzupełnić krewetki, zniszczył rzeźbę z lodu. Sophie miała nieodparte wrażenie, że w tym momencie zaklął pod nosem. Baw się dobrze, pomyślała, biorąc kieliszek szampana. Z pewnością nie zatrudnią cię ponownie. W tym najpotężniejszym sądzie świata catering musiał być nienaganny. Jeden fałszywy ruch i firma była spalona.

Przeszła w stronę grupy ludzi otaczających Momoha Sanniego Momoha, premiera Umoi, który wyglądał olśniewająco w szacie z szafranowego jedwabiu i wysokim, kunsztownie udrapowanym przybraniu głowy. Czekaając na swoją kolej, żeby się z nim przywitać, zauważyła Bibi Lateef, koleżankę po fachu. Madame Lateef, rdzenna mieszkanka Umoi, miała na sobie strój narodowy, co stanowiło rzucający się w oczy kontrast z jej zwykłym ciemnym ubiorem noszonym w sądzie.

- Ależ się pani zagapiła, madame - odezwała się do Sophie, obdarzając ją promiennym uśmiechem. W jej oczach widać było radość ze zwycięstwa.

Objęły się na powitanie, a wtedy Sophie odsunęła się nieco, żeby jeszcze raz popatrzeć na koleżankę.

- Jestem olśniona. Tak właśnie powinnaś wyglądać.

- Miło mi to słyszeć, tym bardziej że już nie będzie mi potrzebna toga.

Sophie promieniała z dumy. Jej koleżanka, równie znakomicie wykształcona jak inni prawnicy pracujący w sądzie, miała sprawować poważną funkcję w nowym rządzie.

- Więc już masz nominację? Możesz coś zdradzić?

- Co powiesz na ministra opieki społecznej? Sophie ujęła jej dłoń.

- To idealny urząd dla ciebie. Gratulacje. Jednak będę tęsknić za tobą. Chyba nikt tak jak ja nie pragnął zakończenia tej sprawy, ale żałuję, że nie będziemy już razem pracować.

- Mamy tam mnóstwo do zrobienia. Przede wszystkim trzeba się zająć wysiedlonymi rodzinami i dziećmi osieroconymi przez wojnę. Musisz mi obiecać, że przyjedziesz do nas.

- Oczywiście. - Sophie już kilka razy odwiedziła Umoję. Mimo zniszczeń, które pozostawiła po sobie wojna, był to ujmująco piękny kraj. Walki zrujnowały miasta, ale były też rozległe tereny, które pozostały nietknięte: czerwone wysoczyzny, góry porośnięte lasem tropikalnym, a także rejony w pobliżu rzek, gdzie miasta już zaczynały stawać na nogi.

- Będę cię trzymać za słowo - powiedziała pani Lateef. - Dziękuję losowi, że mogłam cię poznać - dodała z tym szczególnym błyskiem w oczach.

- To był dla mnie prawdziwy honor móc pracować dla tak słusznej sprawy - odparła wzruszona Sophie.

Przyglądała się pani Lateef, gdy odeszła, żeby porozmawiać z dziećmi w ojczystym języku. Dla takich właśnie chwil Sophie żyła; w takich momentach była całkiem pewna, że to, co robi, ma znaczenie i jest warte bólu i poświęceń. Wciąż jednak wracało to samo pytanie: czy jej dzieci zgodziłyby się z tym?

Nadal czekała z boku, aż będzie mogła przywitać się z premierem, gdy stanął przed nią mężczyzna z prasowym identyfikatorem.

- Brooks Fordham, „New York Times”. Proszę powiedzieć nam, o co tu dzisiaj chodzi.

Sophie uśmiechnęła się powściągliwie.

- Panie Fordham, gdyby rzeczywiście chciał się pan tego dowiedzieć, musiałby pan mnie słuchać przez kilka godzin.

- Naprawdę chcę się dowiedzieć. Może mogłaby mi to pani streścić. I proszę mi mówić po imieniu.

Sophie знаła ten typ: ambitny, znakomicie wykształcony, przystojny... i świadomy tego. Mimo to usłużnie streściła mu sprawę, której zwieńczeniem była dzisiejsza uroczystość. Umoja była krajem zniewolonym, ciemionym przez na wpół nielegalny syndykat europejskich handlarzy brylantów i ich afrykańskich współpracowników, działających pod przewodnictwem cieszącego się złą sławą zbrodniarza wojennego, generała Timiego Abachy. Przez dwadzieścia lat krajem rządili bezwzględni wojskowi opłacani przez krwawy handel diamentami. Z czasem okrucieństwa stały się tak straszne, że świat wreszcie zaczął je zauważać.

A potem pojawiła się fotografia, która sprawiła, że Umoja trafiła na swoje miejsce na mapie i do ludzkich sumień. Zdjęcie młodego chłopca bez ręki i ucha, patrzącego w obiektyw oczami, w których nie było nawet śladu niewinności. Chłopiec został oderwany od swojej rodziny, zmuszony do pracy, okaleczony za karę, a wszystko dlatego, że był wystarczająco mały, by zmieścić się w kopalnianym szybie. Zdjęcie pojawiło się na pierwszych stronach gazet oraz okładkach magazynów i wreszcie zdopinguwało globalną społeczność do działania. Zespół międzynarodowych śledczych potwierdził prawdziwość doniesień o niewolnictwie, znęcaniu się, zatrudnianiu dzieci i gwałtach.

Sophie znała całą tę sprawę na pamięć, być może lepiej nawet niż ktokolwiek w tej sali. Przygotowując się do procesu, wsiąkła głęboko w czerwoną gliniastą glebę tego kraju w sercu kontynentu. Na mapie Umoja wyglądała jak dzban, którego dzióbek skierowany był w stronę górnej części Afryki Południowej.

To zresztą sprawiało, że kraj ten był tak łakomym kąskiem. Na pograniczu znajdowały się najobfitsze złoża diamentów, do tego wydobywano tam wyjątkowo wartościowe kamienie. Tubylcze plemiona przez wiele pokoleń broniły się przed europejskimi kolonistami, aż dziesięć lat temu awanturnicze plemię, uzbrojone i opłacane przez diamentowych potentatów, przejęło kraj w krwawym zamachu stanu.

Ludzie cierpieli niewyobrażalne tortury: gwałty, czystki etniczne, ludobójstwo. Małych chłopców wcielano do wojska; dziewczynki wykorzystywano, po czym się ich pozbywano lub zmuszano do rodzenia dzieci gwałcicieli. Przygotowując się do rozprawy przeciwko dyktatorowi, Sophie i jej zespół przesłuchiwali ofiary wszystkich możliwych zbrodni. Wysłuchiwali tyłu opowieści o niewysłowionej brutalności, że niektórzy współ-

pracownicy rezygnowali, nie mogąc wyjść z szoku. Byli też tacy, którzy w obronie psychiki popadali w odrętwienie, całkiem znieczuleni przez nadmiar okropności.

Proces trwał dwa lata. Sophie doprowadziła się do stanu kompletnego wyczerpania. Przegrała swoje małżeństwo, od dzieci dzielił ją ocean. Jednak dzisiejszego wieczoru przypomniała sobie, że bitwa została wygrana. Ten wieczór był po to, żeby uhonorować tych, którzy zwrócili kraj jego prawowitym właścicielom. Ludzie nie musieli już uciekać przed armią zbirów. Nie zmuszano ich do pracy w kopalniach, gdzie wykorzystywani i głodzeni umierali w końcu z ręki tych nieludzkich szakali, którzy okradali ich kraj.

W procesie występowała jako drugi zastępca oskarżyciela. Kiedy obaj zwierzchnicy zachorowali, nagle okazało się, że musi sama stanąć wobec piętnastu sędziów Międzynarodowego Trybunału Karnego. Później mówiono, że jej bezsporne i żarliwe argumenty były kluczem do uzyskania wyroku skazującego. Do Umoi weszły wojska ONZ-etu, odsunęły od władzy skorumpowany rząd i przywróciły wygnanego premiera.

- To tylko skrócona wersja - zakończyła swoją opowieść - a już widzę, że ci się zamykają oczy.

- Zmęczenie po długim locie. - Wyjął notes i ołówek. - Numer telefonu? - spytał, obdarzając ją szerokim uśmiechem.

Podawała numer komórki drugiego asystenta. To był wystarczająco bliski kontakt.

Zapisał telefon i jakieś informacje, po czym podał jej swój numer.

- Nie zapiszesz go? - spytał.

- Zapamiętam. - Miała wyjątkowy dar. Niemal bezbłędnie pamiętała wszystkie numery telefonów. Nadal nie zapomniła numeru adwokata, który zajmował się jej rozwodem. Przechowywała w pamięci numer trenera drużyny hokejowej syna, choć nigdy go nie poznała osobiście, numer Niny, nowej żony Grega, choć wiedziała, że nigdy nie będzie do niej dzwonić...

- Kobieta o wielu talentach - skomentował. - To naprawdę niesamowita historia...

- Którą można skrócić do niewielkiej notatki i umieścić na kolumnie „Informacje ze świata” na stronie dziewiętnastej - przerwała mu.

- Spróbuję dostać więcej miejsca. Aha, jeszcze jedno pytanie.

- Proszę bardzo. - Skrzyżowała ręce na piersiach.

- Czy to prawda, że dostęp do rejestrów bankowych syndykatu uzyskałaś za pomocą tych samych metod, które były zastosowane przy przekręcie bankowym w Nigerii?

Usta jej drgnęły w uśmiechu.

- W końcu udało się znaleźć zastosowanie dla spamu. Zespół dochodzeniowy zajął się stroną techniczną, a sprowadzało się to do wystrychnięcia na dudka naczelnego skarbnika syndykatu. Właściwie można powiedzieć, że był to podstęp stary jak świat, ale wyszli na durniów.

Zrobili to w stylu nigeryjskich spamerów, których przekręty były już powszechnie znane. Za cel wzięli najwyższego urzędnika ministerstwa skarbu, Femiego Gidadę, znanego z ambicji i chciwości. Jego ryzykowne inwestycje przyniosły reżimowi wielkie zyski. Kiedy zebrali informacje o nim, wysłali mejla, podając się za prostodusznego urzędnika odpowiedzialnego za wielką fortunę. Prosilili szanownego pana o zwrócenie uwagi na niezwykle pilną finansową sprawę. Obiecywali trzy i pół miliona dolarów wyłącznie za dostarczenie informacji bankowych, które miały być wykorzystane w prostej, potajemnej transakcji.

Po krótkiej wymianie korespondencji znaleźli się w posiadaniu fortuny reżimu. Dzięki temu podstępowi zyskali środek nacisku. Dali nieuczciwemu skarbnikowi wybór: albo zostanie głównym świadkiem w procesie przeciw dyktatorowi, albo jego oszustwo zostanie wyjawione zwierzchnikom. Ponieważ za zdradę skazywano na straszne tortury, a potem śmierć przez ścięcie, wolał związać swój los z narodem Umoi. Dla reżimu jego współpraca okazała się zgubna.

- A co się stało z generałem Timim Abachą? I z prezesem syndykatu diamentowego, Serge'em Hengerem?

Mogła się domyślić, że ją o to spyta.

- Wciąż są na wolności, jednak wszystko zostało skonfiskowane, więc nie mają ani ludzi, ani majątku. To tylko kwestia czasu, kiedy zostaną schwytani.

- Nie obawiasz się odwetu? Ataków? Zanim rozwiązano armię, było to najlepiej uzbrojone wojsko w tamtym regionie. Podobno wielu żołnierzy ukrywa się właśnie w Holandii.

- Zawsze znajdą się jacyś tchórze powodowani chciwością. Nie będę z ich powodu żyła w strachu.

- Jesteś bardzo młoda jak na swoje stanowisko.

- Wiek nie ma tu nic do rzeczy, liczy się oddanie i doświadczenie, a tego mi nie brakuje. - Wiedziała, że wystarczyło, by kliknąć w swój BlackBerry, żeby dowiedzieć się, ile ma lat. Równie łatwo można było sprawdzić jej grupę krwi, numer paszportu, pozycję w grupie podczas studiów prawniczych oraz ustalić, że ustanawiała akademickie rekordy w pływaniu na długie dystanse. Postanowiła nie trzymać go dłużej w niepewności. - Mam trzydzieści dziewięć lat. Rozwiedziona. Dwoje dzieci, które mieszkają w Avalonie w stanie Nowy Jork. - Podsumowując w ten sposób informacje o sobie, sprawiała wrażenie profesjonalnego, skupionego na pracy międzynarodowego prawnika. Nonszalancka uwaga „mieszkają w Avalonie w stanie Nowy Jork” w żadnej mierze nie oddawała do-
tkliwego bólu, który przeżywała na myśl o rozbitej rodzinie. Nie zamierzała z nim o tym rozmawiać, chociaż cierpiała każdego dnia. Była matką, tyle że nie miała dzieci. Obowiązki rodzicielskie wykonywała przez telefon, SMS-y i internet.

Nagle uświadomiła sobie, że Brooks o coś pyta.

- Masz tu całą salę dygnitarzy - powiedziała, zataczając ramieniem wokół. - Dlaczego akurat ja?

- Bo jesteś doskonałym materiałem - odparł obcesowo. - Napiszę o tobie i dzięki temu mam o połowę większą szansę, że nie umieszczą tego w niezauważalnym miejscu. To, co tu się dzieje, to nadzwyczajna sprawa. Suwerenne państwo uratowano przed zagładą. Oboje jednak wiemy, że przeciętny pan Smith ma to głęboko w nosie. Zbyt jest zajęty oddawaniem głosu na „Idola”, żeby zajmować się stanem jakiegoś państewka Trzeciego Świata, o którym w ogóle nie słyszał.

- Nie sądzisz chyba, że artykuł o mnie coś zmieni?

- Owszem, jeśli tylko zrobisz coś szokującego, co by dobrze wypadło na YouTube. Ale mówiąc poważnie, jak to się stało, że taka ładna dziewczyna bierze się do obalania dyktatorów? Ludziom wydaje się, że pracownicy międzynarodowego trybunału to siedemdziesięcioletni faceci w zatęchłych togach, a nie... - Spojrzał na nią wymownie.

Powstrzymała się od odpowiedzi. Jedną z podstawowych zasad tego zawodu było zwiększenie społecznego zrozumienia dla misji trybunału.

- Przede wszystkim mógłbyś więc wyjaśnić, że proces odbywał się przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym, który stworzono zaledwie sześć lat temu, więc nie jest to jakaś szacowna, wiekowa instytucja. A ściśle biorąc, wystąpiłam jako oskarżyciel tylko dlatego, że prokurator i jego zastępca rozchorowali się przed pierwszą rozprawą. - Willem De Groot był starszym mężczyzną. Podłączony do dializatora tydzień po tygodniu prowadził ją i swój zespół przez całą sprawę.

- A więc to była kwestia szczęścia, żeby trafić na taką okazję - powiedział Brooks.

- Raczej pecha, żeby trafić na taką potrzebę. Dałabym wszystko, żeby mógł tu przyjść dzisiaj. - Dwa łyki szampana dzieliły ją od pozbycia się tego faceta. - Muszę już iść. Zaraz zacznie się uroczystość.

- Ostatnie pytanie i dam ci spokój.

- Proszę.

- Czy pozwolisz zaprosić się jutro wieczorem na kolację?

Zawahała się. Brooks na pewno kończył jedną z prestiżowych uczelni, swój rodowód brał od pielgrzymów, którzy przybyli do Ameryki na statku „Mayflower” i z pewnością miał poczucie, że mu wszystko wolno. Chociaż z drugiej strony nie musiałyby znów jeść sama.

- Moja asystentka zadzwoni do ciebie, żeby ustalić szczegóły.

- Przecież chodzi o kolację, a nie konferencję na szczycie.

- Moi asystenci znakomicie potrafią załatwiać takie sprawy. - Spotkanie z dziennikarzem mogło zapewnić jej trochę rozrywki. Jeśli chodzi o sprawy uczuciowe, jej życie było raczej... przeciętne. Tak, to najwłaściwsze określenie. Najpierw niewarte wspomnienia obściskiwania się w szkole średniej, potem w college'u trochę bardziej wyszukane randki, imprezy stowarzyszeń studenckich i zabawy taneczne. A później pojawił się Greg. Wzięli ślub, zanim zdążyli się dobrze poznać. Można to było porównać do zaszczepienia z sobą dwóch odmiennych gatunkowo drzew - z początku wydawało się to znośne, lecz w końcu nie dało się ignorować różnic. Czy go kochała? Grega kochali wszyscy. Był najmłodszym dzieckiem spośród czwórki rodzeństwa Bellamych. Uro-

czym, czarującym i rozpieszczonym. Jak można go było nie kochać? Przeświadczenie, że powinna go kochać, utrzymywało ich małżeństwo przez szesnaście lat. Wystarczająco długo, by upewnić się, że uczucie wygasło. Kiedy to sobie uświadomiła, przez kilka miesięcy chodziła jak ogłupiała. Dopiero ostatniej jesieni odważyła się ponownie umawiać na randki, jednak za pierwszym razem, gdy pewien dżentelmen poprosił ją o spotkanie, patrzyła na niego, jakby mówił w obcym języku. Wyjść? Na randkę? A cóż to za oryginalny pomysł?!

Przyglądała się spod oka Brooksowi, zastanawiając się, czy właśnie on mógłby sprawić, by pozbyła się powściągliwości, i przypomnieć jej, jak to jest znaleźć się w czyichś ramionach. Ale nie dzisiaj, pomyślała.

- Muszę cię przeprosić. - Ruszyła w stronę podestu.

Rozejrzała się, gdzie mogłaby odstawić kieliszek, i w końcu podeszła do kelnera.

- Przepraszam - powiedziała.

Mężczyzna drgnął gwałtownie. Z tacy spadł kieliszek i rozbił się na posadzce. Stojący w pobliżu ludzie umilkli i odwrócili głowy, żeby sprawdzić, co się dzieje. Agenci ochrony naprężyli się, gotowi do działania.

- Przepraszam - mruknęła Sophie. - Nie chciałam pana przestraszyć.

- Nic się nie stało, madame - odparł cicho. Mówił z wyraźnie obcym akcentem. Już miała go spytać, skąd pochodzi, gdy spostrzegła wyraz jego oczu. Wyrażały wściekłość zupełnie niewspółmierną do zdarzenia ze zbitym kieliszkiem.

Sophie uniosła brwi. Kelner poruszył się, a wtedy światło padło na jego twarz, rozjaśniając hebanową skórę i podwójne blizny po rytualnych nacięciach, które rozpoznała. Musiał pochodzić z Umoi. To wyjaśniało brak doświadczenia. Zatrudnienie go było miłym gestem ze strony właściciela firmy cateringowej.

- Przepraszam pana - odezwała się, widząc, że mężczyzna zamierza odejść.

Sprawiał wrażenie jeszcze bardziej przestraszonego. Opanuj się, pomyślała. Jesteś kelnerem. Wyciągnęła rękę z kieliszkiem.

- Mógłby pan to zabrać? Zaraz będą zaczynać. Niemal wyrwał jej kieliszek z ręki i sztywno odmaszerował. Strasznie jesteś przewrażliwiony, oceniła w duchu. Powinieneś być szczęśliwy. Właśnie wyzwoliliśmy twój kraj.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W grupie, która stała na podium, było trzech sędziów z Międzynarodowego Trybunału Karnego, jeden z Trybunału Sprawiedliwości, koordynator z ramienia ONZ-etu oraz sama królowa Holandii, której ród rządził krajem od siedemnastu pokoleń. Sophie dołączyła do zespołu oskarżycieli, którzy stali na niższym podeście. Był tu również najbliższy przyjaciel i współpracownik Sophie, Tarik Abdul-Hakim. Tak jak ona był asystentem zastępcy prokuratora. Znała Tarika jeszcze ze stażu, który całe lata temu odbywała w Londynie. Należał do tych osób, które darzyła największą sympatią, a przy tym był niezwykle przystojny. Takich mężczyzn widuje się często na rozkładówkach w magazynach modniarskich: kremowa cera, przenikliwe spojrzenie, rysy, które wyglądały, jakby wyrzeźbił je doskonały artysta. Tarik miał talent do języków, a po angielsku mówił z wymienitym akcentem. Pracowali z sobą i łączyło ich coś więcej niż zwykle koleżeństwo. Był jedyną osobą, przed którą potrafiła się otworzyć i opowiedzieć o sytuacji z Gregiem i dziećmi.

- Dobrze się czujesz, Kwiatuszku? - spytał szeptem.

- Oczywiście. Czemu pytasz?

- Bo być może czujesz się zbulwersowana faktem, że twój były mąż bierze dziś ślub.

Machnęła lekceważąco ręką, choć zdawała sobie sprawę, że Tarik nie da się oszukać.

- No to co? Wiedzieliśmy przecież, że to kiedyś nastąpi. Jest facetem, a oni zwykle żenią się ponownie. - Zaśmiała się cicho. - Ktoś musi zająć się ich wychowaniem. - Mimo drwiącego tonu, pamiętała ukłucie bólu, gdy czytała SMS-a od Maksa, i nieustannie dręczyło ją pytanie, czy jej kariera warta była ceny, którą musiała płacić?

- Co za łaskawe spojrzenie na pleć męską - powiedział Tarik. - Po tej uroczystości zabiorę cię gdzieś i tak spiję, że zapomnisz, jak się nazywasz.

- Brzmi rozkosznie.

- Wy, jankesi, właśnie to macie zwyczaj robić. Wychodzicie, żeby się... zaraz, to słówko... aha, narąbać?

Prychnęła pogardliwie.

- Przecież ty nawet nie pijesz.

- Ale kupuję drinki. Zabiorę cię do klubu Sillies.

Wiedziała, że stałaby się obiektem zazdrości wszystkich kobiet w tym najmodniejszym nocnym klubie odwiedzanym przez europejską elitę. Tarik - elegancki i sprawiający wrażenie trochę smutnego - zawsze wzbudzał zainteresowanie płci przeciwnej. Smutek był jak najbardziej rzeczywisty, ale bardzo niewiele osób znało jego powód. Absolwent Oksfordu, jeden z najlepszych jurystów na świecie, całe swoje życie poświęcił prawu, lecz jako homoseksualista, a w dodatku mieszkaniec Arabii Saudyjskiej, musiał każdego dnia zmagać się z przeciwnościami. W jego ojczystym kraju za związki homoseksualne groziła kara śmierci.

- Cóż, dziękuję za propozycję. Powinnam wracać prosto do domu. Mam pracę...

- Jasne. Niech Allah broni, żebyś zrobiła coś, co choć w części przypomina normalne życie.

- Przecież prowadzę normalne życie.

- Pracujesz w sądzie, w biurze, w terenie, a potem śpisz. No tak, jeszcze uprawiasz ten swój okropny sport.

- Wcale nie jest okropny. Pływanie dobrze mi robi. - Stale trenowała, żeby wziąć udział w takim czy innym wyścigu. Ani razu nie udało jej się zająć pierwszego miejsca, jednak zawsze dopływała do mety.

Tarikowi, dla którego wyczynem sportowym były biegi do windy, pływanie na długie dystanse wydawało się ogromnie niebezpieczne.

- Taplanie się w lodowatej wodzie to szaleństwo. Potrzeba ci rozrywki, Kwiatuszku. Poza pracą powinnaś mieć jakieś życie. Nie myśl, że nie wiem, czemu nie chcesz się trochę otworzyć. Boisz się, że gdybyś zaczęła się dobrze bawić, zakłóciłoby to twoją pokutę.

- Nie masz pojęcia, na czym polega pokuta.

- Poczucie winy nie jest wyłączną domeną chrześcijan. Czujesz się winna wobec dzieci, więc odmawiasz sobie wszelkich przyjemności. To bardzo proste, kłopot w tym,

że na nic się nie zdaje. Nie ma żadnego znaczenia, czy w sądzie oskarżasz terrorystów, czy w sezonie turystycznym jeździsz wzdłuż Hogeweg.

- Zgadza się. Tak czy inaczej jestem oddzielona od dzieci.

- A oto co dajesz swoim dzieciom: matkę, której zależy na tym, żeby ich świat stał się lepszy. Uważasz, że wolałyby, abyś wozila je na treningi piłki nożnej lub jeździła do sklepu?

- Czasami pewnie tak. - Wiedziała, że takie rozważania są jałowe, lecz nie przestała się zastanawiać, czy sprawy z Daisy nie ułożyłyby się inaczej, gdyby poświęciła jej więcej czasu.

- Moja kochana mama była koło mnie każdego dnia i sama widzisz, co z tego wynikało...

- Zrównoważony człowiek.

- Wyrzutek. Heretyk. - Mówił to żartobliwie, ale wyczuwała jego ból, niby inny niż ten, który jej dokuczał, a jednak w jakiś sposób znajomy.

- Przestań. - Tarik, podobnie jak ona, skoncentrował się na pracy. Próbując uciec od tego człowieka, którym w rzeczywistości był, swoje życie związał z sądem. „To wszystko, co mam - powtarzał jej często. - I na szczęście to również wszystko, czego pragnę”.

Sophie nie mogłaby powiedzieć tego samego, więc się nie odezwała. Widząc, że zbliżają się coraz bardziej do premiera i królowej, chrząknęła, by zwrócić uwagę Tarika. Pełna uroku królowa Holandii niczym ukochana ciocia do każdego z obecnych odnosiła się tak, jakby w tym momencie był najważniejszą osobą na świecie.

- Dziękuję za pańską służbę - mówiła cicho, gdy przechodzili przed nią kolejni dygnitarze.

Jestem ważną osobistością, pomyślała Sophie. No i proszę!

Kiedy została przedstawiona, złożyła ceremonialny dyg, który ćwiczyła od wielu dni, a zwróciwszy się do królowej, tytułowała ją *Uwe Majesteit*. Wszystko wyglądało bardzo poważnie i było zgodne z etykietą, i nikt nie podejrzewałby nawet, jak bardzo cieszy się ta mała dziewczynka, którą była w głębi duszy. Spotkała się z królową, najprawdziwszą królową.

Królowa Beatrycze także była prawnikiem. Mogłyby z sobą porozmawiać jak koleżanki, poplotkować.

Potrafiła wyobrazić sobie taką rozmowę: „Widziałas ostatni film z George'em Clooneyem? Podobają mi się twoje kolczyki. Z którego muzeum je wzięłaś? Jak to jest, gdy lotnisku nadają twoje imię? Opowiedz mi o swojej rodzinie. Jak ty to robisz, że wszystko ci się udaje?”.

Tak, to było zasadnicze pytanie, które zawsze chciała zadać innej pracującej kobiecie. No nie! Przyszli tu, żeby być świadkami odrodzenia narodu, a tymczasem zajmuje się domowymi problemami. A jednak bardzo chciałyby się dowiedzieć, jak Beatrycze udaje się rządzić krajem, a jednocześnie zachować w nienaruszonym stanie małżeństwo i całą rodzinę.

Niektóre rzeczy, szepnął jej wewnętrzny głos, musisz poświęcić.

Królowa była już wdową, dzieci miała dorosłe. Sophie intrygowało, czy są rzeczy, których żałuje; czy nie wyrzuca sobie, że powinna coś zrobić inaczej, spędzać z dziećmi więcej czasu, częściej kontaktować się z nauczycielami, bardziej ograniczać telewizję, częściej czytać bajki na dobranoc.

Czarnoskórzy wartownicy zaprezentowali flagę ONZ-etu i sztandar królewski, a na koniec bardzo uroczyście rozwinęli flagę Umoi i ustawili ją za podium. Nowo mianowany ambasador, pan Bensouda, zajął miejsce za mikrofonem. Za nim stanęło sześć osób z obsługi. Każda z nich trzymała przed sobą ceremonialny honorowy medal. Pod koniec tego wieczoru jeden z nich miał stać się własnością Sophie.

- *Mesdames et messieurs* - zaczął ambasador. - Panie i panowie! Witajcie, dostojni goście... - Po powitaniu przeszedł do opowieści o swoim kraju.

Podium i mikrofon zmieniały normalnych ludzi w napuszonych nudziarzy, a Sophie znalazła się w pułapce, stojąc na scenie w tłumie dostojnych gości. Bezmyślnie pozwoliła sobie na wypicie dwóch i pół kieliszka szampana i w efekcie słuchała opowieści o wiekopomnym wydarzeniu, czując wyjątkowy dyskomfort z powodu przepełnionego do granic możliwości pęcherza.

Najwyraźniej nikomu nie było śpieszno, żeby zejść z podium, ona jednak nie mogła już dłużej czekać. Cofnęła się za stojących w rzędzie ludzi i przez boczne drzwi wymknęła się na korytarz.

Kiedy skręciła za róg, natknęła się na dwóch mężczyzn w ciemnych ubraniach. Ramiona mieli mokre od topniejącego śniegu. Zamarła, gdy odwrócili się gwałtownie w jej stronę, i uniosła ręce, pokazując, że ma puste dłonie. Agenci ochrony, pomyślała. Jak zawsze nieufni.

- Przepraszam - mruknęła. - Próbuję znaleźć toaletę.

Podążając za znakami, dotarła do łazienki. Uśmiechnęła się do starszej kobiety o sennej twarzy, która siedziała w przedsionku, czytając plotkarskie piśmiątko.

Po wyjściu z toalety podeszła do umywalki. Odgłosy dochodzące z jednej z kabin świadczyły o tym, że ktoś się pochorował. Co za idiota mógł się upić podczas takiej uroczystości? - zdziwiła się. Nie miała torebki, więc włosy przygładziła wilgotną dłonią, a makijaż poprawiała papierową chusteczką.

Jakaś dziewczyna wyszła z kabiny. Była to Fatou, która tak pięknie śpiewała na początku wieczoru. Mimo ciemnej skóry wydawała się blada, ale jej oczy nie były zamglone jak po alkoholu czy narkotykach. Fatou oparła dłonie o brzeg umywalki, jej włosy opadły do przodu. Odkręciła kran, opłukała twarz i usta, ale gdy skończyła, wyglądała jeszcze gorzej.

- Wyglądasz na chorą - powiedziała Sophie. - Może trzeba wezwać pomoc?

- Nie, dziękuję. Nie jestem chora, proszę pani. - Dziewczyna położyła dłoń na brzuchu.

Sophie nie była pewna, co ma na to powiedzieć. Fatou z całą pewnością była za młoda na to, by mieć dzieci, jednak w jej wyglądzie było coś znajomego: błysk podniecenia zmieszany z rozpaczą. Sophie bezbłędnie rozpoznała te uczucia, bowiem kiedyś sama przez to przeszła. A również jej córka, Daisy.

- Spodziewasz się dziecka - powiedziała cicho. Fatou wbiła wzrok w podłogę. - Czy ktoś się tobą zaopiekuje?

- Tak. Mieszkam w Lille u pewnej rodziny. W tych okolicznościach to na pewno dobrze, chociaż moi gospodarze nie będą z tego zadowoleni.

- Będą. Może nie od razu, ale... być może później. - Sophie wiedziała to z własnego doświadczenia. Poczła ogarniający ją smutek. Ona sama nie pomogła Daisy. Tak jak i jej matki nie było w tych trudnych chwilach przy niej.

Fatou odsunęła się i wygładziła sukienkę. Tradycyjny strój wyglądał na tej młodej dziewczynie naprawdę pięknie.

- Lepiej się czujesz? - upewniła się Sophie.

- Przynajmniej na razie.

Przy wyjściu Sophie położyła dwa euro na talerzyku kobiety z obsługi. Przez okno w holu widać było gęste płatki śniegu jaśniejące w padającym ze środka świetle. Wkrótce cały dziedziniec i ogrody pokryje zimowa szata.

- Jaki on jest w dotyku? - spytała cicho Fatou ponad jej ramieniem.

- Śnieg? - Nagle podjęła decyzję. Zupełnie nie w jej stylu. Wzięła Fatou za rękę i pociągnęła w stronę wyjścia na dziedziniec. - Sama zobaczysz.

Łuk bramy ocieniony przez dwie ciemne kamery ujmował w ramy obraz przeobrażonego świata. Fatou zachłysnęła się z zachwytu, powiedziała coś w ojczystym języku, ale zatrzymała się pod płóciennym dachem. Sophie wyszła na śnieg i uniosła głowę, by poczuć na twarzy miękkie płatki.

- Jest nieszkodliwy - powiedziała. - I znacznie przyjemniejszy niż deszcz.

Fatou stanęła obok niej na brukowanym dziedzińcu w świetle lamp sodowych. Jej buzia rozpromieniła się na widok tego cudu. Roześmiała się zaskoczona, patrząc, jak wszystko wokół pokrywa się nieskazitelną białą powłoką.

- Rzeczywiście, madame. Jest cudowny.

Sophie postanowiła zachować w pamięci obraz dziewczyny z głową uniesioną w stronę nieba, śmiejącej się, gdy płatki śniegu zatrzymywały się na jej rzęsach. Ta chwila z Fatou miała przypominać jej, że piękno i radość można spotkać nawet w najbardziej niespodziewanych miejscach na świecie. Fatou obserwowała pojedyncze płatki spadające na niski mur ogrodowy. Każdy z nich był doskonałym cudem natury.

- Wyglądają jak maleńkie kwiatuszki - powiedziała.

- Tak. - Wzięła Fatou za rękę. Obie były już mocno zmarznięte. - Powinniśmy wrócić do środka.

W tym momencie usłyszała odgłos kroków i stłumiony głos, a gdy się odwróciła, spostrzegła wielki cień, który się do niej zbliżał.

- Idź do środka - ponagliła Fatou. - Szybko. Zaraz do ciebie dołączę.

Rozpoznała sylwetkę oświetloną przez latarnie. André? Patrzyła na niego zdumiona. Potykając się, wytoczył się z za rogu budynku. Czarne ślady stóp tworzyły krzywą ścieżkę. Nie miała pojęcia, co w niego wstąpiło. André był praktykującym muzułmaninem. Nie pił. Szybkim krokiem ruszyła w jego stronę.

- André, co się stało?

- Madame - wymamrotał, po czym opadł na kolana prosto w śnieg.

Po chwili przewrócił się na bok niczym niedźwiedź powalony przez myśliwego.

W tej krótkiej chwili, nim jego głowa uderzyła o ziemię, uczucie dezorientacji wyparła absolutna pewność. Nie, pomyślała, choć zdawała sobie sprawę, że zaprzeczanie nic tu nie da. Och nie...

Uklękła obok André, prawie nie czując zimna przez suknię i pończochy.

- Proszę... Błagam, niech ci się nic nie stanie.

Jednak jeszcze zanim to powiedziała, wiedziała, że już jest za późno. Nigdy wcześniej nie była świadkiem czyjejś śmierci, teraz jednak rozpoznała ją instynktownie. André wydał jakiś upiorny grzechoczący dźwięk, a potem nagle ucichł. Rozluźnił się. Zwiotczał. Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Dopiero z nim rozmawiała. Był jej kierowcą, człowiekiem, który poświęcał się, żeby ją chronić. A tymczasem to jemu zadano gwałt.

Gorący, zwierzęcy odór krwi był tak silny, że nie mogła zrozumieć, czemu nie poczuła go wcześniej.

Raniono go w pierś, w brzuch... Pewnie nie tylko tam. Zastrzelony albo pocięty nożem. Nigdy nie widziała ran z bliska. Czowała, jak błyskawicznie ciało André staje się zimne i nagle odniosła wrażenie, że to jej krew przestała krążyć i raptem opadła na ziemię. Leżał tak nieruchomo...

Rozejrzała się wokół. Dziedziniec wydawał się upiornie pusty. Kiedy zaczęła wzywać pomocy, jej głos niósł się echem przez dziedziniec. Ogarnięta histerią próbowała poprawić skrwawiony, porodzieranany płaszcz.

- Proszę - powtarzała raz po raz, nie wiedząc nawet, o co właściwie błaga. - Proszę.

Przytuliła się do niego, przycisnęła twarz do jego twarzy, jakby w ten sposób mogła natchnąć go swoim życiem. To był André, jej przyjaciel, łagodny olbrzym, który nigdy nie zrobił nic złego, był oddany Sophie i zawsze ją chronił, gdziekolwiek poszła. Chronił ją...

Rozsądek kazał odsunąć przerażające uczucie straty. André próbował ją odnaleźć. Nie przyszedł po pomoc ani po to, żeby się z nią pożegnać. Nie... Poczytał wysiłek, żeby mimo ran wytrwać do chwili, aż ją znajdzie. Przychodził jej do głowy tylko jeden powód, czemu to zrobił. Chciał ją ostrzec.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Sophie od czasu do czasu zastanawiała się, jak zachowałaby się w chwili kryzysu. Czy byłaby bezradna? Nie wiedziała. Nie sprawiła sobie zawodu i nie wpadła w histerię ani nie położyła się zwinięta w pozycji embrionalnej. Zamiast tego czuła ogarniający ją chłód, a emocje ukryła za kamienną maską. Miała też wrażenie, że uczucia oddzieliła od niej gruba lodowa powłoka. I bardzo dobrze. Gdyby pozwoliła sobie na odczuwanie czegokolwiek, rozsypałaby się. Byłaby zgubiona.

Podskoczyła przerażona, kiedy usłyszała za plecami jakiś dźwięk.

- Fatou... Przestraszyłaś mnie. Mówiłam, żebyś weszła do środka. - Lecz mimo wszystko ucieszyła się z jej obecności.

Fatou patrzyła na nią z cichą rezygnacją. Najwidoczniej to, co zobaczyła, nie było dla niej niczym nowym ani nawet szokującym.

- Bardzo mi przykro, madame. Znała go pani?

- Był moim szoferem. - Kimś więcej. Człowiekiem, na którego lojalność i oddanie mogła zawsze liczyć, choć nie była wcale pewna, czy na nie zasługiwała. Wiedziała, że nic nie miał, gdy emigrował do Holandii, a teraz mieszkał samotnie na obrzeżach dzielnicy Statenkwartier. Teraz żałowała, że nigdy nie odwiedziła go w jego mieszkaniu.

Chwyciła Fatou za rękę i pociągnęła w cień pałacu. Wciąż sypało śniegiem. Grube mokre płatki zaczęły już pokrywać nieruchomą sylwetkę André.

- Poszukamy jakiegoś agenta ochrony - powiedziała, prowadząc dziewczynę do środka. Zatrzymały się w holu i przez chwilę stały, nasłuchując. Z sali docierała muzyka. Sophie odruchowo chciała tam wpaść, narobić krzyku i poinformować, że ktoś zabił jej szofera. Ale nagle przecucie, które jak zimny dreszcz przebiegło jej po plecach, kazało jej się powstrzymać.

Nie miała wątpliwości, że zabójstwo André nie jest odosobnionym przypadkiem.

- Nie możemy tam wrócić - szepnęła. - Pójdziemy do biura ochrony. - Wszędzie dokoła były kamery, choć André na nic się nie zdały. Zapukała, a gdy nie usłyszała odpowiedzi, popchnęła drzwi, spodziewając się, że będą zamknięte. Lecz się otworzyły.

Sophie zawahała się. Znowu miała ten dziwny skurcz żołądka, który czasami się pojawiał, gdy przecucie ją przed czymś ostrzegało. Mówiło jej, gdy ktoś kłamał lub kiedy coś się nie zgadzało, tak jak w tej chwili. Światło było zgaszone, pomieszczenie rozjaśniała tylko niebieskawa poświata padająca z monitorów i urządzeń elektronicznych. W środku było trzech mężczyzn. W pierwszej chwili myślała, że są nieprzytomni, prawdopodobnie pijani. Dopiero po kilku sekundach poczuła słabą woń gorzkich migdałów.

- Gaz - syknęła do Fatou. - Zostań na zewnątrz. Wstrzymała oddech. Po latach pływania potrafiła wytrzymać bez powietrza dłużej niż większość ludzi. Mężczyźni mieli na sobie mundury jednostki ochrony dyplomatycznej. Podeszła do najbliższego, który leżał na podłodze, i dotknęła jego ramienia. Ciało było niepokojąco sztywne. Starając się nie patrzeć na jego twarz - z nosa wciąż płynęła mu krew - odszukała małe urządzenie alarmowe, które miał wpięte w klapę, i wcisnęła guzik. Modliła się, żeby urządzenie zadziałało jak należy i żeby sygnał dotarł do ochroniarzy w sali balowej oraz do centrali oddziału antyterrorystów w Rotterdamie. Niestety nie miała pojęcia, ile czasu upłynie, nim pojawi się pomoc.

Na ekranach stojących w rzędzie monitorów nie było widać nic niepokojącego. Przyjęcie wciąż trwało. W sali balowej dostrzegła agenta ochrony w ciemnym garniturze. Właściwie trudno było poznać, czy alarm do niego dotarł, lecz jego ożywione zachowanie dodało Sophie otuchy. Dłonią zakrywał guzik z przodu marynarki i mówił coś do mikrofonu.

Kiedy wypadła z pokoju, miała wrażenie, że od wstrzymywanego oddechu zaraz rozsadzi jej płuca.

- Chyba się udało - powiedziała do Fatou, zamykając drzwi. - Ewakuują wszystkich i... - Fatou nie patrzyła na nią, tylko na coś ponad jej ramieniem.

- *Ne bougez pas* - odezwał się cichy głos z silnym obcym akcentem - *ou je tire*.

Dopiero po dwóch uderzeniach serca dotarł do niej sens tych słów. „Nie ruszaj się, bo będę strzelać”. W tym samym momencie poczuła pchnięcie jakimś przedmiotem w szczękę.

Za Fatou też stanął jakiś mężczyzna i Sophie uświadomiła sobie, że musiał przez cały czas ukrywać się tu w ciemnościach. Ubrany jak agent ochrony, z dużą, kościstą twarzą typowego Holendra i pistoletem, którego lufę przytknął do brody dziewczynki.

- Proszę, nie... To tylko dziecko. Nie krzywdźcie jej - powiedziała błagalnie Sophie.

Trzeci mężczyzna, Afrykanin, również przebrany za agenta, kopnięciem otworzył drzwi do biura ochrony, przeszedł przez pokój i pootwierał okna.

Jeszcze było za wcześnie na strach lub uświadomienie sobie, że wystarczy zgięcie palca, by odeszła na zawsze. Na razie wydawało się to zbyt nierealne. Stała bez ruchu, a serce waliło jej tak głośno, że z pewnością musieli je słyszeć. Była w stanie myśleć wyłącznie o Maksie i Daisy. O swoich dzieciach. Być może już nigdy ich nie zobaczy.

- *Merde* - zaklął jeden z mężczyzn, czarnoskóry Francuz. Pochylny nad blatem przyglądał się obrazowi głównego holu. Agenci ochrony zaczęli działać. Z wyciągniętą bronią kierowali ewakuacją. - Zostali ostrzeżeni. - Powiedziawszy to, wyprostował się, obrócił i wierzchem dłoni uderzył Sophie w twarz.

Nigdy jeszcze nie została uderzona, z początku nawet nie bolało. Po chwili jednak poczuła się tak jak kiedyś, gdy podczas meczu w hokeja na trawie została trafiona krążkiem. Najpierw zobaczyła błysk, potem zwielokrotniony obraz i rozmywające się ekrany monitorów. Cios popchnął ją na mężczyznę z pistoletem. Zamknęła oczy, przerażona, że ogarnie go panika i naciśnie spust.

- Przestań - rozkazał drugi z mężczyzn. - Już i tak zostali zaalarmowani. Możemy jej potrzebować.

Do czego? - spytała w duchu. Od człowieka, który trzymał ją pod bronią, docierał dziwny zapach. To był smród potu. Nie miała pojęcia, skąd to wie, ale jakimś cudem udało jej się rozpoznać odór strachu, ostry i gorzki, znacznie bardziej niebezpieczny niż zimne zdecydowanie. Być może będzie słuchał rozkazów, ale równie dobrze mógł je zignorować. W jednej chwili może być po niej.

Otak, po prostu...

Zmusiła się, żeby skupić wzrok na monitorach. Agenci w sali panowali już nad sytuacją. Kelnerzy w białych marynarkach leżeli na podłodze, ludzie byli szybko wyprowadzani na zewnątrz. Dzięki Bogu, pomyślała. Dzięki...

- Szybko - odezwał się Francuz. - Dziewczynę też zabierzcie.

Prawie zepchnęli Sophie ze schodów, po czym poprowadzili ją korytarzem w kierunku pomieszczeń gospodarczych. Kilku agentów ruszyło w ich stronę. Sophie wzdrygnęła się, widząc niewyraźny błysk pistoletów. Mężczyźni, którzy je prowadzili, ustawili ją i Fatou przed sobą jak tarcze.

- Rzućcie broń, bo one zginą! - krzyknął Francuz, wpychając je do sali balowej.

Czterech agentów natychmiast wykonało polecenie. Piąty zawahał się i zrobił ruch w stronę Francuza. Rozległ się syk stłumionego strzału i Fatou upadła na podłogę. Nie! - pomyślała Sophie. Boże, błagam, przecież to tylko dziecko.

Jakaś kobieta krzyknęła. Agent upuścił pistolet i uniósł ręce.

Wielu gości zostało już bezpiecznie wyprowadzonych, prawdopodobnie dzięki alarmowi, który podniosła Sophie. Królowej i premiera nie było nigdzie widać. Pozostałych zgromadzono pośrodku pomieszczenia i kazano im położyć się twarzą do podłogi. Sophie omal nie krzyknęła, gdy napotkała rozognione spojrzenie czarnych oczu Tarika. Instynkt jednak podpowiadał jej, że nie powinna na nikim skupiać wzroku, bo to mogło zwrócić uwagę terrorystów.

W sali wciąż było kilkoro dzieci. Powinny być ewakuowane w pierwszej kolejności, a jednak czworo leżało na podłodze. Wszyscy byli niesamowicie cicho, nawet najmłodsi. Nic dziwnego. Przybyli z targanego wojną kraju, gdzie musieli znosić znacznie gorsze rzeczy.

Francuz szybko przejął kontrolę i zaczął wydawać polecenia ludziom w strojach kelnerów. Zerwali się na nogi, zebrali pistolety agentów i role się odwróciły. Z wózków z przekąskami wyciągnęli broń, którą przemycili pod sztywnymi białymi obrusami, i po chwili w zupełnej ciszy doszło do masakry. Sophie wiedziała, że bez względu na to, jak długo będzie żyła, nigdy nie zapomni niesamowitej, niespodziewanej ciszy, która zapadła, gdy dokonano szybkiej, mroźnej krew w żyłach egzekucji na pięciu agentach. Wra-

zenie było tym bardziej przerażające, że to zabójstwo odbyło się bez żadnego zamieszania, szybko i sprawnie.

Po raz pierwszy zobaczyła twarz swojego porywacza. Był młodym Afrykaninem o dziecięco zaokrąglonych policzkach i rozgorączkowanym - zapewne od narkotyków - oczach. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że oddział antyterrorystów już pędzi przez miasto w drodze do pałacu.

Spojrzała na Fatou, która leżała nieruchomo na ziemi. Jęknęła cicho. Sophie zrobiła ruch w jej stronę, ale oschły rozkaz zatrzymał ją w miejscu.

Stała jednak tylko na krótki moment.

- Przecież to absurd - oznajmiła. - To Pałac Pokoju. Tu nie zostawia się dzieci, żeby umierały na podłodze. - Opadła na kolana. Fatou krwawiła, ale była przytomna, powieki jej drgały i jęczała z bólu.

- Zostaw - warknął Francuz. - Nie dotykaj jej. Odsuń się. Już!

Sophie nawet nie podniosła wzroku. Coś ją opętało. Nie były to odwaga ani głębokie współczucie, ani też oburzenie. Miała jednak przeświadczenie, że nie zniesie jeszcze jednego zabójstwa, nawet jeśli miałyby to oznaczać, że ją zastrzelą.

Nie strzelili do niej, lecz młody Afrykanin odciągnął ją od Fatou. Terrorysty kazali wszystkim pozostać na podłodze. Ich pomocnicy zamykali drzwi od środka.

Jesteśmy zakładnikami, pomyślała Sophie. Francuz i blondyn, który wcześniej roznosił kieliszki z szampanem, wdali się w kłótnię, próbując ustalić, czy lepiej zostać i podjąć negocjacje, czy próbować ucieczki, wykorzystując ludzi jako żywe tarcze.

Swojego czasu Sophie przeszła obowiązkowe szkolenie dotyczące walki z przemocą. Między innymi była tam mowa o braniu zakładników. Tu też, jak w wielu dziedzinach, zastosowano akronim. Problem w tym, że nie mogła go sobie przypomnieć. OW... coś tam. O - ocenić sytuację. To akurat było łatwe. Sytuacja była zła. Wręcz fatalna. W - wyodrębnić. Wyodrębnić sprawcę. Nic więcej nie pamiętała.

Uczono ją, że politycznie poprawna zasada, by z terrorystami nie targować się, jest również niezmiernie ryzykowna. W sytuacji, gdy zostali wzięci zakładnicy, jedna z podstawowych metod działania to zyskanie na czasie i podsycanie podziałów między przestępcami. Widać było, że tym zajęli się sami, co Sophie uznała za dobry znak. Była jedy-

ną osobą, która wciąż stała trzymana przez wystraszonego, niebezpiecznego chłopaka. Odniosła wrażenie, że Brooks Fordham ma ochotę odezwać się. Kiedy tylko pochwyciła jego spojrzenie, zrobiła lekki ruch głową. Nie.

Jeden z terrorystów zauważył, że reporter rozgląda się po sali, i z beznamiętną miną kopnął go w głowę. Brooks znieruchomiał, nawet nie wydawszy jęku. Tarik zaczął coś mówić do tych zbirów po arabsku, ale potraktowali go tak samo. Jego przystojna twarz została roztrzaskana czubkiem wielkiego buciora. Sophie zakręciło się w głowie, gdy z trudem powstrzymywała torsje.

Ogarnęło ją miazdzące poczucie bezsensu. Wraz z dziesiątkami współpracowników robiła wszystko, żeby odbudować pokój i sprawiedliwość, lecz ostatecznie ludzie nadal byli tyranizowani i mordowani. André leżał martwy na dziedzińcu... Wpatrując się drętwo w Fatou, pomyślała, jak bardzo się oszukiwała, sądząc, że jej praca ma jakieś znaczenie. Chciwość i zło to zbyt potężni wrogowie. Znacznie prawdziwsze było to, że nic - żadne poświęcenia ani dyplomatyczne zabiegi - nie powstrzyma zbrodni i nie usunie ludzi takich jak ci.

Domyśliła się, że czarnoskóry Francuz jest kompanem generała Timiego Abachy, któremu razem z handlarzem diamentów Serge'em Hengerem udało się uniknąć stanięcia przed Trybunałem. I chociaż media najpewniej będą widzieć w tych ludziach oddanych sprawie fanatyków, Sophie wiedziała, że wcale tak nie jest. Tu nie chodziło o jakieś ideały ani poczucie sprawiedliwości. Nawet nie o zemstę. Wyłącznie o pieniądze. Działania sądu pozbawiły ich fortun, więc teraz chcieli je odzyskać.

W pewnym sensie ułatwiało to całą sprawę. Chodziło o transakcję.

- Wzięcie dzieci za zakładników doprowadzi do tego, że będziecie znienawidzeni i ścigani przez cały świat. A z pewnością nie chcecie wzbudzać nienawiści. - Szczęka bolała ją od uderzenia i mówienie sprawiało jej trudność. - Pragniecie wyłącznie odzyskać to, co wam zabrano.

- Jesteśmy świadomi tego, czego chcemy. - Jasnowłosa Holender sprawdzał magazynek pistoletu, który odebrał jednemu z agentów.

- Więc powinniście być też świadomi, jak to zdobyć. - Czy to naprawdę ona mówiła? Czy to możliwe, że zaczęła negocjować z terrorystami? - Nie jesteście głupcami. Możecie odejść bez dalszych ofiar.

Mężczyzna przyglądał się jej przez chwilę, po czym jego oczy załśniły, a usta wykrzywiły się w zimnym uśmiechu.

- Sporo o pani wiemy, madame Bellamy.

Dobry Boże... A więc poznali ją. Z pewnością wiedzieli, że pracowała w zespole oskarżycieli. Poczowała, że krew odpływa jej z twarzy.

W oddali dobiegały słabe dwutonowe dźwięki syren. Przemknęło jej przez myśl, że znaleźli się w wyjątkowo kłopotliwym położeniu. Jeśli zostaną tutaj, będą w sytuacji bez wyjścia i skończy się na strzelaninie.

- To nie będzie miało znaczenia - powiedziała - jeśli pozwolicie się tu uwięzić. Jeśli zostanieie i zaczniecie targować się o swój majątek, przegracie.

Nastąpiła szybka wymiana zdań w dialekcie umojskim. Afrykanin wydał jakieś polecenie i przebrani za kelnerów mężczyźni ruszyli w stronę drzwi. Holender podszedł do attache wojskowego i podał mu komórkę. Chłopak o błyszczących oczach, który pilnował Sophie, chwycił ją za ramię i szarpnął w kierunku drzwi.

Próbowała się opierać i wyrwać rękę, ale trzymał ją mocno. Afrykanin odwrócił się do niej.

- Musi pani pójść ze mną, madame.

Podniosła wzrok. W jego twarzy nie dostrzegła żadnych ludzkich uczuć, wyłącznie zimną zawziętość. Po chwili wepchnięto ją do jednego z samochodów fałszywej firmy cateringowej. Tak mi przykro, pomyślała całkowicie odrętwiała. Żałowała, że nie ma sposobu, by ta wiadomość dotarła do jej dzieci. Znalazła się w rękach morderców. Miała pewność, że już nie zobaczy Maksa i Daisy, wiedziała jednak, że będą potrafiły dać sobie z tym radę. Jako rodzic popełniła wiele błędów, lecz jej dzieci były bystre i silne. odporne psychicznie. Może nie była najlepszą matką, ale przynajmniej dała im to.

Na zewnątrz wciąż padał śnieg. Sophie została wciśnięta na przednie siedzenie mikrobusu razem z Holendrem i czarnoskórym chłopcem. Nogi miała skręcone pod dziw-

nym kątem przy przekładni biegów. Porywacze nie zawracali sobie głowy skrępowaniem jej.

Jeszcze czterech terrorystów wsiadło do tyłu, złorzecząc po francusku i holendersku. Z burzliwej rozmowy Sophie wywnioskowała, że operacja nie powiodła się, bo udało jej się zaalarmować ochronę. Jak zrozumiała, zamierzali zabarykadować się w budynku, po czym chcieli zażądać zwrotu skonfiskowanego mienia i bezpiecznego przelotu do Afryki.

- Zostaliśmy z niczym, absolutnie niczym - powiedział ktoś piskliwym głosem.

- Za to jesteście żywi - warknął Holender, który siedział za kierownicą. - To już coś.

- W dodatku mamy polisę na życie - dodał ktoś z tyłu.

Sophie ścierpła skóra, gdy poczuła na karku czyjeś dotknięcie. Wyprostowała ramiona i pochyliła się do przodu, co wywołało nerwowy śmiech któregoś z mężczyzn. Starła się nie myśleć o tym, do czego mogą być zdolni, lecz mimo to wyobraźnia podsuwała jej obrazy tortur, gwałtu, zabójstwa.

Holender prowadził samochód z pewnością kogoś, kto dobrze zna miasto. Mikrobus pędził wzdłuż kanału Verversingskanaal. Przed nimi był już most, który wznosił się nad śluzą wysokim łukiem. Nie było na nim najmniejszego ruchu. W bursztynowym świetle lamp śnieg na jezdni wyglądał jak złoto.

- Tam leci helikopter - powiedział ktoś z tyłu. - Śledzą nas.

- Nie ma obaw - uspokoił go Holender, zwiększając prędkość. - Zostawiłem odpowiednie instrukcje.

W tym momencie Sophie uświadomiła sobie, o czym wcześniej rozmawiał z atacką wojskowym. Musieli go uprzedzić, że zabiją zakładniczkę, jeśli ich żądania nie zostaną spełnione. Dotarło do niej również, że z pewnością i tak ją zabiją. W takim razie czemu miała im to ułatwiać?

Miała dziwne wrażenie, że jej ręce należą do kogoś obcego, gdy nagle chwyciła kierownicę i szarpnęła nią z szybkością i siłą, o jakie nigdy by się nie podejrzewała. Holender zaklął i próbował zapanować nad samochodem, ale już było za późno. Most był za

śliski, a balustrada zbyt słaba, żeby zatrzymać mikrobus, który przeleciał przez barierę ochronną i pograżył się w czarnej jak atrament wodzie.

CZEŚĆ TRZECIA

St. Croix, Wyspy Dziewicze Stanów Zjednoczonych

Święto Trzech Króli

Na karaibskiej wyspie St. Croix Święto Trzech Króli lub Epifania jest ukoronowaniem świątecznego miesiąca. St. Croix słynie z cukru, melasy i rumu. Weselne ciasto owocowe podawane jako upamiętnienie wydarzenia jest tak sycące i aromatyczne, że musi być serwowane w małych porcjach.

Weselne ciasto owocowe

Włóż do bardzo dużej miski 2 kilogramy mieszanych suszonych owoców (porzeczek, rodzyneków, daktyli, fig, śliwek) i zalej je trzema szklankami rumu cruzan. Odstaw do macerowania na co najmniej dwa dni (lecz nie dłużej niż tydzień).

Do ciasta poza zmacerowanymi owocami będą potrzebne:

2 1/2 szklanki mąki

1 1/2 łyżeczki proszku do pieczenia

1/2 kg brązowego cukru

1 łyżeczka cynamonu

1 łyżeczka wanilii

1 szklanka melasy

1 kostka masła w pokojowej temperaturze

6 jajek

W dużej misce utrzyj masło, dodaj cukier, cynamon, wanilię i melasę. Do utartej masy wbijaj po jednym jajku. Wsyp mąkę i proszek do pieczenia, a na końcu dodaj owocową mieszankę.

Wylej ciasto do dwóch lub trzech dobrze natłuszczonych foremek o wymiarach 35 cm na 25 cm. Piecz mniej więcej 1 godzinę w temperaturze 180°C.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

St. Croix, Wyspy Dziewicze Stanów Zjednoczonych 6 stycznia - Święto Trzech Króli

Max Bellamy nie znosił ślubów. W jego rodzinie śluby zdawały się pojawiać równie regularnie jak sezon grypowy. Ponieważ był tylko dzieckiem, nie wolno mu było na zaproszenie odpowiedzieć „z przykrością informuję...” i zostać w domu. Ale... kurczę! Naprawdę było mu przykro, że musi tam tkwić.

Czasami zmuszali go nawet, żeby brał w tym czynny udział. Dwa razy, gdy był całkiem mały, kazali mu podawać obrączki. Miał cztery lata i nawet mu się to spodobało, dopóki nie zorientował się, że nie może wybrudzić eleganckiego ubranka i musi stać nieruchomo przez całą ciągnącą się bez końca ceremonię.

Kiedy skończył dwanaście lat, był o wiele za duży na taką zniewagę, ale krewni wymyślili coś nowego. Latem poprzedniego roku awansowali go na mistrza ceremonii na ślubie kuzynki Olivii, która wychodziła za mąż za Connora Davisa z Camp Kioga nad Wierzbowym Jeziolem. Wtedy był przekonany, że wszystkie śluby wyglądają właściwie tak samo. Takie same niewygody trzeba było cierpieć w sztywnym ubraniu i cispnych butach, nudna ceremonia i ckliwe piosenki też niczym się nie różniły, tylko zmieniała się para przy ołtarzu. Jednym słowem wyznawał pogląd, że śluby są długie i nudne, wszyscy gadali o miłości i obietnicach, co jego zdaniem było stekiem bzdur.

Dziś jednak poczucie dyskomfortu miało inne źródło. Ponieważ ceremonia odbywała się na plaży, wszyscy byli ubrani w stroje plażowe. Max uważał, że wyglądają jak na zjeździe reklamodawców hawajskiego ponczu. Co prawda tak było o wiele wygodniej niż w smokingu i ciasnych butach, ale nie znaczyło to wcale, że się dobrze bawił.

Jak miał się bawić, skoro panem młodym był jego tata?

No dobra, Max lubił Ninę Romano. Nawet bardzo ją lubił. Z pewnością jako macocha będzie całkiem w porządku. Chciał, żeby wyszła za tatę. Chciał, żeby się pobrali. Nie

chciał jednak siedzieć podczas tych niekończących się przysięg i recytacji. Nie chciał słuchać, jak tata do kogokolwiek mówi: „Daję ci moje serce”.

Kiedy to słyszał, wszystko się w nim wywracało. Czy nie mogli się gdzieś wyknąć, zamiast angażować całą rodzinę? Kłębiły się tu nieprzebrane rzesze członków rodziny Romano. Nina miała ośmioro rodzeństwa, a większość z nich miała dzieci, więc razem z rodziną Bellamych tworzyło to ogromny tłum.

Przez cały tydzień podchodzili do niego weseli, nieznajomi Amerykanie włoskiego pochodzenia, poklepywali go po plecach i zachowywali się jak najbliżsi przyjaciele. Właściwie nie wszyscy byli nieznajomi. Dwoje z tych, którzy pod koniec dnia staną się jego przybranymi kuzynami, chodziło z nim do szkoły w Avalonie. Z Angelicą Romano mieli wspólne zajęcia z matematyki, a Ricky Pastorini grał z nim w jednej drużynie w hokeja. Mama Ricky'ego, Maria, była siostrą Niny. Matkowała też całej drużynie.

Niecierpliwym spojrzeniem obrzucił zgromadzonych na plaży ludzi. Siedzieli na białych składanych krzeselkach, na nogach mieli klapki, przez które przesypywał się biały jak cukier piasek. Max ukradkiem wsunął rękę do kieszeni workowatych szortów. Wyciągnął telefon, rzucił okiem na ekran. Mama nie odezwała się po tym, gdy wysłał jej zdjęcie. Próbował myśleć o tym pozytywnie, bo zdawał sobie sprawę, że mama zawsze stara się zachowywać, jakby wszystko było w porządku, nawet w momencie, gdy chodziło o ślub jego ojca. A w swoim SMS-ie napisał jej, że St. Croix jest fantastyczne.

Nie mógł tego samego powiedzieć o dzisiejszej uroczystości. Chociaż, prawdę mówiąc, chyba wszyscy poza nim byli zachwyceni. Wepchnął telefon z powrotem do kieszeni. W końcu ceremonia dobiegła końca. Tata z Niną szli przejściem między krzesłami, a zespół grał wersję reggae piosenki Armstronga „Jaki piękny świat”.

Kiedy rozległ się dzwonek jego komórki, rzucił okiem na ekran. Na wyświetlaczu był jakiś obcy, zagraniczny numer.

- To chyba mama - powiedział.

Siostra Niny, Maria, osoba bardzo apodyktyczna, skrzywiła się niechętnie.

- Nie do wiary. Akurat w takim dniu! Udał, że jej nie słyszy, i odebrał telefon.

- Halo?

- Cześć, Max. - To rzeczywiście była mama. Jednak jej głos brzmiał jakby... inaczej. Wydawał się jakiś bez wyrazu. - Max, wiem, że to nie najlepszy moment...

- W porządku. - Odsunął się i stanął w cieniu wielkiego drzewa, gdzie było ciszej. - Cieszę się, że dzwonisz, mamo.

- Naprawdę? - Wydawała się bardzo zmęczona. Bardziej niż kiedykolwiek. Przez chwilę zastanawiał się, która godzina może być tam, w Holandii. Pewnie środek nocy. - Ja też się cieszę.

Daisy Bellamy uwielbiała śluby. Lubiała je od dawna, już od chwili, gdy była małą dziewczynką i niosła kwiaty na ślubie cioci Helen. Wciąż pamiętała koronkową sukienkę, kwiaty wplecione we włosy, błyszczące klasyczne czółenka oraz uczucie, że ma do wykonania niezwykle ważne zadanie.

Przez całe życie snuła fantazje na temat dnia, w którym sama zostanie panną młodą. Zaplanowała wszystko w najdrobniejszych szczegółach, łącznie z wyszywaną perełkami suknią ślubną. Potrafiła sobie wyobrazić każdą chwilę tego cudownego dnia, począwszy od kwiatów aż do hucznego pożegnania przed wyjazdem w podróż poślubną do Paryża.

Jedynym szczegółem, którego sobie nie wyobrażała, była twarz pana młodego.

W wieku dziewiętnastu lat wciąż rozmyślała o własnym ślubie, jednak teraz były to już wyłącznie marzenia. Mało prawdopodobne marzenia... Szanse zostały zaprzepaszczone w sierpniu zeszłego roku.

Spuściła wzrok na niemowlę, które ssało jej pierś. Wiedziała, że jej wyśniony ślub nigdy nie będzie miał miejsca, chyba że księżę z bajki zechce poza Daisy wziąć też Charliego.

Logan O'Donnell, ojciec dziecka, wciąż próbował przekonać Daisy, że to on jest mężczyzną dla niej. Był tylko jeden mały problem: Logan nie był księciem z bajki. Och, wyglądał jak księżę, przez co zresztą Daisy wpadła w kłopoty, jednak gdy rzeczywistość dała jej się we znaki, zrozumiała, że nie wystarczy dobra aparycja, by stać się księciem.

- Niepotrzebny nam żaden księżę, prawda? - szepnęła dziecku do uszka. - Musimy snuć fantazje o czymś innym. Zamierzałam porozmawiać z tobą na ten temat. Wiem, że jesteś bardzo mały, ale tak się zastanawiałam, czy zgodziłbyś się zostać przez kilka go-

dzin w tygodniu z opiekunką, a ja skończyłabym kurs fotografii w college'u? - W odpowiedzi usłyszała ciche czknięcie. Uśmiechnęła się. - Zgadza się. Już się dostałam. Moje portfolio zostało zaakceptowane, a zajęcia zaczynają się za kilka tygodni. Tyle że będę miała potworne wyrzuty sumienia, że cię zostawiam. Mama bardzo często zostawiała Maksa i mnie, gdy byliśmy mali. Musiała to robić z powodu pracy. Ciekawe, czy też czuła się winna. Straszliwie winna...

- Hej, Daisy! - Pod balkonem stała rozpromieniona Sonnet Romano i machała na nią. - Schodź już na dół. Zaraz będę kroić tort.

- Nie pozwól, żeby zaczęli beze mnie - odkrzyknęła Daisy.

Sonnet, córka Niny, była pierwszą dziewczyną, z którą Daisy zaprzyjaźniła się w Avalonie, gdzie przenieśli się po rozwodzie rodziców. Była też pierwszą oprócz ojca osobą, której powiedziała o ciąży. Teraz zostały siostrami przyrodnimi. Daisy miała nadzieję, że to nie oznacza końca ich cudownej przyjaźni.

Włożyła dziecko do nosidełka i ruszyła do drzwi. Zeszła ze schodów i skierowała się do pawilonu, ale zatrzymała się na widok Maksa, który biegł w jej stronę.

Wystarczyło jedno spojrzenie na twarz brata, by zorientować się, że coś się stało. Wiedziała jednak, że bez względu na wszystko, nie wolno im denerwować taty. Nie dzisiaj.

CZEŚĆ CZWARTA

Trzy tygodnie później

Decyzja

Każde działanie, które kiedykolwiek podjąłeś od dnia narodzin, było podyktowane twoimi pragnieniami.

Andrew Carnegie, założyciel Pałacu Pokoju

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Haga, Holandia

Trzy tygodnie później

Sophie czekała na Tarika na dziedzińcu Pałacu Pokoju. Chodziła wkoło, spodziewając się, że bolesne wspomnienia spadną na nią niczym grom z jasnego nieba. Na sesji pourazowej powiedziano jej, że musi liczyć się z niepokojącymi objawami, gdy wróci pamięcią do tragicznych wydarzeń, które miały tu miejsce. Jednak nic takiego nie nastąpiło, nawet wówczas, gdy myślała o André, który chwiejnym krokiem szedł w jej stronę, zostawiając na śniegu krwawe ślady. Czowała żal, lecz nie ogarnęła jej panika ani nie miała wrażenia, że dostaje obłądu. Niebo wciąż miało ponurą szarą barwę, neogotyckie ściany pałacu, noszące ślady czasu i zanieczyszczeń, jak zawsze wyglądały pięknie, zimno i nieprzystępnie.

To nie był pierwszy raz, gdy przyszła tu w ciągu ostatnich kilku tygodni. Przywieszono ją tu już kilkakrotnie, bowiem lekarze chcieli mieć pewność, że obecność w tym miejscu nie spowoduje jakiejś reakcji wywołanej przez przeżyty traumę. Jednak nie czuła nic poza przenikliwą wilgocią zimowego dnia.

Na ekranie elektronicznego notesu widniała wiadomość, którą wczoraj przysłał jej Max:

Dzisiaj jedziemy z tatą na narty na Siodłową Górę. Szkoda, że nie ma tu Ciebie. Buziaki.

Rzuciła okiem na zegarek i uznała, że na telefon do Stanów jest jeszcze za wcześnie. Zadzwonili po spotkaniu i wtedy powie im o swoich planach.

Po chwili dołączył do niej Tarik. Poły płaszcz burberry malowniczo unosiły się na wietrze. Jemu również towarzyszyli agenci ochrony. Ich obecność była teraz nieunikniona.

- Wyglądasz nadzwyczaj spokojnie - powiedział Tarik.

Sophie zmarszczyła brwi.

- Dlaczego „nadzwyczaj”? Samo spokojnie nie wystarczy?

- Nikt by się nie dziwił, gdybyś nie chciała przyjść tutaj nigdy więcej. Po tym, co przeżyłaś...

- Słowo daję! Jeśli jeszcze raz to usłyszę... A ty? Ty również to przeżyłeś.

Machnął lekceważąco ręką.

- Przeżywałem gorsze rzeczy niż rozkwaszony nos. Zresztą utrata przytomności to najlepszy sposób na przetrwanie napadu. - Zatrzymał się w kolumnadowym korytarzu i dotknął jej ręki. - Wolałbym, żeby ciebie też tak oszczędzono.

Od tamtego incydentu minęły trzy tygodnie. W taki właśnie sposób mówiono o wypadkach w wieczór Trzech Króli: incydent. Zagraniczni korespondenci w posępnym tonie pisali o „Incydencie w wieczór Trzech Króli”. „The London Times” nazwał atak terrorystów „Masakrą w wieczór Trzech Króli”. Jednak żadna nazwa nie potrafiła oddać przerażenia i bezsilności panujących tamtej nocy tak jak ten kryptonim: Incydent.

Tamtej nocy Sophie pokonała śmierć. Przemokła całkowicie, ale nic nie czuła. Później dowiedziała się od lekarzy, że takie są właśnie symptomy wychłodzenia. Ciało wpada w odrętwienie, chroniąc się w ten sposób przed urazem. Jej umysł w pewnym sensie zareagował tak samo. Miała bardzo niekompletne wspomnienia o tym wydarzeniu. Czasami w sennych koszmarach przeżywała wszystko na nowo w przerażających wizjach. Uczucie nieważkości, gdy wraz z mikrobusem spadała w ciemność. Uderzenie o powierzchnię wody, które tak silnie wstrząsnęło samochodem, że głowa odskoczyła jej

do tyłu, aż zębami skaleczyła sobie język. Powietrze wypełniły krzyki i niemal zwierzęce wycie. Poczowała, jak wlewająca się do mikrobusu woda unosi ją na tył samochodu.

Zespół dochodzeniowy uznał, że musiała wydostać się przez zbitą szybę. Przeżyła dzięki szczęściu i umiejętnościom pływackim. Niejasno przypominała sobie lodowatą wodę, niewyraźne migotanie światła na powierzchni nad sobą, walkę, żeby wydostać się z wiru, który tworzył tonący mikrobus. Pamiętała, jak trzymała się żelaznego pierścienia umocowanego na kamiennej ścianie kanału, krztusząc się zanieczyszczoną olejem wodą.

I kolejna dziura w pamięci. Jakoś udało jej się wydostać wśród wyjących syren i pulsującego ryku wirnika helikoptera, którego śmigła biły powietrze i cięży wodę. Wozy służb ratowniczych zastawiły cały most, ale wyglądało na to, że nikt jej nie zauważył. Zupełnie jakby stała się niewidzialna. A może tak było... Myślała nawet - i to sobie przypominała - że umarła i nikt nie może widzieć, jak idzie między radiowozami i ambulansami.

Jedną z wielkich zalet pracy w tak ważnej instytucji była ścisła kontrola informacji. Tylko kilka osób wiedziało, że Sophie została porwana, jeszcze mniej zdawało sobie sprawę, jak udało jej się uratować, a o tym, że to przez nią mikrobus spadł z mostu, nie wiedział absolutnie nikt. Poza terrorystami, których wyciągnięto z kanału. Ale oni nic nie mówili.

Żeby uniknąć akcji odwetowych, jej nazwisko nie pojawiała się w żadnych informacjach.

- Zostałam oszczędzona. - W jej głosie pojawiła się gniewna nuta. - Dlatego tu jestem.

- Przepraszam - odparł Tarik. - Szczerze mówiąc, Kwiatuszku, chciałbym mieć pewność, że jesteś już zdrowa.

Zdecydowane działanie Sophie skutecznie zakończyło cały „incydent”. Trzech terrorystów utonęło. Trzem innym, tak jak Sophie, z trudem udało się przeżyć i teraz leżeli pod strażą w szpitalu.

Ludzi zdumiewało, że wyszła z tej sprawy nietknięta. Faktycznie, to straszne doświadczenie nie pozostawiło żadnych zewnętrznych śladów.

Miała zaledwie kilka drobnych zadrapań, siniaków i objawy wychłodzenia. Lekarze ze szpitala Bronovo ostrzegli ją jednak, że wciąż istnieje ryzyko nerwicy pourazowej, chociaż sądząc z wyników badań, jej psychika także poradziła sobie ze stresem. Tak czy inaczej Sophie z pewnością nie uważała się za ofiarę ataku. Ofiarą był André, jej szofer. A także agenci ochrony, których zabito. No i również - trzeba to jasno powiedzieć - ludzie, którzy utonęli w mikrobusie. Fatou straciła dziecko, a teraz czekała ją trzecia operacja, natomiast Brooks Fordham wciąż nie wybudził się ze śpiączki.

Natychmiast po zejściu zadzwoniła na St. Croix do dzieci i do swoich rodziców w Seattle, na wypadek gdyby wiadomość o ataku przedostała się do amerykańskich lub kanadyjskich mediów. Jak się okazało, nie było takiego niebezpieczeństwa. Poinformowała rodzinę, że w Pałacu Pokoju pojawiło się pewne zagrożenie, ale nic się jej nie stało i jest bezpieczna.

Nie rozmawiała o tym, co się wydarzyło nawet z lekarzami i psychologami, którzy się nią opiekowali. Doktor Maarten próbował przekonać ją, że wyczerpujące zgłębienie każdej chwili jest kluczem do pokonania demonów.

- Nie rozumie pan - odparła stanowczo. - Nie ma żadnych demonów. Odeszły w chwili, gdy wiedziałam, że przeżyję.

- Jest pani pewna? - Najwyraźniej sądził, że albo kłamie, albo oszukuje samą siebie.

- Oczywiście, że jestem pewna. Przystudiowałam każdy punkt oceny pourazowej na pańskiej liście. Nie mam ani jednego z tych objawów i w przyszłości też ich nie będę miała.

Teraz zerknęła na Tarika. Równie dobrze jak ona wiedział, co się ma tu dziś wydarzyć. Zaproponowano jej stanowisko, o którym większość prawników może tylko marzyć. Dziś miała dać odpowiedź.

- No to chodźmy - mruknął Tarik.

Podwójne drzwi do gabinetu prezesa sądu otworzyły się i razem z Tarikiem weszli do środka. Przez ułamek sekundy poczuła, jak ogarnia ją panika. Nie z powodu „incydentu”, lecz czegoś, co sięgało znacznie głębiej. Wielmożny Willem De Groot siedział

przy rzeźbionym gotyckim biurku na tle witrażowych okien. W migotliwym świetle, które padało z tyłu, wydawał się wielki, niesamowity, przerażający. Czarnoksiężnik.

Właściwie wyglądał jak ojciec Sophie. Jednak w przeciwieństwie do budzącego respekt Ragnara Lindstroma, współnika jednej z firm w Seattle, sędzia De Groot ustawił w swoim gabinecie mnóstwo rodzinnych fotografii. Ale w tym momencie Willem De Groot myślał wyłącznie o pracy. Chciał, żeby Sophie osiągnęła sukces. Pragnął dla niej sławy.

Sławy w jego rozumieniu. Zatrzymali się naprzeciwko biurka.

- Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać - powiedziała Sophie. - A także za tę zaszczytną propozycję.

- Nie składamy takich propozycji pochopnie - odparł Willem De Groot. - Stanowisko w Stałym Trybunale Arbitrażowym nie jest nagrodą za pani wyczyn, tylko wyrazem uznania dla umiejętności prawniczych. - Złączył palce obu dłoni. - Ten wakat trafił się w samą porę. Cieszę się, że mogę pani to zaproponować.

Sophie skinęła głową, mimo że jego słowa przyjęła z pewnym sceptycyzmem. Jako prawnik w Stałym Trybunale Arbitrażowym byłaby na dobrej drodze, żeby któregoś dnia zostać sędzią Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości, a to był szczyt osiągnięć w prawie międzynarodowym, taki prawniczy złoty medal olimpijski.

Czuła, że stojący obok niej Tarik niemal rośnie z dumy. Oboje wiedzieli, że to nie jest wyłącznie jej sukces. Wraz z przejściem do Trybunału Arbitrażowego jej personel i koledzy również awansują. Ta nominacja zmieni nie tylko jej życie, ale również wpłynie na kariery zawodowe wszystkich współpracowników.

- Dziękuję - powiedziała do sędziego De Groota. - Jestem zaszczycona. - Odechnęła głęboko, wyprostowała ramiona i spojrzała w oczy przewodniczącemu zespołu sędziowskiego. - Ale nie mogę.

Słowa odbiły się echem od ścian jak kamyki. „Nie mogę”.

Te dwa wyrazy dawno temu zostały wyrzucone ze słownictwa Sophie przez jej ojca. Wychowywano ją w przeświadczeniu, że idea, którą zawsze ma się kierować, to „mogę”.

Mogę obalić skorumpowanego dyktatora. (Pod warunkiem, że od dzieci będzie dzielił mnie ocean i będę pracować osiemnaście godzin na dobę).

Mogę się uwolnić, gdy porwą mnie terroryści. (Pod warunkiem, że zmuszę się do podjęcia działań, które będą mnie prześladować do końca życia).

Mogę być najmłodszym w dziejach prawnikiem, któremu oferowano fotel w Stałym Trybunale Arbitrażowym. (Pod warunkiem, że zmienię się w robota, i to od razu).

Jej rodzice nie widzieli, że za każdym „mogę”, które informowało, jaka jest niezwykła, kryło się straszliwie wielkie poświęcenie.

Czuła się całkowicie spokojna.

- Wiele czasu nad tym myślałam, ale nie mogę przyjąć tego stanowiska. - Słyszała, jak Tarik wciąga powietrze, ale nie spojrzała w jego stronę. Domyślała się, że patrzy na nią w osłupieniu, jakby zaczęły jej wyrastać rogi.

Dawna Sophie z radością skorzystałaby z takiej szansy. Jednak ta nowa, którą w ciągu jednego wieczoru przetopiono i wymodelowano na nowo, wiedziała, że prestiż i ekscytacja związane z tą jedyną w życiu okazją przestały być jej powołaniem.

Była już innym człowiekiem. „Incydent” i jego skutki uzmysłowiły jej, że życie bez rodziny nie ma żadnego sensu.

Sędzia De Groot był stary i nie tracił łatwo pewności siebie. W przeciwieństwie do Tarika, obojętnie wysłuchał wyjaśnień Sophie na temat rodziny.

- Jeśli teraz odrzuci pani tę szansę, stanowisko nie będzie na panią czekało. Pani dzieci zawsze pozostaną pani dziećmi. Jestem przekonany, że rodzina poprze taką decyzję.

Czy aby na pewno? Czy kiedykolwiek dała im jakiś wybór?

- Jestem pewna, że tak by było, jednak postanowiłam wrócić do Stanów. - No i proszę. Kiedy powiedziała to głośno, wszystko stało się proste i jasne. Musiała wrócić do swoich dzieci.

Rzuciła okiem na Tarika, który wyglądał tak, jakby głowa zaraz miała mu eksplodować. Nie dała się odwieść od decyzji, którą podjęła, gdy mikrobus uderzył o powierzchnię wody. Postanowiła wtedy, że jeśli przeżyje, wróci do domu. To była ważna chwila, która miała wpływ na jej życie. Psychiatrzy zachęcali ją, żeby skoncentrowała się na chwili obecnej. To miało zapobiec pojawieniu się pourazowych symptomów. Pracowali, żeby mogła wrócić do pracy, pomyślała. A tymczasem odnieśli odwrotny skutek.

Spojrzała na człowieka, który przez cały poprzedni rok był jej mentorem.

- Wydarzenia w Pałacu Pokoju sprawiły, że inaczej spojrzałam na wiele spraw - wyjaśniła. - Sądziłam, że wiem, jak powinnam pokierować swoim życiem, ale tamtej nocy zmuszona byłam ustalić, co jest dla mnie najważniejsze. - Przeniosła wzrok na zdjęcia, które De Groot trzymał w gabinecie. - Wstyd przyznać, że dopiero otarcie się o śmierć uświadomiło mi, co się naprawdę liczy. W pracy nie ma ludzi niezastąpionych, natomiast w życiu osobistym, w rodzinie, nie można mnie zastąpić. Mam dzieci, które zbyt rzadko widuję. I tak będę musiała się tłumaczyć, więc chcę zacząć to robić już teraz.

- Jesteś szalona - oznajmił Tarik, podczas gdy Sophie krzątała się po mieszkaniu, pakując walizki i przestawiając pudła. - Zupełnie ci odbiło. Sophie, błagam! Nie odrzucaj tej oferty.

- Wcale nie odrzucam. Oddaję ją tobie. Będiesz świetny na tym stanowisku.

- To była nagroda dla ciebie! Twoje dzieci nie potrzebują mamy, która by siedziała cały dzień w domu. Już z tego wyrosły. - Machnął ręką, odrzucając jej protesty, zanim zdążyła coś powiedzieć. - Stwierdzam tylko oczywisty fakt, Kwiatuszku. Max jest już prawie dorosły, a Daisy ma do wychowania własne dziecko.

- Jestem im teraz bardziej potrzebna niż kiedykolwiek - zaprotestowała. - Fakt, że są starsi, oznacza tylko, że zostało mi niewiele czasu. Poza tym jest jeszcze Charlie. Niemowlę. Powinnam być przy Daisy. Nie wiem, co ja sobie wyobrażałam!

- Byłaś przy niej, kiedy rodziła. Daisy sobie poradzi. Ty też bardzo wcześnie zostałaś matką i świetnie sobie poradziłaś.

Wcale tak nie było, chociaż najwyraźniej Sophie była jedyną osobą, która o tym wiedziała. Prześlizgiwała się przez życie, skupiając uwagę na nauce i pracy. Pod tym wszystkim kryło się całe mnóstwo wspaniałych możliwości. Nie myślała o nich aż do momentu, gdy omal nie straciła szansy, żeby je poznać.

Przykleiła naklejkę na pudło, które miała wysłać drogą morską. Jej rzeczy osobiste zajmowały zaskakująco mało miejsca. Mieszkanie wynajęła z meblami, więc właściwie miała tylko swoją garderobę, trochę książek, oprawione w ramki zdjęcia dzieci. Rozejrzała się dokoła i nagle straciła pewność. Obawy, które ją ogarnęły, różniły się jednak od

strachu, gdy została zakładniczką. Co będzie, jeśli jej się nie uda? Albo okaże się, że już jest za późno?

Zdjęła fotografię z półki, przyjrzała się jej.

- Kiedy rozwiedliśmy się z Gregiem, błagałam, żeby zamieszkały tu ze mną - powiedziała. - Żałuję, że to nie wyszło.

- Właściwie nawet dobrze nie spróbowali - przypomniał Tarik.

Pamiętała tamte dwa nieszczęsne tygodnie. Dzieci siedziały w wielopiętrowym budynku i patrzyły przez okno na płaski holenderski krajobraz, gdzie nie przestawał padać deszcz. Słońce nie wyszło wtedy ani razu, nawet na chwilę.

- Nie widziałam powodu, żeby odwlekać to, co nieuniknione. Nie chciałam też poświęcać ich szczęścia dla swojej kariery. Wolały pojechać z ojcem. Naprawdę zachowałam się jak bezmózgowiec. Z jednej strony byłam ja, w obcym kraju, biegająca wciąż do sądu, a z drugiej Greg, który postanowił wystąpić w roli Andy'ego z Mayberry...

- Kogo?

- Jednego z największych amerykańskich idoli telewizyjnych. Jest samotnym ojcem w takim starym programie. Jeździ z dziećmi na ryby i prowadzi spokojne, niemal idylliczne życie w małym miasteczku, gdzie z drzew sypią się jesienne liście i gdzie nigdy, przenigdy nie pada. Nic więc dziwnego, że Max i Daisy chcieli zostać ze swoim tatą.

- Powoli, starannie składała sweter, porządnie wyrównując szwy rękawów.

- A co z twoimi pragnieniami? - rzucił wyzywająco Tarik.

- Bezpośrednio po rozwodzie byłam taka rozbita, że sama nie wiedziałam, czego chcę. Pamiętam, jaki mętlik miałam w głowie. Zupełnie straciłam wiarę w siebie, a już na pewno w umiejętność sprawowania obowiązków rodzicielskich. Teraz wreszcie z całą pewnością wiem, czego chcę, i stąd to wszystko.

- Tylko dlaczego tam? Dlaczego do tego miasteczka w dziczy?

- Tam są moje dzieci. Muszę też uporać się z tym, że mój były mąż żyje sobie szczęśliwie z kobietą, która jest moim przeciwieństwem.

Tarik wzruszył ramionami.

- Zdarza się.

- Bardzo jesteś pomocny.

- Przecież ty nie chcesz mojej pomocy. Chcesz złożyć swój wstyd w ofierze i biczować się aż do krwi. Prawdę mówiąc, znam kilku gości, którzy chętnie by zapłacili, żeby to zobaczyć.

- Nie bądź taki wstrętny. - Zapełniła już jedną część torby na ubrania. - Dzięki mnie dostaniesz wymarzone stanowisko.

- Wolałbym, żebyś została.

- Wcale nie jesteś wstrętny - mruknęła, gdy ją przytulił. - Jesteś wspaniały. Jesteś jedyną osobą, za którą będę rozpaczliwie tęsknić.

- Wiem.

Przytuliła policzek do miękkiego swetra ze szkockiej wełny.

- Boję się - szepnęła, myśląc o tym, co ją czeka w Avalonie, o nieudanym małżeństwie z Gregiem i swoim nieudolnym macierzyństwie.

- Wcale ci się nie dziwię, Kwiatuszku. - Pogłaskał ją uspokajająco po głowie. - Ja też bałbym się małej miłośnicy w Ameryce. Wyobrażam sobie kraciaste myśliwskie kurtki i ciężarówki z platformami na gigantycznych kołach.

Odsunęła się i klepnęła go w ramię.

- Och, daj spokój. Nie jest aż tak źle.

Chociaż może być, przyznała w duchu. Niewiele wiedziała na ten temat, bo zawsze mieszkała w dużych miastach: w Seattle, Bostonie, Tokio, Nowym Jorku, Hadze. Nie miała pojęcia, jak sobie poradzi w takim Avalonie.

- Jeszcze nic im nie powiedziałam. Tylko tyle, że dobrze się czuję i przyjadę do domu. Nie wiedzą jednak, że zostanę.

- Jesteś szalona. Zupełnie niepoczytalna. - Tarik pedantycznie złożył parę spodni i schował do torby.

- Jeśli im powiem, że przenoszę się do Avalonu, pomyślą, że stało się coś złego.

- Bo tak jest. Postradałaś zmysły.

- Nie... Słuchaj, mam plan. Moi przyjaciele z Nowego Jorku, Wilsonowie, mają nad jeziorem domek, z którego korzystają wyłącznie latem. Zaproponowali mi, żebym tam pojechała na całą zimę. Więc będę miała gdzie mieszkać.

- A co właściwie będziesz robić? Chcesz nawiązać dobry kontakt z dziećmi. Do tego punktu rozumiem. Ale czy to pełnoetatowe zajęcie?

- Nie wiem, Tarik. Nigdy wcześniej tego nie robiłam.

Przeszli do małego pomieszczenia, które służyło za gabinet. Tu także nie było jej osobistych rzeczy poza laptopem i korkową tablicą, do której przypięła kilka wycinków.

- Moja galeria łotrów - powiedziała. - Teraz należy do ciebie.

W ciągu ostatnich dwóch lat twarze morderczych przywódców motywowały ją do działania. Celem było postawić ich wszystkich po kolei przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym. Ci, których umieściła na korkowej tablicy, reprezentowali najgorsze cechy rodzaju ludzkiego: wcielali dzieci do armii, torturowali ludzi, zmuszali do niewolniczej pracy. Zdejmowała zdjęcia po kolei i każde z osobna wręczała Tarikowi.

- No to już - powiedziała, chowając laptop. - Będziesz robił wielkie rzeczy.

- A ty z tego rezygnujesz. Pokręciła głową.

- Zrezygnowałam z małżeństwa i rodziny. Małżeństwa już nie odzyskam, ale dzieci nadal mnie potrzebują. - W każdym razie tak sądziła. Miała nadzieję... Z pewnością nauczyły się dawać sobie radę bez niej. Może to raczej ona potrzebowała ich.

- Nigdy jeszcze nie widziałem, żebyś przed czymś uciekała - powiedział Tarik. - To zupełnie do ciebie niepodobne.

- Wręcz przeciwnie, to cała ja. Taka, jak mówisz, jestem, gdy chodzi o pracę, o sprawy przeciw ludobójcom. Już od czasów szkolnych byłam nieustępliwa. Jednak w życiu prywatnym zachowuję się diametralnie inaczej. Na tym polega problem. Nie można uciec od samego siebie. Żeby to zrozumieć, potrzebowałam dwudziestu lat i kilku godzin w towarzystwie terrorystów.

Odetchnęła głęboko i rozejrzała się po apartamencie. Wszystkie jej rzeczy stały spakowane w pudłach. Mieszkanie było tak bezosobowe i anonimowe jak hotelowy pokój.

Mogła już wyruszać. Pomysł, żeby jechać do miejsca, gdzie od pokoleń mieszkała rodzina Bellamych, gdzie jej były mąż żył szczęśliwie ze swoją nową żoną, wydawał się trochę szalony. Jednak tam też mieszkały jej dzieci, a Sophie zamierzała stać się ich mamą w pełnym znaczeniu tego słowa. Miała głęboką nadzieję, że nie jest na to za późno.

CZEŚĆ PIĄTA

Luty

Chwała dla śniegów, śnieżnych zasp puszystych, gładszych i bardziej niżli piękno czystych. Człek myśli snuje tym niciom podobne ulotnym, co w kobierca bogactwie są zdobne.

Eliza Cook, poetka angielska

Śniadaniowe muffiny z piekarni Sky River

1 1/2 szklanki mąki

3/4 szklanki mielonego siemienia lnianego

3/4 szklanki otrębów owsianych

1 1/2 szklanki brązowego cukru

2 łyżeczki sody

1 łyżeczka proszku do pieczenia

1 łyżeczka soli

1 łyżka stołowa mielonego cynamonu

3/4 szklanki mleka

2 jajka (ubite)

1 łyżeczka ekstraktu z wanilii

1/2 szklanki oleju roślinnego

2 szklanki obranej i poszatkowanej marchewki

2 jabłka, obrane i poszatkowane

1/2 szklanki rodzynków lub porzeczek

1 szklanka posiekanych orzechów włoskich

Rozgrzej piekarnik do 180°C. Wymieszaj mąkę, siemię lniane, otręby, brązowy cukier, sodę, proszek do pieczenia, sól i cynamon. W oddzielnej misce połącz mleko, jajka, wanilię i olej. Dodaj do suchych składników. Delikatnie wmieszaj marchewkę, jabł-

ka, rodzynki i orzechy. Napelnij ciastem przygotowane foremki muffinowe do dwóch trzecich wysokości. Piecz przez piętnaście do dwudziestu minut.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Sophie obudziła się w obcym łóżku przytulona do ciepłego pluszowego miśka. Zawieszona między jawą a snem leżała nieruchomo, czekając, aż znikną codzienne koszmary. Nauczyła się już, że w końcu zawsze zanikają. Nie była tylko pewna, czy kiedykolwiek przestanie widywać twarze zmarłych i odczuwać rozpacz i przerażenie, które ogarnęło ją przed wypadkiem.

Jednakże tego ranka te wspomnienia wydawały się zadziwiająco dalekie. Leżała w półśnie i czuła się z tym tak dobrze, że nie otworzyła oczu i przytuliła mocniej misia, przedłużając to wspaniałe i właściwie niczym nieuzasadnione samopoczucie.

Była mistrzem w radzeniu sobie ze zmęczeniem po długim locie. Tak często podróżowała między Stanami a Europą, że nabierała coraz większego doświadczenia. Niczym mistrz jogi narzuciła sobie dyscyplinę i nauczyła się zasypiać, jednak to nigdy nie był spokojny sen. I dlatego wrażenie ciepła, wygody i wypoczynku było całkiem nie na miejscu.

W końcu, jak krople wody powoli kapiące przez jakiś otwór, do jej świadomości zaczęły docierać sygnały, które ją obudziły.

Łądowanie na lotnisku Kennedy'ego i jazda samochodem na północ stanu w gęstniejącym śniegu. Jeleń, który wyskoczył nie wiadomo skąd, przechylający się blask światła, gdy skręciła, żeby go nie potrącić. Potem był okropny łomot i wibrujący wstrząs, gdy wylądowała w rowie. A potem... ktoś się pojawił. Pamiętała, jak podniosła wzrok i zobaczyła go za oknem. Mężczyzna...

Spotkanie obcego człowieka, kiedy utknęła w zaspie na odludziu, powinno wywołać panikę, lecz nie tym razem. Mężczyzna miał imponujący wzrost i szerokie barki, ale przede wszystkim zwróciła uwagę na jego życzliwe spojrzenie i chłopięcy uśmiech. Podczas sesji terapeutycznych rozmawiała z doktorem Maartenem o instynktownej reakcji na niebezpieczeństwo. Doktor uczył ją na to, że musi nauczyć się odróżniać naturalną

ostrożność od lęku powodowanego traumatycznym przeżyciem. Ale jedynym uczuciem, które wzbudził w niej widok stojącego w śniegu nieznanego, było bezgraniczne zaufanie.

Ten człowiek ją uratował. Uzdrowił też w jakiś sposób potraconego jelenia. Zaszył jej ranę. A przy tym był niesamowicie atrakcyjny. Duży, muskularny jak bohaterski robotnik albo rolnik, zupełnie niepodobny do znanych jej mężczyzn.

A teraz, ponieważ uległa zmęczeniu po podróży, zwielnokrotnionemu przez jazdę i wypadek, leżała w wygodnym łóżku w pokoju gościnnym jego domu.

Pluszowy miś ziewnął szeroko i przeciągnął się.

Sophie z okrzykiem zdumienia wyskoczyła z łóżka, przyciskając koc do siebie. W kolanie poczuła szarpiący ból, ale zignorowała go, wpatrując się w małą, kudłatą figurkę.

- O Boże - szepnęła ze strachem. - O mój Boże...

Zwykle była bardziej elokwentna, lecz teraz mogła tylko gapić się na łóżko. Po chwili odsłoniła okno i w jaskrawej poświacie zimowego poranka zobaczyła to, co było przecież oczywiste.

- Jesteś pieskiem. Spałam ze szczeniakiem.

Piesek patrzył na nią uważnie. Najwidoczniej jej dziwne zachowanie nie zrobiło na nim wrażenia. Cieniutki ogonek drgnął, a z gardła wydobyła się seria szczeknięć, które brzmiały, jakby to była nakręcana zabawka.

Sophie nigdy nie miała do czynienia ze szczeniakami. Sama dorastała, a potem wychowywała dzieci na Manhattanie, gdzie trzymanie psa było bardzo niepraktyczne.

Piesek podszedł do brzegu łóżka, spojrzął ze strachem na podłogę, a potem z niepokojem przeniósł wzrok na Sophie.

- Zeskocz - poradziła mu. - To wcale niedaleko. - Przebiegł do tyłu, znowu wrócił i zaskamlał nerwowo. - Skoro udało ci się tu wdrapać, powinienes znaleźć sposób, żeby zejść. - Szczeniak odpowiedział żalonym skowytem. - Och... - Poczuła dziwny przypływ uczucia. Wyciągnęła rękę, którą piesek ostrożnie obwąchał, po czym z wyraźną akceptacją polizał różowym języczkiem. Niezdarnie go podniosła, trzymając na odległość ramienia, i omal nie upuściła, gdy zaczął się wiercić. Pokryty był żółtym puszkim, taki trochę pies, a trochę wielkanocny kurczak, a pachniał przy tym mlekiem jak niemowlak.

Wiercił się niespokojnie, próbując polizać jej twarz, a w końcu, jak małe dziecko, przytulił się do jej ramienia.

- A więc to jest szczeniak - szepnęła, muskając wargami aksamitne uszko. - Jak mogłam żyć tyle czasu bez pieska?

Max i Daisy wielokrotnie błagali ją o psa. Tłumaczyli, wysuwając stary jak świat dziecięcy argument, że wszyscy koledzy mają psy. Odpowiadała na to, że ci koledzy wynajmują kogoś do wyprowadzania ulubieńców lub ich mamy są cały dzień w domu. Tłumaczyła, że byłoby to okrutne w stosunku do zwierzęcia, które musiałoby cały dzień siedzieć samo, a wyjścia ograniczałyby się do wizyt na skwerku wielkości znaczka pocztowego, gdzie na dodatek trzeba po nim sprzątnąć. Czy któreś z nich ma ochotę na zbieranie kupek? To skutecznie zamykało dyskusję.

- Max i Daisy - powiedziała na głos. Postawiła pieska na podłodze i sięgnęła po telefon. Zawiesiła już kciuk nad klawiaturą, gdy spostrzegła wyświetlony czas. Była szósta czterdzieści siedem rano. Za wcześnie na dzwonienie. Odkładając telefon, spojrzała na swoje odbicie w lustrze, które wisiało na drzwiach. - Cudownie... - mruknęła. Po perfekcyjnej fryzurze nie było śladu, zostało się tylko coś dziwnie rozczochranego, oczy podpuknięte od snu, a na sobie miała jedną z ulubionych króciutkich nocnych koszulek, które były jej potajemną słabostką.

Wcale nie kupowała ich po to, żeby zrobić wrażenie na jakimś mężczyźnie. Oboje z Gregiem byli w college'u, kiedy się poznali. Chłopcom w college'u podoba się wszystko, co ma biust, więc nie potrzebowała eleganckiej bielizny. Wystarczał T-shirt uczelnianej drużyny. Jednak Sophie uwielbiała zbyt miękkość koronki i jedwabiu. Bielizna była ostatnim bastionem kobiecości i młodości. Rezygnacja z niej na rzecz flanelowych babcynych koszul oznaczałaby przyznanie się do porażki.

Nie chciała być flanelową babcią.

Ale na Boga! Tego ranka było naprawdę zimno. Drżąc, rozejrzała się po pokoju. To był stary dom z wysokimi sufitami i plecionymi dywanikami na drewnianej podłodze. Znajdowała się w staromodnej sypialni. Stała tu marmurowa umywalnia, na łóżku leżała wyblakła kołdra, w oknach wisiały perkalowe zasłony. Wszystko to dawało poczucie sta-

łości, ale jednocześnie sprawiało wrażenie zaniedbania. Słaby cedrowy zapach pościeli sugerował, że pokój nie był zbyt często wykorzystywany.

Wytworny kaszmirowy szlafrok został w innej torbie, która tkwiła w bagażniku samochodu. Tam też były domowe pantofle. Obejrzała buty i na jednym z nich zauważyła plamy zaschniętej krwi. Najlepiej, jak się dało, wytarła je wilgotną chusteczką, po czym wciągnęła na nogi botki na wysokich obcasach. Efekt był dość szokujący, szczególnie w połączeniu z kusą koszulką. Jeszcze tylko brak mi bata i kajdanków, pomyślała. Ściągnęła z bujanego fotela miękkiego szydełkowy szal i owinęła się nim.

Piesek szczeknął i zsiusiał się na podłogę.

- Na miłość boską! - Sophie przez chwilę patrzyła, jak na plecionym dywaniku powiększa się ciemna wilgotna plama. Teraz już przypomniawszy sobie, czemu nie lubiła szczeniąt. Zwinęła dywanik i trzymając go ostrożnie, ruszyła na dół. Ścianę przy schodach pokrywała wyblakła tapeta w róże, a na podeście było witrażowe okno. Szczeniak lojalnie wędrował za nią, skacząc ze schodka na schodek i lądując z łoskotem na dole. Najwyraźniej nic mu się nie stało. Wpatrywał się w Sophie wyczekująco. Mimo niefortunnego dywanika, nie była w stanie powstrzymać uśmiechu. Prawdę mówiąc, wypadek wydarzył się z jej winy. To było przecież psie niemowlę.

Kierując się intuicją, poszła korytarzem o drewnianej podłodze i ścianach, na których powieszono obrazki w ramkach. Przez łukowate przejście weszła do dużej, wiejskiej kuchni, w której unosił się aromat świeżo zaparzonej kawy.

Zaraz za kuchnią był oszklony przedsionek. Przez okna, które otaczały całą powierzchnię, nie widać było nic poza bielą. Całe połączenie bieli.

- Dzień dobry - rozległ się niski, wesoły głos.

Do środka wszedł pokryty śnieżnym puchem Noah Shepherd.

Omam nie wypuściła dywanika.

- Och! Ja, hm... - Kiedy na niego spojrzała, zapomniała języka w buzi. W grubej kraciastej kurtce, spranych dżinsach i ocieplanych butach wyglądał jak postać z bajki. Szlachetny drwal albo przebrany księżę. Czyżby znalazła się w filmie Disneya? - przemknęło jej przez myśl.

Sądząc z miny Noaha, pomyślał o niej coś całkiem przeciwnego. Wyraz jego twarzy nie pozostawiał co do tego żadnych wątpliwości. Owinęła się ciaśniej szalem, gdy skierował wzrok na jej niemal przezroczystą koszulkę. Potem przeniósł spojrzenie na nogi. Mimo zabandażowanego kolana w tych wysokich botkach musiała wyglądać jak tancerka na rurze. Przyglądał się jej z niemal dziecięcym napięciem, co potwierdzało fundamentalną prawdę, że jeszcze nie narodził się mężczyzna, któremu nie podobałyby się dziewczyny tańczące na rurze.

W końcu odzyskała głos, tym samym przerywając narastające napięcie:

- Pies zasiusiał dywanik.

- Wezmę go. - Wyciągnął rękę wciąż jeszcze w rękawicy i przeszedł do pomieszczenia sąsiadującego z przedsionkiem.

Po chwili usłyszała szum włączonej pralki. Myła właśnie ręce nad zlewem, gdy Noah wrócił do kuchni.

- Rozumiem, że poznała pani Opal - powiedział. - Tak ją nazwałem.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia. A powinien być jakiś powód?

- Pewnie nie. A więc jest nowym nabytkiem w pana domu.

- Tymczasowym. Urodziła się w dużym miocie i matka ją odrzuciła. Wykarmiłem ją butelką.

- Nabiera mnie pan.

- W sprawie karmienia butelką? - Wzruszył ramionami, myjąc ręce. - Co w tym dziwnego?

- Nie znałam nikogo, kto karmiłby małe zwierzęta przez smoczek.

- Dopiero ją odstawiłem od piersi. - Szczeniak znalazł na podłodze miskę ze stali nierdzewnej i zabrał się energicznie do jedzenia.

Pierwszy raz słyszała też, żeby mężczyzna mówił o odstawianiu od piersi.

- Wygląda na to, że dobrze sobie radzi.

Noah kiwnął głową.

- Następne zadanie to znalezienie dla niej domu.

- Tej nocy spała ze mną.

Słowa „spała ze mną” najwidoczniej podziałały na jego wyobraźnię, bo znów spojrzał na nią badawczo z tym samym młodzieńczym przejęciem. Poczwała się jak obnażona, choć, o dziwo, wcale nie była zażenowana. Rozwód i wszystkie jego następstwa sprawiły, że ukryła swoją kobiecość pod sztywnym pancerzem moralności. Teraz, pod tym gorącym spojrzeniem, pancerz zdawał się topnieć. Niewiele miłych rzeczy można powiedzieć na temat swojego wieku, gdy niedługo trzydzieści dziewięć lat zmieni się w czterdzieści. Ale spojrzenie, którym obdarzył ją Noah Shepherd, dodawało wiary w siebie.

Niemniej jednak...

Poprawiła szal i odchrząknęła. Czy powinna wytłumaczyć się ze swojego stroju, czy raczej należy pozwolić mu myśleć, co sobie chce?

- Dziękuję za tę noc - powiedziała w końcu.

Zbyt późno zorientowała się, że mógł to zrozumieć dwojako.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Jego głos przybrał zduszone, uwodzicielskie brzmienie, co potwierdzało, że zauważył ten podwójny sens.

Sophie poczuła, jak jej policzki pokrywają się krwistym rumieńcem.

- W każdym razie... Pójdę się tylko ubrać i zaraz przestanę panu przeszkadzać.

Jego uśmiech tak emanował seksowną czułością, że poczuła się młoda i beztroska.

- Wcale mi pani nie przeszkadza.

- No tak... Cóż, mam kilka spraw do załatwienia...

Rzucił okiem przez okno, gdzie wszystko jaśniało światłem odbitym od wielkich połaci grubej warstwy śniegu.

- Co takiego musi pani załatwić?

Zmienić swoje życie, odparła w myślach. Nawiązać kontakt z dziećmi. Zmienić sposób patrzenia na świat. Zrehabilitować się za błędy przeszłości. A to był tylko początek...

Patrzył na nią tak życzliwie, że niemal zapragnęła wszystko mu opowiedzieć. Ale nie. Najpierw musiała sama sobie wszystko poukładać. Jej plan był zbyt kruchy i czyjś sceptycyzm mógłby mu zaszkodzić.

- Na początek powinnam zadzwonić do syna i córki i zawiadomić ich, że przyjechałam.

- Proszę dzwonić. - Głową wskazał telefon, który wisiał na ścianie nad kącikiem jadalnym. - Muszę jednak uprzedzić panią, że drogi nie zostały jeszcze oczyszczone. Burza śniegowa jeszcze nie minęła. Władze szkolne ogłosiły dzień wolny, a większość dróg, łącznie z tą, jest zamknięta. Mogą się nimi poruszać wyłącznie samochody służb ratowniczych. Nie liczyłbym więc na to, że uda się pani gdzieś pojechać.

- Cóż, na pogodę nie mam żadnego wpływu. - Nagle ogarnął ją lęk. Max i Daisy wiedzieli, że ma przylecieć, ale spodziewali się krótkiej wizyty, a nie przyjazdu na stałe. Nie miała pojęcia, jak zareagują, gdy im wyjaśni, że zamierza zostać. Prawdę mówiąc, nie zastanowiła się jeszcze, co ma im powiedzieć i jak wytłumaczyć swoją obecność w Avalonie. To był teren Bellamych, rodziny eksmeża. Wrośli w te ziemie, podczas gdy Sophie była outsiderką. Intruzem.

- A jak kolano? Powinienem na nie spojrzeć. Przecież przed chwilą patrzyłeś, pomyślała kpiąco.

- Nie ma potrzeby. Czuję się dobrze. Nie zaglądałam pod opatrunek, ale ani mnie nie boli, ani nie swędzi.

- Myślę, że powinna pani wziąć jeszcze dawkę antybiotyku.

- Czy to może poczekać, aż się ubiorę?

- Kusi mnie, żeby zaprzeczyć, a to z powodu tej koszulki. - Uśmiechnął się, a Sophie, choć powinna poczuć się urażona, odpowiedziała mu uśmiechem. - A poważnie mówiąc - dodał - powinna pani coś zjeść, żeby antybiotyk nie podrażnił żołądka.

- Tak, wiem. Aha, będę potrzebowała paru rzeczy. Czy reszta mojego bagażu wciąż jest w samochodzie?

- Pójdę po nie i zaniosę do pani pokoju.

- No to... Cóż, dziękuję.

Pośpiesznie wróciła na górę i zadzwoniła do dzieci, najpierw do Daisy, potem do Maksa, ale za każdym razem włączała się poczta głosowa. Nie nagrała wiadomości. Z pewnością dojdą do wniosku, że z powodu pogody zatrzymała się w mieście.

Staromodne oświetlenie i urządzenia w łazience na górze były pełne uroku. Sophie przygotowała sobie kąpiel w głębokiej wannie o nóżkach w kształcie lwich łap i z wes-

tchnieniem ulgi zanurzyła się w wodzie. Starając się nie zamoczyć zabandażowanego kolana, odchyliła się do tyłu, a oczy przykryła wilgotną ściereczką.

Dziwnie się czuła, nie mając żadnych planów na cały dzień. Takie lenistwo było dla niej czymś całkiem nowym. Zaraz po urodzeniu pierwszego dziecka zaczęła chodzić jak w kieracie, przekonana, że uda jej się wszystko ogarnąć: małżeństwo, rodzinę, karierę. Nie dopuszczała myśli, że może choćby na chwilę się zatrzymać albo choćby zwolnić.

Trzeba było terrorystów, żeby doprowadzić do czegoś, czego przez całe jej życie nie udało się dokonać nikomu: zmusić ją, by zaczerpnęła powietrza.

Wykorzystując techniki, których nauczyła się po wypadku, odsunęła myśli o planowaniu, rozpatrywaniu, żalach - wszystkim, co odciągało ją od spraw najbardziej bieżących. Nie wyćwiczyła jeszcze znanej w jodze umiejętności całkowitego oczyszczenia umysłu. Prawdę mówiąc, nie podobało jej się zbytnio takie ustanie czynności mózgu. Woląла skierować myśli na to, co działo się w tym właśnie momencie, tu i teraz.

A w tej chwili najbardziej intrygował ją nieznajomy, który przyszedł jej na ratunek. Noah Shepherd, weterynarz. Idealnie pasował do wielkiego, rozłożystego wiejskiego domu. Miał takie delikatne i kojące dotknięcie. Nie potrafiłaby powiedzieć, czemu z miejsca mu zaufała. Może dlatego, że był silny jak niedźwiedź, lecz nie próbował tego wykorzystać? A może chodziło o wyraz troski malujący się na jego twarzy? Niezwykle męskiej twarzy o kwadratowej szczęce, pięknie zarysowanych kościach policzkowych, ocienionej zarostem, łagodnie uśmiechniętej.

- Zaczynasz kombinować, Sophie - upomniała się, wychodząc z wanny. - Chcesz widzieć w nim bohatera, bo chciałabyś, żeby ktoś cię uratował. Zaopiekował się tobą. Zadbał o ciebie.

Wciąż nad tym rozmyślając, wytarła się, zawinęła ręcznik wokół głowy i ubrała się. Jednym z pierwszych zadań, które miała do wykonania, było kupienie odpowiedniejszych na taką pogodę rzeczy. Spodnie, które miała wczoraj na sobie, zostały zniszczone. Miała z sobą jeszcze jedną parę z miękkiej wielbłądziej wełny z satynową podszewką. W sam raz na spotkanie z monarchą lub mężem stanu. No i wiejskim weterynarzem.

Włożyła ostrożnie spodnie i ten sam czarny sweter, który nosiła poprzedniego dnia. Na koniec wciągnęła botki, z góry przewidując pełne dezaprobaty spojrzenie Noaha. Nie dość, że nie były ciepłe, to przez wysokie obcasy groziły wypadkiem. Fatalnie, pomyślała. Cóż, nie przewidziała, że zakopie się w śniegu. Rozczesała włosy, na usta nałożyła odrobinę błyszczyku i wreszcie poczuła się trochę jak człowiek.

Wyszła na korytarz i postanowiła rozejrzeć się po piętrze. Dom był typowy dla północnej części stanu, z jasnymi, pudełkowatymi pokojami i mnóstwem wzorzystej wykończonej stolarki. Do niektórych pokoi najwyraźniej od lat nikt nie zaglądał. Poznała to po ściennym kalendarzu otwartym na kwietniu 2005 roku. Wielki dom jak na jednego faceta.

Niespiesznie schodziła na dół, oglądając po drodze fotografie w ramach. Były tam zdjęcia w kolorze sepii, miękkie portrety z lat dwudziestych dwudziestego wieku, a także współczesne zdjęcia szkolne uśmiechniętych nieznanomych. Widać było silne rodzinne podobieństwo ciągnące się od pokoleń, choć trudno było odgadnąć, gdzie w tej grupie plasuje się Noah.

U stóp schodów zatrzymała się, żeby zajrzeć do frontowego pokoju. Sądząc z wystroju, Noah należał do mężczyzn, którzy nie zawracają sobie głowy ukrywaniem ważnych dla siebie rzeczy: wielka sofa, luksusowy sprzęt muzyczny, szerokoekranowy telewizor, sterta gier elektronicznych. Ten pokój mógłby równie dobrze być urządzone przez czternastolatka. W jednym rogu stał zestaw instrumentów perkusyjnych, keyboard, dwa mikrofony i oszałamiająca liczba głośników.

Po przeciwnej stronie korytarza znajdował się salon. Wyglądało na to, że nie jest zbyt często wykorzystywany. Z wykuszowego okna rozciągał się widok na szeroki, pochylony trawnik i wysadzany drzewami podjazd. Sophie domyślała się tylko, że to podjazd, bo w tym momencie nie można było tego stwierdzić, jako że wszystko wokół pokryte było jednolitym śnieżnym dywanem.

Z tego miejsca mogła dostrzec w oddali dwie chaty, obie właściwie całkiem zakopane w śniegu. Ta, która miała ściany z rzecznych kamieni i zakończony szczytami dach, należała do Wilsonów. Za nią było Wierzbowe Jezioro, które w zimie prezentowało się równie wspaniale, jak w lecie. Tyle że teraz było całkowicie zamrożone.

Kątem oka dostrzegła za oknem ruch. Na podwórze wchodziła grupa ludzi. Jakaś rodzina, pomyślała, i w tym momencie, rozpoznała Noaha Shepherd. Szedł obok kobiety ubranej w niebieską kurtkę narciarską. Ciągnęli razem sanki, na których siedziało troje dzieci.

Och! - pomyślała. I zaraz dodała: „No oczywiście”. Oczywiście, że był żonaty. Oczywiście, że miał rodzinę. Był zbyt atrakcyjny, żeby go zostawiono. Widać była zbyt zdezorientowana podczas tego obfitującego w wydarzenia wieczoru i dlatego o tym nie pomyślała.

Patrzyła, jak Noah podnosi największe z dzieci, chłopca, prawdopodobnie sześciolatniego. Rozbijał go w powietrzu, wywołując wybuch śmiechu. Dwoje młodszych dzieci ze śmiechem klaskało w ręce osłonięte rękawiczkami z jednym palcem. Dorosły pies i żółty szczeniaczek baraszkowały z sobą, dopełniając obrazu całości. Tworzyli sielsko-rodzinną scenę, jakie często odmalowywane są na sentymentalnych kartkach bożonarodzeniowych. Wyglądało na to, że bawiąc się z dziećmi, Noah znajduje się w swoim żywiole. Sprawiał wrażenie mężczyzny stworzonego na ojca.

Chociaż... coś tu nie pasuje, pomyślała Sophie, zdejmując płaszcz z wieszaka. Po pierwsze pamiętała spojrzenie Noaha, kiedy zobaczył ją w kuchni ubraną w koszulkę nocną. I chyba nie narodziła się jeszcze kobieta, która zgodziłaby się mieć w domu taki pokój, jak to pomieszczenie po drugiej stronie holu z instrumentami dla garażowego zespołu, neonowym zegarem z baru piwnego na ścianie, zbiorem starych tablic rejestracyjnych i kołpaków zawieszonych na poręczy krzesła.

Kiedy wyszła na ganek, zimne powietrze na chwilę pozbawiło ją tchu. Pomachała, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Noah zauważył ją i również pomachał ręką.

- Sophie, to jest Gayle - przedstawił jej swoją towarzyszkę. - A to są Henry i Mandy. Najmłodszy ma na imię George, ale wszyscy mówią na niego Miś.

Sophie zmobilizowała dyplomatyczne umiejętności i przywitała się z całą rodziną.

- Miło was poznać. Noah zachował się bardzo uprzejmie, pomagając mi wczoraj.

- Noah jest zawsze uprzejmy - odparła Gayle.

Pewnie miało to znaczyć, że Sophie nie jest tu żadnym wyjątkiem.

- No, chyba powinniśmy wracać do domu - dodała Gayle. - Wstawiłam coś do piekarnika. Do zobaczenia, Noah. Miło było panią poznać, Sophie.

Dzieci po kolei uściśniły Noaha, po czym Gayle odeszła, ciągnąc za sobą sanki. Noah otrzepał buty ze śniegu i przytrzymał drzwi. Sophie weszła do domu, a za nią truchcikiem biegł żółty szczeniaczek. Większy pies pognał tymczasem do lasu.

Czuła... Właściwie nie wiedziała, co czuje. Chyba przede wszystkim ulgę, że jednak nie są jego rodziną.

- Gayle mieszka w sąsiedztwie - mówił Noah, jakby usłyszał jej pytanie. - Nie mogli już wysiedzieć w domu, więc wyszli na spacer.

Sąsiadka, pomyślała Sophie. Nie żona. Wcale nie powinna czuć takiej ulgi, a jednak ją czuła. Poszła za nim do jasnej kuchni.

- Kawy? - zaproponował Noah.

- Poproszę. - Nie chciała odgrywać roli gościa, ale Noahowi najwyraźniej to nie przeszkadzało. - Duży dom jak dla jednej osoby. - Rozejrzała się wokół. - Zakładając, że mieszka pan sam.

- Owszem. To mój dom rodzinny. Kiedyś było tu gospodarstwo mleczarskie. Rodzice je zlikwidowali i na emeryturę przenieśli się na Florydę. Po skończeniu studiów założyłem tu klinikę weterynaryjną.

Rozejrzała się po staromodnej kuchni. Był tu wyszorowany do czysta drewniany stół, proste oszklone szafki i zwykły wiejski zlew, ale również iPod z podłączonymi głośnikami, z których płynęła muzyka. Nie potrafiła powiedzieć, czy to ska, czy może hip-hop. Zapewne spodobałaby się Daisy.

- Miło jest mieszkać tam, gdzie się dorastało - zauważyła.

- Chyba tak. A skąd pani pochodzi?

- Z Seattle. Ale często się przenosiliśmy. - Jej rodzice zajadle walczyli o wyższy standard życia i pozycję społeczną. W miarę jak działalność prawnicza przynosiła większy dochód, każdy kolejny dom był bardziej luksusowy, a okolica bardziej wykwintna. Zewnętrzne oznaki odniesionego sukcesu i dobrobytu były w rodzinie Lindstromów ważniejsze niż przywiązanie Sophie do poprzedniego sąsiedztwa czy szkoły.

- Zawsze zazdrościłam takim dzieciom jak pan. To znaczy takim, które mogły nazywać domem jedno miejsce. - Obróciła w dłoniach kubek z grubej porcelany. Był na nim rysunek krowy stojącej na końcu tęczy i logo z napisem „Mleczarnia Shepherdów, Avalon, Nowy Jork”. - To pewnie autentyk, a nie niby-autentyczna starość, których pełno w sklepach z upominkami.

- Tak, jest autentyczny. - Dolał jej kawy. - A więc mieszkała pani za granicą?

- Ostatnio w Hadze, w Holandii. - Nie miała pojęcia, czy coś mu to mówi. - Byłam drugim zastępcą prokuratora w Międzynarodowym Trybunale Karnym. W ostatnim procesie oskarżaliśmy dyktatora, który sprzymierzył się ze skorumpowanym syndykatem handlarzy brylantów.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że Amerykanin może tam pracować, skoro Stany Zjednoczone nie są członkiem Trybunału.

Patrzyła na niego zaskoczona.

- Skąd pan o tym wie?

- Zastanówmy się... Może z jakiejś gazety? Czasem czytuję coś poza „Przełęczą weterynaryjną”.

- Przepraszam... Ma pan rację, Stany nie są członkiem. Tak samo jak Chiny, Irak czy Korea Północna, ale wciąż mamy nadzieję... - Przerwała, uznając, że swoje poglądy polityczne na razie zatrzyma dla siebie. - W każdym razie Amerykanie są w składzie Międzynarodowego Trybunału Karnego. Zresztą moja matka jest Kanadyjką, więc mam podwójne obywatelstwo.

Noah wstał i przyniósł na stół dzbanek mleka oraz kartonowe białe pudło.

- Wczoraj przed burzą wstąpiłem do piekarni. Proszę się częstować.

W pudełku były cztery prześliczne, błyszczące cynamonowe bułeczki. Wypieczono je w piekarni Sky River, która w Avalonie stanowiła instytucję samą w sobie.

- Może skuszę się na połówkę.

- No nie, trzeba żyć odważnie! Proszę zjeść całą.

- Gdybym miała przestrzegać diety niwelującej skutki długiego lotu, powinnam dziś rano jeść same proteiny. Szynkę, jajka...

- Kilka jajek nawet by się znalazło, ale szynki nie mam. Nie jadam mięsa. Poświęciłem cztery lata, żeby nauczyć się, jak leczyć zwierzęta, a nie jak je gotować i jeść. Osobie, która zarabia na życie, starając się utrzymać zwierzęta w dobrym zdrowiu, mięso nie wydaje się zbyt apetyczne. Chociaż ryby i owoce morza mogę jeść. Pewnie dlatego, że ani krewetka, ani pstrąg nigdy nie były moimi pacjentami.

- Rozumiem - powiedziała z wahaniem. - To bardzo... chwalebne.

- I dziwaczne. Proszę bardzo, może pani bez obaw to powiedzieć.

- Wcale tak nie uważam. - Próbowала wszystkiego, poczynając od tataru, a kończąc na jagnięciu pieczonym w całości. Jadła baranie oko w Azji, a kiedyś musiała też skosztować tradycyjnej masajskiej mikstury z krowiej krwi zmieszanej z mlekiem. - Moja dieta bywała czasami dość śmiała.

- Przyjechała tu pani na urlop, czy...?

Poczuła nagłą potrzebę, żeby opowiedzieć mu o „incydencie”, o nocy, podczas której stała się kimś zupełnie innym. Ale oczywiście nie zrobiła tego. Ten mężczyzna był obcym człowiekiem. Życzliwym i niesamowicie przystojnym, to prawda, lecz nie zamierzała przed nim otwierać duszy.

- Postanowiłam wprowadzić w swoim życiu pewne zmiany. Bardzo lubiłam swoją pracę, ale...

- Ale teraz jest pani tutaj.

- Praca w Hadze odciągnęła mnie od tego, co jest najważniejsze w życiu. - Cóż, to było wszystko, jeśli chodzi o nieotwieranie duszy. Tak łatwo się z nim rozmawiało. - A konkretnie od mojej rodziny. Dotarło do mnie, że nie da się zajmować jednocześnie pracą i rodziną. Praca w Międzynarodowym Trybunale Karnym to wielka sprawa, ale może ją wykonywać każdy prawnik z odpowiednim wykształceniem. - Jej koledzy mówili co prawda, że to, co robi, warte jest wszelkich poświęceń, ale Sophie już w to nie wierzyła. I nie wiedzieć czemu, była przekonana, że Noah Shepherd to zrozumie. - Chciałam być bliżej swoich dzieci. I wnuka.

Przestał przeżuwać ciastko i spojrzał na nią zaskoczony.

- Przepraszam. Czy powiedziała pani „wnuka”?

Uśmiechnęła się.

- Nazywa się Emile Charles Bellamy. Charlie. Ma prawie pół roku.

Nie próbował nawet, jak to czyni wielu, ukrywać zdumienia.

- Cholera... Z całą pewnością nie wygląda pani na osobę w takim wieku, żeby mieć wnuki.

- Często spotykam się z taką reakcją. - Opuściła wzrok na swój talerz i ze zdumieniem zobaczyła, że pochłonęła całą cynamonową bułeczkę.

- Z pewnością będzie się cieszył, że pani tu jest. Mnie tak naprawdę wychowała babcia, ponieważ rodzice mieli mnóstwo pracy w mleczarni.

- Ja właściwie nie znałam swoich dziadków - odparła z zadumą. - Rodzice mamy mieszkali na Słonecznym Wybrzeżu w Kolumbii Brytyjskiej, a dziadkowie ze strony ojca w Palm Springs. Czasami, gdy oglądam ich zdjęcia, mam wrażenie, jakbym patrzyła na obcych ludzi. Żałuję, że nie znałam ich lepiej.

- To świetnie, że mały Charlie będzie miał panią blisko.

- Pewnie tak... - Wcale nie wiedziała, czy to takie świetne, biorąc pod uwagę, jak układały się stosunki między nią a Daisy.

- Powiedziałem coś nie tak? - zaniepokoił się Noah.

- Czemu pan o to pyta?

- Bo patrzy pani na mnie, jakbym powiedział coś niewłaściwego. Mam siostry, więc wiem, co się dzieje z twarzą dziewczyny, gdy facet coś źle powie.

- I co takiego się dzieje?

Wyciągnął rękę nad stołem i delikatnie przesunął kciukiem po jej czole, co niespodziewanie przyprawiło ją o dreszcz.

- Najczęściej marszczy się czoło.

To dotknięcie wytrąciło ją trochę z równowagi, ale było przyjemne.

- Nie powiedział pan nic niewłaściwego. Tylko do tej pory nikt mi nie mówił, że przyjazd tutaj był dobrym posunięciem. Nie zwrócił pan uwagi na to, że zostawiłam taką ważną pracę, a o tym przede wszystkim nasłuchiwałam się od swoich kolegów.

- Tym bardziej nie musi pani słuchać tego ode mnie. Zresztą wybór między pracą a rodziną jest przecież oczywisty.

Poczuła, że ogarnia ją fala ciepła. Miała wielką chęć złapać Noaha za rękę i poprosić, żeby jeszcze raz jej dotknął. Ni stąd, ni zowąd poczuła do niego niesamowity pociąg. Zorientowała się, że przypatruje się uważnie jego ustom, oczom, każdemu szczegółowi. Lecz nie tylko fizycznie ją pociągał. Poruszyło ją przede wszystkim to, jak na nią patrzył i co mówił.

- Hm... a o co teraz chodzi?

Uśmiechnęła się, choć z trudem opanowała przytłaczające uczucie smutku.

- Właśnie sobie pomyślałam, że gdyby ktoś mi to powiedział dawno temu, moje życie wyglądałoby całkiem inaczej.

- Lepiej nie oglądać się za siebie. To bez sensu.

Ta uwaga miała bardziej terapeutyczne działanie niż całe godziny, które spędziła z psychiatrą, jednak Sophie nadal nie wiedziała, jak pozbyć się wątpliwości.

- To nie takie proste.

Wzruszył ramionami, podniósł się zza stołu i odstawił naczynia do zlewu.

- Myślę, że jest na tyle skomplikowane, na ile się pozwoli. Coś tam jednak zależy od nas samych.

- Mówi pan jak ktoś, kto nigdy nie miał dzieci - rzuciła ze złością. Stał do niej tyłem, ale jakoś odgadła, że ta kąśliwa uwaga sprawiła mu przykrość. - Przepraszam... Uderzył pan w czułą strunę, więc się odgryzłam.

Odwrócił się do niej.

- Nie ma sprawy. Jaki numer buta pani nosi?

- Słucham?

- Numer buta. Chciałem znaleźć jakieś buty dla pani.

- Siódemkę.

Wyszedł do przedsiionka, skąd przyniósł wysokie buty na grubej podeszwie.

- Moja młodsza siostra wkładała je, gdy jeździła skuterem śnieżnym. - Postawił buty przy piecu. - Może je pani pożyczyć, dopóki nie zaopatrzy się pani w rzeczy odpowiednie na taką pogodę.

Buciska były niemodne, ale wydawały się w sam raz na śnieżne zaspę.

- Dzięki. Dziękuję też za pyszne śniadanie.

- Nie ma sprawy.
- Myślę, że pójdę do domu Wilsonów. Przynajmniej będę się mogła tam zainstalować.
- Nigdzie pani sama nie pójdzie.
- Przeżyłam gorsze rzeczy - mruknęła jakby do siebie.
- Tak? Na przykład co?
- Na przykład byłam zakładniczką, którą trzymali pod bronią, i spadłam z mostu w pędzącym mikrobusie.

Roześmiał się głośno.

No i dobrze. Chciała, żeby uznał to za żart. Na tym pustkowiu, na własnych wiejskich śmieciach, faktycznie zabrzmiało to dla niego nedorzeczenie.

- Proszę posłuchać. Mam teraz kilka rzeczy do zrobienia, ale potem możemy pójść tam razem - zaproponował.

- Powinnam panu zapłacić. Sprawiałam mnóstwo kłopotu. Mam wrażenie, że w moim przypadku określenie „kosztowny w utrzymaniu” nabrało nowego znaczenia.

- Przecież pani wie, że nie przyjmę żadnych pieniędzy. Wcale nie była zaskoczona.

- W takim razie znajdę inny sposób, żeby się zrewanżować.

- Zgoda. Wrócę za pół godziny.

Wyszedł zająć się domowymi obowiązkami. Sophie nigdy nie mieszkała w miejscu, gdzie trzeba było zajmować się pracami domowymi. Nie odwiedzało się sąsiadów przed ósmą rano, nie karmiło szczeniaków butelką ani nie przyjmowało na noc obcych ludzi.

A przecież była obca. Obca na obcym terenie. Obca dla samej siebie. Nie rozpoznawała już swojego życia. Wielkowiejska, mieszkająca w apartamencie, skoncentrowana na pracy Sophie w ciągu jednej nocy zmieniła się w bezrobotną, zakopaną w śniegu kobietę w cudzych butach i pod opieką doktora Dolittle'a. Gdyby zobaczyli ją teraz jej koledzy z Hagi, nie uwierzyliby własnym oczom.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Daisy Bellamy planowała swój dzień niczym dowódca, który w czasie walk opracowuje plan oblężenia. Przy takiej fatalnej pogodzie musiała obmyślić wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Śnieg wciąż padał, chociaż już nie tak mocno. Szeroka, wysadzana drzewami ulica, wzdłuż której stały drewniane domy, wyglądała jak na zimowej pocztówce. Kiedy nie było na niej samochodów, można by uznać, że cofnęli się do bardzo dawnych czasów, gdy ludzie nie żyli w takim pośpiechu, a urodzenie dziecka w osiemnastym roku życia uchodziło za rzecz całkiem normalną.

Zaraz jednak przypomniała sobie, że w tych starych dobrych czasach trzeba było wyjść za mąż za ojca dziecka. Nie było wyboru.

Była nad wyraz zadowolona, że ten wybór miała.

Stała przez kilka minut, patrząc na to, co się działo za oknem. Najwidoczniej nie była jedyną osobą, która miała już dość siedzenia w domu. Na ulicy kręciło się dużo ludzi. Mężczyźni odśnieżali ścieżki, dzieci w kombinezonach tworzyły jakieś budowle lub ciągnęły sanki, smukli jak witki narciarze przejeżdżali na biegówkach, chłopcy z dziewczynami szli w stronę jeziora z przewieszonymi przez ramię łyżwami, a niektórzy po prostu wyszli pospacerować.

Daisy także zamierzała wyjść, tym bardziej że miała cel. Razem z Charliem mieli się spotkać z przyszłą opiekunką. Irma mieszkała kilka domów dalej, a spacer z pewnością zrobi jej dobrze. Miała już dość kiszenia się w małym, zagraconym i zbyt ciepłym domu. Mogła oczywiście zadzwonić do Irmy i odwołać spotkanie z powodu pogody, lecz zależało jej na tym, by Charlie spędził z nią trochę czasu, zanim zacznie go tam regularnie zostawiać. Zaraz po rozpoczęciu zimowego semestru w stanowym college'u miał trzy razy w tygodniu spędzać u Irmy po cztery godziny.

Na papierze wcale nie wyglądało to źle, jednak teraz, gdy termin się zbliżał, miała wrażenie, że będzie to okropnie długo.

Głowa do góry, Daisy! - powtarzała sobie. Od początku było wiadomo, że to nie będzie łatwe, ale robiła już przecież znacznie trudniejsze rzeczy.

Przygotowując się do krótkiego spaceru, zapakowała Charliego w zimowy kombinezon, starannie przesunęła jego nóżki przez paski nosidełka i założyła cały pakunek na siebie. Teraz Charlie siedział buzią w jej kierunku, a Daisy miała wolne ręce. Poprawiła paski, zarzuciła obszerną kurtkę i zapięła zamek, chowając nosidełko pod spodem.

- Nie zamierzam zbliżyć się do lustra - powiedziała, wkładając czapkę i rękawiczki.
- Wiem, że wyglądam jak wieloryb.

W końcu była gotowa i mogła wyjść na ganek. Rozkosznie zimne powietrze miało smak wolności. Zanim wyruszyła w drogę, w myślach przejrzała listę potrzebnych rzeczy, jak to miała w zwyczaju. Portfel? Jest.

Klucze? Są. Torba z pieluchami, których starczyłoby dla całego żłobka, też jest. Komórka... Oj! Wciąż leżała na blacie w kuchni podłączona do ładowarki. To małe przeoczenie stworzyło wielki problem. Klucze miała w kieszeni, do której mogła się dostać, rozpinając kurtkę i wystawiając Charliego na mróz. To nie był dobry pomysł, tym bardziej że mały na pewno zacząłby płakać, a nie chciała pojawić się u Irmy z płaczącym dzieckiem.

W porządku, dajmy sobie spokój z telefonem, uznała. Kiedyś ludzie znakomicie sobie radzili bez komórek. Zresztą i tak jej nie potrzebowała, wychodząc z domu. Za każdym razem mnóstwo czasu traciła, szukając jej po wszystkich kieszeniach, a poza tym Irma mieszkała zaledwie kilka kroków stąd.

- Wiesz - zwróciła się do przyczepionego na piersi tobołka - kiedyś byłam bardzo spontaniczną osobą. Natomiast teraz planuję każdy ruch, jakbym się poruszała po polu minowym.

Gdzieś z głębi dobiegł ją głos Charliego. Nie widziała jego buzi, ale sądząc z radosnego gaworzenia, wydawał się zadowolony na tyle, że powinien przetrwać ten krótki spacer.

Mogła więc trochę się rozluźnić i cieszyć tym, że wyszła z domu w piękny zimowy dzień. Trudno uwierzyć, że ktoś tak małej może mieć tak wielki wpływ na jej życie. Już wówczas, gdy był niewiele większy niż kłębuszek komórek, przewrócił jej świat do góry nogami. Nie tak sobie wyobrażała przyszłość. No i proszę, co z tego wyszło.

Wcale nie była z tego niezadowolona. Przynajmniej przez większość czasu. Ubóstwiała Charliego i to było dobre. Niemniej jednak przez niego wiele rzeczy się skomplikowało. Właściwie wszystko.

Ale też wraz z Charliem pojawiło się coś jeszcze. Jasne, wiedziała, że będzie kochać swoje dziecko, choć wcale go nie planowała. A jednak podczas tych długich miesięcy, gdy czekała na jego przyjście na świat, nie spodziewała się, że ta miłość będzie się właśnie tak objawiać. Nic jej nie przygotowało na tak głębokie uczucie, że bywa aż bolesne. Chociaż to był dobry ból. Przypominał jej, że oto była na świecie istota, do której należało całe jej serce.

Nic dziwnego, że dziecko wymaga tylu poświęceń.

- To prawda - mówiła do synka, z trudem brnąc przez śnieg. - Zwykle robiłam wszystko bez zastanowienia. Nic nie planowałam, wiesz? Wskakiwałam do metra i po prostu jechałam, mając w kieszeni trochę gotówki i podrobioną legitymację. - Poklepała zawiniątko pod kurtką. - Przysięgam, że jeśli kiedyś spróbujesz wywinąć podobny numer, będziesz miał nieliczne kłopoty. - Intrygowało ją, czy wszyscy to robią... Czy wszyscy przyrzekają sobie, że będą lepszymi rodzicami niż ci, którzy ich wychowali. Mogłaby się założyć, że kiedy była mała, jej mama tak właśnie się czuła. Mama usiłowała być najlepsza w każdej dziedzinie.

A potem Daisy czuła się w obowiązku udowodnić jej, że nie miała racji.

Mama miała wczoraj wieczorem przylecieć na lotnisko Kennedy'ego. Prawdopodobnie burza śnieżna zatrzymała ją w mieście, więc nie zobaczą się jeszcze przez kilka dni. Daisy przywykła już do długich nieobecności mamy, więc nie była szczególnie zawiedziona, chociaż tym razem było trochę inaczej.

Od tamtej pory, gdy widziały się po raz ostatni, tata Daisy poślubił Ninę, co dla mamy pewnie było raczej upiornym przeżyciem. Poza tym mama brała udział w tych strasznych wydarzeniach w Hadze. Zapewniała

Daisy, że nic jej nie jest, ale to mogło znaczyć wszystko. Mama zawsze czuła się dobrze. Ten stan obejmował zarówno złamany paznokieć, jak i złamaną nogę. Pewnie o swoim małżeństwie też mówiła, że jest „dobre”, aż doszło do rozwodu.

- Ja nie będę przed tobą niczego ukrywać - obiecała Charliemu. - Wiem, że kiedy będzie działo się coś złego, i tak przejrzysz mnie na wylot. - Zmrużyła oczy, próbując coś zobaczyć przez unoszony wiatrem śnieg. - Prawie jesteśmy na miejscu. - Na chodniku widać było świeże ślady dmuchawy śnieżnej. Główną ulicą też najwyraźniej przejeżdżały już pługi. Kilka nieustraszonych samochodów wolno poruszało się jezdnią. Przy wielkich zwałach śniegu, które pozostawiły pługi, auta wydawały się całkiem nieduże. - Ależ z nich idioci, żeby jeździć przy takiej pogodzie! - Była dumna z siebie, że pokonała drogę pieszo. - A to co za kretyn... Och nie! Tylko mi nie mówcie, że on tu jest!

Ale oczywiście był. Rozpoznała należące do Logana O'Donnella bmw x3. Na tylnej szybie widniała naklejka z napisem SUNY, co było skrótem od Stanowego Uniwersytetu Nowego Jorku. Chociaż Logan został ojcem jej dziecka, nigdy właściwie nie był nawet jej chłopakiem. W szkole średniej byli dwojgiem głupich, zapamiętałych imprezujących dzieciaków. A dziewięć miesięcy później zostali rodzicami. Daisy z uporem powtarzała, że niczego nie oczekuje od Logana, ale nie przyjmował tego do wiadomości. Chciał być ojcem dla Charliego. Spodziewała się, że straci zainteresowanie, gdy zrozumie, na czym polega rola rodzica. Tymczasem on wciąż się pojawiał.

Czuła się w obowiązku poinformować go o spotkaniu z opiekunką, jednak nawet przez chwilę nie podejrzewała, że tu przyjedzie, w każdym razie nie dzisiaj. W takich warunkach jazda samochodem z New Paltz do Avalonu, chociaż krótka, mogła się okazać bardzo zdradliwa. Trzeba być wariatem, żeby się na to zdecydować.

Jednak już dawno powinna wiedzieć, że trzeba znacznie więcej niż burza śnieżna, by powstrzymać Logana.

- No dobra - powiedziała do siebie, wchodząc na ganek. - Odetchnij głęboko. - Zapukała do drzwi.

Irma powitała ją wylewnie.

- A więc jesteś!

- Miło jest wyjść z domu - odparła Daisy, odpinając kurtkę. - Jak tam? - zagadnęła do Charliego. Zagruchał do niej, machając rączkami i nóżkami, jakby nie widział jej od tygodni. - Też się cieszę, że cię widzę. - Usiadła, żeby wyciągnąć z nosidełka puszysty niebieski tobołek. Słodki, mleczny zapach dziecka przylgnął do jej swetra.

Malec wydał radosny dźwięk, kiedy Irma wzięła go na rękę.

- Chodź tu, mały aniołku. - Pulchna i miękka, trzymała pewnie dziecko, podczas gdy Daisy zdejmowała kurtkę i buty. - Wejdz i rozgość się. Dzieci poszły teraz na drzemkę. - Irma opiekowała się bratem i siostrą. Jedno miało roczek, drugie dwa latka.

- Dziękuję. - Daisy poszła za Irmą do salonu. Dom był prosty, mały i dostosowany do potrzeb dzieci. Jeden pokój przeznaczono do zabawy. W kącie stał kosz zabawek. Tak właśnie można sobie wyobrazić miejsce, w którym chce się zostawić swoje dziecko.

Zakładając oczywiście, że w ogóle pogodziłaś się z zostawieniem dziecka, pomyślała Daisy. O Boże! Czyżbym robiła się podobna do mamy? Czy zostawiam dziecko, żeby gonić za własnymi pragnieniami?

Wciąż jeszcze o tym myślała, stając w progu pokoju.

- Cześć, Logan - przywitała się.

- Cześć. - Przeszedł przez pokój i wziął Charliego od Irmy. - Cześć, kolego. - Nagle Logan O'Donnell, nieznośny uczeń ekskluzywnej nowojorskiej szkoły, którego ogniste rude włosy i aroganckie, wręcz obraźliwe zachowanie przerażało wielu ludzi, zmienił się, ot tak po prostu, w uśmiechniętego, czulego faceta. Uśmiech dziecka ma wielką moc.

Charlie gaworzył bez przerwy, leżąc na kolanach Logana, który zdejmował z niego kombinezon. Najwyraźniej poznał ojca, który odwiedzał go przynajmniej raz w tygodniu. Jego przywiązanie do dziecka zaskakiwało Daisy. To z pewnością nie był ten sam Logan, z którym chodziła do szkoły.

Patrząc, jak łaskocze synka, poczuła niespodziewany przypływ uczucia. Wyglądał niesamowicie z tym swoim uśmiechem, którym tak ją ogłupił, że poszła z nim do łóżka. Charlie odziedziczył po ojcu rude włosy i stawał się niepokojąco do niego podobny. To wcale jej nie cieszyło. Tak dobra aparycja nie przyniesie żadnemu chłopakowi nic dobrego. W każdym razie na dłuższą metę.

Irma usiadła na sofie obok Daisy.

- No więc... - zaczęła, wygładzając fartuch na kolanach - jest dobra i zła wiadomość.

- O? - Daisy zeszywniała.

- Dobra wiadomość dotyczy zezwolenia na prowadzenie opieki nad dziećmi. Wiedziałam, że zostanie zatwierdzone, ale musiałam czekać na ostateczną decyzję.

- To świetnie. A ta druga wiadomość?

- Muszę tej zimy zoperować stopy. - Wyciągnęła przed siebie nogi w watowanych kapciach. - Haluksy. Bardzo bolesne. To u nas rodzinne.

- Przykro mi. - Daisy nie była pewna, co mogłaby jeszcze powiedzieć.

- Wszystko będzie dobrze. Problem w tym, że nie będę mogła pracować przez jakieś trzy miesiące. Robią każdą stopę oddzielnie, a powrót do zdrowia trwa kilka tygodni. Nie będę mogła w tym czasie opiekować się dziećmi.

Logan nie wydawał się tym przejęty. Z torby z pieluchami wyciągnął żelowy gryzaczek i podał go Charliemu.

- Bardzo mi przykro - mówiła Irma. - Zdaję sobie sprawę, że to komplikuje twoje plany.

- Coś wymyślę. - Daisy ogarnęło przygnębienie. Powinna była to przewidzieć. Wszystko układało się za dobrze, żeby mogło okazać się prawdziwe.

Z dalszego pokoju dało się słyszeć płacz.

- Oho, ktoś się obudził - powiedziała Irma. - Przepraszam na chwilę.

- Cóż... - Logan spojrzał na Daisy ponad głową Charliego. - Pech.

- Tak... Muszę wymyślić inne rozwiązanie. - Jej umysł pracował gorączkowo. - Tata i Nina przypilnowaliby go z pewnością, gdybym poprosiła.

- Tyle że nie chcesz ich prosić.

- Właśnie. To znaczy są wspaniali, ale dopiero wzięli ślub, poza tym dla mnie byłoby to krok do tyłu. Dopiero się urządziłam w swoim domu i nie chcę pędem wracać do nich.

- Przecież to byłoby tylko tymczasowo.

- Prowizorki mają tendencję do rozciągania się w czasie. Wolę rozwiązać to sama. - Musiała stoczyć prawdziwą batalię, żeby zacząć samodzielne życie. Ojciec z Niną prowadzili stylowy pensjonat nad jeziorem i mieli tam mnóstwo wolnego miejsca. Łatwo byłoby zamieszkać z nimi, może nawet zbyt łatwo. Zaraz po urodzeniu dziecka Daisy zauważyła, że jest jej coraz wygodniej. Jeszcze chwila i pograżyłaby się w życiu, które

nie było jej życiem. Naprawdę miała obawy, że jeśli zbyt uzależni się od taty, nigdy nie nauczy się samodzielności.

- To nie zbrodnia poprosić rodzinę o pomoc.

- To skomplikowane.

- Sprawy rodzinne zwykle takie są. - Uśmiechnął się do Charliego. - Zgadzasz się, kolego?

Logan wiedział, o czym mówi. Pochodził z bogatej, mieszkającej na Manhattanie rodziny. Rodzice nie ułatwiali mu życia. Jego ojciec był pracoholikiem i ułożył dla Logana konkretne plany na życie. Matka z kolei miała wielkie ambicje towarzyskie. Jej marzeniem było, by syn stał się ulubieńcem całego miasta. Stawiali przed nim niezwykle wygórowane wymagania. Chcieli, żeby ukończył Boston College, ich własną uczelnię. Miał tam studiować zarządzanie i finanse, po czym przejąć interesy w rodzinnym przedsiębiorstwie armatorskim. Tymczasem Logan postanowił uczęszczać na Stanowy Uniwersytet Nowego Jorku w New Paltz, bo w ten sposób był bliżej Charliego.

Daisy mogła się tylko domyślać, co O'Donnellowie mieli do powiedzenia na ten temat. Rodzice Logana nigdy nie przyjechali zobaczyć dziecka. Udawali, że ta sprawa ich nie dotyczy, nalegali, by Logan zerwał z Daisy wszelkie kontakty i cieszył się, że nie domaga się fortuny na utrzymanie dziecka. I oczywiście to ją obwiniali o tę sytuację.

- Przypuszczam, że mogę odłożyć rozpoczęcie nauki do przyszłego semestru - powiedziała.

- Przecież nie chcesz tego robić.

Nie podobało jej się, że zna ją aż tak dobrze.

- Na pewno coś wymyślę.

- Chcę ci pomóc.

Powtarzał to od chwili, gdy odkrył, że Daisy jest w ciąży. W pierwszej chwili sądziła, że szybko mu minie typowe dla wielu mężczyzn poczucie obowiązku, jednak zaskoczył i ją, i wszystkich, którzy go znali, bo wciąż był w pobliżu.

- Potrafię sama to rozwiązać.

- Do diabła, Daisy! Czemu się tak upierasz, żeby nie pozwolić mi w niczym pomóc?

- Bo ci nie ufam, jasne? - Nie widziała powodu, by oszczędzać jego uczucia, w każdym razie wówczas, gdy chodziło o jej syna. Chociaż Logan z pewnością był amerykańskim księciem z bajki, miał też swoje ciemne strony. Był - i zgodnie z definicją zawsze będzie - uzależniony. Przez całe liceum zażywał kokainę. Jakimś cudem aż do ostatniej klasy udawało mu się uniknąć katastrofy, jednak po bardzo imprezowym weekendzie, kiedy to Daisy zaszła z Loganem w ciążę, aresztowano go za posiadanie narkotyków i wysłano na odwyk. Wbrew przewidywaniom Daisy, chodził na wszystkie spotkania terapeutyczne i był czysty, a przynajmniej tak to wyglądało.

Była dumna z niego, że wytrwał w programie. I wdzięczna, że tak mu zależało na tym, by brać udział w życiu Charliego, jednak czasami ogarniała ją wątpliwość, czy przychodzi, bo tego pragnie, czy może jest to część programu dwunastu kroków.

- Nie wiem, co jeszcze mam zrobić, żebyś mi zaufała. - Mięśnie twarzy poruszały mu się ze wzburzenia. - I zupełnie nie wiem, czego się obawiasz.

Było jej nieprzyjemnie, że zachowuje się tak wobec Logana, lecz Charlie przecież był jej dzieckiem. Nie mogła ryzykować.

- Boję się, że przywykniesz do mnie, a ty pewnego dnia przestaniesz się pokazywać.

- Jeszcze to do ciebie nie dotarło? Zamierzam uczestniczyć w życiu Charliego i mam do tego prawo. Więc lepiej się przyzwyczajaj.

Była jeszcze jedna rzecz, która napełniała ją obawą. Że Logan dotrzyma słowa. Być może będzie musiała się z tym pogodzić, bo po tym, co między nimi zaszło, na zawsze stał się częścią jej życia...

Właściwie nie wiedziała, co ma z tym zrobić. Jak mogli być czegokolwiek pewni, przeżywszy ledwie tyle lat? Czy w jej życiu znajdzie się miejsce na kogoś innego, jeśli będzie w nim Logan?

To nie znaczy oczywiście, że był ktoś inny, ale przecież mógł się pojawić. Dwa lata temu, zanim jeszcze jej rodzina się rozpadła i wszystko uległo zmianie, poznała kogoś. Oczywiście oboje byli dziećmi i nic się nie wydarzyło, lecz była to ta sytuacja, kiedy w ułamku sekundy wiesz, że ta osoba może być bardzo ważna. To tak, jakby życie zatrzymało się w stop-klatce. Daisy była fotografem i doskonale wiedziała, jak aparat może utrwalić jakąś szczególnie piękną lub ważną chwilę. Tak właśnie się poczuła, kiedy po-

znała Juliana Gastineaux. Był... cudowny. Ledwie go znała, ale już wiedziała, że jest dla niej kimś bardzo ważnym.

No a Logan... Kiedy jego poznała, nie było mowy o żadnej stop-klatce, bo poznali się w przedszkolu na Manhattanie. Gdy mieli po kilkanaście lat, razem przechodzili okres buntu. I pomyśleć, że teraz mają z sobą dziecko. Znów razem.

Wróć, poprawiła się w myślach. Mamy dziecko. Ale nie jesteśmy razem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sophie stała w oknie wynajętego od przyjaciół domku nad jeziorem i przyglądała się, jak Noah Shepherd odśnieża schodki. Doszła do wniosku, że sąsiad znakomicie potrafi oderwać jej myśli od wszelkich trosk. Wcześniej przymocował do pikapa łopatę pługu śnieżnego i oczyścił podjazd. Jechała za nim wynajętym samochodem, który również za pomocą pikapu wyciągnął z rowu. Uparł się, żeby wzięła kilka najbardziej podstawowych artykułów spożywczych z jego spiżarni, ponieważ drogi nadal były nieprzejezdne, co potrwa jeszcze przez dzień lub dwa. Rozpalił też ogień w opalanej drewnem kuchni i obiecał, że jutro przyniesie więcej szczap.

- Nie wiem, jak mam ci dziękować - powiedziała, gdy skończył i wszedł do środka, otrzepując kurtkę ze śniegu.

- Na pewno ci się uda - rzucił przez ramię. - Ze mną łatwo pójdzie.

- Aha. - Z pewnością, zgodziła się w duchu. Łatwo cię też polubić.

- Skontaktowałaś się z dziećmi? - spytał, ustawiając szyber.

- Zostawiłam im wiadomość na poczcie głosowej.

Później jeszcze spróbuję ponownie. - Nie chciała pokazać po sobie, jaka jest niepokojna i niepewna. Dzieci zdążyły przywyknąć do jej nieobecności. Przyjazdy i wyjazdy matki były dla nich jak chleb powszedni. Dobry Boże, czy kiedykolwiek uda się to naprawić?

- Mieszkają w miasteczku, tak?

Kiwnęła głową.

- Daisy niedawno zamieszkała we własnym domku przy alei Sadów, a Max mieszka z ojcem w Pensjonacie nad Wierzbowym Jeziorem. - Wyprostował się i spojrzał na nią uważnie, ona zaś złączyła dłonie i z całej siły splótła palce. - Wciąż nie jest mi łatwo mówić o tym, że dzieci mieszkają ze swoim ojcem. Łatwiej byłoby mi przyznać się, że mam jakąś chorobę weneryczną lub byłam notowana. - Czy Noah lub ktokolwiek inny mógł zdawać sobie sprawę, jak upokarzające było to wyznanie?

- Rety, naprawdę lubisz się biczować.

- Wcale nie.

- Więc po co to robisz?

- Bo... - Nie nawykła opowiadać o wszystkim nieznanym. - Nikt mnie nigdy o to nie pytał. - Patrzyła na niego przez zmrużone powieki. Czowała coś pomiędzy urazą a nieufnością.

- A znasz odpowiedź?

- Będę się musiała nad nią zastanowić.

- Myśląc zbyt intensywnie, można stracić prawdę.

- Dziękuję, doktorze Freud. - Spojrzała na niego spod oka. - Skończyliśmy już ten niemiły temat?

- Jak sobie życzysz. Jeśli masz ochotę pogadać, chętnie posłucham. - Wyszczерzył zęby. - Ale nie zamierzam wścibiać nosa w twoje rodzinne sprawy. Domyślam się, że wszystko mi wyjaśnisz, gdy będziesz na to gotowa.

Zmrużyła oczy.

- Albo nie.

- Nie powinnaś czuć się podle z powodu sposobu, w jaki wychowywałaś dzieci.

- Ponownie dziękuję.

- I wiesz co? Są kobiety, które siedzą w domu, a ich dzieci i tak są smutne. Z drugiej strony są dzieci, które każdego dnia są odstawiane do przedszkola czy żłobka i mają się całkiem dobrze. Decydującym czynnikiem nie jest to, czy zostaniesz w domu, czy pójdiesz do pracy. Ważne jest to, jak je kochasz.

- Nie wiedziałam, że na weterynarii uczą też psychologii społecznej.

- Ależ jesteś miła.

- Chciałam powiedzieć...

- Rozgryzienie ciebie nie jest wcale takie skomplikowane - przerwał jej. - Możesz mi wierzyć, że rozstrój nerwowy kota jest znacznie trudniejszy. Tak czy inaczej, nie chciałem cię urazić.

- Nie czuję się urażona. - Zorientowała się, że znów mu się przygląda i zaczęła się zastanawiać, czemu wydaje jej się tak bardzo atrakcyjny. Nie był przystojny w tradycyjnym znaczeniu tego słowa, ale duży, serdeczny i wręcz ujmująco otwarty. Poza tym miał najbardziej niesamowite oczy, brązowe, z długimi gęstymi rzęsami. A jego usta... O Boże! - przeraziła się. Czy to możliwe, że się zadurzyła w sąsiedzie? Owszem... Takie miłe laskotanie w środku musiały też czuć nastolatki. Sophie prawie zapomniała, jakie to uczucie. Dopiero spotkanie z Noahem uświadomiło jej, że z niektórych rzeczy nigdy się nie wyrasta.

- Chyba już pójdę...

- Nie będę cię zatrzymywać...

Powiedzieli to jednocześnie i jak na komendę równocześnie zamilkli.

- Dziękuję za wszystko. - Zarumieniła się, jakby Noah mógł odgadnąć jej myśli. - Naprawdę jestem bardzo wdzięczna.

- Do zobaczenia jutro. - Wziął z blatu jej komórkę i wpisał swój numer. - Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś... czegokolwiek potrzebować.

W tym momencie, w tym ułamku sekundy byłoby całkiem naturalne, gdyby pochyliła się w jego stronę i uniosła twarz do pocałunku. Pocałunku? Skąd jej to w ogóle przyszło do głowy? I w dodatku nie mogła się tej myśli pozbyć. Wyobraziła sobie to tak dokładnie, że poczuła się głupio. Ciekawe, czy on też o tym pomyślał? - zastanawiała się. Czy też miał nagle pragnienie, które pojawiło się nie wiedzieć skąd?

- Uważaj na siebie - powiedział Noah. - Podrzucę rano trochę drewna.

Jest niewiarygodnie sympatyczny, myślała, stojąc w progu i patrząc, jak wsiada do pikapu. Co za niesamowite szczęście, że wpadła do rowu akurat w pobliżu jego domu.

Zimny wiatr znad jeziora dmuchnął śniegiem w stronę domu. Sophie wzdrygnęła się, włączyła ogrzewanie i poszła zapoznać się z domem i rozpakować rzeczy.

Drewniany dom miał prosty układ, a okna każdego pokoju wychodziły na jezioro. Były tu dwie sypialnie i dwie łazienki, natomiast główne pomieszczenie łączyło funkcje kuchni, jadalni i salonu. Umeblowanie również było bardzo proste. Rustykalne w stylu stoły, wyściełane fotele, lampy z malowanymi abażurami. W szafie znalazła cały zestaw rakiet śnieżnych i łyżew. Swego czasu musiał być tu pies, bo w pobliżu pieca leżało wyściełane legowisko, a w spiżarni zauważyła zestaw misek.

Trochę czasu zajęło jej przygotowanie laptopa i zsynchronizowanie go z telefonem komórkowym, żeby mieć dostęp do internetu. Wysłała krótkie mejle do kilkorga przyjaciół, także do Bertie, by dać im znać, że dotarła na miejsce.

W końcu zabrała się do rozpakowywania walizek. Wyjmowała rzeczy, kręcąc głową, gdy dotarło do niej, jak nieodpowiednia jest cała jej garderoba. Szyte na miarę kostiumy ze spodniami z zaprasowanym kantem i plisowanymi spódnicami, buty od znanych projektantów i jedwabne pończochy nie miały tutaj żadnego zastosowania.

No i dobrze, pomyślała. To da jej pretekst, żeby zaprosić Daisy na wspólne zakupy. Córka pomoże wybrać odzież właściwą przy tej pogodzie. Zakładając oczywiście, że Daisy w ogóle będzie chciała mieć z nią do czynienia.

To niewłaściwe podejście, ofuknęła się w duchu. Trochę na przekór sobie chwyciła telefon, wyszukała numer Daisy i nacisnęła „połącz”.

Tym razem Daisy odebrała natychmiast.

- Mamo? Cześć. Widziałam, że dzwoniłaś wcześniej, ale nie miałam z sobą telefonu. - Jak zwykle jej głos brzmiał powściągliwie. Uprzejmie, lecz chłodno. Sophie zdawała sobie sprawę, że to z jej winy córka przybiera taki ton. Wyszkoliła Daisy, że musi ją traktować z pewną rezerwą. Mogła usłyszeć, że - kolejny już raz - Sophie przyjedzie spóźniona lub w ogóle się nie pojawi, że nie będzie jej na meczu hokeja na trawie, wystawie prac czy zebraniu rodzicielskim. Że może przegapić całe jej dzieciństwo. Dzieci Sophie nauczyły się, że nie mogą niczego oczekiwać od matki. Powtarzała sobie, że mając przy sobie dobre opiekunki i pomoc domową, nawet nie zauważą jej nieobecności. Musiała przeżyć wiele lat, bolesny rozwód i na koniec atak terrorystów, by zrozumieć, ile naprawdę straciła.

- Cześć, skarbie - powiedziała. - Właśnie dotarłam. Jestem w Avalonie.

- Nie spodziewałam się, że przyjedziesz tak szybko. Sądziłam, że zostaniesz w mieście, dopóki nie ustanie śnieżyca.

- Nie miałam ochoty czekać. Pojechałabym do ciebie już w tej chwili, gdyby drogi były przejezdne.

- Nie wychodź z domu. To niebezpieczne. Zatrzymałaś się Pod Jabłonią?

Sophie często bywała w Avalonie i zwykle zatrzymywała się Pod Jabłonią, w luksusowym pensjonacie w pobliżu historycznego centrum miasteczka.

- Mam dla ciebie nowinę. Jestem w domku Wilsonów, na ulicy Nabrzeżnej.

W słuchawce zapadła cisza.

- Nie rozumiem, mam.

- Mam ci tyle do opowiadania! I nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę małego. - Charlie urodził się latem. Dzięki Bogu, była obecna podczas porodu. Przeżyła oszałamiające chwile, widząc, jak jej córka wydaje na świat dziecko, a jeszcze większą radość sprawiło trzymanie w ramionach wnuka.

Przycisnąwszy telefon do ucha, podeszła do okna. Poprzez jezioro spojrzała na wspaniały biały krajobraz. Widok był jak z bajki o pałacach z lodu w pokrytym śniegiem pustkowiu. Tajemniczy skrzący się świat, równie niegościnnie jak piękny.

- Właściwie przyleciałam wczoraj wieczorem. Przyjechałam prosto z lotniska.

- Przecież to szaleństwo, mam. Mogłaś zginąć. Usta Sophie wykrzywiły się w ironicznym grymasie.

- Nic mi nie jest, chociaż pewnie bym poczekała, gdybym wiedziała, że ma tak paść.

- Wszystko w porządku? - dopytywała Daisy. - Masz jedzenie? Ogrzewanie?

- Mam tu wszystko, czego mi potrzeba, ale marzę o tym, żeby zobaczyć ciebie.

Jednak drogi po tej stronie jeziora są w fatalnym stanie.

- To słynny efekt jezior.

- Jasne. Kiedy tylko oczyszczą drogi, od razu do ciebie przyjadę.

- No to jesteście umówione.

W głosie córki dostrzegła napięcie.

- Dzwonię w nieodpowiednim momencie?

- Hm... nie. Tylko... mam gościa.

- O! W takim razie już kończę. Zadzwoń później. Chcę dowiedzieć się wszystkiego o Charliem i waszym nowym domu... - W tle dało się słyszeć cichy męski śmiech, a zaraz potem radosny pisk dziecka.

No tak, pomyślała. Rozumiem. „Mam gościa” oznacza „jest u mnie mój chłopak”.

- Czy to...? - zaczęła.

- Logan - odparła Daisy.

Logan O'Donnell. Sophie nie była pewna, czy jest chłopakiem Daisy, choć z pewnością wolałaby, żeby nim nie był. Zepsuty, bogaty, absolwent drogiej szkoły w ośrodku resocjalizacji. Nie był jej ulubieńcem.

- Zadzwoń do mnie później.

- Oczywiście, mamo. Obiecuję.

Cóż, pomyślała Sophie. I co na to powiesz?

Sprawdziła godzinę i wybrała numer Maksa. Miał własną komórkę, może trochę za wcześnie jak na dwunastolatka, tyle że Sophie na to nalegała. Tym razem też nie odebrał, więc zostawiła krótką wiadomość, zapowiadając, że zadzwoni później. Na dokładkę wysłała też SMS-a.

Zdawała sobie sprawę, że może zadzwonić do Grega i poprosić syna do telefonu, ale ten pomysł zupełnie nie przypadł jej do gustu. Było niewiele rzeczy, których nie znosiła równie mocno, jak dzwonienia do Grega. Wcale nie chodziło o to, że nienawidziła byłego męża. W żadnym razie. W gruncie rzeczy maleńka, żałosna część jej serca nadal go kochała i zawsze będzie go kochać. Ich rozwód nie był z serii tych pełnych goryczy. Po prostu był smutnym, nieuniknionym rozwiązaniem, co oboje świetnie rozumieli.

Niemniej nie znosiła do niego dzwonić. Nie znosiła tego bardziej niż cegokolwiek.

No, może oprócz rozmów z jego żoną, Niną. Tego nie cierpiała najbardziej.

Chociaż nie mogła powiedzieć, że nienawidzi Niny.

Lecz z całą pewnością diabelnie nie lubiła z nią rozmawiać.

Sophie spędziła pierwszą samotną noc w domku nad jeziorem. Trochę było jej szkoda, że w łóżku nie śpi ciepły szczeniaczek. Kiedy się obudziła, w pierwszej chwili

pojawiły się wspomnienia o Hadze, ale zalewające pokój białe światło szybko je rozproszyło. Wyrzwała i stwierdziła, że napadało jeszcze więcej śniegu. Znacznie więcej. Od strony jeziora dom zasypało aż po okna.

Ze zdumieniem odkryła, że już jest późny ranek. Zajrzała do komputera. Max przesłał jej wiadomość, że dziś ma część lekcji, a po południu idzie na trening hokeja. Przetrawiała tę informację, czując ogarniający ją niepokój. Jej syn miał własne życie, własny rozkład zajęć i... nie uwzględniał jej w nim.

Na razie, poprawiła się. Nie była częścią jego życia tylko na razie. Chciała - i było jej to potrzebne - być ważna dla swoich dzieci. Przede wszystkim ze względu na nie, nie na siebie. Max z pewnością jak każde dziecko miał swoje problemy i brak matki nie ułatwiał mu życia. Czy ucieszy się z tego, że przyjechała? A może będzie rozżalony? Lub przyjmie to obojętnie? Nie, na pewno się ucieszy. Chociaż przez całe życie Maksa zajmowała się pracą, wciąż pamiętała, jakim był zabawnym dzieckiem, jak rozjaśniała mu się buzia, gdy wracała z biura, krótkie chwile, które spędzali z sobą podczas weekendów. Modliła się, żeby jemu również to wszystko zostało w pamięci.

Staneła przy oknie i spojrzała na jezioro, na niekończące się połacie bieli. Jej uwagę przyciągnął kolorowy punkt w oddali. Któryś z sąsiadów kilka domów dalej oczyszczał lód. Domyślała się, że przygotowuje teren do jazdy na łyżwach.

Zamieszkała nad jeziorem, na którym można było ślizgać się na łyżwach. Gdyby opowiedziała o tym Tarikowi, pewnie by nie uwierzył. Najbliżsi przyjaciele Sophie znali ją jako wyrefinowaną wielkomiejską kobietę. Słyszając o wiejskiej chacie nad zamarzniętym jeziorem, pomyśleliby, że postradała rozum.

I właściwie w zależności, jak się na to spojrzy, mogliby mieć rację.

Za każdym razem, gdy pomyślała o incydencie w Hadze, ogarniało ją niepokojące wzburzenie. Musiała wyjść na powietrze. To może być dobry moment, żeby przedstawić się człowiekowi, który wziął się do oczyszczania lodu.

Ledwie zeszła na podwórze, aż po biodra zapadła się w miękkim puchu. No dobra, pomyślała, może to nie był taki świetny pomysł. Z wielkim wysiłkiem spróbowała się podźwignąć, ale w świeżym śniegu nie mogła znaleźć punktu oparcia. Cała pokryta śnie-

giem i ciężko oddychając, dotarła w końcu nad brzeg jeziora. Ostrożnie ruszyła w stronę sąsiada.

Był tak pochłonięty pracą, że nawet nie zauważył, kiedy się zbliżyła.

- Hej! - zawołała, machając ręką.

Sąsiad odwrócił głowę, wbił dużą łopatę w śnieżną zaspę i podszedł, żeby się przywitać.

- Witam - odezwał się głosem melodyjnym i zdecydowanie kobiecym.

Zaskoczona Sophie szybko zebrała myśli.

- Nazywam się Sophie Bellamy. Będę mieszkać w domku Wilsonów, więc przyszłam się przedstawić.

Młoda kobieta - bez żadnych wątpliwości była to kobieta - uśmiechnęła się. Zimne powietrze i wysiłek zarumieniły jej policzki, przez co uśmiech wydał się bardziej radosny.

- Tina Calloway. Bardzo mi miło.

- To do jazdy na łyżwach? - Sophie wskazała lód.

- Tak. Jest całkiem bezpiecznie. Dorastałam tu i każdej zimy ślizgałam się po jeziorze. Jeździsz na łyżwach?

- Trochę. Jestem w stanie objechać lodowisko bez upadku. Przynajmniej tak było kiedyś.

- A więc jesteś znajomą Wilsonów?

- W czasie studiów byliśmy z Bertie nierozłączne. Nadal utrzymujemy bliski kontakt.

- W takim razie też jesteś prawnikiem.

- Zgadza się. Na razie zrobiłam sobie przerwę. Pracowałam za granicą.

- Ja jestem trenerem kobiecej drużyny hokejowej Stanowego Uniwersytetu w New Paltz. Ten dom należy do moich rodziców.

- Moja córka ma niedługo rozpocząć tam studia.

- Nie wyglądasz na córkę, która miałaby iść do college'u

Powietrze wypełniał z każdą chwilą narastający warkot motoru. Kiedy pojawił się skuter śnieżny, serce Sophie bez żadnego ostrzeżenia przyśpieszyło.

- Cześć, Noah. - Tina odrzuciła kaptur. Wyglądała teraz jak kwiat rozkwitły na śniegu.

Jest dla ciebie trochę za stary, pomyślała Sophie, choć prawdę mówiąc, nie wiedziała przecież, ile lat ma Noah Shepherd.

Noah wyłączył silnik.

- Przywiozłem drewno. - Wskazał na sanie umocowane za skuterem. - Chciałem się upewnić, czy wszystko u ciebie w porządku.

- Żartujesz sobie? Nie mogłam się tego doczekać. - Tina zatoczyła ręką, wskazując śnieżny krajobraz.

- A więc się poznałyście?

- Tak. Chciałam powiadomić sąsiadów, że nie jestem dzikim lokatorem.

- Dla ciebie też mam drewno. Jak kolano?

- Dobrze. - Nagle poczuła się fatalnie w ciepłej, ale strasznie brzydkiej czapce z kłapkami na uszy, która z pewnością popsuka resztki fryzury. Noah, jak zauważyła, miał na głowie zwykłą wrzosowo-zieloną czapkę, którą zapewne wydziergały jakieś kochające dłonie. Wyglądał na mężczyznę, dla którego kobiety gotowe są robić takie rzeczy.

Razem z Tiną zabrali się do wyładowywania drewna na werandę. Sophie przyłapała się na tym, że z wielką przyjemnością obserwuje Noaha. Był silny i sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni przyglądanie się mężczyźnie wzbudziło w niej takie pożądanie.

- Jestem ci bardzo wdzięczna - podziękowała Tina, gdy skończyli. - Wejdiesz napić się gorącej czekolady?

- Przeniosła spojrzenie na Sophie. - Ciebie również zapraszam.

- Nie, dziękuję - powiedział Noah.

- Więc może pojeździmy na łyżwach?

- Może później. Po pracy. Wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz.

- Będę już wracać - odezwała się Sophie. - Miło było cię poznać, Tino.

Noah odwrócił się do Sophie.

- Odwiozę cię do domu. - To nie była propozycja, lecz stwierdzenie. - Do zobaczenia! - zawołał do Tiny.

- Pa, Noah. - Posłała mu pełne uwielbienia spojrzenie.

- Musisz mi powiedzieć, co mam robić - poprosiła Sophie, idąc za nim w stronę skutera.

- Po prostu usiądź z tyłu i trzymaj się. - Gdy niezdarnie wdrapała się na siodełko, Noah usiadł przed nią i włączył silnik. - Trzymaj się! - krzyknął przez ramię. Złapała dłońmi brzeg siodełka. - Mnie! Złap się mnie. - Zacisnęła ręce na jego kurtce. - W ten sposób. - Odczepił jej ręce od kurtki, objął się nimi w pasie i złączył palce.

Dodał gazu i skuter skoczył do przodu. Sophie ucieszyła się, że zmusił ją, by trzymała się mocniej. Obróciła głowę i przytuliła policzek do jego pleców. W tym momencie przemknęło jej przez myśl, że już ze sto lat nie przytulała się do mężczyzny, w każdym razie nie w taki sposób. Nigdy też fizyczna bliskość nie robiła na niej takiego wrażenia.

Skuter był szybki i bardzo głośny. Mimo przenikliwego wiatru podobały jej się ten pęd i poczucie wolności. Czowała, że rozsadza ją radość, i nagle usłyszała dźwięk, jakiego nie słyszała już od bardzo dawna. Własny śmiech. Przez kilka minut życie wydawało się czystą, nieskomplikowaną zabawą. Po piekle, które przeżyła, taki lot przez kłębiący się wokół śnieg przynosił ogromną ulgę. Poczowała się rozczarowana, gdy dojechali na miejsce.

- Twarz mi całkiem zamarzła - powiedziała, gdy Noah zatrzymał skuter przed domem.

- Ale przynajmniej się uśmiechasz.

- Naprawdę? - Przyłożyła dłonie do policzków. - Nic nie czuję.

- Za to widać. Ładnie ci z tym uśmiechem.

- Zechcesz wejść?

Spodziewała się, że odtrąci zaproszenie, tak jak przed chwilą odmówił Tinie, a jednak ją zaskoczył, gdyż powiedział:

- Chętnie. Dziękuję.

Kiedy otrzepali buty ze śniegu i podeszli do drzwi, Sophie zauważyła:

- Ona się w tobie durzy.

- Ona?

- Tina. Tylko nie mów, że nic nie zauważyłeś. - Weszła pierwsza do środka i wskazała podstawkę pod buty.

- Wolę twierdzić, że czegoś takiego bym nie przegapił. Tyle że ona nie jest w moim typie.

Ucieszyła się z tej uwagi wprost nedorzecznie.

- Prawie nie pamiętam, jaka byłam w jej wieku.

- Jej stary to Sockeye Calloway. W 1980 w Lake Placid był członkiem reprezentacji USA w hokeju.

Drużyna, która zdobyła złoty medal. Cudowna drużyna.

- Pamiętam, że siedziałam jak na szpilkach, gdy oglądałam igrzyska. Tina pewnie jest świetną łyżwiarką.

- Tak... Ogień przygasa. - Najwyraźniej miał dość rozmowy o Tinie. - Dołożę do paleniska.

Odsunęła się trochę i patrzyła, jak pracuje. Zaskoczyło ją, że uczucia, które ją wcześniej ogarnęły, stają się coraz bardziej intensywne. Nie ulegało wątpliwości. Była podniecona.

No dobra, Sophie, spokój. Oddychaj głęboko.

Stała bez ruchu, czekając, aż uczucie minie jak fala nudności lub zawroty głowy, tymczasem fascynacja Noahem rosła. Zrobiło jej się ciepło, nawet zanim jeszcze dołożył wysuszoną szczapę do ognia i delikatnie dmuchał na węgle, czekając, aż małe płomyczki zaczną lizać drewno od spodu.

Poczuła, że skóra ją pali. Twarz, jeszcze przed chwilą zmarznięta, pokryła się rumieńcem, a ciało i powieki stały się przyjemnie ciężkie.

Próbowała zapanować nad tymi doznaniem. No bo czyż naprawdę była aż do tego stopnia dumna, żeby podzielał na nią widok faceta, który niczym pierwotny człowiek rozpała ogień w jej piecu? I co w tym wielkiego? Chyba nie powinna marzyć, by zedrzeć z niego ubranie i natychmiast go przelecieć?

A jednak... właśnie o tym myślała.

Noah podniósł się, kiedy płomienie zaczęły ogarniać drewno.

- To powinno na pewien czas wystarczyć.

Sophie nie wahała się ani przez moment. Nie próbowała niczego analizować, nad niczym się zastanawiać. Podeszła do Noaha, chwyciła palcami przód bluzy, przyciągnęła go do siebie i złożyła na jego ustach bezwstydnym, namiętnym pocałunek.

Smakował tak, jak chciała, żeby smakował. Jakaś nieokreślona słodyczą. Pachniał zimowym powietrzem, lasem, a także trochę zmęczeniem. Ta mieszanka wydała jej się niesamowicie seksowna. Nie minęło nawet kilka sekund, a całkiem pochłonęły ją jego usta, zarost, którego cień pojawił się na twarzy, lekko kręcone włosy, które muskały jej policzki.

Jakby wiedział, co może się zdarzyć, bo natychmiast pogłębił pocałunek z gwałtownością, której nawet nie próbował ukryć. Kiedy jego dłonie zaczęły wędrować po jej ciele, uświadomiła sobie z radością, że sprawdzał, jak można najszybciej oswobodzić ją z ubrania.

I tym oto sposobem, w mniej więcej trzydziści sekund po tym, gdy go zaatakowała pocałunkiem, stała przed płonącym kominkiem na plecionym dywaniku, mając na sobie wyłącznie jedwabne luźne majteczki i krótką koszulkę.

Jak dotąd żadne z nich się nie odezwało, jednak gdy spojrzała na niego, dostrzegła w jego twarzy zrozumienie i identyczne pragnienia. Wszelkie słowa były tu zbędne. Oczywiście istniało mnóstwo powodów, dlaczego jest to zły pomysł, a jednak wszystko jakby było na miejscu.

Niemniej zmusiła się, żeby coś powiedzieć, póki jeszcze można było to przerwać.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj. Nie waż się przeproszać. - Jedną ręką ściągnął przez głowę czerwoną bluzę Uniwersytetu Cornella, odsłaniając muskularny, nagi tors. Wyblakłe niebieskie dzinsy opierały się nisko na biodrach, górny guzik był już odpięty.

- Powinieneś iść. Proszę - powiedziała z wysiłkiem.

- Przecież chcesz, żebym został.

Jak na osobę, którą dopiero poznała, wiedział o niej aż za dużo.

- To pragnienie minie. Jestem tego pewna.

- Czy naprawdę ci na tym zależy? - Wyciągnął coś z kieszeni. - Żebyś wiedziała. Mam zabezpieczenie.

Nie mogła zająć w ciążę. Po urodzeniu Maksa poszła na podwiązanie jajowodów. Jednakże nawet o tym nie wspomniała. Za dużo informacji.

- Zabezpieczenie nie zapewnia pełnej ochrony. To przecież szaleństwo. - Zdawała sobie sprawę, że to nie jest dobry argument. - Słuchaj, powinniśmy o tym szczerze porozmawiać, jeśli rzeczywiście mamy to zrobić.

- Po co? Żebyś mogła się wymigać? Mowy nie ma.

Zamarła. Próbowwała zmusić się, żeby zaprotestować, powstrzymać się jakoś, powstrzymać ich oboje... Jednak chwila minęła, a ona nawet się nie odezwała. Nie znajdowała argumentów, których Noah nie umiałby odeprzeć. Nie było pocałunków, którym potrafiłaby się oprzeć. Sprawiał, że jej hormony znów zaczęły szaleć jak u nastolatki, jakby właśnie odkryła, czym jest seks. Zachowywał się cudownie spontanicznie, bez zahamowań. Przy nim łatwo było uwierzyć, że nic innego się nie liczy. Otarcie się o śmierć w Hadze całkiem ją odmieniło. Dawniej wolała odkładać przyjemności na później. Kiedy była zakładniczką, żałowała tych momentów, gdy nie spełniła swoich pragnień, chwil, kiedy coś odkładała, sądząc, że na wszystko ma jeszcze czas.

A czasu nie było tak wiele. Miała tylko tę chwilę. Coś takiego nie przytrafiło jej się nigdy wcześniej. Stwierdziła, że pogrążenie się z Noahem dodaje jej sił i jednocześnie wyzwala ją. Nie musieć nic z góry planować ani zastanawiać się nad konsekwencjami... To była dla niej zupełna nowość. Zapomniała już, ile przyjemności można z tego czerpać. A może nigdy tego nie odczuła? Z pewnością nie tak jak teraz.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Noah leżał w splecionej pościeli. Oczy miał zamknięte, w ramionach trzymał Sophie Bellamy. Miał wrażenie, jakby uśmiechało mu się całe ciało. Już zbyt dawno nie przeżywał tego ciepłego, błogiego rozluźnienia po seksie, uczucia, które sprawia, że chcesz wstrzymać ruch ziemi i przez chwilę leniwie dryfować w powietrzu.

Ostatnie, czego się spodziewał po takiej kobiecie jak Sophie Bellamy, to takie błyskawiczne przejście do seksu. Chociaż zaskakiwała go właściwie od chwili, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Nie wiedział o niej wiele, ale to, co rozpoznał, przejęło go do głębi. Samotność w jej oczach zdawała się odzwierciedlać jego osamotnienie. Bezsprzeczny pociąg, który oboje do siebie czuli i którego nawet nie próbowali ukryć. Więc może nie ma nic dziwnego w tym, że wszystko potoczyło się w zawrotnym tempie?

Kiedy otworzył oczy, okazało się, że na zewnątrz wciąż jest jasno, chociaż cienie na śniegu bardzo się wydłużyły. Miał zadziwiająco dobre samopoczucie i było to coś więcej niż zwykła satysfakcja po seksie. Co się dzieje? - zaczął się zastanawiać. Spojrzał na pogrążoną we śnie Sophie.

Nigdy jeszcze nie został tak wynagrodzony za dostarczenie wiązki drewna. Ostrożnie, żeby nie zbudzić Sophie, podniósł się z łóżka. Migoczące płomienie rzucały blask na przytulny pokój, a przez okna wpadało popołudniowe światło. Miał nadzieję, że Sophie podoba się tutaj... Że zamierza zostać na długo. Sophie Bellamy. Do diabła, kim ona właściwie jest? Nic o niej nie wiedział poza tym, że po jednym popołudniu z nią wszystkie poprzednie kobiety poszły w niepamięć.

Jego uwagę przyciągnęła otwarta torba, która leżała na stole. Tuż obok zauważył dwa paszporty: amerykański i kanadyjski. Przeglądając strony z wodnymi znakami, zobaczył egzotyczne pieczęcie i stemple chyba z całego świata. Ciekawe, jak to jest, gdy się spędza życie w podróży? Sam nigdy nigdzie nie wyjeżdżał, choć zawsze myślał o tym, żeby sobie wyrobić paszport, tak na wszelki wypadek. Była tak piękna, że nawet na zdjęciu paszportowym nie wyglądała pospolicie. Urodzona w Vancouver, w Kolumbii Brytyjskiej, dziewiątego czerwca 1969 roku.

To by znaczyło, że jest trochę starsza od niego. Cholera, właściwie o wiele starsza. Zaskoczony zamarł na chwilę, zaraz jednak uznał, że dla niego ta różnica wieku nie stanowi żadnego problemu. Była niesamowita i z pewnością nie wyglądała na trzydzieści dziewięć lat. Pewnie zdawała sobie z tego sprawę, jednak Noah podejrzewał, że taka różnica nie wprawi jej w zachwyt.

Dobra, może jej o tym nie mówić. To przecież nie będzie kłamstwo, tylko... niedopowiedzenie. Nie musiała też wiedzieć, że jej koleżanka ze studiów, Bertie Wilson, była jego babysitterką. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, nie stanie się nic złego, gdy to zatai. A jeśli okaże się - o Boże, spraw, żeby tak było! - że to coś poważnego, powie o wszystkim Sophie. Wtedy już będzie znała go lepiej i sama zrozumie, że to nieistotne.

Czuł się tak wspaniale, że omal nie obudził Sophie, by jej o tym powiedzieć. Lecz oczywiście nie zrobił nic takiego. Dla niego mogłaby tak spać bez końca. Śpiąca królowa, spokojna i nieskazitelna jak marzenie.

Chociaż kiedy nie spała, też była atrakcyjna. Jednakże... choć dopiero ją poznał, nękało go przecucie, że po obudzeniu nie będzie taka zadowolona jak wówczas, gdy zasypiała w jego ramionach. Wyglądała na osobę, która musi wszystko dokładnie przeanalizować. Kiedy uzmysłowi sobie, że wskoczyli do łóżka kilka chwil po poznaniu się, na pewno znajdzie cały szereg zastrzeżeń.

Ponownie wsunął się pod kołdrę. Kilka minut później poczuł, że Sophie zaczyna się budzić. Nie poruszyła się ani nie zmienił się rytm jej oddechu, było to coś znacznie subtelniejszego. Po prostu wyczuł przemianę śpiącej Sophie w budzącą się Sophie. Leżał nieruchomo, czekając, by dotarło do niej, że jest w łóżku razem z nim.

Zaczęło się od ręki, która leżała w poprzek jego piersi dłonią w dół. Opuszki palców przesunęły się po wypukłości żeber, jakby została tam wypisana brajlem jakaś informacja.

To znowu go podnieciło. Algorytm był niezwykle prosty:

Dotyk Sophie = Erekcja Noaha

Jej ręce zsunęły się niżej i po chwili usłyszał, jak cicho westchnęła, a zaraz potem ze stłumionym okrzykiem przeturlała się dalej od niego, przyciskając do siebie nakrycie.

Uniósł się na łokciu i odwrócił w jej stronę.

- Która godzina? - spytała.

- Nie wiem. Chcesz, żebym sprawdził?

Wysunęła się z łóżka, ciągnąc za sobą koc. Jedwabiste blond włosy opadały na ramiona. Po raz pierwszy widział je rozpuszczone. Były dłuższe, niż sądził, sprawiały, że wyglądała młodo i niewinnie. Jej spojrzenie wędrowało po pokoju, aż zatrzymało się na zegarze.

- Dochodzi piąta - odezwał się Noah.

- Rano czy po południu?

Uśmiechnął się, widząc jej ujmująco zakłopotaną minę.

- Po południu. I wciąż jesteśmy zasypani śniegiem, więc możesz spokojnie wrócić do łóżka.

Ciaśniej owinęła się kocem.

- Przepraszam... Nie mogę... To znaczy, my nie... - Była jednym wielkim zażenowaniem.

- Nie denerwuj się tak. - Uśmiechnął się uspokajająco.

- Nie denerwuję się. Tylko... zawiodłam się na samej sobie.

- Mnie z pewnością nie zawiodłaś. - Wyciągnął rękę, ale odsunęła się. - Przepraszam. - Uniósł rękę.

- Nie masz za co przepraszać. Sama odpowiadam za swoje czyny. Tylko... przywykłam do tego, że jestem sama.

- Nie obawiaj się. Nie będę jednym z tych gości.

- Jakich gości?

- Tych przerażających facetów, którzy nie dają kobietom ani chwili oddechu.

Usta jej drgnęły, jakby chciała się uśmiechnąć.

- Akurat nie tego się boję.

Wstał z łóżka, nie zwracając sobie głowy okrywaniem się.

- To dobrze. Bo mnie na pewno nie trzeba się bać.

Odwróciła oczy, najwyraźniej wciąż wyrzucając sobie lekkomyślność. Uśmiechnął się i bez pośpiechu włożył bokserki i dżinsy.

- No dobra... Już jestem w połowie przyzwoity.

- Powinieneś iść - powiedziała cicho.

W jej wyglądzie było coś wzruszającego. Przeszedł przez pokój i kłykciami palców delikatnie dotknął jej obojczyka.

- Wolę zostać.

- Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

Odrzącała go, a mimo to się uśmiechnął. Nie bardzo rozumiał dlaczego. Może dlatego, że mówiła to tak, jakby czuła potrzebę wypowiedzenia się z tego, co się stało.

- Posłuchaj, Sophie, nie powinnaś się tak gryźć. Może to nie ma znaczenia, ale przysięgam, że nie przyszedłem tu z takim zamiarem.

- A ja nie zamierzałam... rzucić się na ciebie. Nie jestem taka.

- W takim razie chyba powinienem cię poznać. Opowiedz mi o sobie.

- Możesz mi wierzyć, że nie jestem aż tak interesująca.

Jasne, pomyślał, mając przed oczami te wszystkie egzotyczne stemple w jej paszporcie.

- Nawet gdybyś zaczęła czytać książkę telefoniczną, wydawałabyś się interesująca. A gdybym sprawdził cię przez Google'a?

- Nie rób tego, proszę. Nie znoszę, gdy ludzie szukają informacji o mnie w internecie. - Obrzuciła go ostrzegawczym spojrzeniem.

Cóż... Najwyraźniej nie zamierzała zdradzić żadnych szczegółów z przeszłości, jakiegokolwiek były. W każdym razie jeszcze nie w tym momencie. Pochyliła się i zebrała jedną ręką swoje ubranie. Drugą wciąż przytrzymywała koc, zupełnie jakby nie poznał jej ciała, jakby nie pieścił wszystkich krągłości, nie sprawił, że krzyczała z rozkoszy, nie przytulał jej przez kilka godzin...

- Nigdy wcześniej tego nie robiłam - powiedziała cicho.

- Czego nigdy wcześniej nie robiłaś? Wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie uprawiałam seksu z... z nieznajomym. Właśnie tego.

Uśmiechnął się szeroko.

- Ja również. Ale było wspaniale. Cieszę się, że to zrobiliśmy. Podobasz mi się, Sophie. Naprawdę bardzo mi się podobasz.

Prawdopodobnie po jego minie poznała, co zamierzał dodać, bo powtórzyła:

- Naprawdę myślę, że powinieneś już iść.

Schylił się po bluzę, ale nie zaczął się ubierać. Założył ręce za głowę i przeciągnął się, napinając mięśnie.

- Już to mówiłaś.

- A ty nadal tu jesteś. - Sądząc z wyrazu jej twarzy, z przyjemnością patrzyła na jego bicepsy, zaraz jednak opanowała się i odmaszerowała do łazienki. - Zdawało mi się, że miałeś nie być jednym z tych gości - krzyknęła zza drzwi.

- Bo nie jestem.

- Więc po co to demonstrowanie mięśni? Roześmiał się.

- Już sobie idę. - Zresztą i tak musiał zajrzeć do zwierząt.

Wyszła z łazienki, zanim zdążył włożyć bluzę. Obrzuciła wzrokiem jego nagą pierś i kiedy przez krótką chwilę w jej oczach pojawiła się niekłamana żądza, znów jej zapragnął. Przecież to szaleństwo. W ciągu jednego popołudnia osiągnęła to, czego przez pół roku nie udało się załatwić jego cmokającej z ubolewaniem rodzinie, podlewanemu piwem współczuciu przyjaciół ani pół tuzinowi niewydarzonych spotkań z kobietami. Sophie Bellamy zdołała sprawić, by zapomniał o tym, że jest całkiem wyprany z uczuć. Choć prawdę mówiąc, nie wiedziała o nim tego, a sam nie zamierzał jej uświadamiać. W każdym razie nie teraz. Kiedy nie była pochłonięta seksem, wydawała się bardzo płochliwa.

Niechętnie odwrócił od niej wzrok. Sophie wyszła, a on skończył się ubierać. Po kilku minutach wszedł za nią do drugiego pokoju, gdzie sprawdzała wiadomości w telefonie.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Przegapiłam telefon od syna. Nie mogę uwierzyć, jak to się stało.

Znowu się zaczyna biczować, pomyślał Noah.

- Jesteś wciąż zmęczona po podróży samolotem i ranna, o śniegu już nawet nie wspominałam. Zadzwoń do niego teraz.

Wybrała numer i słuchała przez dłuższą chwilę.

- Nie odpowiada.

- Prawdopodobnie bawi się na śniegu. - Usiadł na ławeczce przy drzwiach i zaczął wciągać buty. - Przez całą szkołę grałem w hokeja. Zresztą czasami nadal to robię. Mam tu ligę amatorską.

- Max przepada za hokejem. Przez pół roku jest fanem bejsbolu, a przez drugie pół hokeja.

- A ty jeździsz na łyżwach?

- Kiedyś jeździłam, ale to było dawno temu. Chciałabym znów spróbować.

- Pójdziemy na łyżwy, jak tylko zagoi się kolano. Zapiął kurtkę, włożył kask i rękawice.

Sophie wyrzała przez wąskie okienko przy drzwiach.

- Już jest ciemno. Czy to urządzenie ma światła?

- Aha.

- No to... Dziękuję za... drewno. Jestem ci bardzo wdzięczna.

- Nie ma sprawy. Dziękuję. - Natychmiast zorientował się, że to nie były właściwe słowa. - Chciałem powiedzieć, że... - Że co? Że dobrze się bawił? Cudownie spędził czas? Że te chwile być może odmieniły jego życie? Zrezygnował z gadania i zrobił coś, w czym był znacznie lepszy. Pocałował ją, przyciskając Sophie do ściany i przytulając się do niej mocno. - Nie bardzo radzę sobie z mówieniem - szepnął z ustami tuż przy jej twarzy. - Większość moich pacjentów w ogóle tego nie wymaga. Ale... przyjedź do mnie na kolację.

- Nie. - Jednak nie próbowała go odepchnąć, tylko otoczyła jego szyję ramionami.

- Przecież nie masz nic do jedzenia. Daj mi tylko godzinę, żebym coś przygotował.

- Ja nie...

- Jeśli cię nie będzie, wrócę tu. - Chciał ją ponownie pocałować, ale uznał, że tego nie robi. Pragnęła jego pocałunku. Widział to po lekko rozchylonych ustach, po sposobie, w jaki opuściła powieki.

Wielkim wysiłkiem woli odsunął się od niej. Może to niezła strategia, żeby pragnęła więcej, uznał w duchu.

- Do zobaczenia za godzinę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Przez kilka minut po wyjściu Noaha Shepherdza Sophie wciąż stała oparta plecami o ścianę, jakby uwięziło ją tam pragnienie, by mieć go blisko siebie. Pokój momentalnie wydał się ciemniejszy, trzaski drewna palącego się w piecu głośniejsze. Co jej, na Boga, przyszło do głowy, żeby iść z nim do łóżka? Oboje zachowywali się jak para napalonych nastolatków. Czy na tym miała polegać spontaniczność w życiu? Pozbywanie się zahamowań?

- Otrząśnij się! - powiedziała głośno, odrywając się od ściany. Zaczęła chodzić bez celu po domu, przeglądając półki z książkami. Wyciągnęła jedną i położyła na nocnej szafce. A potem zatrzymała się i przez chwilę stała nieruchomo przy łóżku. Patrzyła na porzucane kołdry i zmięte prześcieradła, wracając myślami do tego, co robiła tu z Noahem.

Gdy się pochyliła, żeby pościelić łóżko, załaty ją wspomnienia. Wypuściła z rąk kołdrę. Do diabła ze ścieleniem. Dziś będzie spała w tym bałaganie, wspominając wszystko jeszcze raz. Otoczyła się ramionami, odchyliła głowę do tyłu i roześmiała się głośno. Śmiała się. W cichej chacie ten dźwięk wydał się niedorzeczny.

Wciąż uśmiechając się, sprawdziła pocztę elektroniczną i ze zdumieniem odkryła, że dostała wiadomość od Brooksa Fordhama, reportera.

- Cześć - mruknęła, otwierając mejla. - Witaj. Wiadomość była krótka, zaledwie jeden wiersz: *Co z kolacją, którą mi obiecałaś?*

Po tym następował numer telefonu. Poszła po swoją komórkę. Chciała jak najszybciej usłyszeć jego głos. Z wiadomości wynikało, że już się pozbierał, pomyślała z nadzieją.

Zanim jednak zdążyła wybrać numer, w jej telefonie rozległ się dzwonek, który przypisała do Maksa. Pośpiesznie nacisnęła klawisz.

- Cześć - powiedziała. - Nie mogłam się doczekać, kiedy się odezwiesz.

- Cześć, mam. Odsłuchałem twoje wiadomości.

Jego coraz głębszy, prawie dorosły głos wprowadził ją w zdumienie.

- Jestem całkiem zasypana. Marzę, żeby cię zobaczyć, ale nie mogę przez ten śnieg.

- Wszyscy jesteście zasypani. Super.

- Przymusowy czas wolny. No tak, każdy od czasu do czasu ma ochotę na odpoczynek. Jak się masz, Max? Jak leci w szkole?

- W porządku.

- A hokej?

- W porządku.

- A życie w ogóle i świat, gdy się jest na wolności?

- Też w porządku. - Jego głos nabrał wesołego brzmienia. - Co się dzieje, mamó?

Daisy mówi, że mieszkasz w jakimś domu nad jeziorem.

- Zgadza się. Tu się zatrzymałam.

- Na jak długo?

Z góry zakłada, że przyjechałam tylko na jakiś czas, zmartwiła się. Chociaż trudno się temu dziwić. Sama go przecież nauczyła, że tego może się spodziewać. Kiedy był bardzo malutki - prawdę mówiąc, wciąż przy piersi - więcej mleka odciągała, niż dawała własnemu dziecku. Zostawiała butelki, żeby ktoś inny go karmił. Ponieważ, jak sobie wówczas tłumaczyła, tak ważna była jej praca. Ponieważ chciała lepszego świata dla swoich dzieci. Wszyscy jej powtarzali, że robi dobrze, bo przecież służy wielkiej sprawie. Wszyscy uważali, że tak powinno być, poza jedną osobą, na której naprawdę jej zależało... Poza samym Maksem. Jemu nikt nie udzielił głosu.

- Na zawsze. - Usłyszała swój głos i nagle słowa, które wyszły z jej ust, zaskoczyły ją. Nigdy dotąd nie robiła nic w pełnym wymiarze. Nawet małżeństwo, jak się okazało, miało swoją datę ważności. Na tę myśl skrzywiła się, jakby dotknęła rozpalonego węgielka.

- Poważnie? - spytał Max. - Nie żartuj, mamó.

- Poważnie. Jestem tym bardzo podekscytowana. Nie mogę się doczekać, żeby się z tobą spotkać. Może jutro drogi już będą oczyszczone.

- Ale co się dzieje? Czy chodzi o to, co wydarzyło się w Hadze? Tata powiedział...

- Ojciec rozmawiał o tym z tobą? - Kark jej zeszywniał jak za każdym razem, gdy pojawiała się jakaś wzmianka o byłym mężu. Myśl o tym, że rozmawiał o niej z synem, jeszcze bardziej ją uszywniała. Przecież rozmawiała z dziećmi. Czemu potrzebowały dodatkowych wyjaśnień od ojca? Odetchnęła głęboko i próbowała się odprężyć. - Tak jak mówiłam, mam ci sporo do opowiadania. Jakie zajęcia masz jutro? I przez resztę tygodnia?

Kiedy przedstawił rozkład zajęć, uderzyło ją, że to ona będzie musiała dopasować się do niego, a nie na odwrót.

Modliła się tylko, żeby temu wszystkiemu sprostać. Od prawie dwóch dziesiątków lat była matką. Teraz, po raz pierwszy, miała zostać mamą.

Wieczorem śnieg w końcu przestał padać. Pługi śnieżne nie dotarły jeszcze do ulicy Nabrzeżnej, ale miały pracować całą noc. Sophie pojechała do Noaha na kolację. Szczeniaczek tak się ucieszył na jej widok, że całe jego puchate ciało tańczyło z radości.

- Szukam dla niej domu - przypomniał Noah, biorąc płaszcz Sophie.

- Hm, to zabrzmiało jak aluzja. - Podejrzewała, że będzie czuła się niezręcznie, ale jej obawy okazały się niesłuszne. Biorąc pod uwagę to, co z sobą robili, mogła się spodziewać, że będzie jej trudno spojrzeć mu w oczy. Tymczasem ogarnęło ją uczucie radości i... szczęścia. Cieszyła się, że spędza z nim wieczór.

- To propozycja.

- Nie znam się na pieskach. W dodatku domyślam się, że utraciłam wiarygodność...

- Nie rozumiem?

- Mówiłam, że nie uznaję przygodnego seksu, a tymczasem właśnie w tym momencie mam ochotę iść z tobą do łóżka. - Zaśmiała się nerwowo. - Chwytam chwilę. No wiesz, carpe diem.

- Spałaś ze mną, żeby skorzystać z dnia? Czy dlatego, że ci się podobam? - Zawałał się. - A więc jednak o tym mówimy. Nie wiedziałem, czy poruszyć ten temat.

- Niemądrze byłoby go unikać.

- No właśnie... Miałem nadzieję na bis. Pomyślała, że w tej kwestii są wyjątkowo zgodni.

- I dlatego powinniśmy porozmawiać.

- Świetnie. - Poprowadził ją do kuchni. - Przy kolacji. - Przygotował makaron z serem oraz sałatkę z torebki.

- Nie jest ze mnie najlepszy kucharz - wyjaśnił, nie przeproszał.

- Ze mnie również. A takie jedzenie znakomicie poprawia nastrój. - Uśmiechnęła się, widząc, jak Rudy i Opal śledzą każdy ruch Noaha. Zdawała sobie sprawę, że robi to, by odwlec rozmowę, więc w końcu odetchnęła głęboko. - No tak... Jak już wspomniałam, takie jednorazowe numerki raczej nie są w moim stylu.

- Jeśli zrobimy ten numerek jeszcze raz, to już nie będzie jednorazowy.

- Nie o to chodzi. Mam na myśli to, że właściwie się nie znamy. Nie wiemy nawet, czy się lubimy. A to znaczy, że zaczynanie czegoś jest bezsensowne.

Postawił na blacie dwa kieliszki i otworzył butelkę białego wina.

- Nie znam cię tak dobrze, jak bym chciał, lecz z pewnością mogę powiedzieć, że cię lubię. I że to, co stało się dziś, miało dla mnie sens.

Sophie naląła wino, podczas gdy Noah stawiał jedzenie na stole.

- Wydajesz się traktować to bardzo nonszalancko. Czy dlatego, że bez przerwy to robisz, czy po prostu zawsze przyjmujesz rzeczy takimi, jakie są?

- Wybieram drugie wyjście. - Uniósł kieliszek w jej stronę, po czym upił łyk wina.

- A tak całkiem serio, nie robię tego bez przerwy.

- Robisz to czasem?

- Nie. Ale... może porozmawiamy o tobie?

Był taki wspaniały. W gruncie rzeczy zbyt wspaniały, żeby żyć samotnie wśród zwierząt niczym doktor Dolittle.

- Byłeś kiedyś żonaty? - spytała.

- Nie.

- Zdziwiasz mnie. Jesteś świetnym facetem, Noah.

Z pewnością wiesz o tym. - Ma fobię na punkcie trwałych związków, pomyślała. Jak wielu mężczyzn.

- Nie mam żadnej fobii, tylko lubię się zastanowić. Dopiero teraz zorientowała się, że tę kwestię powiedziała na głos.

- Przepraszam. Pewnie uważasz, że jestem zbyt wścibska i zachowuję się jak prawnik?

Skrzyżował ręce na stole.

- Ja także chcę cię poznać, lecz taka gra w dwadzieścia pytań wydaje mi się sztuczna.

- Co w takim razie proponujesz?

- Może byśmy po prostu spędzili z sobą trochę czasu i zobaczyli, co z tego wynika?

- Ale... - Nie wiedziała, jak to wyjaśnić. - Prawie nigdy tego nie robiłam. To znaczy nie spędzałam z kimś czasu. Nawet nie wiem, czybym potrafiła.

Dopełnił jej kieliszek i zaproponował deser.

- Tajemnicze miętówki. - Podsunął jej pudełko. - Odmienią twoje życie.

- Dziękuję, nie.

- Wiesz co? Może wyjdziemy i porozmawiamy jeszcze, a ja tymczasem nałożę jedzenie.

Rozejrzała się po pustych naczyniach.

- Przecież właśnie skończyliśmy.

- Miałem na myśli konie. Muszę nakarmić konie.

- Masz konie?

- Zawsze je miałem. Prawdę mówiąc, część z tych zwierząt wcale nie miała tu zostać. Większość oddaję ludziom, jednak niektóre po prostu nie nadają się do oddania. A jeszcze inne, a właściwie wszystkie... zabrały mi serce. - Zaczerwienił się zażenowany tą cikliwą uwagą. - Jeździsz konno?

- Kiedyś jeździłam. Bardzo dawno temu. - W dzieciństwie ubóstwiała konie. Aż do siedemnastego roku życia jej najlepszą przyjaciółką była Misty, piękna klacz, na której jeździła każdego dnia, nawet gdy pogoda nie dopisywała i nikt poza nią nie wychodził z domu. To były najprzyjemniejsze chwile, gdy mogła o wszystkim zapomnieć. Była niepokieszona, kiedy Misty umarła. Tak bardzo rozpacziała nad jej stratą, że w końcu sama się rozchorowała. Nigdy więcej nie zbliżyła się do konia ani żadnego innego zwierzęcia.

Na szczęście Noah nie zadawał więcej pytań. Pożyczył jej parę rękawic oraz kurtkę, po czym wyszli z domu. Zmierzch właśnie zabarwił niebo fioletem. Był to jeden z tych pięknych zimowych obrazków, z krystalicznie czystym, rozgwieżdżonym niebem i księżycem w pełni. Ciepłe powietrze, które otoczyło Sophie w stajni, niespodziewanie przyniosło wspomnienia o tamtej dziewczynie sprzed lat. Nie spodziewała się tej fali tęsknoty, która przywołała dawno zapomnianą przeszłość wraz z należącymi tylko do niej marzeniami.

Nawet obrządzanie zwierząt wydało jej się znajome. Cztery konie, każdy w innym wieku, wystawiły łby z boksów. Sophie podobał się zapach obroku i końskich oddechów, sucha woń siana, a nawet ostry odór nawozu, którym przesiąknięta była stajnia. Zdjęła rękawice i pogłaskała klacz, rozkoszując się aksamitną skórą.

- To jest Alice. Pozostałe to Jemma, Shamrock i Moe - wyjaśnił Noah. - Moe mam już od lat, a pozostałe trzy udało mi się uratować. - Z beli siana zdjął solidny płat i włożył go do boksu. - Shamrock jest najnowszy. Idioci, u których był przedtem, nie mieli pojęcia, jak obchodzić się z koniem. - Przeszedł do następnego boksu. - Jemma została porzucona, a jest zbyt narowista, żeby ktoś ją chciał wziąć. - Kiedy to mówił, klacz delikatnie trącała go nosem.

- Domyślam się, że w twojej pracy zajmowanie się porzuconymi zwierzętami wchodzi w skład ryzyka zawodowego.

- Raczej uboczna korzyść. Nawet najbardziej zaniedbane zwierzęta w końcu dochodzą do zdrowia.

Naprawdę jesteś taki cudowny? - spytała Sophie w duchu. A może po prostu zaślepiło ją to, że przeżyła najwspanialszy seks w życiu?

Pracowali obok siebie. Bez pośpiechu, w spokojnym rytmie razem oporządzali konie.

- Dobrze ci idzie - zauważył Noah.

- Przez długi czas miałam własnego konia. - Ze zdumieniem poczuła, że zbiera się jej na płacz. Miała wrażenie, że wszystkie emocje zebrały się tuż pod skórą.

- Jak kolano? - spytał Noah, kiedy skończyli.

- Dobrze. To przecież nie było nic poważnego.

- Jest pełnia, a na niebie nie ma ani jednej chmury. Wybierzmy się na przejażdżkę. Stała jak wryta. Myśl o konnej wyprawie razem z nim w księżycową noc wydawała się niezwykle romantyczna. A Sophie nie miała w zwyczaju robić nic, co było romantyczne.

- To środek zimy.

- Nie pojedziemy daleko. - Już zdejmował derki, siodła, uzdy. - Możesz mi pomóc?

- Jesteś szalony, wiesz o tym? - Mimo to otworzyła boks, wyprowadziła jedną z klaczy i już po chwili zakładała uzdę.

Noah posłał jej chłopięcy uśmiech, po czym wyprowadził drugiego konia. Sophie znów wpadła w ten rytm, który wciąż pamiętały jej dłonie i serce: derka, siodło, popręg, właściwy odstęp między koniem a skórzanymi elementami. Delikatne naciskanie, żeby koń pochylił głowę. Założenie uzdy, ostrożne włożenie wędzidła. Zdumiewające, jak wszystkie te czynności cofały ją w odległą przeszłość.

- Dobra jesteś - zauważył Noah. - Chyba mówienie, że kiedyś jeździłaś, to duże niedopowiedzenie.

Wyjechali ze stajni w najpiękniejszą zimową noc, jaką kiedykolwiek widziała. Wstrzymała oddech na widok łagodnych pagórków wyrzeźbionych przez cienie i światło księżyca.

Odwróciła się do Noaha.

- Jazda w nocy po śniegu to już druga rzecz, którą robię po raz pierwszy w życiu.

Noah ruszył przez nieskazitelnie białe pole. Jego koń tworzył szlak w głębokim śniegu. Przycisnęła pięty do boków klaczy i pojechała za nim. Ogarnęła ją radość. Uczucie było tak silne, że do oczu napłynęły jej łzy. Zimne powietrze na twarzy, ciepło i siła bijące od konia, niezrównane piękno okolicy - wszystko to sprawiało, że czuła się jak na skrzydłach.

- Dziękuję - szepnęła i do konia, i do Noaha. - Jest pięknie.

W drodze powrotnej Noah pokazał jej najlepszy na swoim terenie stok do jeżdżenia na sankach, zagajnik klonów cukrowych, z których Gayle zbierała syrop, a także mały mostek nad zamrzniętym strumieniem. To był jego świat; świat, który znał od zawsze. Miejsce, w którym Sophie czuła się całkiem bezpieczna, nawet teraz, po rekordowo

mocnych opadach śniegu. Nagle stwierdziła, że podoba jej się to, że są tak odcięci od świata. Wcale nie jest tak źle, gdy przyroda zmusza cię do zwolnienia tempa i zostania w domu. Szczególnie jeśli zostajesz w towarzystwie Noaha.

Odprawiali konie, a gdy wyszli ze stajni, Noah położył rękę w jej talii. Pamiętała jeszcze, że po wejściu do domu ściągnęła buty i grubą kurtkę, a wtedy oparł ją plecami o drzwi szafy i całował, aż stała się całkiem uległa. Kiedy oderwali się od siebie, by zaczerpnąć powietrza, uznała, że powinna coś powiedzieć.

- Nie przyjechałam tu po to - powtórzyła słowa, których Noah użył wcześniej.

- Ale ja nie wypuszczę cię bez tego. - Znów ją pocałował.

Następnego dnia, kiedy się obudziła, nie było koło niej ani Noaha, ani ciepłego szczeniaczka. Podniosła się z łóżka, bez zastanowienia sięgnęła po kraciatą flanelową koszulę i zarzuciła ją na siebie. Sprany, miękki materiał przesiąkł zapachem Noaha. Otułiła się koszulą i przeszła do łazienki. Musiała się pozbierać. Nie mogła za każdym razem lecieć do łóżka z Noahem Shepherdem tylko dlatego, że ich zasypało. Ani dlatego, że właśnie tego pragnęła każdą komórką swojego ciała. Było to impulsywne dogadanie sobie. Należało koniecznie wziąć się w garść.

Umyła twarz, energicznie wyszczotkowała włosy, po czym zeszła na dół z nowym postanowieniem. Śnieg przestał padać. Z pewnością droga będzie już dziś otwarta. Życie wróci do normy, a w normalnym życiu powinna skoncentrować uwagę na swoich dzieciach.

Spojrzała na małe biurko, które stało pod oknem. Leżał na nim stos kartek i kilka długopisów. Przypomniała sobie radę, którą dał jej doktor Maarten. Żeby poczuć ulgę, miała zapisywać różne rzeczy. Bardzo prosty sposób. „Chwyć sprawę, która cię jątrzy od środka, i wypuść ją na zewnątrz. Po prostu zapisz coś każdego dnia. Coś drobnego lub wielkiego. Zapisz rozmowę, której nie udało ci się przeprowadzić z porywaczami. Zapisz słowa, które chciałabyś powiedzieć komuś bliskiemu, lecz niestety nigdy tego nie zrobiłaś”.

To dopiero było zadanie. Nawet i stu lat by nie starczyło, żeby to spisać. Żałowała, że w młodości nie była bardziej otwarta wobec rodziców. Zawsze przejmowała się tym, by ich nie rozczarować. Żałowała, że nie przeprowadziła setek szczerych rozmów z Gre-

giem. Może wówczas udałoby się zapobiec rozpadowi małżeństwa. Nie potrafiła też wyjaśnić swoim dzieciom, dlaczego pozwoliła, by świadomość, że ma misję do spełnienia, odsunęła ją od nich. A porywacze? Dobry Boże... Nawet nie mogłaby zacząć spisywać tego, co chciałyby im powiedzieć.

Postanowiła, że spróbuje zacząć niektóre z tych rozmów. Wzięła kartkę papieru i napisała: *Kochany Tato...*

I już. Nie dlatego, że nie miała nic więcej do powiedzenia, tylko dlatego, że było tego zbyt dużo. Ten sam problem pojawił się przy:

Drogi Gregu.

A także przy:

Kochani Maksie i Daisy...

Zastanawiała się, jak zareagowałyby dzieci, gdyby się dowiedziały, w jaki sposób przeczekala opady śniegu. Miała nadzieję, że nigdy się nie dowiedzą. Zamiast pisać list, wypunktowała rzeczy, które zwykle robią mamy. Miała nadzieję, że wkrótce ona także będzie się tym zajmować. Chodzić na mecze hokejowe Maksa. Pomóc Daisy w wykonaniu albumu dla Charliego. Podpisać zestaw ocen. Nauczyć się piec ciasteczka.

Tyle na początek. Złożyła listę i włożyła ją do kieszeni. Kierując się węchem, doszła do dzbanka z kawą. W kuchni dało się zauważyć ślady wczesnego śniadania, mianowicie w zlewie stała miska po płatkach. Kakaowe kuleczki, fuj! Sądząc po odciskach na śniegu, Noah musiał wyjść z psami. Przygotowała sobie filiżankę kawy, myśląc o tym, że dobrze byłoby, gdyby wkrótce wrócił do domu. Mogłaby mu wtedy wyjaśnić, że to... cokolwiek to było... że to nie jest najlepszy pomysł. Chociaż?

Szkoda, pomyślała. Naprawdę szkoda, ponieważ w porównaniu z innymi pomysłami ten akurat był wręcz wspaniały. Z westchnieniem otuliła się mocniej koszulą, zabrała kawę do frontowego pokoju i dopisała kilka punktów do listy. Przez okno dojrzała na przystanku autobusowym grupkę rodziców z dziećmi. Wyglądało na to, że jezdnia była odśnieżona i posypana piaskiem. No wreszcie. Teraz w końcu będzie mogła zobaczyć się z Maksem i Daisy.

Jedna z matek stanęła za małą dziewczynką i zaplatała jej warkocz, reszta stała trochę z boku i rozmawiała, a dzieci ganiały się wokół wiaty. Po chwili zza zakrętu wyje-

chał czarno-żółty szkolny autobus i ze zgrzytem hamulców pneumatycznych powoli się zatrzymał. Dzieciaki w zimowych kombinezonach i z plecakami na ramionach rzuciły się do otwartych drzwi. Sophie patrzyła na pożegnalne uściski i czuła, że wzruszenie ściska ją za gardło. Była to najbardziej prozaiczna scena: matka odprowadzająca dziecko do szkoły, jednak jej ten widok wydał się niespotykany i bardzo szczególny.

Noah wszedł do pokoju, objął ją od tyłu i wtulił się jej w szyję, aż poczuła, że nogi się pod nią uginają. Pachniał świeżym powietrzem, śniegiem i drewnem.

- Jako dzieciak jeździłem do szkoły tym samym autobusem - powiedział.

- Czy twoja mama każdego dnia odprowadzała cię na przystanek?

- Nie. Miała zbyt dużo pracy. Ale zawsze była tam ze mną babcia.

- Rozumiem. No tak... - Złapała się na tym, że zastanawia się, czy Noah lubi dzieci. Mimo spędzonej razem nocy takie pytanie wydawało się zbyt osobiste. Równie dobrze mogłaby zapytać: „Czy jesteś odpowiednim kandydatem, by myśleć o stabilnym związku z tobą?”.

- Coś za cicha jesteś - zauważył Noah. - O czym tak rozmyślasz?

Jeszcze tego brakowało, żeby mu powiedziała.

- Kiedy na to patrzę - wskazała gestem przystanek, z którego matki zaczynały rozchodzić się do domów - ogarnia mnie poczucie winy. Nigdy nie zrobiłam tego dla moich dzieci. Ani razu nie czekałam z nimi na przystanku. Mam dużo na sumieniu. Mój rozwód... Bardzo źle to załatwiłam. Po rozwodzie dzieci powinny zostać przy matce, mam rację?

- Nie ma czegoś takiego jak „powinny”. Każda rodzina to osobny kosmos. Jestem pewien, że zrobiłaś to, co było najlepsze w tych okolicznościach.

- Ciekawe tylko, że akurat ja nie jestem tego pewna.

- Jak twoje kolano? - spytał, zmieniając temat. - Mam nadzieję, że nie nadwyreżyłaś go wczoraj za bardzo.

Kilka sekund trwało, nim uświadomiła sobie, że ma na myśli konną przejażdżkę, a nie seks. Jasne, pomyślała. Nie chciał rozmawiać o jej dzieciach. To zrozumiałe. Wcale go za to nie winiła.

- Całkiem dobrze. Mam zamówioną wizytę u lekarza w miasteczku. - W książce telefonicznej znalazła jakąś doktor Cheryl Petrowski.

Noah ponownie wtulił się w jej szyję.

- A więc mamy całe rano...

Niewiele brakowało, by mu uległa. Sprawiał, że stawało się to całkiem naturalne.

- Przy tobie zmieniam się w jawnogrzesznicę... - Wysunęła się z jego objęć. - Muszę się wreszcie do czegoś zabrać. Dziś zamierzam w końcu zobaczyć się z dziećmi. Poza tym muszę pozbyć się wynajętego samochodu i wziąć jakiś inny. Myślałam o vanie. - Skoro zamierzała grać rolę mamy, powinna jeździć samochodem, który upodobni ją do innych mam.

- Upewnij się tylko, czy ma zimowe opony i napęd na cztery koła.

- Oczywiście. - I oto jej plan nabrał rzeczywistych kształtów. Poczowała niepokój. Wszystko będzie jak należy, obiecała sobie. Trzeba tylko pokonać kilka przeszkód. Między innymi to, że jej dzieci podejną do tego sceptycznie. A także to, że do tej pory nie zdradziła swoich planów byłemu mężowi.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Co takiego? Co zamierzasz? - Greg Bellamy ze zmarszczonymi brwiami odebrał od niej płaszcz. - Poczekaj, Soph. Zaczynaj od początku.

Stali w przedsionku domu Grega. Sophie patrzyła na byłego męża, starając się nie przyjmować pozycji obronnej. Miał pełne prawo powątpiewać w jej motywę. Jako matka pokazała się z najgorszej strony.

- Moglibyśmy usiąść? - spytała spokojnie. - Spróbuję wszystko wyjaśnić.

Gestem wskazał staromodny salonik.

- Odwieszę płaszcz. Wejdź i usiądź.

Nie powiedział „rozgość się” ani „czuj się jak u siebie”, ale przecież wcale tego nie oczekiwała. Zresztą nie chciała takich pustych gestów. Z jakiegoś powodu rozwiedli się z Gregiem. W gruncie rzeczy znalazłby się cały szereg tych powodów. Kiedy brali ślub, byli zbyt zajęci pracą i zupełnie zapomnieli, że powinni także troszczyć się o siebie nawzajem.

Usiadła w fotelu i rozejrzała się wokół z umiarkowanym zainteresowaniem. Greg zmienił wizerunek i zaczął budować swoje życie od podstaw. Wszystko, co znajdowało się w tym pokoju, było jej całkiem obce, poczynając od miękkich foteli, a na miseczce kolorowych fasolek kończąc.

Po pierwszej decyzji, którą Greg podjął po rozwodzie, pomyślała, że mu całkiem odbiło. Sprzedał firmę architektoniczną z siedzibą na Manhattanie i przeniósł się na północ stanu do miasteczka, w którym w dzieciństwie spędzał letnie wakacje. Kupił cudownie położony nad samą wodą, zabytkowy, przed laty luksusowy Pensjonat nad Wierzbowym Jeziorem i przywrócił go do dawnej świetności, a niedawno poślubił kobietę, która, jak się zdawało, była całkowitym przeciwieństwem Sophie. Zamieszkali na terenie posiadłości w dawnym domu zarządcy, wysokim, kanciastym budynku zbudowanym w stylu gotyku drewnianego, który umeblowali antykami z przeróżnych epok, a także całkiem współczesnymi sprzętami.

Pokój wyglądał sympatycznie i wygodnie. Prawdę mówiąc, w ich wspólnym domu nie wyglądało tak żadne pomieszczenie. Panowała tu przytulna rodzinna atmosfera. Mi-

mo wszystkich różnic, które dzieliły ją z Gregiem, cieszyła się, że Max tutaj mieszka. Na wąskim stoliku pod ścianą ustawiono szereg fotografii Maksa i Daisy w różnych okresach życia. Były tu też zdjęcia córki Niny, Sonnet Romano, która studiowała na uniwersytecie w Waszyngtonie.

Otak, po prostu Greg dorobił się jeszcze jednego dziecka. Mimo że Sonnet wyjechała, należała przecież do świata Daisy i Maksa. Jak na razie świetnie się dogadywali, a przynajmniej tak jej się zdawało. I nagle teraz, gdy tu siedziała, dotarło do niej, do jakiego stopnia znalazła się poza nawiasem.

Na stoliku stała też ramka z kolażem różnych zdjęć.

Sophie nie mogła opanować ciekawości. Były to fotografie ze ślubu Grega, który odbył się w dzień Trzech Króli. Teraz miała już dwa powody, żeby zapomnieć o tamtym wieczorze.

Skupiła uwagę na grupowym zdjęciu rodzin Bellamych i Romano, których w ogóle nie знаła. Wszyscy wydawali się tacy szczęśliwi, roześmiani, beztroscy na tle białego piasku i głębokiego błękitu Morza Karaibskiego.

Nina pochodziła z małego miasteczka. Urodziła się i wychowała w Avalonie, gdzie nawet przez jedną kadencję była burmistrzem. Sophie dorastała, dzieląc swój czas między dwoma dużymi miastami: Seattle i Vancouver. Nina miała nieprzyzwoite mnóstwo rodzeństwa, ciotek, wujków i tak dalej, natomiast Sophie była jedynaczką, na której barkach spoczywał ciężar rodzicielskich oczekiwań. Nina była ciemna, niska, zmysłowo zaokrąglona i bardzo emocjonalna. Miała skłonność do okazywania uczuć w typowo włosko-amerykański sposób. Sophie była po skandynawsku jasna, wysoka i szczupła, i tak zamknięta w sobie, że nawet psychoterapeuta miał z tym problem. Nina wydawała się czuć swobodnie ze swoją oliwkową karnacją. W dodatku ślub wzięła w klapkach. Sophie przez całe życie nie nosiła kłapek. Te zdjęcia były żywym dowodem na to, że w żadnym razie nie nadawała się na żonę Grega.

Słyszając, że wraca do salonu, odwróciła się od stolika.

- Gratulacje z okazji ślubu. Powinnam od tego zacząć.

- Potwornie się tobą zaniepokoiłiśmy. To niepodobne do ciebie, żeby coś tak nagle porzucić. Czytałem w prasie o tym, co się zdarzyło w Hadze. To było straszne. Naprawdę straszne.

- Nie będę cię okłamywać. To był horror. Obawiam się, że ta sprawa będzie mnie prześladować do końca życia. Ale nie byłam ranna i jestem gotowa, żeby wrócić do normalnego życia.

- Jesteś pewna, że nic ci nie jest?

Jak można być pewnym po tym, co przeżyła?

- W stu procentach - odparła, patrząc mu prosto w oczy.

- Więc czemu jesteś tutaj?

Jego głos był łagodny, lecz mimo to Sophie poczuła się, jakby dotknął jej rozpalonym żelazem. Chociaż to zrozumiała, że zadał takie pytanie. Zakładał, że pojawiła się tutaj, bo nie miała innych możliwości. Nawet się nie domyślał, co poświęciła, żeby przyjechać do Avalonu.

- Przyjechałam tu z powodu Maksa, Daisy i małego - powiedziała spokojnie. - Faktycznie, incydent w Pałacu Pokoju podziałał jak ostrzeżenie, ale przyjechałam tu przez wzgląd na dzieci, a nie na siebie. - Boże! To mało powiedziane. Po co w innym razie miałyby przyjeżdżać do miasteczka, gdzie nazwisko jej męża wymawiane jest uniżonym tonem i gdzie nowa żona Grega, pani eksburmistrz, jest przez wszystkich znana i kochana? Czy uważał, że będzie to dla niej zabawne?

- Brzmi to całkiem rozsądnie - przyznał Greg. - Tylko na jak długo?

Starła się pamiętać, że z troski o dzieci musiał zachować ostrożność.

- Rozumiem, dlaczego o to pytasz. Od chwili, gdy dzieci przyszły na świat, wciąż krążyłam między nimi a pracą. Jednak tym razem jest inaczej, Greg. Przyjechałam tu na zawsze.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się jej badawczo.

- Zamierzasz o tak, po prostu zmienić się ze specjalisty w zakresie prawa międzynarodowego w pełną zaangażowania mamę?

- Widzę, że nie wierzysz. - Sama nie całkiem sobie ufała, jednak mimo niepewności musiała spróbować.

- Trudno sobie wyobrazić siebie w takiej roli.

Jak najspokojniej wyjaśniła, że postanowiła zrobić sobie przerwę w pracy. Wilsonowie powiedzieli, że może u nich mieszkać, jak długo zechce, bowiem rzadko korzystali z letniego domku przed lipcowym Świętem Niepodległości. Do tego czasu Sophie zamierzała znaleźć sobie coś na stałe. Ponieważ jej rodzina tu mieszkała, skrupulatnie pilnowała, by utrzymać w mocy zezwolenie do wykonywania zawodu prawnika w stanie Nowy Jork. Za jakiś czas mogła przyłączyć się do jakiejś miejscowej firmy i w niepełnym wymiarze pracować jako radca prawny.

Trzeba oddać Gregowi, że wysłuchał jej, nie robiąc żadnych uwag. Kiedy skończyła, podniósł się, podszedł do biurka i przyniósł kalendarz pokryty zapiskami nieznanym charakterem pisma. Domyśliła się, że to notatki Niny.

- To plan zajęć Maksa. - Gdzieś w domu rozdzwonił się telefon. - Rzuć na to okiem. Pójdę odebrać.

Wyjęła notes elektroniczny i rzuciła okiem na ekran. Przewijając informacje o wszystkich zebraniach, odprawach i przesłuchaniach, na których nie będzie obecna, poczuła ukłucie żalu.

Przestań bawić się w porównania, upomniała się. Jak można porównywać trening hokejowy syna z naradą u prezesa Międzynarodowego Trybunału Karnego? To całkiem różne sprawy. Sprawy, które się wzajemnie wykluczają.

Kalendarz stanowił wycinek zajęć dobrze funkcjonującej rodziny. W życiu Maksa sporo się działo: treningi hokeja, snowboard w weekendy, wizyta u ortodonta.

- Ortodonta? - mruknęła do siebie.

- Właśnie zaczął chodzić do doktora Renchera - wyjaśnił Greg, wchodząc do pokoju.

Skinęła głową i wprowadziła termin do notesu. Poza ortodonta i treningami Max miał zaplanowanych kilka przyjęć urodzinowych, cotygodniowy mecz z inną drużyną, wycieczkę szkolną do muzeum poświęconego sławom bejsbolu w Cooperstown, wyjazd z drużyną skautów do West Point.

- Lekcje gry na perkusji? - spytała, patrząc na środowe popołudnie.

- Przerzucił się z fortepianu na perkusję.

- Pozwoliłeś na to? - spytała napastliwie.

- To jego wybór.

- Ma zaledwie dwanaście lat. Nie rozumie, że gra na fortepianie jest dla niego bardzo ważna.

- Chcesz się o to spierać? - spytał Greg.

- Ja... nie. - Odłożyła kalendarz. - Naprawdę nie zamierzam się poddać - oznajmiła.

- Pamiętaj tylko, że dla mnie przede wszystkim liczy się Max, a nie twoje nagłe olśnienie, że powinnaś stać się pełnoetatową matką.

Miała wielką ochotę odgryźć się, ale zacisnęła tylko szczęki. Dlaczego nie chciał dostrzec, że robi coś dobrego, ani przyjąć do wiadomości, że kierują nią szlachetne pobudki.

Z kuchni dobiegł jakiś dźwięk i Sophie poczuła falę ciepła. Max w końcu wrócił do domu. Odwróciła się w stronę drzwi, licząc na to, że za chwilę porwie go w ramiona.

Zamiast Maksa do pokoju wpadła niska, ciemnowłosa trąba powietrzna.

- Nina...

Miała radosny, spontaniczny uśmiech, który rozjaśnił jej twarz, gdy ściągała wełnianą czapkę.

- Cześć, Sophie.

Jej uśmiech rozpromienił także Grega. Podniósł się, żeby pomóc jej zdjąć bezkształtną czerwoną kurtkę, która na Ninie wyglądała zadziwiająco twarzowo. Biorąc odżony okrycie, zdążył ją pocałować i uścisnąć. Sophie przemknęło przez myśl, że na nią nigdy tak nie patrzył.

- Przyszłam odwiedzić Maksa - powiedziała.

- Powinien za chwilę wrócić - odparła Nina. - Ależ się ucieszy na twój widok. Może zrobię coś do picia. Herbatę czy kawę?

- Nie, dziękuję.

Greg i Nina jako właściciele pensjonatu byli ekspertami w dziedzinie gościnności, Sophie z kolei była doświadczonym dyplomata, więc rozmowa potoczyła się gładko. Mówili przede wszystkim o Maksie.

Greg przeprosił na chwilę i poszedł odwiesić kurtkę, zostawiając Sophie w towarzystwie Niny. Przede wszystkim dobre maniery, nakazała sobie w duchu. To kluczowa pozycja obronna doświadczonego dyplomaty. Chociaż, prawdę mówiąc, uprzejme zachowanie przychodziło jej bez trudu, bowiem Nina miała tę najważniejszą cechę, której Sophie oczekiwała od macochy Maksa, a mianowicie szczerze troszczyła się o chłopca.

- Gratulacje, Nino - odezwała się. - Przed chwilą patrzyłam na zdjęcia ze ślubu.

- Dzięki. To działo się tak szybko. W ciągu dwóch tygodni wszystko zostało zaplanowane i zrealizowane. Na St. Croix było pięknie.

Nina najwyraźniej dobrze czuła się w swojej skórze. Zarówno Max, jak i Daisy twierdzili, że ją lubią. Sophie wcale im się nie dziwiła. Rzeczywiście była nadzwyczaj sympatyczna.

Trzeba przyznać, że sama tej cechy nie miała w nadmiarze. I dobrze o tym wiedziała.

- Mama! - Do pokoju wpadł Max.

Zapomniała o wszystkim, gdy chwyciła syna w objęcia. Kiedy go przytuliła, poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Zawsze spotkania z nim sprawiały jej radość, po tym jednak, co przeżyła, uświadomiła sobie, jak wiele dla niej znaczył. Pachniał świeżym zimowym powietrzem, a jego ramiona wydawały się bardzo silne. A poza tym...

- Niech na ciebie spojrzę. - Odsunęła się trochę. - Ależ jesteś wysoki!

Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając nowy aparat ortodontyczny, błyszczące klamki na górnych zębach z jaskrawozielonymi elementami. Nie odezwała się w obawie, że może go speszyć.

Chociaż nie miał się czego wstydzić. Jej syn był niesamowicie przystojnym chłopcem. Miał zdecydowane, regularne rysy ojca i nordycką jasną urodę Lindstromów.

- Pomyślałam, że moglibyśmy razem odwiedzić Daisy i Charliego - powiedziała. - Może być?

- Jasne. - Max przeniósł spojrzenie na Ninę. - Muszę odrobić matematykę i angielski. Ale angielski dopiero na środę.

Łatwo popełnić nietakt, przemknęło Sophie przez myśl. Nina najwyraźniej pilnowała prac domowych Maksa.

- Chciałam pójść z nimi na obiad - oznajmiła. - Ale nie wrócimy późno. - No i już. Nie spytała o pozwolenie. Po prostu podjęła decyzję.

- W porządku - odparła Nina spokojnie.

- Cześć, tato! - ryknął Max. Zrobił to tak głośno, że Sophie aż się wzdrygnęła. - Idziemy do Daisy, dobrze?

- Do zobaczenia, kolego - odpowiedział Greg, wchodząc do pokoju. - Sophie, uważaj na drodze.

- Zawsze uważam. - Z trudem się powstrzymała, żeby nie ruszyć do samochodu biegiem.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Daisy cieszyła się z tego, że ma własny dom. Po urodzeniu dziecka mieszkała z tatą, ale oboje wiedzieli, że to wyłącznie tymczasowe rozwiązanie, choć on wiedział to tylko podświadomie i sporo czasu upłynęło, nim dotarło do świadomości. Nie potrafił wypuścić z gniazda ukochanej córeczki. Jednak Daisy za wszelką cenę pragnęła żyć własnym życiem, mimo braku złudzeń, że będzie jej lekko. I nie było, jednak to jeszcze bardziej utwierdzało ją w dążeniu do osiągnięcia sukcesu. Zresztą miała pomoc. Dziadkowie wszystkim wnukom założyli fundusze powiernicze. Daisy ze swojego mogła zacząć korzystać, gdy urodziło się dziecko. Jej sytuacja finansowa co prawda nie była taka sama jak Paris Hilton, jednak dzięki temu zabezpieczeniu mogła skoncentrować się na synku i nauce.

Dom nie był niczym nadzwyczajnym. Połówka bliźniaka na obrzeżach miasteczka. Chodniki obsadzono drzewami, a na końcu uliczki znajdował się nieduży plac zabaw, gdzie za jakiś czas będzie mógł bawić się Charlie. Pokoje były dość małe, ale Daisy ogromnie polubiła swój dom, głównie dlatego, że należał do niej. Teraz jednak miała przyjść do niej mama i nagle straciła całą pewność siebie. Przytulne dotąd pokoje wydały się małe i obskurne. Eklektyczny wystrój - w gruncie rzeczy były to rzeczy, które pozostały po remoncie Pensjonatu nad Wierzbowym Jeziorem - sprawiał wrażenie garażowej wyprzedaży. Najbardziej rzucały się w oczy naczynia w zlewie, koty kurzu na

podłódze, stos zimowych ubrań i sprzęt potrzebny dla dziecka w holu. Spoglądając co rusz na zegar, pośpiesznie poprawiała poduszki i wepchnęła złożone pranie do bielizniarki.

Mama zapowiedziała, że wpadnie z Makssem po jego lekcjach, więc ta wizyta nie była całkiem niespodziewana. Miała kilka godzin, żeby się przygotować. Czemu więc nagle zabrakło jej czasu i wszędzie wokół leżały zabawki dziecka oraz broszury i wycinanki potrzebne do projektu, nad którym pracowała? Jak to się stało, że nie zdążyła się przebrać z zapinanej na zamek domowej bluzy z wystrzępionym od rysowania lewym mankietem i najwyraźniej stałą już żółtawą plamą na ramieniu, która powstała, gdy Charlie-mu się ulewało?

Zajrzała do sypialni, gdzie spał jej synek. W tym momencie Charlie się obudził.

- Cześć. - Pochyliła się nad łóżeczkiem. Jej widok wywołał na buzi dziecka uśmiech, który działał na nią bardziej niż wschodzące słońce.

Słyszając trzaśnięcie drzwiczek samochodu, pośpieszyła do holu. Nad stolikiem wisiało lustro. Zatrzymała się, żeby poprawić włosy, po czym z niepewnym uśmiechem otworzyła drzwi.

- Mamo!

- Witaj, kochanie. - Sophie weszła do środka.

Objęły się mocno, a mamobabcia otoczyła ramieniem i córkę, i wnuczka. Przez kilka sekund Daisy nie czuła nic poza wielką radością.

- Tęskniłam za tobą, mamo.

- Ja także. Tęskniłam za tobą, za Makssem i za Charliem tak bardzo, że nie mogłam już tego znieść.

- Płaczesz? - spytała zdumiona Daisy.

Sophie kiwnęła głową, wpatrując się w buzię Charliego.

- Tak mi dobrze, że znów jestem z wami wszystkimi.

Daisy i Max wymienili spojrzenia. Daisy odsunęła się o krok i zajrzała w piękną twarz matki. To naprawdę było coś zaskakującego. Przecież ona nigdy nie płakała.

- Chyba źle się czujesz, mamo...

- Nie teraz... Teraz chciałabym wziąć na ręce mojego wnuka. - Sophie wyciągnęła ręce po ciepłe, miękkie zawiniątko. - Witaj, najpiękniejszy chłopczyku - powiedziała śpiewnie.

Charlie był już w wieku, kiedy wyrabiał sobie własne zdanie o nieznajomych. Gdy był mniejszy, właściwie każdy mógł go trzymać na rękach. Wyróżniał tylko Daisy, która go karmiła. Teraz rozpoznawał już niektóre osoby: Maksa, Grega, Ninę. I Logana.

Daisy wstrzymała oddech, gdy Charlie utkwiał w Sophie poważne spojrzenie, próbując podjąć decyzję, czy ma przed sobą przyjaciela, czy też wroga. Czy wszyscy rodzice wstrzymywali oddech, czekając na reakcję swojego dziecka? I właściwie od kiedy tak się przejmowała zachowaniem synka? Może po prostu czuła, że to ona poniesie klęskę, jeśli Charlie spartaczy sprawę?

Widząc, że mały patrzy na nią, uśmiechnęła się zachęcająco. Chłopczyk ponownie przeniósł spojrzenie na Sophie. Nie marudził, a to dobry znak. W końcu uśmiechnął się, odsłaniając dziąsła i śliniąc się obficie.

Brawo, dziecinko! - pomyślała Daisy, wolno wypuszczając powietrze z płuc.

- Muszę go nakarmić - powiedziała. - A potem będziemy mogli iść.

- To ja pójdę do komputera - oznajmił Max, kierując się do drugiego pokoju. Uczestniczył w sieci w wirtualnym hokejowym meczu, którego wciąż rozwijająca się fabuła była bardziej zawiła niż losy bohaterów oper mydlanych.

Daisy usiadła na sofie i odsłoniła pierś, a Charlie z wprawą starego pieczeniara natychmiast się do niej przyssał. Pozbycie się zażenowania podczas karmienia nie zajęło Daisy wiele czasu. Wystarczyło, że przez kilka minut posłuchała, jak jej nowo narodzony synek krzyczy z głodu, i wstyd natychmiast ustąpił.

- Musisz mi wybaczyć tę bluzkę, mamó. Nie chciałam przebierać się przed karmieniem. Ulewa się z niego jak z gejzeru. Pytałam o to lekarza, ot, normalka.

- Tobie też się ulewało. To było coś nowego.

- Karmiłaś piersią?

- Oczywiście. Wyglądasz na zdziwioną.

Bo była zdziwiona. Trudno było - właściwie niemożliwe - wyobrazić sobie mamę, jak przystawia dziecko do piersi. Czy tak samo jak Daisy ogarniały ją przerażenie i za-

chwyt? Czy budziła się w środku nocy i biegła do łóżeczka sprawdzić, czy dziecko oddycha? Jej mama?

- Jakoś to do ciebie nie pasuje.

- Co to miało znaczyć?

- Chciałam powiedzieć, że nie potrafię sobie wyobrazić, jak wyciągasz pierś i karmisz dziecko.

- Bez obrazy, ale jeszcze przed kilkoma miesiącami trudno było sobie wyobrazić, jak ty to robisz.

- Powinłam już się nauczyć, że nie należy kłócić się z prawnikiem.

- Nie kłócę się i nie jestem w tej chwili prawnikiem.

Zapadła cisza. Z pokoju na końcu korytarza dobiegały ciche odgłosy gry. Słysząc było rytmiczne przelitykanie dziecka. Po kilku minutach Daisy przystawiła go do drugiej piersi.

- Wygląda na to, że albo się kłócimy, albo w ogóle nie rozmawiamy - zauważyła.

- Nie bądź niemądra. To przecież dla ciebie nauczyłam się korzystać z komunikatora internetowego i wysyłać SMS-y. Mów do mnie, kochanie. Chcę więcej wiedzieć o twoim życiu i planach.

Daisy przyszło do głowy, że powinna zachować ostrożność. To mogły być niebezpieczne tematy dla nich obu. Mama miała bardzo zdecydowane zdanie w sprawie różnych planów. Wszystkich, a tych dotyczących nauki w szczególności. Sprzeczały się o to podczas tamtego weekendu, gdy zaszła w ciążę. Ciekawe, czy mama w ogóle to pamięta?

Rozwód rodziców właśnie dobiegł końca i mama zrobiła jej wykład. Mówiła, że nie powinna pozwolić, by to wpłynęło na jej plany, jak ważne jest, by szczególnie teraz Daisy osiągnęła sukcesy w nauce.

Te sukcesy oczywiście oznaczały dostanie się na Uniwersytet Harvarda.

Poinformowała wtedy matkę, że w ogóle nie zamierza iść do college'u. Doskonale wiedziała, że z wszystkiego, co przychodziło jej do głowy, to właśnie najbardziej mamę zabolę. Znacznie mniej by się przejęła, słysząc oświadczenie „jestem lesbijką” albo „przystępuję do sekty”. Najzabawniejsze, że Daisy wcale nie była pewna, czy mama fak-

tycznie tak myśli. Jednak po tej kłótni wypadła z domu i szalała przez cały weekend. No i kilka razy kochała się z Loganem... nie myśląc o zabezpieczeniu.

W gruncie rzeczy miała u mamy dług wdzięczności. Bez tej kłótni Charlie by się nie urodził.

- Coś cię rozbawiło? - spytała Sophie. Daisy pokręciła głową.

- Zastanawiałam się, czy kiedyś damy sobie z tym ludzikiem popalić.

- Możesz się tego spodziewać. Napięcie wydawało się opadać.

- Zapisalam się na zajęcia z fotografii na uniwersytet nowojorski w New Paltz - powiedziała Daisy. - Zaczynamy w poniedziałek.

- To wspaniale. Bardzo się cieszę.

Naprawdę? Daisy nie potrafiła ocenić, czy mama faktycznie tak myśli. Przecież nie tak dawno widziała ją na jednej z tych słynnych, należącej do ligi bluszczowej uczelni, gdzie ostra rywalizacja wypruwała ze studentów wszystkie żyły, a wysoka lokata na liście absolwentów gwarantowała wspaniały start zawodowy. Uniwersytet stanowy z całą pewnością nie spełniał takich wymagań.

- Nie uważasz, że to trochę za wcześnie? - spytała. - Czasem myślę, że pozbywam się go z egoistycznych pobudek, zupełnie jak... - Przerwała gwałtownie, ale już było za późno.

- Jak ja to robiłam z tobą i Maksem? - dokończyła Sophie.

Daisy spuściła wzrok na rude kędziorki Charliego.

- Przepraszam, mamó. Wyrwało mi się.

- Nie przepraszaj. Już jestem z tobą.

- Oczywiście. Tylko... Czasem tak bardzo się boję, żeby czegoś nie popsuć, bo tak bardzo go kocham.

- I dlatego właśnie się boisz.

- Czasami myślę, że powinnam odpuścić sobie szkołę i zostać z Charliem. Z drugiej strony skończenie kursu to dla mnie wielki skok, poprawa naszego życia. Prawdę mówiąc, nawet nie wiem, czy zdołam podjąć naukę. Nie udało mi się załatwić dla Charliego opieki. - Opowiedziała o rozmowie z Irmą. - Do końca tygodnia muszę coś wymy-

ślic. Tata i Nina proponowali, że się nim zajmą, ale stale mają dużo pracy w pensjonacie, a do tego zbliża się Zimowy Karnawał, więc nie wiem...

- A ja się nie liczę?

- Nie oczekuję, że kogoś wynajmiesz...

- Wcale nie to chciałam powiedzieć. Proponuję, że zajmę się Charliem, gdy ty będziesz szła do college'u.

- Mamo, zajęcia trwają aż do maja.

- Zamierzam tu zostać znacznie dłużej. To było całkowite zaskoczenie.

- Nie poruszyłam tego tematu, żeby zmusić cię do pomocy.

- Daisy, naprawdę chętnie to zrobię.

- Dopiero przyjechałaś. Szybko zaczniesz ci się nudzić i pewnie zaraz się stąd zabierzesz.

Sophie patrzyła na swoje dłonie.

- Zasłużyłam sobie na to...

- Mamo...

- Przyjechałam, żeby być blisko ciebie, Maksa i Charliego. Proszę, pozwól mi.

Daisy zmarszczyła brwi. Miała wątpliwości, lecz jednocześnie czuła, że mamie naprawdę na tym zależy. Chciała zajmować się Charliem tydzień po tygodniu, żeby córka mogła spełnić swoje marzenie.

- O mój Boże!! - zawołała, przyglądając się Sophie ze zdumieniem. - Kim pani jest i co pani zrobiła z moją mamą?!

Sophie nie wiedziała, czy powinna poczuć się urażona, czy może rozbawiona reakcją Daisy na jej propozycję. Była przeświadczona, że bardzo chce to robić. Kiedy trzymała Charliego na rękach, nagle ogarnął ją lęk. Jej serce stało się słabe i wrażliwe, jakby było z kruchego szkła, i nawet maleńka, podobna do lalczynej piąstka, która zacisnęła się na jej palcu, łatwo mogła je skruszyć. Czy naprawdę będzie w stanie pomóc Daisy? Tak. Spełni daną córce obietnicę, wesprze ją w ten najprostszy, oczywisty sposób, stanie się częścią rodziny.

Pierwszy przystanek zrobili pod sklepem z odzieżą o nazwie Płatki Zuzu. Sądząc z reklamy w oknie, można tu było nabyć „zabawne modele dla wybrednej kobiety”.

- Jestem zabawna? - spytała Sophie, spoglądając na udrapowane dzianinowe wdzianko, które jej zdaniem byłoby idealne dla wróżki. Daisy nie odezwała się. Nie było takiej potrzeby. - To może wybredna?

Tym razem Daisy roześmiała się.

- No myślę! Na razie jednak wyglądasz na przemarzniętą do szpiku kości. Idziemy.

Max z Charliem czekali na nie w pobliskiej piekarni Sky River, która była znaną w miasteczku firmą.

Sophie nie przepadała za robieniem zakupów. Przyzwyczyła się do korzystania ze sklepów, które przystosowywały usługi do indywidualnych zapotrzebowań klientów, kiedy więc weszła do butiku pełnego wieszaków i półek, poczuła się przytłoczona. Okazało się jednak, że przeglądanie z córką ubrań na wieszakach sprawia jej więcej radości, niż można by oczekiwać. Żałowała, że nie robiła tego w czasie, gdy Daisy była młodsza. Wyprawa na zakupy - czyż nie należało to do współczesnego rytuału inicjacyjnego?

- W jakim rozmiarze nosisz džinsy? - spytała Daisy.

- Nie wiem. Od lat nie kupowałam sobie džinsów.

- Jak można nie mieć džinsów? To taki sam błąd jak niejedzenie śniadania - oburzyła się córka. Wybrała kilka par i przyglądała się z namysłem, gdy Sophie wychodziła z przymierzalni, żeby zademonstrować kolejne modele.

- No i? - spytała matka.

- Masz niesamowicie dobrą figurę jak na swój wiek. Możesz sobie pozwolić na to, żeby wyglądać seksownie.

Dobrze wiedzieć, pomyślała Sophie, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, co przeżyła, gdy zasypał ją śnieg.

W ciągu kilku minut wybrała kaszmirowe swetry: czekoladowy, beżowy i ciemnozielony. Daisy twierdziła, że potrzebna jej wełniana bluza, którą mogłaby nosić pod narciarską kurtką.

- Ale ja nie mam narciarskiej kurtki.

- Jeszcze nie.

Przeszły do sportowego sklepu kilka domów dalej, gdzie uzupełniły garderobę Sophie o rękawice z jednym palcem, ciepły szal, kurtkę, buty na śnieg oraz czapkę.

- Świetna zabawa. - Obładowana paczkami, Sophie wyszła ze sklepu w nowej kurtce i butach. - Dzięki za rady, Daisy.

Wrzuciły zakupy do bagażnika. Idąc w stronę piekarni, Sophie rozglądała się uważnie. Właściwie pierwszy raz widziała miejsce, w którym postanowiła zamieszkać na stałe. Avalon był typowym staromodnym miasteczkiem z kwadratowym rynkiem otoczonym budynkami z czerwonej cegły i ciosanego kamienia, miejskim parkiem pośrodku, wysadzonymi drzewami ulicami, które promieniście odchodziły od rynku, i urokliwym dworcem kolejowym. Zaczynało już zmierzchać. Zachodzące słońce zabarwiło pokryte śniegiem dachy na tajemniczy ciemnoniebieski kolor. Poza Płatkami Zuzu i sklepem sportowym były tu jeszcze czytelnia, stylowa apteka, sklepik z napojami, jubiler, sklep z zabawkami oraz artykuły gospodarstwa domowego. Nad księgarnią Camelot mieściło się biuro z nazwiskiem wypisanym na zasłoniętej żaluzjami szybie: M. L. Parkington, adwokat.

Widok tego znaku poruszył Sophie. W końcu będzie musiała zacząć zarabiać na życie. Jej rodzice, gdy zadzwoniła do Seattle, żeby ich zawiadomić o swoich zamiarach, ostrzegali ją, że małe miasteczko wkrótce ją znudzi. Twierdzili, że zacznie się dusić w przytłaczającej atmosferze prowincjonalnych stosunków i prozaicznych spraw nieciekawych ludzi, prowadzących bezbarwne i nudne życie.

Teraz, rozglądając się po tej scenerii jak z obrazka, zaczęła odzyskiwać pewność, że to, co robi, ma sens. Avalon symbolizował to, czego nigdy wcześniej nie miała: rodzinne miasto. Jednak wraz z tą myślą pojawiły się nowe wątpliwości.

W co ja się, na Boga, pakuję? - zadała sobie pytanie.

Przywołała na twarz radosny uśmiech i razem z Daisy weszła do piekarni. W ciepłym i jasnym pomieszczeniu powietrze było przesycone oszałamiającymi zapachami. Piekarnia Sky River była miejscowym centrum kulturalnym, gdzie ludzie nad filiżanką kawy czytali gazety, wybierali chleb lub ciasto z jagodami na deser, spotykając przy okazji przyjaciół. Po przyjeździe do Avalonu Daisy po szkole przychodziła tu do pracy. Wisiało tu kilka z jej najlepszych zdjęć, które zrobiła w okolicy. Oprawione w ramki i oświetlone jak dzieła sztuki - przecież nimi były - zostały wystawione na sprzedaż. Pod

oknem przy małych okrągłych stolikach siedziało kilku klientów, a jakaś kobieta wyjmowała ciastka z półkolistej witryny.

Charlie, jak można było przewidywać, znalazł się w centrum zainteresowania. Laura Tuttle, kierowniczka piekarni, trzymała go na rękach. Obok nich siedział zachwycony dzieckiem Philip Bellamy, brat Grega.

Weź się w garść, pomyślała Sophie. Wiedziałaś przecież, że to miasto Bellamych. Zacznij się przyzwyczajać.

Philip, najstarszy z czwórki rodzeństwa, był o dwanaście lat starszy od Grega. Obaj mieli równie przyjemną powierzchowność. Obaj też roztaczali wokół siebie atmosferę niewymuszonej pewności siebie.

Na jej widok podniósł się z krzesła.

- Miło cię widzieć, Sophie - rzekł uprzejmie.

Pewnie wcale się nie cieszysz, oceniła w duchu. Objęli się i szybko, zanim jeszcze mogli poczuć się niezręcznie, odsunęli się od siebie.

- Na pewno pamiętasz Laurę Tuttle - ciągnął Philip. - Kierowniczka piekarni, niezrównana w noszeniu dzieci na rękach.

Uśmiech Laury całkiem przyćmił jej niedoskonałą fryzurę i pozbawiony gustu strój.

- Po prostu podziwiam to niesamowite dziecko - powiedziała.

Chyba nie można było znaleźć właściwszych słów. Kiedy Charlie przyszedł na świat, Sophie odkryła jedną oczywistą prawdę: kobieta zawsze głupiała na punkcie swoich wnucząt. Jeśli ktoś chciał wkupić się w jej łaski, wystarczyło, że powiedział coś miłego o wnuku, a od tej pory Sophie uważała go za najlepszego przyjaciela.

Podeszła do lady zamówić herbatę i ze zdziwieniem spostrzegła u swojego boku Philipa.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

- Oczywiście. Naprawdę. Uśmiechnął się szeroko.

- Mam dziwne wrażenie, że jestem osiemdziesiątą dziewiątą osobą, która dziś zadała ci to pytanie.

Barmanka podała herbatę w białym porcelanowym czajniczku. Sophie odmierzyła łyżeczkę cukru do swojej filiżanki.

- Wcale nie. Tyle że nie przywykłam... - Właściwie do czego nie przywykła? Do tego, że ludzie martwią się tym, co ją spotkało? Przecież to żalosne. - Nic mi nie jest - powiedziała zdecydowanie. - Mieszkam nad jeziorem, a wkrótce zacznę się rozglądać za czymś na stałe.

- Chcesz otworzyć kancelarię prawniczą?

- A co, potrzebny ci prawnik?

Ku jej zdumieniu Philip skinął głową.

- Nie ma z tym pośpiechu, ale jak wiesz, moja sytuacja trochę się zmieniła kilka lat temu.

Mało powiedziane. Ni stąd, ni zowąd Philip dowiedział się o istnieniu dorosłej córki, Jenny Majeski, właścicielki piekarni. Jego dawna dziewczyna, Mariska, urodziła jego dziecko, o niczym go nie informując.

Sophie zniżyła głos.

- Wszystko jest w porządku?

- Och tak. Ale obie moje córki, Olivia i Jenny, są młodymi mężatkami. A ja wkrótce też dołączę do tego klubu.

Sophie rzuciła okiem w stronę Laury Tuttle.

- Philip!

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Zadzwoń do ciebie, dobrze?

Przyjrzała się Laurze dokładniej. Mniej więcej w wieku Philipa, była kobietą o gorącym sercu, pulchnym ciele i radosnym uśmiechu. Wyglądała na osobę, która dobrze czuje się we własnej skórze. Sophie popijała herbatę, zastanawiając się, czy kiedykolwiek będzie mogła powiedzieć coś takiego o sobie. Przyglądała się synowi i córce, z jakim ożywieniem rozmawiają z wujem i przyszlą ciotką. Wydawali się tak zżyci, że zaczęła mieć obawy, czy uda jej się tu znaleźć miejsce dla siebie. Skończyła herbatę i wciągnęła nową kurtkę.

- Powinniśmy się zbierać.

Max opierał się o kontuar i wcinał maślany rożek z lukrem.

- Nie dasz rady zjeść obiadu - zaniepokoiła się.

- Nie ma obaw, mamó.

Na obiad pojechali do zajazdu Pod Jabłonią, urządzonego w starej wiktoriańskiej rezydencji nad rzeką. O tej porze roku Rzeka Schuylera była całkiem zamarznięta. Wielkie głązy i leżące na dnie kamienie pokrywała gruba warstwa lodu, jedynie na samym środku widać było niewielką strużkę wody.

- Witamy z powrotem, pani Bellamy - powiedział Miles, znany z elegancji gospodarz zajazdu, którego pamiętała z poprzednich wizyt.

- Dziękuję. - Z dumą zaprezentowała dziecko. - A to mój wnuczek Charlie, najmłodszy Bellamy. Pewnie jeszcze go pan nie poznał.

Miles zrobił zaskoczoną minę na wieść, że Sophie została babcią, co było bardzo przyjemne, po czym z zachwytem spojrział na Charliego.

- Ależ przystojny chłopak. Gratulacje.

- Dziękuję - odezwała się Daisy.

Idąc do stolika, Sophie kątem oka zobaczyła znajomą postać. Szerokie barki, gęste ciemne włosy, niesamowicie przystojna twarz. Noah Shepherd. Spojrzała jeszcze raz, żeby się upewnić, i zamarła. To faktycznie był Noah. Ponad stolikiem uśmiechał się do Tyny Calloway.

- Czy coś się stało, mamó? - spytała Daisy.

Boże, pozwól mi ochłonąć, myślała gorączkowo Sophie.

Najchętniej wtopiłaby się w podłogę, jak śnieg z jej nowych butów. Chociaż z Noahem łączyły ich wyłącznie dwie noce wspaniałego seksu, ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie rozczarowania. Jak kto głupi pozwoliła sobie na jakieś nadzieje. Wierzyła, że będzie inny. Że jej nie zrani. Że jest kimś godnym zaufania...

I nagle się opamiętała. Ten facet był całkiem obcym człowiekiem. Jak kretyńka poszła z nim do łóżka, ale to wcale nie znaczyło, że miało coś z tego wyniknąć.

Odchrząknęła i postarała się przybrać obojętny wyraz twarzy.

- Spostrzegłam, że są tu moi sąsiedzi z nad jeziora. - Lokal był zbyt mały, aby udawać, że go nie zauważyła. Lepiej będzie mieć to z głowy. - Przedstawię was.

Sytuacja wydawała jej się trochę groteskowa. Właśnie miała przedstawić dzieci... no właśnie, komu? Nie potrafiła określić, kim Noah był dla niej. Kochali się, ale przecież nie mogła go nazwać swoim kochankiem. Dopiero się poznali, więc przyjaciółmi też nie byli. Zabawne, że Noah Shepherd w ciągu tak krótkiego czasu stał się dla niej ważny pod tyloma względami: był jej wybawcą, uzdrowicielem, sąsiadem, przyjacielem, kochankiem... A teraz jeszcze, jak widać, oszustem.

Starając się, żeby po jej twarzy nie dało się nic poznać, przedstawiła go Maksowi, Daisy i Charliemu.

- Moi sąsiedzi znad jeziora - oznajmiła obojętnym tonem.

- Twój synek jest śliczny - odezwała się Tina, zwracając się do Daisy. - Jeśli będziesz potrzebowała kogoś do opieki, chętnie przyjdę. Właśnie mówiłam Noahowi, że ubóstwiam dzieci.

Noah wydawał się trochę speszony, gdy wstawał, żeby przywitać się z Makssem i Daisy. W gruncie rzeczy zachowywał się równie niezręcznie i dziecinnie jak Max. Cóż, to rzeczywiście niezręczna sytuacja, gdy jesteś z kimś na randce i nagle wpadasz na kobietę, z którą dopiero spałeś.

- Nasz stolik już jest gotowy - powiedziała Sophie.

Daisy ustawiła nosidełko na siedzisku na oknie, okryła synka kocykiem i podała mu smoczek. Sophie z podziwem patrzyła na jej zręczne ruchy i czułe gesty. Gdzie ona się tego nauczyła? - zastanawiała się. Skąd wiedziała, jak być matką?

Max natomiast mówił o Tinie:

- Wiesz, że jej tata to Sockeye Calloway? Z hokejowej reprezentacji Stanów Zjednoczonych. Dawno temu zdobyli złoty medal.

Wiedziała. Noah jej to powiedział. Zapomniał tylko wspomnieć, że chodzi na randki z córką dawnego olimpijczyka. Z roztargnieniem słuchała Maksa. Ostatecznie nie co dzień przedstawia się dzieci mężczyźnie, z którym się spało.

I to nie jeden raz.

Spanie, w którym akurat spania było najmniej.

Uczciwie mówiąc, wcale nie to było najgorsze. Najgorsze było to, że poszedł na obiad z Tiną Calloway zaledwie kilka godzin po wyjściu z łóżka Sophie.

Postanowiła, że to, co zobaczyła w restauracji, nie popsuje jej humoru. Noah to po prostu jeszcze jeden facet. Facet, który wyciągnął ją z rowu, zszyl ranę, przywiózł drewno na opał. A także, niech będzie, facet, z którym przeżyła niesamowity, pełen orgazmów seks.

Lepiej będzie, jeśli zostaniemy po prostu sąsiadami, zdecydowała. Zresztą przyjechała tu dla swojej rodziny. I jeśli o to chodzi, wieczór był całkiem udany. Dzieci wydawały się zadowolone, że będzie mieszkać w pobliżu. A Charlie był darem - nie, błogosławieństwem - i już cieszyła się na myśl, że będzie mogła uczestniczyć w jego życiu i patrzeć, jak rośnie.

I to mi wystarczy, uznała. Po tym, co przeżyła, wystarczy, że ma dzieci i wnuka. Później na pewno znajdzie też w Avalonie jakichś przyjaciół. Ułoży sobie życie. Z czasem zapomni o epizodzie z Noahem Shepherdem.

Dopilnuje tego. Sięgnęła po telefon, sprawdziła godzinę i odszukała nowojorski numer Brooksa Fordhama.

- Mam nadzieję, że nie dzwonię za późno - powiedziała.
- Skądże. Marzę o spotkaniu z tobą, Sophie. Mamy sporo do obgadania.
- Owszem, ale przede wszystkim chcę na własne oczy zobaczyć, jak sobie radzisz.
- Mogę przyjechać, kiedy tylko zechcesz. Wymień tylko dzień.
- Oczekajmy, aż pogoda się poprawi.
- Niech będzie, ale muszę przyznać, że mam ukryte pobudki. Przygotowuję dla „New Yorkera” materiał o tym, co się wydarzyło, i liczę na to, że będę mógł z tego zrobić książkę.

Przez chwilę milczała. Brooks był pisarzem. To była jego praca. Minęło kilka sekund, nim się odezwała:

- Pomogę ci, jak tylko będę mogła.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Człowieku, ale paskudna kupa gówna! - zawołał w ramach pomocy Bo Crutcher, gdy Noah przechodził koło niego, pchając kiwające się taczki pełne końskiego nawozu.

- Dzięki, że mi przypomniałeś - rzucił Noah przez ramię. - Być może inaczej w ogóle bym tego nie zauważył. - Ostrożnie przetoczył taczki po rampie, wyjechał ze stajni i wydeptaną ścieżką poszedł w stronę sterty na brzegu padoku. W zimnym powietrzu nawóz parował jak gejzer.

Bo przyglądał się temu, stojąc w drzwiach stajni. Był okutany niczym mieszkaniec dalekiej północy w puchową kurtkę, ocieplane buty, grube rękawice i kraciastą czapkę z nausznikami. Wychował się w parnym klimacie teksaskiego wybrzeża Zatoki Meksykańskiej i wcale nie ukrywał, że przerażały go zimno i śnieg. W Avalonie był głównym miotaczem w zawodowej drużynie bejsbolowej, ale zimy spędzał najczęściej na plażach w Teksasie, pracował na polach naftowych i imprezował jak szalony, póki agent nie odsyłał go na wiosenne treningi.

Jednak tej zimy było inaczej. Przed wyjazdem na wiosenne treningi na Florydę postanowił spędzić trochę czasu w Avalonie, żeby zdystansować się, jak wyjaśniał, od byłej dziewczyny. Jednej ze swoich byłych, bo Crutcher miał wiele eksdziewczyn.

Dmuchnął w powietrze kłębem dymu z cienkiego cygara.

- To dopiero jest paskudne - zauważył Noah.

- Przestań gadać jak moja matka. To znaczy gdybym miał matkę. Zresztą palę tylko poza sezonem.

- Oczywiście. A w sezonie masz bzika na punkcie zdrowego trybu życia i przerucasz się na żucie tytoniu.

Noah spojrzał uważnie na przyjaciela. Poznali się trzy lata temu, gdy Bo podpisał kontrakt z Avalon Hornets, zawodową niezależną drużyną bejsbolową w kanadyjsko-amerykańskiej lidze. Jakiś czas później przyłączył się do zespołu Noaha, gdzie grał na kontrabasie.

- A poważnie - podjął Bo, trzymając się z dala, gdy Noah wziął wąż i puścił strumień wody na taczki i betonową podłogę - nie masz kogoś, kto zrobiłby tę robotę za ciebie?

- Czasami mam. Chelsea, dziewczynę, która trzy razy w tygodniu przychodzi pomóc w klinice. Ale stajnię trzeba oczyszczać codziennie. - Z wprawą wyjmował ze skrzyni obrok i ładował do wiadra. - Możesz to zanieść tamtemu koniowi? - Podał Bo cynkowe wiadro wypełnione pachnącym melasą pokarmem.

Mrucząc pod nosem, Bo podszedł do dużego dereszowatego wałacha. Przyjazny jak labrador koń natychmiast się do niego zbliżył.

- Jezu, on mnie stratuje - powiedział, omal nie wyrzucając zawartości wiadra, gdy próbował przykleić się do ściany boksu.

- Co ty. Po prostu cieszy się na twój widok - zawołał Noah, który w boksie obok karmił Alice. - Odpręż się, chłopie. Myślałem, że wszyscy faceci z Teksasu to kowboje i lubią konie.

- Tak się wydaje tym, którzy nie mieszkają w Teksasie. Najbliżej konia znalazłem się, gdy oglądałem powtórki „Bonanzy” na telewizorze, który zresztą ukradłem. - Bo wysypał resztę pokarmu i wycofał się, gdy koń podszedł do żłobu.

- Czekaj chwilę, tylko sięgnę po skrzypce. - Noah udał, że ciągnie smyczkiem po strunach.

Doskonale wiedział, że przyjaciel nie znosi litości. Wolał, gdy się z niego nabijano, niż ubolewano nad jego nieszczęśliwym dzieciństwem.

- Tak czy inaczej - ciągnął Bo - to ty wygarniasz nawóz ze stajni, podczas gdy ja zaraz pojedę na Florydę, żeby popracować nad opalenizną.

Noah zwinął wąż i odstawił narzędzia.

- No dobra, możemy iść.

- Wreszcie. Następnym razem przypomnij mi, żebym przyszedł po tej robocie, a nie przed.

- Ależ ty marudzisz - powiedział Noah, gdy szli przez podwórze. Zapadał już zmierzch i na śniegu tworzyły się długie cienie.

- A marudzę, Tomku Sawyerze. - Czasami nazywał Noaha Tomkiem Sawyerem, ponieważ uważał, że takie sielankowe dzieciństwo, jakie Noah spędził w Avalonie, może się zdarzyć tylko w powieści. On sam był raczej jak Huck Finn, niezależny i wałęsający się, gdzie tylko miał ochotę. Jako samouk przeczytał więcej książek niż ktokolwiek ze znanych Noahowi ludzi. Lubił też okraszać wypowiedzi zarówno cytatami, jak i wulgaryzmami. - To pewnie dlatego, że dawno się z nikim nie przespałem, a to źle działa na samopoczucie i sprawia, że facet zaczyna uważać się nad sobą. Pewnie znasz to uczucie. - Noah nie odezwał się, co było błędem. Crutcher nawet po kilku piwach był na te sprawy wyczulony, jakby miał radar. - Sukinsynu. - Walnął go w ramię. - Zaliczyłeś w końcu jakiś numer. - Gdy Noah w milczeniu szedł dalej, Bo oczywiście nie odpuścił. - Kto to jest? No już, mów. Zamroziłem sobie jaja, dotrzymując ci towarzystwa w stajni, a koń prawie mnie stratował. Jesteś mi coś winien, stary.

Nie wiedzieć czemu Noah nie miał ochoty opowiadać o Sophie Bellamy. To, co się wydarzyło, było takie... niespodziewane. I bardziej pełne emocji niż wszystkie wcześniejsze doświadczenia.

Crutcher, mimo wielu wad, potrafił słuchać, więc Noah zwolnił w końcu i powiedział:

- To było coś... bardzo spontanicznego. Nie znasz jej. A poza tym, jak się zdołał zorientować, wszystko już się skończyło. Kiedy podjeżdżał do domku, gdzie Sophie zamieszkała, albo jej nie było, albo mówiła, że jest zajęta. Poprzedniego ranka wpadł, żeby podrzucić jej drewno i porozmawiać na temat Tiny. Chciał wytłumaczyć, że to, co widział w Pod Jabłonią, wcale nie było randką. Jednak Sophie zignorowała go, mówiąc, że nie oczekuje wyjaśnień. Na domiar złego z miasta przyjechał jakiś facet, pewnie ktoś z jej dawnych znajomych. Widział ich w księgarni, jak pili kawę. Poczul się wtedy, jakby ją śledził, więc uznał, że lepiej będzie zająć się własnymi sprawami.

Niestety nie było to takie proste, bo nie mógł przestać o niej myśleć.

Crutcher przyglądał się mu z namysłem.

- Hm... Widzę, że to poważna sprawa. Można to ocenić po tym, jaki jesteś cichy.

- Powiedziałem przecież, że to było...

- Ta dziewczyna naprawdę ci się podoba! No, chłopie, wywal to z siebie.

- Nie ma nic do wywalania. - Akurat... Noah skierował się na ścieżkę, która rozwi-
dlała się, biegnąc w dół wzgórza, i skręcił w prawo. - Mam jeszcze trochę roboty w klini-
ce. Chodź, pomożesz mi.

Ramieniem otworzył drzwi. Psy i koty zamknięte były w klatkach w zaciemnionym
pomieszczeniu. Z radia sączył się spokojny jazz.

- No, to rozumiem - powiedział z uznaniem Bo, ostrożnie wyjmując z klatki Sam-
sona, miniaturowego jamnika. - Jak, do diabła, taki jamniczek mógł złamać nogę?

- To nie złamanie, tylko skaleczenie szczytkowego palca.

- Wcale nie zapomniałem, że kogoś przeleciałeś - przypomniał mu Bo. - No już,
opowiadaj.

- Nie ma nic do opowiadania. - Noah zbadał charta pana Tibbsa i dużego żółtego
persa z przepukliną.

- No to coś wymyśl. Inaczej zacznę rozsiewać plotki o tobie i... zastanówmy się...

- Nie bądź świnia! No dobra, chodzi o kogoś, kogo dopiero poznałem. To świeża
sprawa i pewnie nic z tego nie będzie. - Nagle uświadomił sobie, że liczy na znacznie
więcej. Niestety Sophie była płochliwa jak diabli i nie bardzo rozumiał, jak ma postępo-
wać. A teraz w dodatku miał przed nią sekrety. Właściwie nie mógł wytłumaczyć się z
tej nierandki, bo musiałby naruszyć prywatność Tiny. Co prawda nie prosiła go o do-
chowanie tajemnicy. W gruncie rzeczy nawet pytała, czy nie zna potencjalnych kandyda-
tów, jak się wyraziła.

Bo odniósł jamnika na miejsce i przyjrzał się Księżnej, suczce rasy shih tzu. Kiedy
zaglądał przez siatkę do jej klatki, Księżna rozchyliła wargi, odsłaniając małe, ostre ząb-
ki.

- Więc to któraś z miejscowych dziewczyn czy...

- Rety, skończ już. - Noah uznał, że najlepiej będzie skierować uwagę przyjaciela
na inne tory. - To sprawa poufna, ale muszę komuś o tym powiedzieć.

- Będę milczeć jak grób.

- Wiesz, kto to jest Tina Calloway? Bo gwizdnął cicho.

- Żartujesz sobie ze mnie? To ona jest twoją nową dziewczyną? Jasne, że wiem, kto to. Jej ojciec jest moim kompanem od kieliszka. Cholera, Noah. Brawo! To niesamowita dziewczyna. Jest już pełnoletnia?

- Chrzań się, Crutcher. - Już zaczął żałować, że postanowił mu się zwierzyć.

- Myślałem, że ona woli dziewczyny.

- Bo woli.

- Skurczybyk. Chcesz powiedzieć, że chodziło jej o trój kącik...

- Interesujące, któredy wędrują twoje myśli, ale to nie tak. - Noah wciąż nie mógł otrząsnąć się z szoku, w jaki wprawiła go prośba Tiny. - No więc zaprosiła mnie na kolację do zajazdu Pod Jabłonią. - Wszyscy w miasteczku wiedzieli, co to mogło znaczyć. Świece, nastrojowa muzyka, uwiedzenie... taki zwykle cel miały randki w podobnych miejscach. - Domyśliłem się więc, że czegoś ode mnie chce.

- Trójkącik... A niech cię.

- Już ci powiedziałem, że nie o to chodzi. - Odłożył na bok rurkę od kroplówki. - Ani słowa nikomu. Pamiętaj.

- Człowieku, już ci obiecałem. Rozmawiamy poufnie. No więc co to było? Oświadczyła ci się? Złożyła jakąś propozycję?

- Tak, ale nie małżeństwa. Obie z partnerką chcą mieć dziecko.

- Wciskasz mi kit...

Noah milczał. Chwila, gdy Tina złożyła swoją propozycję, wydawała mu się całkiem nierealna. Nawet teraz nie mógł w to uwierzyć. To był jakiś zwariowany, kosmiczny żart. Wręcz okrutny, chociaż Tina nie mogła o tym wiedzieć. Jedna kobieta zostawiła go, bo nie chciała mieć dzieci, i oto pojawiła się następna, która chce dzieci, ale jego już nie.

- Daję ci słowo, że gdyby to był ktoś inny, zacząłbym się rozglądać za ukrytą kamerą - podjął Noah. - To wyglądało albo na żart, albo na jakiś eksperyment.

Bo ze śmiechem pokręcił głową.

- A niech cię! - Klepnął Noaha w plecy. - A niech cię! Zakładam, że nie chodziło jej o sztuczne zapłodnienie.

Tina zaczerwieniła się, kiedy przeszła do tego tematu. Nie miały z Paulette pieniędzy na sztuczne zapłodnienie.

Kiedy Noah nie odpowiedział, Bo zerwał z głowy czapkę i chwycił się za włosy.

- Cholera! Niektórzy to mają szczęście. Noah nie powstrzymał uśmiechu.

- Chyba nie myślisz, że się na to zgodziłem.

- Odmówiłeś jej? Człowieku, przecież to bogini! - Pokręcił z niedowierzaniem głową. - No jasne, że odmówiłeś, ty kretynie.

- Najdziwniejsze nie było to, że mnie poprosiła - wyznał Noah - lecz to, że wziąłem jej propozycję pod uwagę, chociaż tylko przez krótką chwilę. W końcu jednak uznałem, że nie mogę tego zrobić. Nie mogę ot tak, bez żadnego zaangażowania, oddać swojego DNA. Na studiach znałem gości, którzy zarabiali na naukę, sprzedając spermę, ale ja tego nie robiłem. - Wzruszył ramionami.

- No to masz swoją historię. Co za ironia losu. Znalazłem w końcu dziewczynę, która chce urodzić moje dziecko, tylko mnie nie chce.

- Całkiem poważnie mówisz, że tego nie zrobisz? - upewnił się Bo.

- A ty byś się zgodził?

- Przecież znasz odpowiedź. I to galopem. A ty jesteś idiotą.

- Możliwe. Kurczę, chcę mieć dzieci... Ale najpierw muszę znaleźć dziewczynę. Zaangażować się.

- Strasznie to smutne, chłopie. Zaslugujesz na coś lepszego.

- Taa... Nie zawsze dostajesz to, na co zaslugujesz.

- Różnie bywa. Zresztą weźmy ciebie, dzielny harcerzyku, członku izby handlowej, podpora społeczności. Zaslugujesz na to, żeby ponętne niewolnice obierały ci ze skórki winogrona. Powinni zalegalizować poligamię, żeby rodziło się więcej facetów takich jak ty. I spójrz na mnie. Piję piwo, palę cygara, nigdy nie widziałem powodu, żeby chociaż jeden dzień uczciwie przepracować. Marny kandydat na partnera i ojca. A tymczasem... - Głos mu się załamał.

Noah patrzył na dziwny wyraz twarzy przyjaciela.

- A tymczasem... - ponaglił go.

Bo odwrócił wzrok i zapatrzył się gdzieś w przestrzeń.

- A tymczasem mam dziecko w Teksasie. Nigdy go nie widziałem. Ani jednego razu, nawet zdjęcia. Jego matce podoba się kolor moich pieniędzy, ale mi odmawia spotkania się z nim.

Mało kto zorientowałby się, ile bólu było w jego głosie. Bo Crutcher zawsze pozował na luzaka, lecz Noah dobrze go znał.

- Bardzo mi przykro - powiedział.

Bo milczał przez chwilę.

- Podjąłeś słuszną decyzję, mimo że trzeba było odmówić bogini.

Noah i Tina rozstali się tamtego wieczoru w dobrych stosunkach. Dziewczyna nastawiła się na odmowę. A potem, jakby dla ukoronowania tej dziwnej rozmowy, zobaczył Sophie Bellamy. Kiedy weszła ze swoimi dziećmi, myślał już tylko o niej. To Sophie Bellamy jest prawdziwą boginią, pomyślał.

- No to się podłamałem - podjął Bo. - Myślałem, że miałeś szczęście.

Noah odwrócił wzrok, ale nie zrobił tego wystarczająco szybko.

- Miałeś, skurczybyku! No już, kto to jest? No to kłapa! - pomyślał.

- Nie znasz jej - próbował się wykręcić. - Mieszka tu od niedawna. - Wiedział, że Bo nie ustąpi, więc opowiedział mu w końcu o Sophie Bellamy.

Przyjaciel popatrzył na niego porozumiewawczo.

- To ktoś wyjątkowy. Widzę to po tobie.

- W takim razie wiesz więcej niż ja. Dopiero się poznaliśmy. Poza tym mogą pojawić się pewne... komplikacje.

- Tak? Na przykład jakie? Jest mężatką?

- Nie. Jezu, Crutcher. Ale jest... starsza ode mnie. Myślę, że nie zdaje sobie z tego sprawy. Wiesz, tacy niedźwiedziowaci faceci jak ja na oko mogą mieć i dwadzieścia pięć lat, i czterdzieści pięć. Próbuję wymyślić, jak jej o tym powiedzieć, żeby się nie spłoszyła.

- Zwyczajnie. Przecież to nie problem.

- Ona może to widzieć inaczej. - Nie wiedział, czemu tak uważa, ale był przekonany, że Sophie z całą pewnością to się nie spodoba.

- Jeśli dowie się, że to przed nią ukrywasz, będziesz miał przejebane, jeśli wybaczysz mi mój francuski.

- To nie było po francusku.

- No popatrz! A już myślałem, że jestem dwujęzyczny. - Podniósł pustą butelkę. - Teraz naprawdę potrzebne mi następne piwo.

- Zaraz tu skończę i będziemy mogli iść do domu. - Przy frontowych drzwiach kliniki rozległ się dzwonek. Psy natychmiast się rozszczękały. Noah poszedł zobaczyć, kto przyszedł. Najwyraźniej ktoś, kto nie potrafi odczytać informacji „Zamknięte”. - Cześć, Sophie. - Irytacja zniknęła wraz z falą radości, która go ogarnęła.

- Cześć, Noah. Ja... - Przerwała, patrząc na coś za nim.

- Szanowna pani, jestem Bo Crutcher. - Bo przeciął pokój z wyciągniętą ręką. Na jego twarzy malował się uśmiech charakterystyczny dla gwiazdy bejsbolu. - Jestem kumplem Noaha.

- Witam pana. Sophie Bellamy. - Wydawała się trochę zmieszana. I choć to raczej niemożliwe, wyglądała dziesięć razy seksowniej niż wówczas, gdy Noah zobaczył ją w restauracji. Miała na sobie dzinsy i rozpiętą narciarską kurtkę, a policzki były zaczerwienione od mrozu. - Przepraszam, Noah. Nie wiedziałam, że jesteś zajęty.

- Nie jestem zajęty.

- Nie jest zajęty - powiedział Bo w tym samym momencie.

- Ale poważnie, w czym mogę ci pomóc? - Spojrzał z ukosa na Bo. Miał nadzieję, że nie wyrwie się z czymś, czego właśnie się dowiedział.

- Szwy - odparła Sophie. - No wiesz, te, które mi założyłeś.

- Coś się dzieje? - Poczuł, że żołądek mu się ściska. Cholera, czyżby coś schrzanił? Może wdała się infekcja?

- Wszystko dobrze - uspokoiła go szybko. - Lekarka powiedziała, że wykonałeś znakomitą robotę.

- Ty? - Bo dziabnął go palcem w żebra. - Niemożliwe.

Sophie obdarzyła go uśmiechem.

- Zraniłam się podczas burzy śnieżnej, a Noah zszyl mi ranę.

- No, no. Ten Noah! Musi go pani kochać.

- Ta lekarka - zwróciła się ponownie do Noaha - mówiła też, że dziś będzie trzeba je zdjąć, ale jej asystentka nie może dotrzeć do przychodni z powodu śniegu. No więc próbowałam to zrobić sama.

- To zły pomysł.

- Sama do tego doszłam. Nie jestem taka odważna, jak sądziłam, ale muszę używać tego kolana. Pomyślałam, że może mógłbyś mi pomóc. To znaczy jeśli nie masz nic przeciwko temu...

- No co ty - przerwał jej szybko.

- W takim razie możemy to zrobić? - Zatrzymała się w drzwiach, spojrzała na Bo: - Może pan wejść. Odwróci pan moją uwagę.

- Będę zaszczycony. - Ruszył za nią. Po drodze trącił łokciem Noaha. - Jesteś niezwykle utalentowany. Bóg płodności, ratownik, weterynarz...

Sophie zmarszczyła brwi.

- Bóg płodności?

Noah obrzucił przyjaciela morderczym spojrzeniem.

- To miał być żart. - Przytrzymał drzwi do sali przyjęć. - Tędy.

- Gdzie mam się ulokować? - spytała Sophie, wchodząc do środka.

Natychmiast przed oczami stanął mu obraz, jak leżała pod nim i zacisnąwszy małe, delikatne dłonie na drewnianych kolumnkach łóżka, przeżyła ciało w jego stronę.

- Noah? - spojrzała na niego pytająco.

- Och... To będzie w sam raz. - Wskazał winylowe krzesło, włączył światło, po czym podwinął rękawy i sięgnął po jednorazowe rękawiczki.

Sophie siadła i podwinęła dżinsy. Bo przyglądał się temu z rozdziawionymi ustami.

- Możesz potrzymać? - Noah podał mu stalową tackę.

- Hm... tak, jasne.

Noah przysunął sobie taboret na kółkach, założył na głowę czółówkę i okulary z powiększającymi szklami. Za pomocą długiej pincety zdjął opatrunek. Poprawił światło.

- Nie ruszaj się. - Używając najmniejszych, ostro zakończonych nożyczek i pincety, delikatnie zaczął zdejmować szwy.

- A więc jest pani nowa w miasteczku - odezwał się Bo.

- Zgadza się.

- To skąd pani przyjechała?

- Z wielu miejsc. Ostatnio mieszkałam w Holandii. Pracowałam w Hadze, w Międzynarodowym Trybunale Karnym.

Bo gwizdnął cicho.

- Nigdy o nim nie słyszałem, ale brzmi imponująco. - Tylko w wykonaniu Bo Cru-
tchera ignorancja wydawała się urocza, tymczasem Noah czuł się przy Sophie jak pro-
wincjusz. Jeździła po całym świecie, podczas gdy on prawie nie ruszył się poza hrabstwo
Ulster. Powinien cholernie się starać, żeby zapewnić jej rozrywkę. A może już zaczęła
się z nim nudzić? Dowodem na to mógł być ten facet, z którym ją widział w księgarni.

- Wygląda nieźle - powiedział, kończąc zdejmowanie szwów. Musiał postarać się
zapomnieć o swoich wątpliwościach. - Szybko się na tobie goi.

Uśmiechnęła się.

- Już mi to mówiono. Dziękuję, Noah. - Wydawała się trochę zakłopotana.

Noah chwycił Bo za ramię i wyciągnął go z gabinetu. Chciał, żeby Sophie mogła
spokojnie poprawić dzinsy i wciągnąć buty.

- Człowieku, czy to ta... - spytał Bo, ledwie znaleźli się za drzwiami.

- Gotowe - powiedziała Sophie, wychodząc do recepcji. - To ja już pójdę...

- Chwileczkę - powstrzymał ją Bo, przeciągając głoski w najlepszym wydaniu tek-
saskiego akcentu. - Jako ostatnia pacjentka doktora Shepherd'a w dniu dzisiejszym, dosta-
je pani premię w postaci poczęstunku.

- Ostatnio proponował mi lekarstwo dla kotów - powiedziała ze śmiertelnie poważ-
ną miną. Zgięła kolano. - Będę musiała podziękować. Skoro już mam zdjęte szwy, wy-
próbuję nowe łyżwy. Mój syn spędzi ze mną ten weekend, a obawiam się, że już trochę
zardzewiałam.

- Nie, sama nie będziesz jeździć - zaprotestował Noah. - Idę z tobą.

Potrząsnęła głową.

- Nie mogę się na to zgodzić. - Spojrzała na Bo. - Zresztą masz gościa.

- Bo może pójść z nami - odrzekł Noah, całkiem spokojny o reakcję przyjaciela.

Crutcher nie rozczarował go.

- Ja? Na łyżwy? Już wolałbym kanałowe leczenie zęba. Pójdę do domu, żeby sprawdzić, czy piwo jest wystarczająco zimne.

Kilka minut później byli już na jeziorze. Późnopołudniowe światło zabarwiło krajobraz na różowo i szaro, a gruba warstwa śniegu tłumiała ich głosy. Noaha nie zdziwiło wcale, że Sophie okazała się całkiem dobrą łyżwiarką. Jej ruchy były spokojne i pełne gracji. Zawsze uważał, że jest coś zmysłowego w kobietach jeżdżących na łyżwach. Co prawda gdyby Sophie jeździła na sztachetach z płotu, też uznaliby, że wygląda seksownie.

- Wcale nie wyszłaś z wprawy - pochwalił ją.

- Wydajesz się zawiedziony.

- Miałem nadzieję, że trochę będziesz się na mnie wspierać. Lubię trzymać cię w ramionach, Sophie.

- Aha - mruknęła sceptycznie.

- Mówię poważnie. Chcę z tobą porozmawiać o tamtym wieczorze.

Skręciła, odjeżdżając od niego.

- Nie ma takiej potrzeby. Już ci mówiłam, że nie jesteś mi winien żadnych wyjaśnień.

Chwycił ją za rękę, zanim oddaliła się za bardzo.

- Nie tędy. Za cienki lód. - Wciąż nie puszczał jej dłoni. - Wiem, że wyglądało to na randkę, a nie chcę, żebyś tak myślała.

- Noah, nie musisz się tłumaczyć.

- Może nie, ale cholernie mnie to gryzie. Mogłabyś pomyśleć, że umówiłem się z kimś po tym, gdy byliśmy z sobą. - Przez chwilę próbował sobie wyobrazić, jak by to zabrzmiało, gdyby wyjaśnił, o co prosiła go Tina. Sophie zachwiała się, więc skorzystał z okazji i objął ją w pasie. - Mam cię. Ty też nie musisz się z niczego tłumaczyć.

Poczuł, że zeszywniała.

- Niby z czego miałabym się tłumaczyć?

- Z tego faceta w księgarni. I od razu wyjaśnię, że nie szpiegowałem cię. Byłem na poczcie, która jest tuż obok.

- To był Brooks Fordham. Jest pisarzem, mieszka w Nowym Jorku. Ale faktycznie, nie muszę się tłumaczyć.

- Jednak jeśli masz ochotę, to chętnie posłucham. Roześmiała się.

- Nie odpuścisz, co?

- Dopiero zacząłem. - Znów poczuł wątpliwości. Pisarz z miasta... Nie miał pewności, czy jego świat kiedykolwiek mógłby stać się dla niej wystarczająco duży i ciekawy.

- Proszę, jaka para gołąbków! - krzyknął Bo z brzegu. - Zaraz odmroziecie sobie tyłki. Chodźcie na piwo.

- Dobry pomysł - poparł go Noah. Wciąż musiał znaleźć sposób, jak powiedzieć Sophie o Tinie. - Możemy wypić za to, żeby nie było więcej nieporozumień - dodał, widząc, że się zawahała.

W końcu uśmiechnęła się.

- Chętnie za to wypiję.

Zostawiła łyżwy na ganku i we trójkę pomaszerowali do Noaha. Kiedy weszli do środka, Opal rozpoznała Sophie i zaczęła szaleć z radości.

- Nie przywykłam, żeby kogoś tak ucieszyła moja obecność.

Prawdę mówiąc, szczeniak wyrażał te same uczucia, które ogarnęły Noaha: żywiołowy entuzjazm na widok Sophie.

- To właśnie powód, żeby mieć szczeniaki - powiedział. - Nie wiedziałaś?

Bo wyjął z lodówki piwo i podał każdemu po butelce.

- Robiłaś kiedyś bombę w aucie? - spytał.

- Nie jestem zwolenniczką bomb ukrytych w samochodach - odparła Sophie.

Bo najwyraźniej nie zwrócił na to uwagi, lecz Noah zauważył, jak pobladła jej twarz. Mieszkała za granicą, może właśnie w takim miejscu, gdzie samochody-pułapki nie występowały wyłącznie w żartach.

- Chodziło mi o taką, jaką robi się z piwa i tequili. Chodź, pokażę ci.

Wszędzie, gdzie pojawiał się Bo Crutcher, robiło się wesoło. Miał wyjątkowy talent. Jego osobowość była równie silna, jak umiejętności bejsbolowe, więc gdy otworzył butelkę tequili i wlał po kieliszku do szklanek z piwem, oboje wypili posłusznie jak dzieci, którym kazano dokończyć mleko.

- Okropne - orzekła Sophie, ocierając usta serwetką.

- Mówili mi o tym gorsze rzeczy. - Bo nalał następną kolejkę. - Możesz mi wierzyć, z czasem robi się lepsze.

- Zdrowie. - Noah wychylił szklaneczkę jednym haustem. Poczuli się jak w dawnych czasach, gdy był członkiem stowarzyszenia Alpha Zeta na Uniwersytecie Cornella.

- Zdrowie - zawtórowała mu Sophie. - Salut, proost, amandla.

- Ho, ho! Słyszałeś? - Bo spojrział na nią z podziwem. - Zna francuski.

- Rozpoznałem holenderski i...

- Umojański - wyjaśniła. - To afrykański dialekt. Bo położył rękę na piersi.

- Uspokój się, moje serce.

Bardzo starając się, żeby nic nie rozlać, Noah ponownie nalał alkohol.

- Jasne. Jeszcze poproś o numer. Sophie wybuchnęła śmiechem.

- Jesteście lepsi niż mój psychoanalitik.

- Masz psychoanalitka? - spytał Bo. Znow się roześmiała.

- A wy nie?

- Ja nie. - Noah uniósł butelkę tequili. - Chyba że to się liczy.

- Nie spotkałam jeszcze osoby, która nie miałaby psychoanalitka.

- Nawet ja go mam - przyznał Bo. - Od niedawna. Mój agent zmusza mnie, żebym się z nim zobaczył.

- Nigdy nie znałam żadnej gwiazdy bejsbolu - powiedziała Sophie.

- Czuję się zaszczycony - odparł Bo, napełniając kieliszki jej i Noaha. - Wez bątwienia. Albo jakoś tak.

- Zapicie problemów... - Sophie zadumała się na moment. - Co za wspaniała myśl.

- Chcesz powiedzieć, że nigdy nie topiłaś kłopotów w butelce? - zdziwił się Noah.

- Chcesz powiedzieć, że masz problemy? - zawtórował mu Bo. - Ni cholery nie wyglądasz na osobę, która ma jakieś kłopoty.

Czknęła, po czym uśmiechnęła się do niego.

- Nawet pojęcia nie masz. - Mimo tych słów, ton jej głosu brzmiał spokojnie. Z oszałamiającym uśmiechem odwróciła się do Noaha. Stuknęli się butelkami. - Za twoje ukryte talenty. Dodamy do tej listy trenowanie łyżwiarzy i chirurgię plastyczną. Moje kolano będzie świetnie wyglądać.

- A jeszcze usługi inseminacyjne - wyrwał się nagle Bo. - Nie zapominajmy o tym. Multidoktor Noah Shepherd, usługi weterynaryjne, chirurgia plastyczna, pogotowie ratunkowe i inseminacja.

- Zamknij się! - Noah spojrział na przyjaciela z wściekłością. Poniewczasie zorientował się, że nie powinien tego mówić. To tylko jeszcze bardziej nakręciło Bo.

- Nie rozumiem - odezwała się Sophie. - Usługi inseminacyjne? Prowadzisz hodowlę?

Bo trzepnął się w udo, rycząc ze śmiechu.

- Nie mówił ci?

- Dosyć! - ryknął Noah. - Ty gnojku! Obiecałeś, że będziesz milczał jak grób.

- Owszem, ale potem wypilem dużo piwa. - Zwrócił się do Sophie. - Córka Socke-ye'a Callowaya chce urodzić jego dziecko.

Sophie uniosła brwi.

- Dobry Boże.

- Przysięgam, wcale nie zmyślam - ciągnął Bo. - Tina ma przyjaciółkę Paulette, są parą. - Z niepewną miną wzruszył ramionami. - To się porobiło...

- Rozumiem. - Sophie z wyraźnym przymusem upiła łyk piwa.

- No, wielka szkoda, gdyby ktoś mnie pytał. - Bo z rozpaczą pokręcił głową, aż światło zamigotało w jego włosach.

- Nikt cię nie pytał - uciął Noah, chociaż wiedział, że już jest za późno. Tajemnica została ujawniona i nie było szansy, by ją ponownie ukryć. Ależ ze mnie dureń, myślał. Bo na trzeźwo nigdy nie zdradziłyby sekretu, lecz po kilku piwach wszystkie przyrzeczenia diabli wzięli.

- Chcesz powiedzieć, że te kobiety chcą mieć dziecko? - dopytywała Sophie.

- No.

- I chcą, żeby Noah...

- No... - Spojrzała na niego, unosząc wysoko brwi.

- Boże, nigdy - pośpieszył z wyjaśnieniem. - Nie mam nic przeciwko Tinie i Paulette. Tylko... kiedy będę miał dzieci, muszę być ich prawdziwym ojcem, a nie... No, wiadomo.

- Zadziwiające, do czego niektóre kobiety mogą się posunąć, żeby zostać matkami
- rzuciła Sophie, po czym zwróciła się do Bo: - A ja mam dwoje dzieci i wnuka.
- Chwileczkę. - Bo zamrugął jak idiota. - Dwoje dzieci i... i co?
- Wnuka.

Znowu wydał cichy gwizd.

Noah posłał mu mordercze spojrzenie. Gdyby Bo wspomniał coś na temat różnicy wieku, gotów był go poćwiartować. Na szczęście Bo uniósł tylko kieliszek w geście toastu.

Sophie pociągnęła następny łyk.

- Jestem tu wyłącznie z powodu dzieci i wnuka. Po raz pierwszy w życiu zamierzam być pełnoetatową, zawsze obecną mamą. To jest moja druga szansa i zamierzam być najlepszą ze wszystkich mam. Chcę stworzyć muzeum sławnych mam. Będę wręcz nierealnie dobrą mamą.

- Wypijmy za Mamatrix! - Noah stuknął się z nią szklanką.
 - Przysięgam uroczyście, że będę supermamą i superbabcią w jednym.
- Bo z namysłem upił łyk piwa.
- No tak. Cóż, powodzenia.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Pierwszego dnia zajęć Daisy wciąż miała wrażenie, jakby brakowało jej czegoś bardzo istotnego. I oczywiście tak było. Brakowało jej Charliego i wszystkiego, co się z nim wiązało. Od pierwszego dnia jego życia wszystko, co robiła, było ukierunkowane na Charliego. Torba z pieluchami. Smoczek. Ulubiona przytulanka. Gryzaczek, krem do pupy, mokre chusteczki, ubranka na zmianę. Obudził się czy śpi? Jest głodny? Zadowolony? Może płacze?

Zadziwiające, jak taka mała istota, mniej więcej rozmiarów piłki do futbolu, mogła ją tak całkiem pochłonąć...

Nie pamiętała już, jak to jest iść gdzieś bez Charliego i wszystkich jego rzeczy. Teraz na kampusie była sama z sobą, plecakiem i torbą z aparatem. Czowała się jak dawna Da-

isy, która musiała martwić się wyłącznie o siebie. Nie przepadała za tamtą Daisy, lecz sympatia do własnej osoby nie była przecież najważniejsza. Wiedziała, że nauka sprawi jej przyjemność, ale nie mogła pozbyć się poczucia winy. Jak mogło jej się podobać coś, co odciągało ją od dziecka? Czy stała się przez to złą matką?

Kiedy patrzyła na innych studentów, czuła się jak ktoś, kto tu nie należy. Odmieniec.

W szkole średniej była bardzo lubiana. Imprezowiczka. Wszystkim wydawało się, że chodzi na imprezy, bo to świetna zabawa. Nie zdawali sobie sprawy, że robiła to, żeby wkurzyć rodziców. Nie sprawiało jej przyjemności, że ich tak denerwuje, ale przynajmniej wtedy musieli o niej myśleć. Bo inaczej koncentrowali się na innych sprawach. Na przykład na rozwodzie.

Wszystko skończyło się tak, jak można było przewidzieć: małżeństwo rodziców rozpadło się i wszyscy byli nieszczęśliwi. Przeprowadziła się z tatą z Manhattanu do Avalonu, prowincjonalnego miasteczka, które gotowa była znienawidzić.

Nie znienawidziła Avalonu. Może nie pokochała go, ale mieszkało się tam bezpiecznie. Niedługo potem odkryła, że jest w ciąży, i nie było już mowy o wyjeździe.

A teraz pojawiła się mama. Przecież to czysty surrealizm!

I oto znalazła się tutaj, oglądała szkołę i próbowała poradzić sobie z czymś w rodzaju szoku kulturowego, którego w ogóle nie przewidziała. Zrobiła to, co robiła bardzo często: obejrzała wszystko przez obiektyw aparatu. Dzień był zimny, ale mróz zbytnio nie dokuczał. Studenci spacerowali w grupkach, śmiejąc się i rozmawiając, co uświadamiało Daisy, jak bardzo jest samotna.

Nie była pewna, gdzie uda jej się tu wpasować. To był uniwersytet stanowy, w związku z czym byli tu najróżniejsi ludzie, od słuchaczy studiów dziennych, którzy mieszkali w akademikach lub dużych wiktoriańskich budynkach, gdzie zakwaterowani byli członkowie stowarzyszeń studenckich, po dojeżdżających, którzy już pracowali i mieli rodziny. Logan mieszkał w Chi Theta Sigma, ale nigdy go tam nie odwiedziła. Ta część jego życia była zupełnie oddzielona. I lepiej będzie, jeśli tak pozostanie.

Tęskniła za Charliem, lecz z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że tych kilka godzin to cudowny dar. Może powinna pójść do klubu studenckiego, napić się kawy i po-

gadać z jakimiś dziewczynami o ciuchach, poplotkować o znanych osobistościach, nagłówkach w dzisiejszych gazetach, inscenizacji „Antygony”, którą wystawiano w kampusie.

Chociaż może lepiej zrobić to po dzisiejszych zajęciach. Mama zapewniła ją, że potrafi zaopiekować się Charliem, a Daisy nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Jej matka, czymkolwiek się zajmowała - czy chodziło o obalenie dyktatora, czy wybieranie grejpfrutów - robiła to bardzo kompetentnie. Pomyślała o mamie i o tym, co musiała przejść. Nazywała to sytuacją zagrażającą bezpieczeństwu i kompletnie bagatelizowała swoją rolę w całym dramacie. Nie lubiła o tym rozmawiać i wyraźnie dawała do zrozumienia, że była wyłącznie obserwatorem. Jednak Daisy podejrzewała, że jej rola nie sprowadzała się do obserwowania wydarzeń. Musiało być naprawdę źle, skoro przyjechała do Avalonu. Jeśli o nią chodziło, mama nie mogła wybrać lepszej pory. Ledwie zdążyła to pomyśleć, poczuła, że jest okropnie samolubna.

Zrobiła kilka zdjęć. Lubiała, jak śnieg rozświecał twarze. Mimo ostrych kontrastów nadawał im szczególną jasność, która sprawiała, że rysy i uczucia stawały się prawdziwsze.

Przesuwała aparat, obejmując cały czworokątny, podłużny dziedziniec otoczony wysokimi, bezlistnymi drzewami i statecznymi ceglanyimi budynkami. Był to jeden z najpiękniejszych i najbardziej tradycyjnych kampusów wśród wszystkich stanowych college'ów. W wizjerze pojawił się chłopak z długimi do ramion, prawie białymi włosami, który niósł oparty na biodrze stos książek.

Zaskoczona omal nie upuściła aparatu. Zach... Czy to możliwe?

Już miała go zawołać, ale uznała, że lepiej tego nie robić. Całkiem możliwe, że popełniła błąd. Minał przecież cały rok. Ale nie, poznałaby Zacha Algera wszędzie. Tyle razem przeszli z Zachem i Sonnet, przyjaciółką, a obecnie również przyrodnią siostrą. To właśnie Zachowi zrobiła kilka najlepszych zdjęć, jakie kiedykolwiek udało jej się wykonać. Nie były to ujęcia pozowane, lecz zwykłe obrazy jego dziwnie frapującej twarzy. Zeszłej zimy zrobiła kilka czarno-białych zdjęć uderzająco przystojnego młodego człowieka, który krył swój wielki ból. Kiedy go fotografowała, nie wiedziała nic ani o bólu, ani o jego przyczynie. Być może przez to właśnie jej zdjęcia nabrały aury tajemniczości.

Gdy podeszła bliżej, wiedziała już, że nie ma mowy o pomyłce.

- Zach! - zawołała, kiedy znalazła się kilka metrów za nim. - Hej, Zach!

Zatrzymał się raptownie, jakby ktoś szarpnął niewidzialny łańcuch, i odwrócił się twarzą do niej. To był ten sam Zach, którego znała, a jednocześnie jakiś inny. Ta sama niezwykła twarz o wyraźnych nordyckich rysach, niesamowicie chabrowe oczy pod jasnymi brwiami, włosy tak jasne, że czasami pytano go, czy je tleni lub czy jest albinosem. Jednak było w nim coś nieznanego. Jakiś dystans. Jakby twarda skorupa nieufności.

- To ja, Daisy.

Uśmiechnął się lekko, ale był to odruch, a nie reakcja na jej słowa.

- Tak, widzę.

- Więc... jak się masz? - Czuła się okropnie niezręcznie. Jeszcze niedawno byli przyjaciółmi. Razem z Sonnet. Romano byli jak trzej muszkietierowie, wszyscy za jednego, jeden za wszystkich. Nierozłączni.

Aż do chwili, gdy rozdzielił ich skandal.

- W porządku - odparł. - A ty?

- Dobrze, Zach. Świetnie.

- To doskonale.

Zapadła niezręczna cisza. Słysząc było skrzypienie śniegu pod nogami, odgłosy rozmów wokół nich. Daisy nie miała pojęcia, co powiedzieć.

- Przepraszam - odezwała się w końcu. - Jakoś dziwnie to wyszło. Nie chciałam, żeby to tak wyglądało.

Ta uwaga zdawała się odrobinę pomóc. Zach rzucił okiem na wieżę zegarową.

- Idziesz na zajęcia czy...?

- Dopiero za pół godziny.

Wskazał klub studencki, który mieścił się w masywnym budynku z rzeźbionym otynkowanym wejściem.

- Napijesz się kawy?

- Z przyjemnością.

Po kawę stanęli w kolejce obok siebie. Zach wybrał zapakowaną w celofan cynamonową bułeczkę, ale zaraz odłożył ją na miejsce.

- Tylko kawa - powiedział. - Od kiedy pracowałem w piekarni Sky River, zrobiłem się strasznie wybredny, jeśli chodzi o wyroby cukiernicze.

Wspomnienie przeszłości jeszcze bardziej przełamało lody.

- To tak jak ja. - Zeszłej zimy oboje pracowali w piekarni w Avalonie. Dzięki Zachowi i Sonnet Daisy nie czuła się obco po przeprowadzce do Avalonu.

Usiedli pod oknem przy laminowanym stoliku.

- Cieszę się, że cię spotkałam - mówiła Daisy. - Nie wiedziałam, czy jeszcze kiedyś cię zobaczę po tym, co się stało...

- Nie musisz owijać w bawełnę. Chciałaś powiedzieć: po tym, jak mojego tatę złapano na okradaniu miasta.

Ojciec Zacha, Matthew Alger, był miejskim skarbnikiem, kiedy Nina pełniła funkcję burmistrza. Gdy z kasy miejskiej zaczęły w tajemniczy sposób ginąć pieniądze, oskarżano o to Ninę, w końcu jednak odkryto, że ślady prowadzą do Matthew. Wszystko się wyjaśniło. Okazało się, że Alger wplątał się ostro w hazard internetowy. Na domiar złego Zach próbował to ukryć, okradając kasę w piekarni. Obecnie Matthew Alger odsiadywał wyrok, natomiast Zach, który nie miał w Avalonie żadnej rodziny, wyjechał z miasta, a Nina, chociaż nie była odpowiedzialna za straty, więcej, sama odkryła sprawcę, i tak zakończyła swoją kadencję w atmosferze skandalu. Zachowała dobrą opinię przyjaciół, ale co przeżyła, to przeżyła.

- Tak - przytaknęła Daisy. - Właśnie po tym. Porzuciłeś szkołę, porzuciłeś piekarnię i wyruszyłeś, zanim zdążyłam powiedzieć ci, jak bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. Zanim Sonnet mogła się z tobą pożegnać.

- Raczej powiedzieć „krzyżyk na drogę”. Mój ojciec próbował zrobić jej matkę. Nie sądzę, by się smuciła z powodu mojego wyjazdu.

- Obie się smuciłyśmy. Nie jesteś winny temu, co robił twój tata. Bardzo się cieszę, że cię znalazłam, Zach. I wiedz, że powiem o tym Sonnet. Zaraz wyślę jej SMS-a.

Rozluźnił się na tyle, że w końcu prawie się uśmiechnął.

- Wciąż tak samo apodyktyczna.

W ciszy, która zapadła, Daisy czuła, że Zacha zżera ciekawość. Skrzyżowała ręce na stoliku i spojrzała na niego.

- Możesz spokojnie zapytać o dziecko.

- Właśnie, tak się zastanawiałem... - Ostatnim razem, gdy się widzieli, była dopiero na początku ciąży i nie podjęła jeszcze decyzji. - Nie chciałem pytać na wypadek, no wiesz...

- W sierpniu urodziłam Emile'a Charlesa Bellamy'ego. Jest cudowny. - Wyciągnęła z portfela zdjęcie. - Mieszkamy w Avalonie. Dojeżdżam tutaj. Dziś mam pierwszy dzień zajęć.

- No, no. - Jak większość chłopaków, nie miał wiele do powiedzenia o dzieciach. - Pewnie jesteś wspaniałą mamą.

- Staram się. - Zaczęła wypytywać Zacha o jego życie. Mieszkał w pobliżu kampusu i dorabiał w piekarni. W przeciwieństwie do wielu ludzi, jemu odpowiadały zwariowane godziny pracy. A w college'u studiował rachunkowość.

Słuchając go, uświadomiła sobie, jak bardzo lubi Zacha i jak bardzo brakuje jej jego przyjaźni. Obecnie miała tak niewielu przyjaciół. Większość z tych, z którymi była blisko w szkole, wyjechała na studia lub znalazła pracę w mieście. Ci, którzy pozostali, wiedli niezbyt ciekawe życie. Była jakaś praca, picie w weekendy, ot, wegetacja z dnia na dzień. Daisy za wszelką cenę broniła się przed taką egzystencją, dlatego właśnie mieszkała sama z synkiem, a nie u ojca. I dlatego siedziała do późna, pracując nad zdjęciami reklamowymi, i postanowiła iść do college'u. Nie chciała, żeby jej życie stało się czymś, co z trudem toleruje.

Opowiedziała Zachowi o niewielkich postępach, które zrobiła w fotografii artystycznej. Jej zdjęcia wisiały w kilku miejscowych firmach, a od czasu do czasu coś sprzedawała. Wykonywała też zdjęcia reklamowe dla miejscowej firmy graficznej i umieszczała prace w sieci.

- Dlatego moje zdjęcia pojawiają się w zdumiewających miejscach - mówiła. - Na przykład w reklamie drzwi przesuwanych, wyrobów ogrodnich, lekarstwa na opryszczkę... - Dopijała kawę. - Ale najlepsze zdjęcia, które kiedykolwiek zrobiłam, to te, które przedstawiają ciebie.

- Cóż, mam nadzieję, że moja twarz nie pojawi się nagle w ulotce reklamowej.

- Po pierwsze, nigdy bym tego nie zrobiła. A po drugie, nie mogłabym nawet, nie mając twojej zgody. - Podała mu zdjęcie wyjęte z portfela. Zrobiła je poprzedniej zimy przy użyciu samowyzwalacza. Byli na nim we trójkę - ona, Sonnet i Zach - w zaśnieżonym lesie. Żadne z nich nie wiedziało, że za jakiś czas Daisy sfotografuje coś, co znaleźli w grocie na wzgórzach, przez które wędrowali. Wyruszyli tego dnia na raketach śnieżnych i odkryli zwłoki kobiety, która zaginęła dwadzieścia pięć lat wcześniej. Ojciec Zacha nie tylko znalazł ofiarę. Był ostatnią osobą, która widziała ją żywą.

Po tym wydarzeniu wszystko się dla ich trójki zmieniło.

- Jak się jej układa? - spytał Zach, odrywając wzrok od zdjęcia. W tym pytaniu było wiele bólu. Zach i Sonnet dorastali razem, przyjaźnili się od przedszkola. Daisy wiedziała, że ciężko przeżyli rozstanie.

- Znakomicie. Na zakończenie szkoły wybrano ją do wygłoszenia przemówienia pożegnalnego. W lecie dostała się na staż do belgijskiej siedziby NATO. Teraz jest na Uniwersytecie Amerykańskim w Waszyngtonie. Wydaje mi się, że chce zostać dyplomatą.

- Z pewnością będzie w tym świetna.

Daisy także nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Sonnet Romano była dziewczyną, jaką każdy rodzic chciałby widzieć w swojej córce. Miała znakomite oceny i doskonałe maniery. Udzielała się społecznie, pomagała w przedszkolu, a w lecie organizowała dzieciom piesze wycieczki. Ślubowała, że nie rozpocznie życia seksualnego przed wyjściem za mąż. Z tego, co Daisy wiedziała, dotrzymywała przysięgi.

- Zrób mi przysługę i nie wysyłaj jej SMS-a - poprosił Zach. - To znaczy... Wiem, że nie powstrzymam cię przed poinformowaniem Sonnet o naszym spotkaniu, ale...

- Dobrze, nie wyślę, ale możesz mi wierzyć, że to nie jest takie wielkie halo. Wydarzyło się tyle innych i znacznie ważniejszych rzeczy, a ta sprawa z twoim tatą to zbyt wielkie głupstwo, żeby się tak przejmować.

- Ważniejszych rzeczy jak na przykład to, że urodziłaś dziecko?

- Również. Ale jest jeszcze coś. Mam nadzieję, że to dobra nowina.

- Zobaczymy.

- Mama Sonnet, Nina, kilka tygodni temu wyszła za mąż.

- No i?

- Za mojego tatę. Nina Romano poślubiła mojego tatę. Więc teraz jesteśmy z Sonnet przyrodnimi siostrami.

Odchylił się na krzesło, patrząc na nią ze zdumieniem.

- I mimo to chcesz ze mną rozmawiać?

- Jak już mówiłam, nie było twojej winy w tym, co się zdarzyło. Nikt nie ma do ciebie pretensji. - Nie odezwał się, ale po jego oczach widziała, że sam się obwiniął. Zaciekawilo ją, czy człowiek kiedykolwiek przestaje oczekiwać akceptacji ze strony rodziców. Nie, chyba nie. W tym momencie przysięgła sobie, że nigdy nie dopuści do tego, by Charlie kiedyś poczuł, że musi walczyć o jej miłość. Będzie ją po prostu miał, absolutną i całkowitą, bez żadnych warunków. - W każdym razie mam nadzieję, że znowu któregoś dnia spotkamy się wszyscy razem... - Nagle przyszło jej coś do głowy. - Najlepiej podczas obchodów Zimowego Karnawału. Sonnet przyjedzie tu w tym czasie. - Zimowy Karnawał był wielkim wydarzeniem w Avalonie. Odbywała się wtedy wystawa rzeźb z lodu, mecze hokejowe na jeziorze, wszelkiego rodzaju wyścigi: psich zaprzęgów, toboganów, trójbój, na który składały się wyścigi na raketach śnieżnych, na nartach oraz łyżwach. Wspólna zabawa była najsympatyczniejszym wydarzeniem podczas zimy. - Powinieneś przyjechać, Zach. Mówię całkiem serio.

- Jasne... Sonnet, nie wspominając o twoim tacie i jego nowej żonie, byłiby zachwyceni.

- Zach...

- Zaraz zaczynają się zajęcia. - Zabrał kubki i wrzucił je do kosza. - Muszę iść.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Sophie dokładnie wyobraziła sobie, jak będą wyglądały jej dni z małym Charliem. W marzeniach widziała siebie, jak przychodzi do Daisy, Charlie wita ją radosnym gawożeniem, a wdzięczna córka wychodzi z domu pełna wiary, że wszystko będzie dobrze. A później, gdy maleństwo będzie sobie rozkosznie spało, ona zajmie się czytaniem książek o pielęgnacji niemowląt. Kupiła kilka pozycji, żeby odświeżyć wiedzę.

Tymczasem dzisiaj rano zastała dom w stanie chaosu: zdenerwowana córka, płaczące dziecko, panujący w całym domu bałagan. Daisy była już właściwie gotowa nigdzie nie wychodzić.

- Nie rób tego. - Sophie podniosła głos, żeby przekrzyczeć płacz dziecka. - Wszystko starannie przemyślałaś. Dasz sobie radę.

- Mogę to zrobić w przyszłym roku albo nawet rok później - łkała Daisy. - To nie musi być akurat w tej chwili.

Udając pewność siebie, której wcale nie czuła, Sophie wzięła na ręce płaczącego, mokrego wnuczka.

- Idź. Przynajmniej spróbuj przez ten jeden tydzień. Poradzimy sobie, Daisy. Zapewniam cię.

W końcu wyszła, zostawiając Sophie i Charliego. Malec nie przestawał płakać i Sophie ogarnęły wątpliwości, czy zdoła dotrzymać obietnicy.

Zaplanowała dzień prawie co do minuty, ustalając pory karmienia, przewijania, zabawy i drzemki zgodnie z zaleceniami w podręcznikach.

Książki niestety nie wspominały, co należy robić, jeżeli dziecko nie chce dostosować się do harmonogramu. Przez zagracony salon przeszła do sypialni, gdzie zmieniła Charliemu pieluszkę. Malec był silny i rozzłoszczony. Płakał i wił się, gdy zmagiała się z przyklepcem i próbowała włożyć pulchne, wierzgające nóżki w czyste śpioszki. Zrzuciwszy brudne ubranka na podłogę, uświadomiła sobie, jak łatwo zrobić bałagan, kiedy jest się samemu z marudzącym dzieckiem. Podniosła Charliego i przytknęła wargi do jego czoła. Nie miał gorączki. Kołysząc go i nucąc, przeszła do salonu, włożyła go do huś-

tawki i poszła podgrzać butelkę. Jednak Charlie nie chciał butelki. Nie chciał też ani smoczka, ani huśtawki, ani zabawek. A już najbardziej nie chciał Sophie.

Położyła go na kocyku na podłodze i rozejrzała się za jakąś zabawką. Nie znalazła nic w zasięgu ręki, więc usiadła obok niego.

- Musimy pogadać, Charlie - powiedziała, gdy na chwilę umilkł. - Wychowałam już dwoje dzieci. - Zauważyła, że gdy mówi do niego, jakby rozmawiała z dorosłym, na moment zapomniał płakać. - Nie boję się ciebie, ale jest jeden problem. Nigdy nie zajmowałam się dziećmi sama. Kiedy urodziłam Daisy, nie byłam jeszcze żoną jej ojca, ale ani przez chwilę nie byłam sama. Tamtego lata mieszkałam ze swoimi rodzicami. A trzeba znać moich rodziców. - Charlie zaczął ssać piąstki. - Poznasz ich, kiedy będziesz trochę starszy. Wciąż przyzwyczajają się do myśli, że zostali pradiadkami. No więc kiedy urodziłam Daisy, uznali, że najlepszym rozwiązaniem będzie otoczyć mnie opieką. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przyniosłam dziecko ze szpitala i natychmiast oddałam je pod opiekę wykwalifikowanej niani. Kilka miesięcy później, gdy już wyszłam za Grega, zatrzymaliśmy nianię. Nie zrozum mnie źle. Moi rodzice chcieli jak najlepiej i zawsze będę im za to wdzięczna, jednak w gruncie rzeczy dali mi do zrozumienia, że sama sobie nie poradzę, że bez pomocy nie będę potrafiła opiekować się dzieckiem. Dlaczego miałam im nie wierzyć? Prawdę mówiąc, byłam im wdzięczna za Ammie i Delię, dzienną i nocną opiekunkę. Obie przepadały za dziećmi i Daisy była ich całym życiem. Doszło do tego, że nie musiałam nawet kiwnąć palcem przy córce ani później, gdy Max przyszedł na świat. Żyłam, jakbym nie była matką. Skończyłam college, studia prawnicze, rozpoczęłam pracę, podczas gdy moimi dziećmi zajmował się ktoś inny. - Charlie wydał jakiś zrzędlawy dźwięk, ale nie zaczął płakać. Wyciągnęła rękę i patrzyła, jak chwyta jej palce, ogląda je, po czym ładuje do buzi i lekko gryzie nowiutkimi ząbkami. - Chodzi mi o to, że na tobie wypróbuję swoje umiejętności, młody człowieku. Dzięki tobie będę mogła poprawić swoje życie. Nie chcę wywierać na ciebie presji, ale pragnę stać się dla ciebie kimś ważnym. Nie tylko miłą panią, która pojawia się od czasu do czasu, żeby się tobą nacieszyć.

Ostrożnie zabrała mu palec i wzięła go na ręce. Całe jej ciało ogarnęło uczucie miłości do tej małej istotki, która pojawiła się tak niespodziewanie i której życie wyznaczyło przyszłość Daisy.

Nie zawsze myśleli o nim jak o błogosławieństwie. Kiedy okazało się, że Daisy jest w ciąży, niektórzy znajomi z Manhattanu, różne ambitne supermatki, które planowały życie swoich dzieci od poczęcia aż po ślub, wyrażały głębokie współczucie. Zachowywały się tak, jakby ktoś umarł, a nie miało pojawić się nowe życie. „Och, Sophie! Tak mi przykro”. Szeptały różne frazesy nad herbatą w St. Regis lub drinkiem w Oak Room. „Musi ci być bardzo ciężko. Wszystkie plany i nadzieje, jakie wiązałaś z Daisy... Wszystko przepadło”.

Odłożyła Charliego i obeszła pokój, podnosząc zabawki. Zbierała miękkie, piszczące drobiazgi, kolorowe grzechotki, chlupoczące gryzaczki. Podążyła malcowi pluszową lalkę z wyhaftowanym dobrodusznym uśmiechem. Charlie chwycił ją i natychmiast podniósł do buzi.

- Oczywiście miałam plany wobec Daisy - opowiadała Sophie. - Snułam różne marzenia, jak każda matka. Ona też myśli o twojej przyszłości, możesz mi wierzyć. Ale jeśli jest mądra, zachowa swoje marzenia dla siebie i pozwoli, żebyś sam je odkrył. - Sophie nie była taka mądra. Mówiła Daisy, czego od niej oczekuje: dobrych stopni, dobrych szkół, znaczącej pracy, małżeństwa opartego na miłości i wzajemnym szacunku. A także jednego lub dwojga zaplanowanych wcześniej dzieci. W tej właśnie kolejności. - Daisy mnie nie słuchała - wyznała Charliemu, który wyrzucił lalkę, a wtedy podała mu plastikowe kółko, na którym wisiały kolorowe elementy. Chwycił zabawkę i podniósł ją do buzi, tym samym potwierdzając jej ważność. - A prawdę powiedziawszy, ja również jej nie słuchałam. Mało która matka to robi. To znaczy słuchają oczywiście sercem, lecz ignorują sygnały, których nie chcą słyszeć. Na przykład tego, że gdy dziewczyna jest wściekła na cały świat i ogarnie ją buntowniczy nastrój, może zacząć uprawiać seks z jakimś chłopakiem. Daisy przynajmniej miała na tyle rozsądku, że nie wzięła ślubu z Loganem O'Donnellem. Są tacy, którzy uważają, że lepszy jakikolwiek ojciec niż żaden, i być może mają rację, ale w tym przypadku wolę wierzyć ocenie Daisy. Ten związek nigdy nie zdałby egzaminu, a ona na szczęście to rozumie. Miała okazję przyjrzeć się z bli-

ska mojemu małżeństwu z Gregiem i pewnie uznała, że ślub zawarty z niewłaściwych powodów nic nie załatwi. - Charlie odrzucił kółko i zaczął ssać piąstki, gaworząc i przyglądając się jej uważnie. - Kiedy przestajesz już ryczeć, jesteś całkiem dobrym słuchaczem. Zachowujesz się lepiej niż większość znanych mi dorosłych. - Uśmiechnęła się do niego, widząc, jak mądrze na nią patrzy. - Masz zielone oczy i rude włosy. Typowo irlandzkie cechy. A może masz już dość tego słuchania? Z pewnością przez całe dzieciństwo będą ci powtarzać, jaki jesteś podobny do ojca. Daisy mówi, że Logan odwiedza cię co tydzień. To częściej, niż się po nim spodziewałam, chociaż właściwie nie znam go aż tak dobrze. - Podała mu zabawkę, którą kilka miesięcy temu kupiła w Niemczech, piłeczkę z dzwoneczkiem w środku. - To zabawne, ale zawsze uważałam Marian O'Donnell za idealną matkę. Uczestniczyła z pełnym oddaniem w życiu swoich dzieci. Zawsze chodziła do ich szkół, pracowała społecznie w bibliotece i pracowni komputerowej. Była kobietą, która rolę matki stawiała na pierwszym miejscu. Sprawiała, że czułam się całkiem niekompetentna. Tymczasem ona również nie zdołała uchronić Logana.

Charlie upuścił zabawkę. Zaczął się kręcić i wykrzywił buzię. Sophie przyglądała mu się przez chwilę. Kupka czy nuda? - zastanawiała się. W końcu uznała, że zaczął się nudzić. Trudno się dziwić. Tkwił tutaj i mimo woli musiał słuchać babci.

Podniosła go z podłogi i kołysząc rytmicznie w ramionach, chodziła między pokojami. Daisy wciąż była tylko nastolatką, co było widać po jej gospodarstwie. Wszystko robiła trochę byle jak, nie przywiązując wagi do szczegółów. No i co z tego? - pomyślała. Potop nie nadejdzie tylko dlatego, że nie poskładało się upranych rzeczy. Zatrzymała się i wyjrzała przez okno, przechylając się tak, żeby Charlie także mógł coś widzieć. Świat wyglądał jak w zimowej bajce. Wszystko było przyozdobione bielą. Niebo zasnuwały ciężkie, szare chmury.

- Daisy mówiła, że lubisz wychodzić w taką pogodę - powiedziała do wnuczka. - Oczywiście trzeba ci włożyć z dziewięć warstw ubrań i zapakować jak w kokonie. Myślę, że dzisiaj zostaniemy w domu.

Popołudnie ciągnęło się długo i nudno. Charlie nie zdradzał najmniejszej ochoty do drzemki, nawet po opróżnieniu dwóch butelek. Sophie postanowiła nie przejmować się harmonogramem dnia. To zresztą było jedno z zadań, które sobie wyznaczyła. Dawna

Sophie przeglądała by gorączkowo książki, sprawdzając, co ma zrobić, skoro dziecko nie chce spać. Obecna Sophie postanowiła dostosować się do wnuczka. To było coś całkiem nowego przebywać z kimś, kto żył bieżącą chwilą, dla kogo widok własnych dłoni wydawał się rewelacją. Wyglądało na to, że dla Charliego każdy moment jest wypełniony nowymi odkryciami.

- Przypominasz zwolennika filozofii zen - powiedziała. - Zwykle wydawało mi się, że powinnam wstać, gdzieś iść, coś zrobić. A ty wydajesz się szczęśliwy, bo... jesteś. I najwyraźniej bardzo ci z tym dobrze.

Ani trochę nie przeszkadzało jej, że nie udało się zrealizować żadnej z zaplanowanych rzeczy. Być może, zastanawiała się, opieka nad dzieckiem bez pomocy współmałżonka czy niani polegała raczej na obecności niż konkretnych działaniach.

- Jak ci leci w tym twoim Mayberry? - spytał Tarik.

Przyzwyczał się dzwonić do niej kilka razy w tygodniu. Wiedziała, że za nią tęsknił, ale nie tylko o to chodziło. Tarik martwił się o nią.

- Znakomicie. Czuję się dobrze, wszystko układa się dobrze. Powinieneś przyjechać i sam zobaczyć.

- Ameryka za bardzo mnie przeraża.

- Więc musisz wierzyć mi na słowo. Nie rozumiem, czemu tak trudno pojąć, że mogę osiąść w małym miasteczku i ułożyć sobie tu życie.

- Myślę, że możesz zrobić wszystko, na co się zdecydujesz. Jednak... och, tylko się nie złość... wiem też, że nie próbowałaś nawet rozprawić się z tym, co wydarzyło się tamtego wieczoru.

- A co? Postanowiłaś zostać moim psychoterapeutą?

- Przyjacielem, Sophie. Kimś, kto cię kocha.

Ze słuchawką przy uchu spacerowała przed dużym, panoramicznym oknem.

- Doceniam twoją troskę, ale świetnie sobie radzę. - Zatrzymała się. - Spotkałam się z Brooksem Fordhamem.

- Facetem z prasy.

- Tak. Już czuje się lepiej. Wciąż jest na urlopie, ale zamierza napisać o tym, co się stało.

- To jasne. Czy tylko po to zadzwonił do ciebie? Zawahała się.

- Trudno powiedzieć.

- Wciąż masz koszmary senne?

- Tak, poza... - Pamiętała jedną sytuację, gdy się nie pojawiły. Było to wówczas, gdy spała z Noahem. - Wiele osób ma koszmary - powiedziała pośpiesznie. - A to wcale nie oznacza, że grozi im załamanie psychiczne.

- Ale też niewiele osób przeżyło to co ty.

- „Incydent” jest już dla mnie historią - zapewniła Tarika. - Po prostu żyję dalej. - Uśmiechnęła się. - Charliemu w zeszłym tygodniu wyrznął się kolejny ząbek. Mówiłam ci o tym?

- Kilka razy. Przysłałaś też zdjęcia.

- A dzisiaj wypada moja kolej i zawożę dzieci na trening hokeja.

- Nie ma to jak dobra rozrywka.

- Przespałam się z facetem, który mieszka w pobliżu - wypaliła w końcu. - Niejednemu raz.

Przez chwilę panowała cisza.

- To wspaniale - oznajmił w końcu Tarik. - Naprawdę to zrobiłaś?

Opowiedziała mu wszystko od początku. Pominęła fragment o zjechaniu do rowu podczas zamieci, wyjaśniając, że poznała Noaha pierwszego wieczoru po przyjeździe do Avalonu.

- Jest zwolennikiem przebywania na świeżym powietrzu. Z zawodu jest weterynarzem. To się stało spontanicznie. - Poczuła, że na samą myśl o Noahu ogarnia ją fala ciepła. - Jesteśmy po prostu znajomymi. Ale coś się narodziło między nami, nawet nie wiem, jak to nazwać.

- No, no. Mam wrażenie, że dobrze ci to zrobiło.

- Muszę przyznać, że to jeden z prostszych sposobów zmiany stylu życia.

- A jak kontakty z byłym mężem?

- Ograniczam je do minimum. Prawdę mówiąc, wciąż mnie boli widok Grega u boku nowej żony, boli, gdy widzę, jak ją kocha i jacy są szczęśliwi. Nie potrafię sobie z tym poradzić.

- Chyba że flirtujesz z sąsiadem.

- No tak. Doktor Maarten powiedziałaby, że badam nowe aspekty swojej osobowości albo rozwijam niewykorzystane dotąd zasoby energii seksualnej.

Skorzystała z okazji, żeby zmienić temat, i wypytała Tarika o pracę sądu i o postępy w sprawach, które prowadził. Słuchała go z ciekawością i nagle poczuła, że ogarnia ją wielka tęsknota. Wciąż należała do świata, w którym miała do zrealizowania misję, gdzie wyzwania były trudne, lecz możliwe do spełnienia, gdzie poznała, co to władza i uczucie spełnienia.

Jednak pamiętała również, czemu tu przyjechała. A przecież dopiero rozpoczęła tę podróż.

Odwiesiła słuchawkę i przeszła się po domku, sprawdzając, czy wszystko wygląda wesoło i gościnnie. Dziś Max miał przyjść do niej prosto po szkole. Po treningu zjedzą obiad - jego ulubione kotlety mielone z sosem pomidorowym - a potem zostanie na noc.

Pukanie do drzwi zaskoczyło ją. Rzuciła okiem na zegar. Na Maksa było za wcześnie. Otworzyła drzwi i zobaczyła, że to Gayle, która mieszkała trochę dalej przy tej samej ulicy.

- Przyniosłam ci trochę słodkich bułeczek - powiedziała z uśmiechem, zrzucając kaptur. W ręku trzymała płaski pojemnik.

- Dziękuję bardzo. - Sophie cofnęła się, żeby zrobić przejście. - To bardzo miło z twojej strony.

- Może nie ciesz się za bardzo. Wypieki to nie moja specjalność, ale za długo siedziałam zamknięta w domu i musiałam zrobić coś innego.

- Wejdiesz na chwilę?

- Na momencik. - Gayle rozejrzała się po pokoju. - Nigdy tu nie byłam. Ładny domek.

- Mój syn Max po raz pierwszy przyjdzie dziś do mnie. Ma dwanaście lat. Mam nadzieję, że spodoba mu się tutaj tak samo jak mnie.

- Jest ślicznie. Co miałoby mu się nie podobać?

- Cóż, na przykład to, że nie mam telewizji kablowej.

- Hm... Ale jak widzę, masz odtwarzacz DVD. Możesz w miasteczku wypożyczyć jakieś filmy w Silver Screen.

- Kuszące, ale obiecałam sobie, że spędzimy ten czas z sobą. Jeśli zamarzy nam się jakaś rozrywka, nauczę go grać w karty. Mimo wszystko denerwuję się. Nie uważasz, że to przygnębiające denerwować się wizytą własnego syna? Od czasu rozvodu mieszkał ze swoim ojcem - wyjaśniła, szykując się na typową reakcję: pytania, krytyczne spojrzenia.

- Nic dziwnego, że się denerwujesz. - Gayle poklepała ją po ramieniu. - Pozwolę sobie na słowo przestrogi. Przygotuj się, że nie wszystko musi ułożyć się idealnie. Podejrzewam, że dużo o tym myślałaś i masz wiele oczekiwań.

Ulżyło jej, że Gayle tyle rozumie.

- Domyślam się, że przemawia przez ciebie doświadczenie.

- Dam ci przykład. Kiedy jednostka Adama została powołana, przed wyjazdem dostał krótki urlop. Zaplanowałam wspaniały dzień dla całej rodziny. Oczami wyobraźni widziałam jedno wielkie pasmo sielankowych scen, które będziemy mogli wspominać przez cały okres jego nieobecności. - Uśmiechnęła się smętnie. - Wspomnienia rzeczywiście pozostały, tyle że wcale nie są sielankowe.

- Rozumiem, że nie wszystko wyszło tak, jak planowałaś.

- Począwszy od bolesnej infekcji ucha dziecka, trzech godzin w poczekalni u lekarza, a kończąc na awanturze, bo Adam uparł się, żeby pojechać z receptą do apteki oddalonej o szesnaście kilometrów, a wszystko dlatego, że farmaceutka jest jego byłą dziewczyną. I tak się skończyły marzenia o piosenkach przy ognisku i wspaniałej kolacji na tarasie gospody. Wszystko uleciało z wiatrem. Sophie mogła sobie wyobrazić ten stres.

- Tak mi przykro.

- Jego pociąg ruszał ze stacji, a ja krzyczałam: „Zabieraj się w diabły z mojego życia”. To właśnie pamiętam.

- O Boże... Naprawdę mi przykro, Gayle.

- Dzięki Bogu zakończenie jest szczęśliwe. Stałam na peronie z dziećmi, gdy pociąg raptem zatrzymał się, a Adam wyskoczył z wagonu. Pociągnął za hamulec bezpieczeństwa, bo czuł się równie okropnie. Więc mimo wszystko pożegnaliśmy się wśród

wiwatów wszystkich pasażerów. Ktoś nawet zrobił nam zdjęcie, które potem pojawiło się sama nie wiem w ilu gazetach.

- Więc jednak miałaś swoje romantyczne pożegnanie. Gayle kiwnęła potakująco głową.

- Wyjaśnił mi też, o co chodziło z tą byłą dziewczyną. Okazało się, że to lekarz ją polecił. Nie słyszałam tego przez płacz dziecka, a Adam był zbyt wściekły, żeby mi o tym powiedzieć.

- W końcu wszystko się wyjaśniło.

- Tak. Tyle że go nie ma - wyznała z bólem.

Sophie została sama, bo rozpadło się jej małżeństwo, jednak taka przymusowa rozłąka z mężem to zupełnie co innego.

- Przykro mi - powtórzyła. - Czy mogłabym coś dla ciebie...

- Całkiem możliwe. - Gayle wcisnęła ręce do kieszeni. - Potrzebuję porady. Noah mówił, że jesteś prawnikiem.

O mój Boże...

- Nie prowadzę praktyki.

- Ale mogłabyś?

- Zezwolenie na pracę w tym stanie jest wciąż ważne, ale... - Sama jej to zaproponowałaś, upomniała się. - O co właściwie chodzi?

- O pewien drobiazg związany z prawem do prowadzenia farmy. Głównie hoduję kwiaty, z tego mam największy dochód, ale na przepisach zupełnie się nie znam.

Prawo do prowadzenia farmy w niczym nie przypominało spraw, którymi Sophie zajmowała się do tej pory, jednak bardzo współczuła Gayle, która wydawała się taka zagubiona i w dodatku musiała radzić sobie bez męża.

- Oczywiście. Może jutro?

- Z chęcią. - Spojrzała przez okno. - Będę musiała już iść.

- Odprowadzę cię, to mi opowiesz, w czym rzecz. - Sophie uśmiechnęła się lekko. - Sama już odczuwam zmęczenie siedzeniem w domu. - Dom Gayle był oddalony mniej więcej o sto metrów. - Twoje dzieci mają roczek, trzy i pięć lat, zgadza się? - Boże, czyżby zostawiła je same?

Gayle wyczuła niepokój Sophie.

- Nie martw się. Są w dobrych rękach.

Weszły do środka w momencie, gdy roześmiane dziecko pofrunęło w powietrze, a chwilę później zostało złapane przez dwie silne ręce, które należały do Noaha Shepherd.

Gayle spostrzegła, w jaki sposób Sophie patrzy na Noaha; Sophie zauważyła jej spojrzenie i zarumieniła się.

- Nie przejmuj się - powiedziała Gayle. - On na wszystkie tak działa.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Max czuł się fatalnie w autobusie, który jechał na ulicę Nabrzeżną. Nie znał żadnego z kolegów, którzy mieszkali w tej okolicy. Nie mógł zająć swojego stałego miejsca. Znowu był outsiderem. Obcym, na którego wszyscy patrzą podejrzliwie.

Z plecakiem i sportową torbą, która ciążyła mu na ramieniu, jakby wyładował ją kamieniami, wszedł do środka i pokazał upoważnienie na przejazd nieznanemu kierowcy, który po prostu skinął głową. Autobus, jak wszystkie autobusy, które obsługiwały gimnazjum w Avalonie, był pełen uczniów. Stał pośrodku przejścia i rozejrzał się za wolnym miejscem, starając się nie robić tego zbyt gorączkowo. Wyglądało na to, że będzie musiał usiąść koło kogoś. Tylko kogo? Jeden chłopiec jak zahipnotyzowany wpatrywał się w swoją grę, więc pewnie nie zwróci na niego uwagi. Ruszył w jego stronę.

- Zajęte - poinformował go chłopak, nie podnosząc wzroku.

Poszedł dalej. W autobusie było o wiele za dużo dziewczyn. Wyglądało na to, że będzie musiał wybrać między tumanem, z którym razem chodzili na lekcje fizyki, a grubą dziewczyną z wściekłym wyrazem twarzy. Ktoś za nim popchnął go lekko.

- Może usiądziesz wreszcie?

Opadł na miejsce koło dziewczynki. Może przynajmniej nie będzie chciała z nim rozmawiać.

- Powiedziałam, że możesz tu usiąść?

- Nie. - Plecak wziął na kolana, torbę ze sprzętem wsunął pod siedzenie, po czym oparł kolana o siedzenie przed sobą.

- Wkurzasz mnie.
- To fatalnie.
- Mam na imię Chelsea - przedstawiła się nagle.

A tak liczył na to, że wybierze kogoś, kto nie będzie chciał gadać.

- Max - odparł, patrząc przed siebie.

- Co robisz w tym autobusie?

- Jadę do mamy. - Sam dźwięk tych słów denerwował go. Dla większości dzieci droga do domu i do mamy była jednym i tym samym, lecz nie dla niego. Dobrze przynajmniej, że nie trzeba było lecieć przez całą noc, jak wtedy, gdy mieszkała w Holandii. Więc chyba i tak był jakiś postęp.

- A gdzie mieszka? - spytała Chelsea.

- Na ulicy Nabrzeżnej.

- Też tam mieszkam.

To co, może mamy zostać przyjaciółmi? - pomyślał drwiąco.

- To ostatni przystanek - oznajmiła Chelsea. - Koniec trasy. Przyjeżdżam do domu ostatnia. To też mnie wkurza.

Autobus włókł się chybotliwie wyznaczoną trasą. Hamulce zgrzytały i syczały, gdy zatrzymywał się na przystankach, wypływając kolejnych pasażerów. Kiedy tylko dziewczynka po przeciwnej stronie przejścia wysiadła, Max wskoczył na jej miejsce, ciągnąc za sobą torbę i plecak. Oparł się o szybę i wbił spojrzenie w okno.

Niestety to nie powstrzymało Chelsea, która nadal mówiła. Chociaż odpowiadał jej tylko tyle, ile wymagała grzeczność, paplała bez ustanku. Lista rzeczy, które ją wkurzały, rosła z każdym zakrętem drogi. Denerwowało ją to, że był śnieg, a oni akurat teraz musieli chodzić do szkoły. I to, że na ulicy Nabrzeżnej nie można było założyć kablówki, przez co „High School Musical” musiała oglądać u koleżanki. A także cena wyciągu na Siodłową Górę, gdzie co weekend jeździła z dziadkiem na narty.

- Jeździsz na nartach? - spytała Maksa, przerywając tę litanię.

- Na snowboardzie.

- To dopiero odlotowe. Chciałam się nauczyć, ale dziadkowie nie chcą mi kupić deski. To też mnie wpienia.

Maksa też wiele rzeczy złościło, chociaż nie opowiadał o tym wszystkim dokoła. Kiedy oblał jakiś test, a potem musiał dać go tacie do podpisu. To dopiero było irytujące. Albo gromada nowych kuzynów, których w ogóle nie znał. I to, że nie wiedział, jak wygląda dom, gdzie mieszkała mama. Wewnętrzne rozdarcie, gdy myślał o tacie i mamie. Świadomość, że czeka go nudny weekend. Kiedy się tak zastanowić, było mnóstwo rzeczy, które go wkurzały.

- To gdzie jest twój dom? - spytała Chelsea takim tonem, jakby już raz jej to powiedział, chociaż wcale tego nie zrobił.

- Naprzeciwko farmy mleczarskiej Shepherd. - Mama mówiła, żeby wypatrywał dużej stodoły, jedynej, którą było widać z drogi. Na bocznej ścianie miała wymalowane logo mleczarni z krową. Z tego, co mama mówiła, wynikało, że mleczarnia już nie funkcjonowała. Facet, którego poznali tamtego wieczoru w restauracji, przerobił ją na klinikę dla zwierząt.

- To mój przystanek - oznajmiła Chelsea. - Pracuję kilka godzin w tygodniu u doktora Shepherd. Pomagam mu przy zwierzętach.

- Aha. - Nawet go to zainteresowało, lecz ograniczył się do „aha”.

- Pokażę ci, gdzie trzeba wysiąść.

- Świetnie. - Tak jakby nie mógł sam znaleźć stodoły. Autobus zakołysał się, aż przesunęła się torba Maksa.

Przytrzymał ją i wyjrzał przez okno. Zaskoczyło go to, co zobaczył. Na poboczu była wysoka zasp, a tuż za nią zbocze spadało stromo w dół.

- Mówią, że jakieś pięćdziesiąt lat temu właśnie tutaj samochód zjechał z drogi - powiedziała Chelsea. - W wypadku zginęła para nowożeńców, którzy jechali do gospody na miesiąc miodowy. Podobno nigdy nie odnaleziono auta ani ciał, bo jezioro jest w tym miejscu za głębokie. - Zaczęła zbierać rzeczy. - Prawie jesteśmy na miejscu.

Pojawiła się stodoła. Dokładnie taka, jak opisywała mama. Wreszcie.

Zobaczył jakieś pięć domów, które stały nad brzegiem jeziora. Z jednego komina unosił się dym. Mama mówiła, żeby odszukał skrzynkę pocztową, na której będą jaskrawożółte uśmiechnięte buźki. Ciekawiło go, czy zauważyła wyjeżdżający zza zakrętu autobus i patrzy teraz przez okno.

- No to jesteśmy - poinformowała go Chelsea.

Do wyjścia szykowało się jeszcze troje innych dzieci. Max podziękował kierowcy i wyskoczył na drogę, uważając, żeby się nie pośliznąć.

Trójka uczniów - dwóch chłopców i dziewczynka - powędrowało ścieżką odchodzącą od głównej drogi. Po chwili zatrzymali się i zapalili papierosy.

- Ósmoklasiści - oceniła Chelsea z wyraźną niechęcią. - Nienawidzę palenia. Wkurza mnie. No dobra. Pewnie się jeszcze zobaczymy.

Na pewno nie, jeśli ja dostrzegę cię pierwszy, pomyślał Max. Możliwie jak najszybciej przeszedł na drugą stronę i już po chwili znalazł opisany przez mamę znak rozpoznawczy: pełną uśmiechniętych buziek skrzynkę. Ktoś starannie odgarnął wokół niej śnieg, więc była dobrze widoczna. Pewnie zrobiła to mama. Często zachowywała się tak, jakby Max był nierozgarnięty. Proponowała mu nawet, że pójdzie na spotkanie autobusu, ale zaprotestował. Coś podobnego mogły robić matki przedszkolaków, tyle że jego mama nie mogła tego wiedzieć. Jak sięgał pamięcią, nigdy w życiu nie wychodziła po dzieci na przystanek.

Sophie wstrzymywała oddech od chwili, gdy zobaczyła wyjeżdżający zza zakrętu autobus.

Czy w domku było wystarczająco ciepło? Spojrzała na termometr i dorzuciła do ognia. Choć było to tymczasowe mieszkanie, zależało jej, by domek spodobał się Maksowi.

Słyszając jego kroki na ganku, podeszła do drzwi.

- Jesteś wreszcie - zawołała. - Nie mogłam się już doczekać.

- Cześć. - Uścisnął ją krótko.

Odniosła wrażenie, że zrobił to bardziej z szacunku niż miłości.

- Możesz powiesić kurtkę na tym haczyku. Chodź, pokażę ci twój pokój. A może coś zjesz? Opowiedz mi, co dziś robiłeś... - Uświadomiła sobie, że plecie jak najęta.

- Przepraszam. Nie zamierzałam cię zagadać, ale jestem taka podekscytowana, że tu jesteś.

- Ładny domek - powiedział Max, patrząc na proste drewniane meble, kraciaste koce, trzaskający za szybą pieca ogień.

Kiwnęła głową.

- Bardzo go lubię, chociaż leży trochę na uboczu. To miłe ze strony państwa Wilsonów, że mi go pożyczyli.

- Skoro ci pożyczyli, to kiedy będziesz musiała go oddać?

Aha, pomyślała. Sprawdzian.

- Gdy już znajdę coś innego. W Avalonie. Przyjechałam, żeby tu zostać, Max.

- Nie rozumiem.

- Wiem, ale w końcu wszystko zrozumiesz. Chcesz coś zjeść? Sąsiadka przyniosła kilka słodkich bułeczek. Zamierzałam zrobić czekoladę na gorąco. Lubisz czekoladę, prawda?

- Właściwie wolę kawę.

Chwilę trwało, nim zorientowała się, że ją nabiera.

- Kawa hamuje wzrost.

- Zgadza się.

Kiedy wstawiła mleko, Max ruszył na zwiedzanie. Najwyraźniej zachwycił go rozciągający się z okna widok na jezioro. Prawdę mówiąc, ten widok był największą zaletą domku: piękno dzikiego krajobrazu oprawione w okienną ramę. Podobała mu się też przywieziona z nad Niagary lampa ze specjalnie zrobionym abażurem, który wyglądał jak wodospad. Jak wszystkie dzieci - i zresztą Sophie również - stanął na palcach, żeby zajrzeć do środka abażuru i sprawdzić, jak to działa.

- Ciekawe, prawda? - odezwała się. - Niby tylko kolorowe kółko, które nie przestaje się obracać, ale na zewnątrz wygląda to bardzo realistycznie.

- Aha - mruknął niezdecydowanie. - Słyszałem, że nie ma tu kablówki.

- Zdaje się, że są trzy czy cztery kanały. Nie oglądam zbyt dużo telewizji. - Odmierzyła łyżkę holenderskiego kakao i dodała do rondelka. Była to jedna z bardzo niewielu rzeczy, które przywiozła z Holandii. Zdaniem Sophie wychodziła z niego najlepsza czekolada. - A co oglądasz w telewizji? - spytała. - Masz jakiś ulubiony program?

- Różne rzeczy na kablówce - odparł obcesowo. O kurczę!

Kiedy dawniej go odwiedzała, każdy wspólny dzień wydawał się jedynym w swoim rodzaju i oglądanie telewizji nie było istotne. Jednak teraz, kiedy tu zamieszkała, wizyty

Maksa miały stać się czymś zwyczajnym i takie rzeczy jak telewizja zaczynały mieć znaczenie. O tym nie pomyślała.

- Mam odtwarzacz DVD, a w szafce widziałam sporo filmów. Niektóre bardzo lubię.

- Na przykład co?

- „Harold i Maude” - powiedziała bez zastanowienia. Rzeczywiście to był jej ulubiony film i nawet nie przyszło jej do głowy, że komuś może się nie podobać.

- Nie widziałem. - Max otworzył szafkę. Po jego minie można było poznać, że nie podziela gustu Wilsonów do zagranicznych i artystycznych filmów.

- Możemy obejrzeć go razem - zaproponowała Sophie.

- A o czym to?

- O dziecku, które doprowadza do szału jego dominująca matka.

- Bardzo śmieszne - uznał.

Popołudnie upłynęło w dość napiętej atmosferze. Max zjadł cztery muffinki, skończył odrabiać lekcje, odrzucił propozycję gry w karty i wytrzymał dokładnie siedem minut przy filmie „Sędzia Judy”. W obawie, że droga będzie trudna, Sophie jeszcze pogorszyła sytuację, nalegając, by wyruszyli po jego kolegów dużo wcześniej. Koledzy Maksa oczywiście nie byli jeszcze gotowi i w rezultacie musiała siedzieć w samochodzie z włączonym silnikiem, czekając, aż załadują swoje rzeczy. Miała nadzieję, że matki chłopców podejną do auta albo nawet zaproszą ją do środka, ale żadna z nich tego nie zrobiła. Chciała nawiązać jakieś znajomości w Avalonie, ale widocznie podwożenie dzieci na trening nie było najlepszą okazją do zawierania przyjaźni.

Chłopcy nie byli zbyt rozmowni podczas drogi na lodowisko. W każdym razie nie rozmawiali z nią, natomiast z sobą porozumiewali się jakimś własnym, mało zrozumiałym językiem, w którym najwięcej było kuksańców i śmiechu.

Na lodowisku przedstawiła się trenerowi, który wydawał się niewiele starszy od Maksa. Był to rumiany, pełen entuzjazmu mężczyzna o cienkim głosie. Patrząc na rozgrzewkę i ćwiczenia, które chłopcy wykonywali, doszła do wniosku, że najwyraźniej dają go sporym szacunkiem.

Sophie podeszła do matek, które siedziały na trybunach za osłoną z pleksi. Czowała na sobie ich badawcze spojrzenia. Wiedziała, że czekają ją trudne chwile. Nagle zaczęło jej przeszkadzać to, że ma włoską torebkę oraz pasek i rękawiczki od znanego projektanta. Czowała się za bardzo wystrojona i zdała sobie sprawę, że wcale nie wygląda jak najzwyczajniejsza mama. A przecież bardzo tego pragnęła. Chciała czuć się swobodnie w dresie i we własnej skórze. Najwidoczniej czekała ją jeszcze długa droga.

- Jestem mamą Maksa. Sophie Bellamy - przedstawiła się. Kiedy matki zaczęły wymieniać swoje imiona, za wszelką cenę próbowała je zapamiętać. - Pozwolą panie, że się przysiędę?

Przesunęły się, robiąc jej miejsce.

- Ellie - powiedziała jedna z nich. Dziergała coś na drutach, a z jej torby wysuwała się włóczka w jaskrawym kolorze.

- Matka Maksa... - Gretchen uniosła brwi. Wymieniła znaczące spojrzenie z sąsiadką, która miała piękną oliwkową cerę, błyszczące ciemne włosy i nieprzyjemne oczy.

- To matka Maksa, Mario.

Maria skrzyżowała ręce na piersi.

- Nie mów.

- Miło panią wreszcie poznać - powiedziała ta, która wcześniej przedstawiła się jako Gina. Nie wiadomo, czy słowo „wreszcie” zaakcentowała celowo, czy może niechcący.

- Wciąż używa pani nazwiska Bellamy - zauważyła Maria. - To chyba nazwisko po mężu?

Sophie kiwnęła głową. Musiała przyswoić sobie, że w małym miasteczku wszyscy o sobie wszystko wiedzą.

- W moim zawodzie... Wszystkie uprawnienia i zaświadczenia są wystawione na to nazwisko. Pod nim też wydawałam wszystkie publikacje. - Kiedy to mówiła, obserwowała ich twarze i dopiero po niewczasie uświadomiła sobie, że powinna wyjaśnić to znacznie prościej: „Chciałam nosić to samo nazwisko co moje dzieci”. Za późno. Gdyby powiedziała to teraz, domyśliłyby się, że dopiero przyszło jej to do głowy.

- Czy pani mieszkała w Europie? - spytała Vicki.

Ach, więc to o to chodzi, pomyślała. Z tonu Vicki i ze spojrzeń, którymi obrzucały ją te kobiety, można było domyślić się, że nie podoba im się jej wybór. Postanowiła stać im czoło.

- Zgadza się - odpowiedziała. - W Hadze, w Holandii.

- To musiało być niezwykle interesujące.

- Czasami było. - Starła się, żeby nie zabrzmiało to tak, jakby się broniła. Dla dobra Maksa chciała być w dobrych stosunkach z matkami jego kolegów, jednak czuła się wśród nich wyjątkowo niezręcznie. Zwykle oceniano ją na podstawie osiągnięć zawodowych, jako prokuratora, dyplomate. Jednak teraz, gdy zrezygnowała z zawodu, co mogło ją określać? Fakt, że była czyjąś mamą? Czy to wystarczy, żeby ją zaakceptowano w tym lodowatym kręgu?

- Wyobrażaliśmy sobie panią jako osobę z towarzystwa otoczoną wianuszkami tajemniczych, egzotycznych kochanków - rzuciła Ellie.

- Musi pani żartować. - Jednak Sophie wcale nie była tego pewna.

- Zawsze chciałam wyjechać do Europy, ale jestem potrzebna rodzinie powiedziała Maria.

- To tak jak ja. Poczekam, aż dzieci dorosną - dorzuciła Gretchen.

- Czy przypadkiem nie ma pani również córki? - spytała Gina. Ich badawcze spojrzenia płonęły jak lampa podczas przesłuchania. - Chyba w szkole średniej?

- Daisy - potwierdziła Sophie. - Właśnie zaczęła naukę w college'u w New Paltz.

- Daisy - powtórzyła z namysłem Vicki. - Czy ona nie pracowała w piekarni?

- Ach, to ta - odezwała się Gretchen. - Przykro mi z powodu... tego co się wydarzyło.

- Prawdę mówiąc, jestem bardzo dumna ze swojej córki.

- A co się stało? - spytała Ellie. - Nie słyszałam. Wszystko z nią dobrze?

- Daisy ma się świetnie - zapewniła ją Sophie.

- A dziecko również? - chciała wiedzieć Gina. Kobiety wymieniły zdumione spojrzenia.

- Pani córka ma dziecko? - zdziwiła się Ellie.

- Tak. Mam wnuczka, Charliego - poinformowała ją Sophie. - Bardzo go wszyscy kochamy.

Maria pochyliła się ku jednej z kobiet i powiedziała coś półgłosem. Do Sophie dotarł tylko koniec zdania: „z nieprawego łoża”.

Była tak zaskoczona, że wybuchnęła śmiechem.

- Czy to możliwe, że użyła pani słów „z nieprawego łoża”?

Maria nie wydawała się speszona.

- Chce pani powiedzieć, że jest mężatką?

- Nie, ale...

- Ricky, uważaj! - krzyknęła Maria do ciemnowłosego chłopca, zrywając się na nogi. - Nie odwracaj się plecami do numeru czterdzieści siedem. - Ten numer nosił Max. - Pani syn gra bardzo brutalnie. Czy latem zeszłego roku nie został przypadkiem wyrzucony z Małej Ligi?

- Zaproszono go do Avalon Hornets - poprawiła ją Sophie. Miała nadzieję, że nic nie pomyliła. Przynależność do Avalon Hornets, niezależnej drużyny bejsbolowej w Avalonie, była zaszczytem. Tak przynajmniej wyjaśnił jej to Max. Przypomniała sobie, że nie wolno jej zachowywać się defensywnie. Radziła sobie z międzynarodowymi przestępcami, więc poradzi sobie z kilkoma mściwymi babami.

Vicki pokręciła głową i przyłączyła się do chóru pełnych współczucia głosów.

- Myślę, że wszystkie dzieci na swój własny sposób próbują uporać się z rozwo-
dem.

- Zdaje się, że mają panie bardzo wyraźny obraz mojej rodziny - stwierdziła Sophie. - Latałam do Europy, żeby spędzać czas ze swoim cudzoziemskim kochankiem, i zostawiałam dzieci, które przez to cierpiały i wpadały w kłopoty. Boże, nie mogę w to uwierzyć! W którym wieku wy żyjecie?

- Nie zamierzamy się kłócić - powiedziała Gretchen. - Chciałybyśmy tylko zrozumieć tę sytuację.

- Ta sytuacja - oświadczyła Sophie - nie jest waszą sprawą.

- Nie do końca. W tym miasteczku troszczymy się o siebie nawzajem.

Raczej plotkujecie i osądzacie, sprostowała w myślach Sophie. A ona się tu przeniosła. Zamierzała tu zamieszkać. Wśród takich kobiet.

- Gwoli ścisłości - powiedziała, starając się mówić pewnym głosem. W jej pracy konfrontacje i spory były na porządku dziennym. Powinna się czuć w swoim żywiole, a przecież niewiele brakowało, żeby się poddała. - Mieszkałam w umeblowanym apartamencie w odległości kilku kroków od budynku sądu i dwanaście godzin dziennie pracowałam nad sprawami o łamanie praw człowieka. Tęskniłam za dziećmi przez cały ten cholerny czas, ale nie mogły przecież być z nami obojgiem. No i jeszcze, drogie panie, wiadomość z ostatniej chwili: nie jesteśmy pierwszą rodziną, w której zdarzył się rozwód.

- Oczywiście, że nie - przytaknęła Ellie. - Wiele rodzin świetnie sobie z tym radzi.

Działało jej na nerwy to protekcyjne traktowanie, ale postanowiła ugryźć się w język. To przecież prawda, że na pierwszym miejscu stawiała karierę. Te kobiety były koszmarnie, ale to nie zmieniało faktów. Czuli, że musi się stąd jak najszybciej wynieść.

Krażek uderzył w barierkę z pleksi. Huk przypominał wystrzał. Sophie odruchowo podniosła ręce i zasłoniła twarz. Zaraz potem rozległ się gwizdek, informując, że trening dobiegł końca. Dzięki Bogu! Sophie zerwała się na nogi. I tak długo tu wytrzymała.

- Życzę paniom miłego weekendu.

W odpowiedzi została obdarzona nieszczerymi uśmiechami. Kiedy wyszła ze swoimi podopiecznymi na zimne powietrze, żałowała, że nie może wsiąść do samochodu i pojechać, gdzie ją oczy poniosą.

Nie. W ten sposób rozumowała dawna Sophie. Ta obecna nie uciekała przed problemami.

- Jak minął trening? - spytała.

- Spoko - odparli wymijająco, co zresztą było do przewidzenia. Powinna wiedzieć, że nie ma po co zadawać pytań.

- A więc poznałaś ciocię Marię - powiedział Max. Oniemiała.

- Ciocię Marię?

- Lubi, gdy tak na nią mówię. Wiesz, to dlatego, że jest siostrą Niny.

- Ta kobieta jest siostrą Niny? - Właściwie powinna zwrócić uwagę na rodzinne podobieństwo, ta oliwkowa cera, lśniące włosy, błyszczące ciemne oczy.

- No.

Spojrzała z gniewem we wsteczne lustro.

- Nie mogłeś uprzedzić mnie o tym? Choćby jednym słowem?

Wzruszył ramionami.

- Nie sądziłem, że to ważne.

Uświadomiła sobie, że to kolejna wada życia w małym miasteczku. Nigdy nie wiadomo, na kogo wpadniesz.

W domu, kiedy Max brał prysznic, zadzwonił do niej Noah.

- Chcę się z tobą dziś zobaczyć.

Nawet dźwięk jego głosu sprawiał, że czuła się jak podczas gry wstępnej. Weszła do sypialni, żeby móc z nim swobodnie rozmawiać.

- Mój syn, Max, przyjechał do mnie na weekend.

- I jak wam idzie? - spytał po chwili.

- Nudzi się jak mops.

- Przeprowadź go jutro do mnie. Nie musisz wcześniej dzwonić. Po prostu przyjdź.

- Dzięki, Noah, ale myślę, że nic z tego. Domyślam się, że jutro będzie chciał jak najszybciej wracać do ojca.

- Mój syn uważa mnie za nudziarę - zwierzyła się Sophie następnego ranka. Każdego dnia wychodziła pobiegać po prześlicznych ośnieżonych ścieżkach nad jeziorem i w drodze powrotnej często wstępowała do Gayle, jeśli widziała, że sąsiadka bawi się przed domem z dziećmi.

Gayle, która dowodziła budową bałwana, spojrzała na nią z namysłem.

- Ma dwanaście lat, prawda? Czy któryś dwunastolatek może powiedzieć, że rodzice są interesujący? Obowiązkowo musi stwierdzić, że jesteś albo nudna, albo żenująca.

- No to zmierzam we właściwym kierunku. - Napila się wody z butelki. - Pomyśleć, że miałam wspaniałą wizję, jak cudownie spędzimy weekend. Tymczasem na treningu wdałam się w pyskówkę z innymi matkami...

- Niemożliwe.

- O tak, możliwe. Maksowi smakowały twoje muffinki, ale nie chciał jeść moich mielonych z sosem pomidorowym. Kiedyś za nimi przepadał, ale teraz woli kuchnię włoską. Nina jest z pochodzenia Włoszką i zapewne doskonale gotuje.

- Nie dokonuj porównań - ostrzegła ją Gayle. - W ten sposób można oszaleć.

- A podczas „Harolda i Maude” zasnął.

- To rzeczywiście problem.

- Wiem. Jak można nie lubić „Harolda i Maude”?

- Podczas gdy Sophie siedziała nieruchomo, szlochając przy ulubionym filmie, Max zasnął na kanapie. Musiała go obudzić, żeby poszedł do łóżka. - Nie mam pojęcia, co będę z nim dzisiaj robić.

- Idź z nim na jezioro na łyżwy.

- To nam zajmie godzinę. A potem?

- Zabierz go do Noaha.

- Pewnie ma dużo roboty - wykręcała się. Noah sam wczoraj ją zapraszał, lecz podejrzewała, że zrobił to ze zwykłej uprzejmości.

- Nie w sobotę. W soboty nie przyjmuje w klinice. Sophie wruszyła ramionami.

- Może w takim razie pójdę.

- Mamo! - krzyknął Henry, najstarszy z trójki.

- Chodź obejrzeć mój tunel, zanim Miś go zepsuje. Sophie zatupała, żeby rozruszać zziębnięte stopy.

- Pójdę już. Spociałam się podczas biegu, ale jest mi zimno, kiedy stoję bez ruchu.

- Daj Noahowi szansę. Myślę, że przypadną sobie z Maksem do gustu - powiedziała Gayle, nie mając pojęcia, a przynajmniej na to liczyła Sophie, że jej sugestia może mieć jeszcze dodatkowe znaczenie.

- To kim właściwie jest ten facet? - spytał Max nieufnie.

- Nazywa się Noah Shepherd. Doktor Noah Shepherd. Poznałeś go, gdy byliśmy w zajeździe Pod Jabłonią - powiedziała Sophie od niechcienia. Obejrzała się w lusterku na wieszaku, który stał przy drzwiach. Po prysznicu czuła się znakomicie, ale długie, delikatne włosy nie chciały się ułożyć. Włożyła wełnianą czapkę, lecz zaraz zmieniła zdanie i przymierzyła czarny beret. Nie, zbyt pretensjonalnie, uznała. W końcu wybrała

ocieplany kapelusik. Teraz było trochę lepiej, swobodnie i wygodnie, a przy tym nie za bardzo luksusowo.

Bardzo się starała, by nie było widać, że specjalnie przygotowała się do tej wizyty. Ostatecznie makijaż robiła przecież codziennie. A fakt, że włożyła nowiutkie dżinsy i sweter, również nie miał żadnego znaczenia. Zresztą połowa jej garderoby była nowa, skoro musiała dostosować ubrania do warunków pogodowych. Chyba nie było też nic złego w tym, że ucieszyła się, widząc, jak dobrze wygląda w dopasowanej kurtce? To prawda, była trochę próżna. Ale to cecha wszystkich kobiet.

- A ty co? Kochasz się w nim? - spytał Max. Obróciła się gwałtownie w jego stronę. Dobry Boże!

Nie była pewna, czy syn strzelał w ciemno, czy też pociąg do Noaha tak z niej promieniał, że stał się widoczny nawet dla małego chłopca.

- Co za niemądra uwaga - powiedziała. - Żeby nie powiedzieć niestosowna. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Szminka.

- Zawsze używam szminki.

- I tak nie chcę iść z wizytą do twojego sąsiada. Jesteś pewna, że...

- Jestem - przerwała. - Boże, czy wszyscy chłopcy w twoim wieku są tacy podejrzliwi? - Gdy Max wzruszył ramionami, dodała: - I tak dla jasności. Noah bardzo mi pomógł, kiedy przyjechałam tu podczas ostatniej zamieci. Prowadzi klinikę dla zwierząt i po prostu uważam, że chętnie to wszystko obejrzysz.

- Jezu, jak szkolna wycieczka! - mruknął z udawanym entuzjazmem. - Uwielbiam takie wyjścia w teren. Zupełnie jakbym był w szkole. Tyle że w sobotę.

Sophie spojrzała na niego z gniewem.

- Kiedy zrobiłeś się taki cyniczny?

- A kiedy ty zmieniałaś się w robo-mamę?

- Nie rozumiem, o czym mówisz?

- Jesteś jak automatyczna mama z tą swoją gorącą czekoladą, wożeniem nas na trening, mielonymi w sosie i wieczornym filmem.

- Nie jestem robotem, bo mam uczucia.

- A ja nie jestem cynikiem! Bo też mam uczucia. Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie ze złością.

- Jeśli nie będzie ci się tam podobało, od razu wrócimy do domu - przeszła do negocjacji.

- To będzie niezręczne. Jak już tam wejść, będę jak szczur w pułapce.

- On ma szczeniaczka.

- O rany! Co masz na myśli?

- Noah ma szczeniaka. Małego pieska, który chce się wciąż bawić, lizać cię po twarzy i sprawia, że się zaczynasz śmiać bez powodu.

- Ten facet ma szczeniaka? - Max złapał buty i pośpiesznie wciągnął je na nogi. - Rany, czemu mi od razu nie powiedziałaś?

- Nie chciałam wyciągać psiego asa z rękawa. - Uśmiechnęła się, wychodząc za synem na zimny, jasny poranek. To ci dopiero manipulacja!

Patrząc, jak Max wielkimi susami przebiega podjazd i przechodzi na drugą stronę drogi, zastanawiała się, gdzie podziały się te wszystkie lata. Jej syn, o którym wciąż myślała jak o małym chłopcu, rósł w zastraszającym tempie. Był wysoki, silny i umięśniony, z tyłu wyglądał jak młody mężczyzna.

Zwolnił, czekając na nią przed podjazdem do domu Noaha. Ktoś odśnieżył przestrzeń wokół drewnianego znaku, na którym wymalowano napis „Klinika dla zwierząt Shepherd”.
R

Sophie nie była pewna, czy nie powinna wcześniej zadzwonić. Przez rękawiczkę czuła w kieszeni komórkę. Nie... Telefon oznaczałby, że to zamierzona wizyta. Noah, mimo wczorajszego zaproszenia, mógłby uznać, że powinien ich potraktować jak gości. Lepiej będzie, jeśli zwyczajnie wpadną do niego po sąsiedzku, uznała.

- Halo! - zawołała, gdy podeszli do ganku. - Jest tam ktoś?

Przecież nic strasznego nie robię, skarciła się, pukając do drzwi. Byli sąsiadami. Zapukała ponownie, czując, że ogarniają ją wątpliwości. Chyba jednak powinna wcześniej zadzwonić. To niewłaściwe tak przychodzić i...

- Momencik! - Rozległo się szczekanie Rudy'ego i piskliwe ujadanie Opal.

- Psy - powiedział Max z rozpromienioną buzią. - To na pewno jego psy.

- Myślałeś, że zmyślam? Jak ci mówiłam, jest weterynarzem. To jasne, że ma psy. Noah był półnagi, gdy otworzył drzwi. Miał na sobie szorty i buty, na szyi zawiesił biały ręcznik. Tors błyszczał od potu.

- Cześć! - Uśmiechnął się na jej widok, otwierając drzwi szerzej.

- Powinłam była zadzwonić - zaczęła się tłumaczyć. - Przyszliśmy nie w porę.

- W samą porę. - Wytarł rękę i wyciągnął ją do chłopca. - Ty pewnie jesteś Max. Mam na imię Noah.

Max uściskał mu dłoń, ale całą uwagę skupił na psach, które stały za drewnianą bramką w głębi korytarza.

- Mogę je pogłaskać? Bardzo lubię psy, ale tam, gdzie mieszkamy, nie możemy trzymać psa.

Sophie uświadomiła to sobie dopiero w tym momencie. Faktycznie... Tereny wokół Pensjonatu nad Wierzbowym Jeziorem zachowano w dzikim stanie, więc nie było łatwo chować psa w takim miejscu. A to ciekawe, pomyślała. Drobną rysą w wizerunku super-taty Grega.

- No jasne, że możesz. - Noah odzepił barierkę. - To jest Rudy, a ta mała to Opal.

Max opadł na podłogę, próbując przytulić oba psy na raz. Skakały wokół niego, rywalizując o jego uwagę, aż zaczął się głośno śmiać. To był pierwszy raz, gdy Sophie w czasie tego weekendu usłyszała śmiech syna. Przyszło jej do głowy, że psy mogą rozśmieszyć nawet kamień... albo chłopca, który postanowił dać się matce we znaki.

- Ćwiczyłem na dole - wyjaśnił Noah. - Pójdę wyłączyć muzykę. Chcesz tam zajrzeć? Możesz wziąć z sobą Opal.

Max nie miał najmniejszego zamiaru wypuścić z rąk małej, karmelowej puchatej kulki. Razem z Sophie zeszli na dół do sutereny.

- To moja sala do ćwiczeń - powiedział Noah, sięgając po pilota i ścisząc muzykę. Zdaniem Sophie więcej było w tym hałasie niż nut, więc nawet się ucieszyła.

- T-Pain - odezwał się Max. - Lubię ich.

- Jasna sprawa - zgodził się z nim Noah. Pomieszczenie było wyposażone jak prawdziwa siłownia: ruchoma bieżnia, stepper, sztangi, wyciągi, a także jakieś urządzenia na ścianie, najwyraźniej wzorowane na przyrządach do tortur z czasów inkwizycji. Były

tu również głośniki, lodówka i umywalka. Na półce stały butelki z wodą, kubki i szklanki oraz kilka niedbale upchniętych pucharów.

Max zauważył je natychmiast.

- Za co te puchary?

Noah sprzątał sprzęt do ćwiczeń.

- Za wyścigi. Przede wszystkim trójbój.

Mój Boże, pomyślała. Nic dziwnego, że jest tak zbudowany.

- Moja mama pływa - poinformował go Max. - Brała udział w zawodach pływackich w zeszłym roku. Prawda, mamó? - Odwrócił się do Noaha. - Przepłynęła Zuider Zee. To jest w Holandii. Pięćdziesiąt kilometrów, prawda, mamó?

- Nie sądziłam, że będziesz to pamiętał - powiedziała zdumiona.

- No co ty? Jak można zapomnieć, że własna matka przepłynęła morze, nawet jeśli jest małe? - Zwrócił się do Noaha. - Ukończyła wyścig w pierwszej dziesiątce, a pewnie poszłoby jej lepiej, gdyby nie te kobiety ze Wschodnich Niemiec, które mają włosy na piersiach. - Wspiął się na palce, żeby przyjrzeć się pucharom. - Ten jest za „Triatlon ludzi z żelaza”. Co to znaczy?

- Pływanie na trzy tysiące metrów, szesnaście kilometrów jazdy na rowerze i pełny maraton, czyli czterdzieści dwa kilometry.

- Zająłeś pierwsze miejsce - przeczytał Max. - Ale odjazd.

- Teraz przygotowuję się do imprezy podczas Zimowego Karnawału. Wyścigi na łyżwach, na raketach śnieżnych i biegi narciarskie. - Skończył składać sprzęt, wciągnął bluzę z kapturem, spodnie od dresu i poprowadził ich na górę. Sophie zdumiało, jak bardzo Noah i Max przypadli sobie do gustu. Zachowywali się jak starzy kumple. No proszę, pomyślała. Wystarczy, że ktoś traktuje faceta jak bohatera, a natychmiast zaczyna stroszyć piórka.

Maksa najwyraźniej zachwylił ewidentnie męski wystrój domu. Stół z piłkarzykami pośrodku salonu, wielka szafa grająca uratowana z zamkniętego baru, ogromny telewizor wraz z wyposażeniem dodatkowym i całą kolekcją gier wideo. Raj dla chłopca.

- Czy to konsola Wii? - spytał.

- Ostatni model.

- Jakie masz gry?

- Super Smash Bros. Raymana. Mam także PlayStation z Guitar Hero III... - Wymienił kilka nazw, które Sophie brzmiały bardziej obco niż afrykański dialekt.

- Wiesz co? Włącz sobie coś, a ja polecę na górę wziąć prysznic.

- Dzięki. Wolę pobawić się z psami.

- Nie ma sprawy. - Noah odwrócił się do Sophie.

- Zaraz wracam.

Kiedy Max usiadł na podłodze, żeby bawić się z Opal, Sophie z trudem powstrzymała się, żeby nie powiedzieć: „A nie mówiłam?”. Zresztą syn i tak nie zwróciłby na to uwagi. Zaśmiewał się do łez, szalejąc z rozbrykanym szczeniakiem.

Zaczęła rozmyślać o pucharze w wyścigu Ironman, o nagim, błyszczącym od potu torsie Noaha, o jego silnych ramionach. Noah niesamowicie ją pociągał, ale instynkt podpowiadał jej, że powinna to ukryć przed

Maksem. To przecież nie było nic ważnego, przejściowe szaleństwo.

Czy mogło być coś bardziej niezręcznego niż amory w obecności własnych dzieci? Jak Greg sobie z tym radził? Czy dzieciom nie przeszkadzało, że się z kimś spotykał? Czy nie miałyby jej tego za złe, tym bardziej że dopiero przyjechała do Avalonu?

Uśmiechnęła się, widząc, że Max poddał się i pozwolił psu polizać się po twarzy.

- Ona jest sierotą - powiedziała. - Noah mówił, że urodziła się w bardzo dużym miocie i matka nie mogła jej wykarmić, więc Noah karmił ją butelką.

- Mama ją odrzuciła? - Max podniósł Opal na wysokość twarzy. - Biedactwo.

- Trzeba znaleźć jej dom - powiedział Noah, schodząc po schodach. Mokre kręcące się włosy opadały na czoło. Wyglądał niesamowicie seksownie z bosymi stopami i w byle jak wetkniętej w dzinsy kraciastej koszuli.

Nie przyglądaj mu się, upomniała się Sophie. Kiedy na niego patrzyła, całkiem traciła rezon.

- Może chcesz ją zatrzymać - powiedział do Maksa, po czym usiadł, żeby włożyć skarpetki i buty.

Max zerwał się na nogi z psem w objęciach.

- Mógłbym?

- Jeśli mama się na to zgodzi.

- To uczuciowy szantaż - zaprotestowała Sophie. - Jeśli powiem nie, wyjdę na podłogę czarownicę.

- Więc może nie mów nie - poradził jej Noah. - Wspominałaś kiedyś, że byłoby miło dać Maksowi psa. Więc po prostu wyświadczam przysługę.

- Mówiłam tylko teoretycznie...

- Naprawdę tak powiedziałaś, mamó? - Syn wpatrywał się w nią z uwielbieniem.

- Tak, ale może nie tak od razu. Nawet nie mam jeszcze własnego domu. To nie do przyjęcia, żebym do domu, gdzie jestem gościem, wprowadziła psa.

- Wczoraj rozmawiałem z Bertie, żeby upewnić się, czy nie będzie miała nic przeciwko temu - poinformował ją Noah. - Jest za tym całym sercem.

- Nieprawda. Przecież mówiłaś, że jej nie znasz.

- Mówiłem, że dawno jej nie widziałem. Masz swój telefon? - Odruchowo sięgnęła do kieszeni i podała mu komórkę. Otworzył aparat, przejrzał zawartość, kliknął funkcję „wybierz” i oddał Sophie telefon. - Możesz sama do niej zadzwonić.

Zamknęła telefon, zanim uzyskała połączenie.

- Mimo wszystko to niemożliwe. Nie mam czasu na zajmowanie się psem. Trzy popołudnia w tygodniu opiekuję się wnuczkiem.

- W czasie twojej nieobecności Opal może zostawać tutaj - zasugerował Noah. - A kiedy Max nie będzie w szkole, może się nią sam zajmować.

- Mamó, proszę. - Przytulił pieska do piersi. - Ona mnie potrzebuje.

- Wiesz co? - powiedział Noah, zarzucając na ramiona kurtkę. - Oprowadzę cię po swoim gospodarstwie. Opal może iść z nami.

Max razem ze szczeniakiem wybiegli za drzwi. Sophie już za nimi ruszała, gdy Noah chwycił ją za rękę i złożył na jej ustach krótki pocałunek.

Oderwała się od niego.

- Przestań.

- Twój syn nie wie o nas?

- Nie ma żadnych „nas”. Nie ma nic, o czym powinien wiedzieć.

- Więc czym w takim razie jest to, co robimy?

- Nie do wiary. Zachowujesz się, jakbym zraniła twoje uczucia.

- Bo może tak jest.

Wciągnęła rękawiczki, wychodząc na podwórze.

- No to masz problem.

Śnieg skrzypiał pod jego butami, kiedy wyszedł za nią.

- Co to miało znaczyć?

- Nie teraz. - Zdecydowanie ruszyła przed siebie.

- To bardzo miły dzieciak - Noah zmienił temat, kierując się do kliniki. - Chcesz iść z nami?

Sophie westchnęła ciężko. Była niespokojna i w ogóle nie w sosie. Noah przekroczył pewne granice, lecz jednocześnie dał Maksowi powód, żeby spędzał z nią więcej czasu. Zastanawiając się nad tym, dołączyła do nich. Po wyjściu z kliniki, która bardzo zainteresowała Maksa, przeszli do stajni. Obejrżeli pomieszczenie pełne sprzętu medycznego i pusty w tej chwili boks dla pacjentów.

- Jeździłeś kiedyś konno? - spytał Noah.

- Nie. Nie miałem okazji.

- Pokażę ci któregoś dnia. Mam tu jedną dziewczynkę, która kilka razy w tygodniu przychodzi, żeby mi pomóc i poćwiczyć konie. Chelsea Nash. Może ją znasz?

Max zrobił niepewną minę.

- Spotkałem ją w autobusie szkolnym.

- Ona również mogłaby cię pouczyć. No i jest jeszcze twoja mama.

- Mama nie jeździ konno.

- Kiedyś jeździłam - wtrąciła Sophie szybko. - Nawet dość dobrze. Miałam własnego konia.

- No co ty? - Max patrzył na nią niedowierzająco, głaszcząc jednego z koni.

- Byłam w twoim wieku, kiedy miałam Misty. Jeździłam na niej każdego dnia.

- Nigdy mi nie mówiłaś, że w dzieciństwie miałaś konia - powiedział z pretensją.

- Nie mówiłam ci również, że chorowałam na świnkę.

- No tak, ale koń jest ważniejszy.

- Nie, ważniejsza jest świnka.

- I co się stało z tym koniem?

- Umarła, a ja się kompletnie załamalam.

Max podniósł z ziemi Opal i przytulił ją do piersi.

- Nie myśl tylko, że mnie powstrzymasz przed wzięciem tego szczeniaczka.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Noah nie kłamał, mówiąc, że rozmawiał z Bertie Wilson. Sophie zadzwoniła do niej, a Bertie powtórzyła, że oczywiście nie ma nic przeciwko przygarnięciu pieska.

- Mały Noah Shepherd! - Wydawała się rozbawiona.

- Ucieszyłam się, kiedy zadzwonił. Już od lat nie miałam od niego żadnych wiadomości.

Mały Noah Shepherd? Sophie uśmiechnęła się mimo woli. Co jak co, ale mały z pewnością nie był.

Max spędził popołudnie na przygotowaniach do nowego życia i zmianach w domu Sophie, które trzeba było wprowadzić ze względu na pieska. Od Noaha przyniósł skrzynkę, legowisko oraz miski. Daisy i Charlie, którzy przyszli o zmierzchu, wnieśli do domu wesoły podmuch zimowego powietrza.

- Wyszliśmy natychmiast po odczytaniu wiadomości - powiedziała Daisy. - Szczeniaczek?

Sophie wzięła dziecko na ręce, gdy córka odwieszała kurtkę.

- To nie był mój pomysł.

- A powinnaś podkreślać swoje zasługi, bo pomysł jest znakomity.

Daisy poszła na poszukiwanie Maksa i pieska, a Sophie przeniosła spojrzenie na miękki tobołek, który trzymała w ramionach.

- Cześć.

Ku jej radości Charlie obdarzył ją szerokim uśmiechem popartym długim pasmem śliny.

- Poznajesz mnie, co? - Niesamowicie zadowolona z siebie poszła do Daisy i Maksa, który, jak się okazało, urządził miejsce dla psa we wnęce. Wstawił tam skrzynkę, któ-

ra służyła za legowisko, przygotował też miejsce do zabawy. Były tam zabawki, składany stołek i gruba, sękata kłoda.

- Jestem pod wrażeniem - przyznała Sophie. - Jak na osobę, która nigdy nie miała psa, najwyraźniej wiesz, co robisz.

- Mamo, przecież ja to planuję przez całe życie. Widziała, jak jego rysy zmiękły, gdy głaskał suczkę.

Ciekawe, jakie jeszcze ma marzenia i plany? - zastanawiała się. Tak wielu jeszcze rzeczy musiała się o nim dowiedzieć!

Usiadła po turecku na podłodze z dzieckiem na kolanach. Opal podeszła do Charliego, ale zachowała się bardzo grzecznie i tylko go obwąchała. Daisy z zapalem pomagała bratu. Dopiero po chwili do Sophie dotarło, że całe popołudnie minęło bez narzekania Maksa na brak kablówki i gier komputerowych.

Siedziała z dziećmi, wnukiem i nowym pieskiem, czując, jak ogarniają ją uczucia, których w pierwszym momencie nie rozpoznała: czystego szczęścia, spokoju i zadowolenia.

Życie, przynajmniej na razie, wydawało się dobre.

Zacząła właśnie myśleć o przygotowaniu obiadu, gdy zadzwonił telefon.

- Zamówiłem pizzę. Przywiozą za około czterdzieści pięć minut. - W głosie Noaha jak zawsze słychać było radość.

- A mnie to powinno obchodzić, bo...?

- Bo chcę cię od razu uprzedzić, że to będzie pizza bez mięsa.

- Poinformuję o tym media.

- Przyjdźcie. Organizujemy przyjęcie.

- My?

- Ja i chłopcy z zespołu. Z zespołu?

- Jest u mnie córka...

- Weź ją z sobą. Przyrowadź, kogo tylko chcesz.

Przypomniała sobie, że miała być na niego wściekła z powodu psa.

- Noah...

- Czekam. *Aloha*. Cześć.

- Co się dzieje? - spytała Daisy, gdy Sophie odłożyła telefon.

- Co myślicie o spędzeniu kulturalnego wieczoru?

- Gdy dzieci spojrzały na nią podejrzliwie, dodała:

- Kontynentalna kuchnia przy muzyce. - Wciąż miały niepewne miny, więc wyjaśniła: - Pizza i garażowy zespół Noaha. Jesteśmy zaproszeni.

- Ty, elegant! - powiedział Eddie Haven, gitarzysta.

- Pozbądź się tej bluzy.

- A co z nią jest nie tak? - spytał Noah. - Dopiero ją prałem.

- Zalutujesz perfumowanym zmiękcaczem do tkanin. Rzeczywiście przy ostatnim praniu wrzucił do pralki pełną garść zmiękczającego proszku.

- No i co z tego?

- Laski robią się podejrzliwe, gdy czują to od facetów.

Noah podszedł do perkusji i postukał w werbel, żeby sprawdzić strój.

- Nie rozumiem. - Zmarszczył brwi.

- Kiedy koszula pachnie czymś takim, może to znaczyć albo że facet jest gejem, albo że ma dziewczynę.

- Sophie wie, że jestem sam - tłumaczył Noah. - Wie też, że nie jestem gejem.

Eddie ustawiał głośność wzmacniacza.

- Na pewno?

- Bez żadnych wątpliwości.

- Jesteś gościu! - Wyciągnął zaciśniętą pięść i stuknęli się knykциями. Z całego zespołu właściwie tylko Eddie miał talent. Potrafił zawodzić na gitarze jak młody Stevie Ray Vaughan, śpiewając rockowe ballady, przy których dorośli mężczyźni wzdychali tęsknie do utraconej młodości. Nie zrobił wielkiej kariery tylko dlatego, że mieszkał w Avalonie. Nie z wyboru, lecz z konieczności. Była to jakaś zagmatwana historia o utarczce z siostrzeńcem okręgowego prokuratora, przegapionej dacie rozprawy i kłótni ze stetryczalnym sędzią. Skończyło się na tym, że Eddiemu nakazano w czynie społecznym dyrygować chórem kościelnym w Heart of the Mountains. Radził sobie z tym zadaniem bardzo dobrze, co zresztą było do przewidzenia.

Pojawił się Bo Crutcher z dwiema butelkami piwa wciśniętymi do tylnych kieszeni spodni.

- Gotowi na rock and rolla, bracia? - zawołał bojowo.

- Właśnie udzielałem naszemu Noahowi rad dla nieszczęśliwie zakochanych - poinformował go Eddie.

- Nie jest nieszczęśliwie zakochany - prychnął Bo.

- Skąd możesz wiedzieć? - zdziwił się Noah. - Może jestem. Właśnie czuję się całkiem opuszczony.

- Z powodu żądz, ale na pewno nie miłości.

- Skąd, do diabła, możesz to wiedzieć?

- Bo w innym przypadku nie siedziałbyś tu z nami, tylko z nią.

- Zaprosiłem ją - zaprotestował Noah.

- Chodziło mi o to, że urządziłbyś wszystko tak, żebyście zostali we dwoje.

- Nie mogę. Nie dzisiaj.

- Czego nie możesz? - Rayburn Tolley, keyboardzista, wszedł przez kuchnię. Z ogniście czerwonym od mrozu jabłkiem Adama wyglądał jeszcze bardziej chłopięco niż zwykle. Tak jak Noah wychował się w Avalonie. Został policjantem i pracował na posterunku dowodzonym przez komendanta McKnighta, a jednocześnie był kuratorem Eddiego.

- Nie może być sam ze swoją kobietą - wyjaśnił mu Eddie.

- Dlaczego? - zdumiał się Ray.

- To skomplikowane - odparł Noah.

- To może znaczyć cokolwiek, na przykład „jestem mężatką” lub „po śmierci mojego ostatniego partnera odsiadywałam karę więzienia za nieumyślne zabójstwo”.

- Przez cały weekend ma u siebie swoje dzieci.

- No to pech - mruknął Eddie.

- I wnuka - dodał Noah, uważnie przyglądając się kolegom, żeby sprawdzić ich reakcję.

Przyjęli to z wielkim spokojem.

- Jest babcią? - spytał Ray.

- Zgadza się. Wszyscy tu do nas przyjdą, a wy będziecie się przyzwyczajali zachowywać.

- Oczywiście - zgodził się Bo, otwierając piwo.

- Chyba nie wątpisz w nasze maniery? - Ray podszedł do keyboardu i włączył zasilanie.

- Bo to kobieta z klasą - ciągnął Noah.

- To znaczy? - upewnił się Ray.

W tym momencie do pokoju weszła Sophie.

- Cześć. Pukałam, ale chyba nikt nie słyszał.

Noaha na jej widok ogarnęła radość. Jego przyjaciele nie mieli racji, mówiąc o żądzy. Oczywiście, czuł też pożądanie, lecz chodziło o znacznie więcej. Oczywiście pod warunkiem, że nic nie schrzani. Mężczyźni w milczeniu patrzyli, jak Sophie zdejmuje kurtkę. Tylko Eddie mruknął pod nosem:

- O kurczę!

- Poznaj chłopaków - powiedział Noah. Miał ogromną nadzieję, że nie gniewa się już na niego za psa.

- Ja też mam z sobą swoją ekipę. - Sophie wprowadziła dzieci z korytarza i nastąpiły ogólne prezentacje.

Noaha wcale nie zdziwiło, że Daisy, córka Sophie, wygląda tak jak matka - jasne włosy, niebieskie oczy i zabójczy uśmiech. Jej synek był uśmiechniętym, rudowłosym stworzeniem. Bystre oczka uważnie rozglądały się po pokoju.

- Jak ci idzie z psem? - spytał Maksa.

- Na razie dobrze. Znalazłem świetne miejsce na posłanie. Kiedy wychodziliśmy, mocno spała. Wyglądała na zmęczoną.

- Szczeniaki potrzebują dużo snu - przytaknął Noah.

Pizze przywieziono w pięciu pudełkach, każde z innym zestawem. Gdy zajęli się jedzeniem, zapanowała cisza. Później Noah przyniósł napoje i butelkę czerwonego wina, którą znalazł w spiżarni, a po chwili z kolegami złapali instrumenty. Jako zespół nie występowali zbyt często, lecz nie zależało im specjalnie na koncertach, choć dobrze było mieć publiczność, nawet niewielką.

Noah włożył swoją szczęśliwą czapkę bejsbolową daszkiem do tyłu i usiadł za perkusją. Czuł się dziwnie skrepowany, co było do niego zupełnie niepodobne. Przecież sporo ćwiczyli, a dzięki Eddiemu wcale nie byli już tacy źli.

Ze względu na małe dziecko postanowili grać tylko łagodniejsze kawałki. Często grali mocnego rocka, lecz tego wieczoru ograniczyli się do składanki kompozycji, które wyszły spod utalentowanej ręki Eddiego, a także kilku klasycznych, znanych utworów: „Nie płacz, kobieto” Boba Marleya czy „Ogień i deszcz” Jamesa Taylora.

Sophie słuchała ich z pełnym uznaniem, przynajmniej tak mogło się wydawać, gdy siedziała zamyślona na sofie. Możliwe jednak, że po prostu była uprzejma. Max - entuzjasta bejsbolu - wpatrywał się z uwielbieniem w Bo Crutchera, któremu sprawiało to ogromną przyjemność. Kiedy zakończyli balladą Erica Claptona, Sophie zaczęła bić brawo, a Noaha obdarzyła takim uśmiechem, że zapragnął zostać z nią sam.

- Któreś z was gra? - spytał Eddie podczas przerwy.

Max i Daisy jak jeden mąż spojrzeli na matkę. Zrobiła zaskoczoną minę, lecz w końcu przyznała:

- Na pianinie. Ale już dawno nie grałam.

Eddie wziął ją za rękę i używając całego uroku osobistego, poprowadził do keyboardu. Ray dzielnie odsunął się na bok. Stała przez chwilę wyraźnie zdezorientowana.

- Uczyłam się tylko klasycznych utworów.

- Bez obaw, nie będziemy ci tego wypominać.

Siadając, bezwiednie przyjęła wyuczoną postawę pianisty. Zagrała kawałek, którego Noah nie rozpoznał, coś, co nadają w radiu w niedzielne poranki. Ray ożywił to trochę, dodając elementy elektroniczne, Noah włączył się z perkusją, a Bo podkreślił całość kontrabasem. Wreszcie przyłączył się do nich Eddie, który zagrał kilka chwytów gitarowych, dając krótki popis wirtuozerii. Przez kilka następnych minut melodia, którą stworzył jakiś facet w upudrowanej peruce, zmieniła się w całkiem nowy utwór.

Dzieci Sophie patrzyły z ustami otwartymi ze zdumienia. Pod koniec utworu roześmiała się, widząc ich miny.

- Wasze zaskoczenie chyba mnie obraża.

- Mamo, to było naprawdę dobre - powiedział Max.

- Daisy, a może ty spróbujesz? - zaproponowała. - Na lekcjach muzyki świetnie dawałaś sobie radę. A ty, zdaje się, zacząłeś grać na perkusji, prawda, Max?

Wzięła na ręce dziecko i zamieniła się miejscami z córką, a Noah ustąpił Maksowi miejsca za perkusją. Chłopiec z początku był sztywny i niepewny, lecz po kilku minutach świetnie się bawił, wygłupiając się z muzykami.

Noah pochylił się do Sophie.

- Spragniona?

- Napiłabym się wody.

Kiedy weszli do kuchni, Noah natychmiast ją pocałował, pochylając się nad Charliem, którego trzymała w ramionach.

- Marzyłem o tym przez cały wieczór. Nigdy jeszcze nie byłem z kobietą, która miała dziecko.

Spojrzała na niego uważnie, po czym podała mu Charliego.

- To jest wnuczek.

- To również dla mnie nowość. - Myliła się, jeżeli pomyślała, że zbije go tym z tropu. Malec zaczął się wiercić i pisnął, widząc obcą twarz, ale się nie rozplakał. Noaha ujęło delikatne, miękkie ciało Charliego, jego zapach. - Podoba mi się ten facet. Twoje dzieciaki także.

- Jesteś w błędzie, jeśli sądzisz, że twoje kłopoty z powodu psa już się skończyły. Wciąż nie mogę uwierzyć, że...

- Mamo! - zawołał Max z pokoju.

Odskoczyła od Noaha i sztywnym krokiem odmaszerowała do salonu, najwyraźniej zapominając o wodzie.

- Zagraj coś jeszcze, mamo - poprosił Max, biorąc Charliego od Noaha.

Ray, z ustami pełnymi pizzy, zrobił zapraszający gest ręką. Usiadła za keyboardem i zaczęli grać George'a Gershwin. Najbardziej zdziwiona była Sophie. Noah odniósł wrażenie, że rzadko zdarzało jej się grać dla samej przyjemności.

Kiedy muzyka ucichła, zauważył, jak Max pochyła się do siostry i mówi:

- Zamierzam od nowa zacząć lekcje gry na pianinie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Sophie zatrzymała vana na odśnieżonej drodze, która prowadziła do Pensjonatu nad Wierzbowym Jeziorem. Na tylnym siedzeniu Max trzymał Opal tuż przed twarzą i bez najmniejszego zażenowania przemawiał do niej dziecinnym językiem. Była niedziela wieczór, najbardziej samotna chwila w tygodniu dla niektórych osób. A konkretnie dla rodziców, którym nie przyznano opieki nad dziećmi.

W całym kraju co niedzielę ludzie tacy jak ona przekazywali swoje dzieci drugiemu rodzicowi i odjeżdżali, mając za jedyne towarzystwo wspomnienia, którymi żyli aż do następnej wizyty. Albo, tak jak w jej przypadku, wspomnienia i szczeniaka.

- Jak ja przetrwam ten tydzień? - spytał Max. - Szkoda, że Opal nie może mieszkać ze mną.

Witaj w moim świecie, pomyślała Sophie. Maksowi będą musiały wystarczyć godziny po szkole i odwiedziny podczas weekendów. Kompromis to czasami potworna mordęga, uznała.

- Będę się nią dobrze opiekować - obiecała.

- Wiem - odrzekł Max. - Ale to nie to samo.

- Będziesz musiał trochę mi zaufać.

- O rany, przecież ufam, mamo.

Pensjonat wyglądał jak plan filmowy „Doktora Żywago”. Trawniki i korty tenisowe przykryte były białym puchem, z balkonów i wieżyczki pawilonu zwieszały się sople. Światła w oknach stylowego głównego budynku wyglądały ciepło i gościnnie.

- Ślicznie to wygląda. - Sophie chciała tą uwagą podnieść syna na duchu, ale powiedziała to również dlatego, że taka była prawda.

- Tata z Niną chcą, żeby pensjonat był superwyszykowany na Zimowy Karnawał. To wielkie wydarzenie - wyjaśniał Max. - Wszystkie miejsca już są zarezerwowane. - Pocałował szczeniaczka w głowę, a Opal spojrzała na niego pełnymi uwielbienia oczami. - Chodź na chwilę do środka.

Na końcu języka miała odpowiedź: „Nie, muszę już jechać”, ale uznała, że dla Maksa jest gotowa to znieść.

- Wejdę na króciutko, żebyś mógł tacie pokazać pieska.

Weszła za Maksem po stopniach ganku. Prawdę mówiąc, nie miała wcale ochoty oglądać fragmentów z życia Grega i Niny Romano, jednak ze względu na syna, wchodząc do ciepłego, sympatycznego przedpokoju, gdzie pachniało pomarańczowym olejkami do drewna, przywołała na pomoc dyplomatyczne umiejętności i przybrała uprzejmy wyraz twarzy.

- Tato! - zawołał Max. - Hej! Nina! Tato! Już jesteśmy. Chodźcie zobaczyć mojego psa.

Pojawili się razem. Przywitali się z Sophie, ale ich uwagę przede wszystkim przyciągnął szczeniak. Max z prędkością karabinu maszynowego opowiadał o Opal, jakby od zawsze była z nim. Dokładnie opisywał wszystkie jej zwyczaje i upodobania, od sympatii do postrzępionego kraciastego koca na posłaniu po zwyczaj chwytania do pyszczka śniegu podczas zabaw na dworze.

- To teraz masz nowe zadanie - powiedział Greg do Sophie.

W jego głosie nie było drwiny.

- Na to wygląda.

- Nie ma mowy, żebym wytrzymał do następnego weekendu - mówił Max. - Mógłbym przyjeżdżać do ciebie po szkole, prawda, mamu?

Sophie rzuciła okiem na Grega, który ledwie dostrzegalnie skinął głową. Dziękując, pomyślała.

- Oczywiście. - Nie miała wątpliwości, że prośba Maksa nie ma nic wspólnego z jej osobą. Nawet najdoskonalsza matka nie wytrzyma konkurencji z małym pieskiem.

I nagle, ku jej zaskoczeniu, usłyszała, jak Max mówi:

- Mama grała w zespole rockowym. To było odłotowe. Greg zrobił głupią minę.

- W zespole rockowym?

- No, z jednym facetem po drugiej stronie drogi. A wiesz, kto jest ich basistą? Bo Crutcher.

- Kiedyś ich słyszałam - wtrąciła Nina. - Nazywają się Dziecko w Każdym z Nas i są całkiem dobrzy. Mają w tym roku wystąpić podczas Zimowego Karnawału.

Sophie uśmiechnęła się, czując, że policzki jej płoną, zaraz jednak przypomniała sobie, że nie załatwiła jeszcze z Noahem sprawy psa.

- Max wszystko wam opowie. Będę już jechać. - Wzięła do ręki smycz.

Max na pożegnanie pogłaskał jeszcze Opal i pocałował ją w głowę, po czym spontanicznie uściskał Sophie.

- Do zobaczenia, mamó.

- Będę się nią dobrze opiekować - przyrzekła. - Obiecuję.

Wciąż czuła ciepło ramion Maksa. Teraz miała psa, na dobre i na złe. Przyznała sama przed sobą, że dzięki Opal, która siedziała na fotelu obok niej, rozstanie z Maksem było odrobinę mniej bolesne. Niemniej jednak Noah wywinął jej numer i nie zamierzała puścić mu tego płazem.

Następnego ranka po wstaniu dała Opal jeść, zabrała ją na dwór, żeby się wybiegała, po czym włożyła ją do skrzynki na drzemkę. Szczeniaczek, jak sobie nagle uświadomiła, był o wiele mniej kłopotliwy od niemowlęcia. To nie znaczyło jednak, że Noah postąpił właściwie. Kiedy zadzwonił telefon, rzuciła okiem na ekran, ale nie mogła odczytać, kto dzwoni.

- Sophie Bellamy. - Z przyzwyczajenia mówiła suchym, profesjonalnym tonem.

- Sophie, tu tata.

- I mama.

Z telefonu głośnomówiącego rodzice korzystali wówczas, gdy chcieli rozmawiać z nią razem, najczęściej po to, żeby wytłumaczyć jej, jaki straszny błąd popełnia.

- Cześć - przywitała ich, starając się, żeby zabrzmiało to wesoło. Opowiedziała im, co działo się podczas weekendu. Zdała sobie nagle sprawę, że czuje nieprzyjemną presję, by przedstawić wszystko tak, jakby to były wyjątkowo ważne sprawy. Zawsze tak się czuła, gdy rozmawiała z rodzicami.

- Wygląda na to, że spędziliście wspaniale czas - powiedziała mama.

Sophie raptem nabrała podejrzeń.

- Chyba nie dzwonicie po to, żeby dowiedzieć się o weekend.

- Właśnie rozmawialiśmy, że ten urlop to całkiem dobry pomysł - odezwał się ojciec. - Kiedy wrócisz, będziesz miała jeszcze większe doświadczenie...

Sophie mocniej zacisnęła dłoń na telefonie.

- Tato, mówiłam to wszystko całkiem poważnie. Nie zamierzam wracać.

- Ależ kochanie! - powiedziała mama. - Po prostu potrzebujesz trochę czasu. Nim się obejrzyysz, poczujesz, że umrzesz, jeśli zaraz nie wrócisz do sądu i nie zaczniesz robić tego, co ci wychodzi najlepiej.

- Umrę?

- Przepraszam. Niewłaściwe słowo. Sophie, pewnie nie możemy sobie wyobrazić, przez co przeszłaś, ale wiemy też, jaka jesteś silna.

- Mamo. Tato. Teraz moje życie jest w Avalonie, żebym mogła być blisko Maksa i Daisy. Jestem typową mamą w aksamitnym dresie, która odwozi syna i jego kolegów na treningi hokeja.

- No wiesz, Sophie... - Matka zaśmiała się nerwowo.

Nie zdołała się powstrzymać i dołała jeszcze oliwy do ognia:

- A poza tym... poznałam kogoś. Ma na imię Noah, mieszka po drugiej stronie drogi na rodzinnej farmie mleczarskiej. - Przerwała, starając się domyślić, co kryje się za grobową ciszą, która zapadła. - Halo? Chcę was oboje usłyszeć, by mieć pewność, że żadne z was nie dostało ataku serca.

- Nie jesteś sobą, Sophie. Nie powinnaś podejmować życiowych decyzji w takim momencie.

- Ja już podjęłam decyzję. Nie wracam.

- Przecież twoja praca jest taka ważna - perswadowała matka. - Wszyscy nasi znajomi pytają o ciebie...

- Przykro mi, ale już nie jestem córeczką na pokaz - wpadła matce w słowo. - Koniec z rozmowami o mnie na koktajlach. Znajdźcie jakiś inny temat. Albo powiedzcie ludziom prawdę, a mianowicie że rodzina jest dla mnie najważniejsza. Jestem szczęśliwa. Czy jesteście w stanie to zrozumieć? W Hadze była setka utalentowanych prawników, którzy ustawiali się w kolejce, żeby dostać moją pracę. Natomiast tutaj jestem niezastąpiona.

- Och, kochanie. - Matka ciężko westchnęła. - Nie mówisz jak ta Sophie, którą znam. Tyle dla ciebie chcieliśmy.

- Cóż, w takim razie gratulacje. Misja spełniona. Mam tutaj wszystko, czego mi trzeba. - Odetchnęła głęboko.

- Nic mi nie będzie. Bądźcie szczęśliwi ze względu na mnie, proszę.

- Jesteśmy - odparł ojciec. - Chcemy mieć tylko pewność, że ty jesteś szczęśliwa. - Mówił to szczerze, jednak wydawał się spięty i po kilku minutach blahej rozmowy Sophie rozłączyła się z poczuciem winy.

Niedługo potem pojawił się niespodziewany gość. Wpuściła do środka Noaha, ale starała się nie zwracać uwagi na reakcję swojego ciała. Wciąż była na niego zła, a po rozmowie z rodzicami jej nastrój jeszcze się pogorszył.

- Cóż to, bez kuczka? - spytała złośliwie, udając, że szuka czegoś w jego kurtce. - A może następnym razem to będzie hipopotam?

- Zwariowałaś? - Patrzył na nią zdumiony. Chociaż go nie zapraszała, ściągnął rękawiczki i czapkę.

- Nie, skąd. Wszystko jest fantastycznie. Cholera, Noah! Dałeś mojemu synowi psa.

- Ależ nie musisz dziękować.

- Słuchaj. Doceniam to, że chciałeś zrobić coś miłego. Ale pies? To za dużo. - Chodziła po pokoju tam i z powrotem. - Nawet mnie nie spytałeś o zdanie.

- Nie zgodziłabyś się.

- On nie ma pojęcia o wychowaniu psów.

- To nic wielkiego. Ty mu w tym pomożesz, a potem wszyscy będziecie mieli przyjaciela na całe życie. Po prostu jeszcze coś, co można kochać. - Otworzył sobie piwo. - Co w tym złego?

- Boże, Noah. Wszystko wydaje ci się takie proste.

- Zgadza się. Jestem prostym człowiekiem.

- Nie to miałam na myśli...

- Wiem, o co ci chodzi. Zrozum, psu potrzebny był dom, a Maksowi potrzebny był pies.

- Skąd wiesz, czego Max potrzebuje?

- Jest chłopcem. Każdy chłopiec powinien mieć psa. Od psa prędzej nauczy się odpowiedzialności i okazywania współczucia, niż możesz to sobie wyobrazić.
- Nie robi się takich rzeczy. Nie wręcza się ot tak, bez zastanowienia czegoś, co wymaga zaangażowania przez długie lata.
- Ależ ja się zastanowiłem. Mówiłaś, że nie jest u ciebie zbyt szczęśliwy.
- No tak, ale...
- Wreszcie ma powód, żeby przyjeżdżać.
- Dopiero teraz wygląda to żałośnie. Muszę przekupywać syna, żeby zechciał spędzać ze mną czas.
- Dzielisz włos na czworo.
- Ha! Dopiero zaczęłam. Szczeniak! - powtórzyła kolejny raz. - Noah, jak mogłeś? To żywe stworzenie, nie zabawka.
- Faktycznie, najbardziej lubię żywe stworzenia.
- Mądrała. Jako weterynarz najlepiej wiesz, jakie to okropne przeżycie, gdy ulubieniec umiera.
- O tak, wiem. To prawda, utrata zwierzaka jest strasznym przeżyciem, ale jeszcze gorszym jest nigdy go nie mieć.
- Nie wszyscy tak sądzą.
- A może dałabyś chłopcu szansę? Pies może go nauczyć wielu rzeczy o życiu, a również o odchodzeniu, gdy w końcu do tego dochodzi.
- Zaproponowałeś to przy Maksie. Znalazłam się w pułapce. Nienawidzę, gdy się na mnie zastawia pułapki.
- Jesteś wściekła, bo twój syn dostał psa, czy dlatego, że ja pierwszy na to wpadłem?
- Nie podoba mi się po prostu to, co w ten sposób dałeś do zrozumienia. Że nie wystarczam swojemu synowi. Że weekend spędzony ze mną jest zbyt nudny, więc potrzebuje psa i jakiegoś cholernego koncertu rockowego, by chcieć zostać.
- To w rezultacie miał miły weekend czy nie?

- Dostał psa, miał okazję zagrać z prawdziwymi muzykami, poznał gwiazdę bejsbolu i... No tak, prawie zapomniałam. Był na łyżwach z Tiną Calloway, córką olimpijczyka i złotego medalisty. Miał rewelacyjny weekend.

- Więc w czym problem?

- No, teraz jesteś obłudny.

- Jak to? Nie rozumiem.

- Problem leży w tym, że to ja chciałam być dla niego największą atrakcją.

- A może zechciałabyś zostać największą atrakcją dla mnie. - Zdjął kurtkę i odłożył ją na wieszak.

- Teraz próbujesz zmienić temat.

- Kurczę, tak. Próbuję zmienić temat. Myślisz, że miło jest wysłuchiwać, jak na mnie krzyczysz za to, że zrobiłem ci przysługę? - Zniżył głos i podszedł bliżej; tak blisko, że czuła od niego zapach świeżego powietrza. - Sophie... Naprawdę będziesz na mnie krzyczeć za to, że podarowałem twojemu synowi psa?

- Tak - szepnęła, zapominając, że powinna krzyknąć. Kostkami palców pogłaskała jej policzek.

- Wszystko się ułoży. - Wziął ją za rękę i poprowadził do pokoju. Usiadł na kanapie i pociągnął ją, żeby siadła obok niego. - Przrzekam, że tak będzie.

- Naprawdę pomyślałam, że ja mu nie wystarczę.

- Jest w gimnazjum. Martwiłbym się o niego, gdybyś była dla niego całym światem.

Trudno było się z tym nie zgodzić.

- Czas, gdy mogłam być całym jego światem, dawno minął.

- Więc bądź taką mamą, jakiej teraz potrzebuje. Nie taką, jaką sobie wymyśliłaś.

- Dobry Boże, skąd u ciebie takie myśli?

- To wyłącznie zdrowy rozsądek, nic więcej.

- Pewnie tak. W mojej rodzinie... - Spojrzała na niego sceptycznie. - To cię z pewnością nie obchodzi.

- Interesuje mnie wszystko, co dotyczy ciebie. Opowiedz mi o swojej rodzinie, o rodzicach. Jacyś bracia lub siostry?

- Jestem jedynaczką. Moi rodzice są dobrymi ludźmi. Wiele się od nich nauczyłam, na przykład tego, jak ważne jest wykonywać zawód, który lubisz. Nie nauczyli mnie tylko jednego i bardzo tego żałuję, a mianowicie że każda praca ma drugorzędne znaczenie wobec najważniejszych spraw.

Spojrzała na Noaha z namysłem. Dziwiło ją, że zaczęła z nim o tym rozmawiać. W tak krótkim czasie nauczyła się ufać mu bardziej niż komukolwiek dotychczas. Chciała, żeby poznał prawdziwe powody przyjazdu do tego miasteczka i porzucenia kariery, na którą pracowała piętnaście lat. Dowiedział się, jak bardzo pragnęła dla siebie czegoś trwałego, dlatego podjęła ryzyko i osiadła w miejscu, gdzie jej mąż był podporą społeczności, a na nią patrzono jak na zimną, zaniedbującą obowiązki byłą żonę.

- Myślisz, że to okropne? - spytała. - To, co właśnie powiedziałam o swoich rodzicach?

- Nie. Przychodzą chwile, gdy każdy zaczyna patrzeć na swoich rodziców jak na zwykłych ludzi.

- Nadal myślą, że mój pobyt w Avalonie jest tymczasowy. Zawsze robią mi coś takiego. Za każdym razem zaczynam zastanawiać się, czy moje decyzje są na pewno słuszne. Bez względu na wiek wciąż czuję potrzebę przypodobania się im. - Odetchnęła głęboko, dając mu szansę, żeby przerwał, zmienił temat albo wręcz uciekł z krzykiem.

Nic takiego nie zrobił. Po prostu czekał, aż zacznie mówić dalej.

Było coś obezwładniającego w skupieniu, z jakim słuchał. Splotła palce i powiedziała:

- Kiedy odkryłam, że jestem w ciąży z Daisy, zamierzałam wychowywać ją samodzielnie. Moi rodzice tak długo kwestionowali tę decyzję, aż w końcu sama zaczęłam mieć wątpliwości. Byli bardzo przekonujący. Podobało im się, że Greg jest z rodziny Bellamych, a także to, że zajdzie daleko w swoim zawodzie. W końcu przekonali mnie, że powinnam powiadomić Grega i wyjść za niego dla dobra dziecka. I tak też zrobiliśmy. Siłą woli udało nam się przetrwać, ale nasz związek nigdy nie był taki, jak powinien. - Mocniej przycisnęła do siebie poduszkę. - Miałam dwoje ślicznych dzieci, które chciały ode mnie wyłącznie tego, żebym z nimi została, a mnie nie było. Nawet wówczas, gdy pracowałam dla ONZ-etu na Manhattanie, wciąż byłam gdzie indziej. Jeśli nawet nie fi-

zycznie, to myślami. Ciągłe zadaję sobie pytanie, jakby się wszystko ułożyło, gdybym bardziej uczestniczyła w ich życiu.

- Nie ma sposobu, żeby sprawdzić, jak by się ułożyło, gdybyś zrobiła coś inaczej, dokonała innego wyboru, poszła inną drogą. Co prawda nie prosiłaś o radę, ale wiesz, co ci radzę? Powinnaś zająć się tym, co jest teraz. Przestań rozkładać na czynniki pierwsze to, co było.

- Dziękuję, doktorze Freud.

- Rano przyślę rachunek.

Zadziwiająca, ale dzięki rozmowie z nim czuła się wyzwolona. Noah spojrzął na całą sytuację prosto i otwarcie. Jej procesy myślowe były splątane niczym diagram Venna, a każda decyzja prowadziła do niebezpiecznego szeregu dalszych możliwości.

- A poważnie mówiąc, Sophie... Postaraj się nie szukać podtekstów w przeszłości, w psie, we mnie. - Uśmiechnął się.

Odwróciła oczy, zastanawiając się, co też jest w nim takiego, że podczas poważnej, osobistej rozmowy nie przestaje myśleć o tym, jak smakują jego pocałunki albo jak Noah wygląda bez koszuli.

- Za dużo myślenia - stwierdził nagle. - To może okazać się szkodliwe.

- Wszystkiemu winna jest praktyka. Kiedy pracowałam w Międzynarodowym Trybunale Karnym, każdy krok i każda decyzja musiały być przedyskutowane, każde możliwe rozwiązanie należało przewidzieć.

- To chyba nie jest jedyny sposób, żeby iść przez życie.

- Coś takiego! A jaki jest twój sposób?

- Wybrać konia i wskoczyć na niego.

- Proszę, jakie proste.

- Wszystko może być proste, jeśli na to pozwolisz.

- Noah Shepherd - genialny weterynarz w dzień, wyznawca filozofii zen w nocy.

No dobrze, spróbuję zastosować twoją radę.

Pokiwał poważnie głową.

- Żadne spróbuję - powiedział miękko. - Albo coś zrobię, albo nie.

- Jesteś szalony.

- Wiem. - Przysunął się bliżej i delikatnie pocałował ją w usta. - Tęskniłem za tobą podczas weekendu - powiedział między pocałunkami.

Ja również tęskniłam, pomyślała, ale nie przyznała tego na głos, natomiast powiedziała:

- Powinniśmy z tym skończyć.

- Dlaczego?

- Bo niemądrze jest działać pod wpływem impulsu. Powinniśmy zwolnić i zastanowić się, do czego zmierzamy. Wydawało mi się, że mieliśmy już tego nie robić.

- Myliłaś się. - Powoli rozpiął jej sweter. - Będziemy to robić, kiedy tylko nam się uda.

- Myślę, że to nie jest dobry pomysł.

- Uważam, że powinnaś przestać myśleć. Jeśli będziesz to nadal robić, mogę zaważać sprawę.

- Och - mruknęła, czując, że zaczyna się poddawać. - Bardzo dobrze ci idzie. Uwierz mi, naprawdę znakomicie...

Roześmiał się z ustami tuż przy jej ustach.

- To dobrze. Podoba mi się twoja rodzina, Sophie, ale teraz jestem w stanie myśleć tylko o tym. Oszalałem. Nie jestem w stanie utrzymać rąk z dala od ciebie.

- Przeniosłam się tu z powodu rodziny - przypomniała. - A kiedy jestem z tobą...

- Niczego im nie odbierasz - wpadł jej w słowo, zsuwając sweter z jej ramion i odpinając stanik. - Musisz od czasu do czasu zdejmować włosienicę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Daisy odnosiła ostatnio wrażenie, że jej życie kompletnie się zmieniło. Od czasu, gdy mama zaczęła pomagać przy Charliem, wszystko stało się o wiele prostsze. Wystarczyła świadomość, że mama zostanie z dzieckiem, by poczuła się wypoczęta i zrelaksowana. Nadal jednak nie mogła liczyć na tytuł matki roku. W domu panował bałagan, wciąż zdawało jej się, że z czymś się spóźnia, lecz teraz nie miała już odczucia, że gna przed siebie, uciekając przed walcem, który ją zgniecie, jeżeli tylko o sekundę zwolni.

Nie miała pewności, czy to sprawa obecności mamy, czy może po prostu zaczęła sobie lepiej radzić z życiem. Zresztą nie miało to większego znaczenia i nie zamierzała się nad tym zastanawiać. W każdym razie nie dzisiaj. Lada moment miał się rozpocząć Zimowy Karnawał, a na stację zaraz wjedzie pociąg Sonnet.

- To jest zły pomysł - powiedział ponurym głosem Zach Alger, gdy szli w stronę dworca kolejowego. - Nie powinienem był przyjeżdżać tu z tobą.

- Bzdura. - Spojrzała na niego z ukosa. Jego blada skóra wydawała się mocniej niż zwykle napięta na kościach policzkowych, przez co sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zdenerwowanego. Proste jasne włosy unosiły się na wietrze, gdy szedł długim, szybkim krokiem. - Prędzej czy później i tak na siebie wpadniecie, więc równie dobrze może to nastąpić wcześniej.

- W ogóle nie wpadlibyśmy na siebie, gdybym nie dał ci się na to namówić. To zły pomysł - powtórzył uparcie.

Daisy próbowała nie okazywać irytacji. Mama zajęła się Charliem, więc mogła cieszyć się rzadką chwilą wolności. W dodatku miała zobaczyć Sonnet po raz pierwszy od czasu, gdy ich rodzice brali ślub na St. Croix. Nie chciała, żeby Zach ostudził jej radość.

- Wiesz, jakie by to było smutne, gdybyście nie potrafili rozwiązać waszych spraw? - Położyła dłoń na jego ręce, żeby trochę zwolnił. - Wszystko dobrze się ułoży, zobaczysz.

- Mówiłaś Sonnet, że tu będę?

- Wysłałam jej SMS-a. Z pewnością nie ma nic przeciwko temu. - Nie mówiła całej prawdy. Sonnet natychmiast odpowiedziała:

Nawet się nie waż.

Przeszli przez poczekalnię na peron. Mnóstwo ludzi przyjeżdżało do Avalonu na Zimowy Karnawał. Głównym celem festiwalu było ściągnięcie dużej liczby turystów, więc całe miasteczko brało udział w przygotowaniach.

Kiedy pociąg wjechał na stację, na peronie zaroilo się od turystów i mieszkańców miasteczka. Z wagonów wylewała się masa ludzi, a Daisy zaglądała do każdego przedziału, szukając charakterystycznych warkoczyków Sonnet. Przepadała za Sonnet, lecz czuła, że pojawiło się między nimi pewne napięcie. Było to całkiem zrozumiałe. Sonnet, ze swoim wykształceniem i nienaganną reputacją, była typową amerykańską dziewczyną, może tylko bardziej imponującą, bo została wychowana przez ciężko pracującą samotną matkę, Ninę Romano. Tymczasem Daisy, produkt górnego Manhattanu, pobierająca nauki w prywatnej szkole, zaprzepaściła swoje szanse i została samotną matką. No i jeszcze to, że Daisy starała się odnowić przyjaźń z Zachem. Tak bardzo chciała przekonać Sonnet do swojej decyzji. Żyjąc w takim mieście jak Avalon, musiała przecież zachować swoich przyjaciół, bo tylko oni jej pozostali. To nie było życie w kampusie, gdzie poznawało się nowych ludzi za każdymi drzwiami.

- Zmieniłem zdanie - oznajmił znienacka Zach. - Idę. Daisy chwyciła rękaw jego kurtki.

- Kiedyś byliście najlepszymi przyjaciółmi - przypomniała mu. - Właściwie niemal razem się wychowywaliście. To chyba ma jakieś znaczenie.

Nagle wśród pasażerów dostrzegła Sonnet, która z jednego z wagonów wносиła walizkę. Pośpiesznie ruszyła w jej stronę. Na jej widok Sonnet wydała okrzyk radości. Rzuciły się sobie w ramiona. Daisy poczuła, jak oblewa ją fala miłości do najbliższej przyjaciółki, siostry. Jak wiele dobra przyniosło małżeństwo taty z Niną.

Odsunęły się i popatrzyły na siebie z uśmiechem. Sonnet wyglądała niby tak samo, ale jednak inaczej. Miała te same wesołe oczy i promienny uśmiech, te same warkoczyki z koralikami, ale ubranie nosiła zupełnie inne, luźniejsze, etniczne.

- Tak się cieszę, że przyjechałaś do domu - powiedziała Daisy. - Chociaż na tych kilka dni.

- Też się cieszę. Tęsknię za wami. A gdzie Charlie? Czy wie, że przyjechała jego ulubiona ciocia?

- Został z mamą.

- I jak to działa?

- Działa, co mnie nieustannie szokuje. - Daisy podniosła walizkę i ruszyły do wyjścia.

- Twoja mama była wspaniała, gdy zeszłego lata odwiedziłam ją w Hadze - powiedziała Sonnet. - Więc mnie to wcale nie zaskakuje.

- Mimo wszystko wciąż jestem w szoku. Moja mama tu, w tym małym miasteczku. Nie zdziwię się, że ucieknie na Manhattan, gdy tylko śnieg stopnieje. - Jeszcze dziwniejsze było widzieć mamę, która zachowywała się jak każda zwykła mama. Nie nosiła fartuszka ani nie piekła ciasteczek, ale na zmianę z innymi matkami odwoziła Maksa i jego kolegów na treningi, opiekowała się Charliem, chodziła na wywiadówki z nauczycielami Maksa. - Wygląda to tak, jakby spodobalo jej się tutaj, ale boję się, że to tylko moje marzenie.

- Może znajdzie tu jakąś pracę. Myślisz, że to możliwe?

- Dla mojej mamy? Praca jest dla niej jak druga natura. Tylko tym się zajmowała przez całe życie. - Zastanowiła się nad tym przez chwilę. Może mamie rzeczywiście przydałoby się więcej zajęć. - Chciałabym, żeby była tu szczęśliwa. I żeby została.

- Jest w tym miasteczku coś takiego... Wiesz, tęsknię za Avalonem. - W jej głosie pojawiła się rzewna nuta.

Daisy badawczo spojrzała na przyjaciółkę. Jej policzki nie były już takie okrągłe, a wokół ust utworzyły się delikatne bruzdy.

- W szkole wszystko w porządku?

- Wspaniale! Ale przyjechałam tu na Zimowy Karnawał i...

Zamilkła raptownie i stanęła jak wryta. Daisy wstrzymała oddech, wiedząc, że Sonnet musiała dostrzec Zacha, który szedł w ich stronę przez zatłoczony peron. Posępna mina podkreślała uderzającą urodę. Na ułamek sekundy rysy Sonnet zmiękły, jej spojrzenie wyrażało tęsknotę. Byli kiedyś tak bliscy sobie i boleśnie przeżyli oziębienie sto-

sunków. Jednak już po chwili twarz Sonnet ściągnęła się, a oczy zwały się oskarżycielsko.

- Cześć - powiedział Zach. Uniosła wyniośle głowę.

- Czego nie zrozumiałaś, gdy mówiłam, że nie chcę cię więcej widzieć? - Wyrwała walizkę z ręki Daisy. - Nie wierzę, że mogłaś to zrobić.

- Sonnet, wysłuchaj mnie...

- Przepraszam. - Minęła Zacha i prawie biegiem ruszyła do wyjścia.

Zach przygarbił się, patrząc za nią, gdy przepychała się przez tłum.

- Rzeczywiście dobrze poszło - powiedział.

RS

CZEŚĆ SZÓSTA

Zimowe ciekawostki

Zlodzenie

Zlodzenie to zamarzanie tafli jeziora. Następuje w ciche, zimne noce, gdy woda znacznie się oziębia i lód szybko zaczyna pokrywać powierzchnię. Kiedy światło padnie pod odpowiednim kątem, ukazuje się tajemniczy lodowy świat. W kalejdoskopie kolorów i kształtów można odróżnić poszczególne kryształki lodu.

Holenderska czekolada na gorąco

1 1/2 filiżanki mleka lub śmietanki albo pół na pół mleko ze śmietanką

2 czubate łyżeczki dobrego kakao

1/2 filiżanki cukru (lub do smaku)

1/2 filiżanki zmielonej czekolady (użyj czekolady, która ma co najmniej 60% zawartości kakao)

Zmielona gałka muszkatołowa lub cynamon do smaku.

Zagrzej mleko prawie do punktu wrzenia. Mieszając trzepaczką, dodaj kakao, cukier, zmieloną czekoladę i przyprawy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

- Noah miał rację co do szczeniaka - powiedziała Sophie Charliemu.

To nie był jej zwykły dyżur przy wnuczku. Przyszła, bowiem Daisy chciała spędzić popołudnie z Sonnet, która miała przyjechać pociągiem o drugiej.

Dziecko siedziało na kocu rozłożonym na podłodze i bawiło się piłeczką, która w środku miała dzwonek. Charlie był cierpliwym słuchaczem. Sophie nauczyła się opowiadać mu o wszystkich wydarzeniach w jej życiu, od zupełnych drobiazgów, jak to, że widziała na trawniku ślady jakichś zwierząt, po najważniejsze sprawy, jakimi były koszmary nocne, gdy wracały wspomnienia o wypadkach w Hadze.

Charlie był miłym, prostodusznym stworzeniem, i chętnie słuchał wszystkiego, co miała do powiedzenia. Ostatnio nauczył się klaskać w rączki i często robił to w odpowiednich momentach. Psychiatrzy mogliby się od dzieci nauczyć kilku rzeczy, na przykład tego, że czasami odrobina zadowolenia oraz bezzębny uśmiech mogą mieć większy wpływ na zdrowie psychiczne pacjenta niż godziny wysłuchiwanie najlepiej pojętych porad.

Ostatnio najczęstszym tematem rozmów był Noah Shepherd.

- Widzisz, dał mi tego pieska, bo uważa, że to zachęci Maksa do spędzania czasu ze mną. Z początku poczułam się urażona. Chodzi mi o to, że matka nie powinna przekupywać dziecka psem. Mam rację? - Piłeczka potoczyła się aż na brzeg koca, więc poturlała ją z powrotem do Charliego. - Jednak wychodzi na to, że Noah miał słuszość. Wie dokładnie, jak rozumuje dwunastolatek. Nie ma nic, ale to nic ważniejszego dla chłopca niż piesek. Max nie może wytrzymać bez Opal. Ona przyciąga go jak magnes. - Charlie zaśmiał się głośno. - Wiem. Kiedy się nad tym zastanowić, wydaje się to całkiem oczywiste. Bo co może bardziej ucieszyć dziecko niż szczeniaczek, prawda? - Teraz Opal była uczona czystości i spania na swoim posłaniu. Przyuczenie psa nie było łatwą pracą, ale może należało dodać, że dzięki temu mniej więcej co godzinę trzeba było się podnieść, rozprostować nogi, wyjść na dwór i poczuć zimne powietrze i płatki śniegu na twarzy.

W tej chwili Max był z Opal na spacerze. Pewnie zabrał ją na wzgórze na pole golfowe w Avalon Meadows, gdzie odbywały się drużynowe wyścigi toboganów.

Charlie wymienił piłeczkę na napelniony płynem gryzaczek, a po chwili przemieścił się w stronę brzydkiego kłowna, obciążonego na dole, który jak wańka-wstańka za każdym razem wracał do swojej pozycji. Malec przewracał go kilka razy i zafascynowany wpatrywał się, gdy zabawka sama się podnosiła.

Sophie wyciągnęła rękę i otarła mu brodę.

- A to z Noahem, nieważne, jak to nazwiemy, to ostatnia rzecz, którą spodziewałam się znaleźć, kiedy się tu przeniosłam. - Zadumała się na moment. - Czasami zastanawiam się, czy przypadkiem się w nim nie zakochałam. - Zasłoniła usta dłonią. - Och, nie mogę uwierzyć, że to powiedziałam.

Charlie powtórzył jej gest i roześmiał się. Sophie porwała go z podłogi i opadła na koc, unosząc go nad głowę i ciesząc się uczuciem, które ją ogarnęło. Zadowolenie. Nie, to było coś silniejszego. Szczęście. Radość. Tak, to właśnie to. Prawie zapomniała, jak to jest, gdy czuje się radość.

To wcale nie znaczy, że wcześniej była nieszczęśliwa. Przeżyła wiele radosnych momentów, ale żaden nie był podobny do tego. Nigdy.

Odszukała w radiu stację ze starymi przebojami i podgrzewając butelkę, śpiewała Charliemu „Nights in white satin” oraz „Mrs. Robinson” Simona i Garfunkela. Zdziwiło ją to, że zna słowa. Przecież ich się nie uczyła, po prostu same weszły do głowy tajemnymi drzwiami.

Usiadła z wnuczkiem na kolanach, podała mu butelkę, po czym włączyła telewizor i ściszywszy głos, przeskakiwała z kanału na kanał, żeby zobaczyć choćby migawkę ze świata. Znacznie łatwiej było trafić na wytatuowanego motocyklistę, który przyznawał się do dziecka jakiejś dziedziczki fortuny, niż znaleźć informację o wyborach w Umoi. Po raz pierwszy od wielu dziesięcioleci Umojanie szli do urn, lecz jak widać, dla Ameryki nie było to wydarzenie warte odnotowania.

Ponownie zmieniła kanał i słuchała informacji, czekając, aż zacznie się trzydzieści sekund wiadomości ze świata, w których głównym tematem okazał się niedźwiedź po-

larny z niemieckiego zoo. Z Charliem na ręku przeszła do drugiego pokoju i w sieci poszukała relacji wideo z wyborów w Umoi.

- W pierwszych wolnych od ponad dwudziestu lat wyborach... - zaczął czytać prezydent.

- Zrobiłam to - szepnęła Sophie do Charliego. - Byłam w zespole prawników, który do tego doprowadził. - Spodziewała się, że ogarnie ją wzruszenie, ale przede wszystkim czuła zdenerwowanie. Strona internetowa pełna była migających reklam środków na katar oraz informacji o linkach z podobnymi stronami, aż w końcu rozboleła ją głowa.

Charlie skończył jeść i wcale nie wydawał się śpiący. Beknął głośno, po czym zachichotał, puszczając bąbelki mleka.

- Jakie zdolne dziecko. - Roześmiała się. - Jak to się stało, że mam takiego utalentowanego wnuka?

Dzwonek przy drzwiach zaskoczył ją. Posadziła chłopczyka na kocu i poszła zobaczyć, kto przyszedł.

O Boże! - pomyślała, gdy otworzyła drzwi. O cholera!

- Witaj, Logan - powiedziała, przepuszczając go, po czym pośpiesznie zamknęła drzwi, żeby zimne powietrze nie zaziębiło dziecka.

- Dzień dobry, pani Bellamy.

Na chwilę zapadło niezręczne milczenie, ale zaraz pisk Charliego rozładował napięcie.

- Cześć, kolego. - Logan wydawał się miękki i słodki jak pianka żelowa, kiedy witał się z synkiem, a Charlie natychmiast wyciągnął do niego rączki. Nie było żadnych wątpliwości, że są sobie bliscy, a po buzi dziecka widać było, że ten mężczyzna jest dla niego bardzo ważny.

Logan wszedł do kuchni i szybko umył ręce. Wciąż z podwiniętymi rękawami wrócił do pokoju i podniósł Charliego z podłogi.

- Czy Daisy wspominała pani, że mogę wpaść?

- Nie, ale dobrze, że przyszedłeś. - Co innego mogła powiedzieć w tej sytuacji? - Pójdę zrobić herbatę. Tobie też coś przynieść?

- Nie, dziękuję. - Uśmiechał się do dziecka i nawet nie odwrócił wzroku.

Sophie bez pośpiechu przygotowała sobie herbatę. Kiedy wróciła do pokoju, Logan siedział na wyściełanym obrotowym fotelu. Na kolanach twarzą do siebie trzymał Charliego, który zaśmiewał się przy każdym obrocie krzesła.

- Daisy mówiła, że uczysz się w college'u - powiedziała, siadając naprzeciwko.

- Tak jest. Studiuję finanse.

- Świetnie. - Nie miała pojęcia, o czym rozmawiać z tym przystojnym młodym facetem, przez którego całkowicie zmieniło się życie jej córki.

- Wszystko w porządku, proszę pani - odezwał się Logan. - Nie musi mnie pani zabawiać rozmową. Z całym szacunkiem, możemy to sobie darować. Doskonale wiem, co pani o mnie myśli.

- Naprawdę?

- Uważa pani, że jestem głupim mięśniakiem. Zachowałem się nieodpowiedzialnie wobec pani córki. Nie wspominając nawet o tym, że jestem narkomanem po odwyku. Nie mam pretensji, że pani i wszyscy inni przyglądają mi się nieufnie.

Nie zamierzała zaprzeczać.

- A teraz próbujesz odkupić swoje błędy.

- Nie bardzo wiem, co to znaczy. Najwidoczniej jednak jestem głupim mięśniakiem. - Uśmiechnął się do niej.

Poczuła, że zaczyna mięknąć.

- Tego zresztą nie da się zrobić. Możesz mi wierzyć, bo sama próbowałam.

- Wiem tylko, że teraz myślę o przyszłości. A Charlie jest jej częścią.

- W porządku. Czy mogę zadać ci osobiste pytanie?

- Jasne.

- Czy twoja rodzina to popiera?

- Nie - rzucił bez ogródek. - Nawet go nie widzieli. Ani razu.

Nigdy nie podejrzewała, że może polubić tego chłopca, a ona nawet mu zaczęła współczuć. Nie sądziła, że może myśleć o nim inaczej, niż jak o złej decyzji, którą kiedyś podjęła jej córka, i przyczynie rudych włosów Charliego. A jednak gdy usłyszała, z jakim bólem mówi o zachowaniu swojej rodziny, zrozumiała, czemu Logan O'Donnell spodobał się Daisy i dlaczego córka pozwala mu tak często odwiedzać Charliego.

- Przykro mi to słyszeć - powiedziała. - Może w końcu zmienią zdanie. W każdym razie na pewno nigdy nie będziesz żałował tego, że ofiarowujesz swój czas Charliemu. - Podniosła się. - Może zostaniesz z nim, a ja odbiorę sobie pocztę? - Gestem wskazała małą pracownię, gdzie stał komputer Daisy.

- Dziękuję, pani Bellamy. - Jego uśmiech bardzo przypominał uśmiech Charliego. - Bardzo chętnie.

- Mów do mnie Sophie. Dzięki temu nie będę czuła się taka stara.

- Z pewnością nie jest pani stara - powiedział uprzejmie. - Zaopiekuję się tym małym gościem.

Czekając, aż poczta zostanie pobrana, zajrzała do notesu elektronicznego, żeby sprawdzić, jakie zadania ma do wykonania. W przeszłości taka lista nie miała końca i nawet z pomocą swojego personelu nie była w stanie wywiązać się ze wszystkiego. Obecnie cały jej świat kręcił się wokół dzieci i Charliego. Zgłosiła się na cotygodniowy dyżur podczas lunchu w szkole Maksa i godziny spędzone w przegrzanej, pachnącej cebulą stołówce, słuchanie głupawych dowcipów chłopców oraz przyglądanie się grupkom szepczących dziewcząt dawały jej niczym nieubarwione wyobrażenie o życiu zwykłych dzieci. Z fascynacją obserwowała modelowy zbiór natury ludzkiej od aktów zimnego okrucieństwa po łapiącą za serce dobroć. Widziała uczniów, którzy byli wykluczani z grupy tak precyzyjnie, jakby użyto chirurgicznego skalpela, i innych, których uczuciowe rany leczono ze szczerym współczuciem. Teraz o wiele lepiej rozumiała Maksa. Rozumiała jego potrzebę bycia lubianym, podziwianym, akceptowanym... ponieważ ci, którzy znaleźli się po złej stronie, byli skazani na potępienie.

Poza tym były treningi i mecze hokeja. Obserwowanie Maksa podczas gry sprawiało jej przyjemność, ale nie lubiła mam, z którymi musiała siedzieć. Zespół mamusiek, którym przewodziła starsza siostra Niny, Maria, również nie darzył Sophie sympatią. Nie zamierzała się tym przejmować. Podczas dyżuru przy lunchu zauważyła, że odrzuceni uczniowie, którzy swoich prześladowców traktowali z godnością, częściej byli zostawiani w spokoju. Oczywiście, jeżeli zdołali wytrwać na tyle długo.

Sophie była przekonana, że zdoła przetrwać niechęć tych kobiet. Ta umiejętność, by nie pozwolić, żeby czyjaś opinia ją zraniła, była prawdziwym darem. Przez lata oto-

czyła swoje serce pancierzem. To była podstawowa zasada w walce o przetrwanie. Niestety po ataku terrorystów pancierz popękał i nagle stała się podatna na to, czego najbardziej się bała - że może kogoś zawieść, że nie zdoła nawiązać prawdziwego uczuciowego kontaktu z własnymi dziećmi.

Rozejrzała się po zagraconym pokoiku. Na półce stały grube albumy. Jeden z nich szczególnie zaintrygował Sophie: „Rodzina, do 2006 roku”. To był rok, w którym wzięli rozwód.

Otworzyła album i zobaczyła kronikę rodzinną. Przewracała strony z bolesnym uczuciem smutku, ale również spełnienia, żalu i tęsknoty za minionym czasem. Byli normalną rodziną, w ich życiu zdarzały się prawdziwie szczęśliwe chwile: przyjęcia urodzinowe, święta, wakacje, przygody. Wiele zdjęć wywoływało uśmiech i budziło wspomnienia.

Zamknięte w fotografiach lata płynęły rok po roku. Oto Daisy jako jasnowłosa małuch stoi na krześle i pochyla się, żeby zdmuchnąć dwie urodzinowe świece. Kilka stron dalej jej zdjęcie na Camp Kioga nad Wierzbowym Jeziorem, podczas pięćdziesiątej rocznicy małżeństwa dziadków. Sophie była na wielu zdjęciach, lecz zwykle gdzieś na skraju. Bardziej jako obserwator niż uczestnik. Często była ubrana jak do pracy, a teczka stała gdzieś w pobliżu. Z powodu swojego stroju - ciemnych kostiumów, gustownych pantofli, ściągniętych do tyłu włosów - wydawało się, że przez te lata nic się nie zmieniła. Zawsze wyglądała na czterdzieści lat, nawet wtedy, gdy miała dwadzieścia pięć.

Oglądając zdjęcia, potrafiła dostrzec stopniowy rozkład swojego małżeństwa. Była to ilustrowana kronika związku, który ulegał powolnemu, bolesnemu procesowi niszczenia.

Kilka najlepszych i najbardziej ujawniających prawdę zdjęć zrobiła sama Daisy. Przez wizjer aparatu obserwowała, jak dogorywa małżeństwo rodziców. Na zdjęciach Sophie i Greg niby wyglądali jak każda inna para, jednak drobne szczegóły wyjawiały prawdę: zbyt mocno zaciśnięta dłoń na pasku torby czy wyraźnie usztywnione ramiona, gdy pochylali się w swoją stronę. Czy mogli jeszcze coś zrobić, czy też rozpad był nieunikniony?

Usłyszała jakiś dźwięk przy drzwiach i podniosła oczy. W progu stała Daisy, wciąż ubrana w kurtkę i buty.

- Cześć, mamó - powiedziała, zrzucając kaptur.

- Cześć. - Sophie otarła policzki. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że płakała. - Weszłam tu, żeby sprawdzić pocztę i zostawić Logana z Charliem. Nie zamierzałam myszkować.

Daisy spojrzała na otwarty album, który leżał na stole kreślarskim.

- Nie mam nic do ukrycia. A co oglądasz?

- Twój album rodzinny. - Sophie przeglądała resztę zdjęć. Na jednym z nich byli we czwórkę na przystani w Camp Kioga, gdzie dwa lata temu świętowano pięćdziesiątą rocznicę ślubu Charlesa i Jane Bellamych. Greg i dzieci spędzali tam całe lato, natomiast Sophie z powodu pracy wciąż była w podróży. Ta fotografia była portretem kobiety, która wyraźnie nie pasuje do reszty, która w tym miejscu źle się czuje. Greg, Max i Daisy byli opaleni i uśmiechnięci, rozjaśnione słońcem włosy powiewały na wietrze, stopy boso. Sophie natomiast w starannie wyprasowanych bermudach i zapiętej na wszystkie guziki bluzce miała bladą cerę osoby, która nie wychodzi na powietrze.

Dalej były jeszcze zdjęcia zrobione rok później, podczas innej rodzinnej uroczystości, ślubu Olivii. Tutaj wszyscy czworo, choć ubrani wytwornie, wydawali się wyraźnie niespokojni. Jak się potem okazało, nie bez powodu. Tego samego dnia Daisy zaczęła rodzić. Po przyjściu Charliego na świat znów stanowili rodzinę, lecz nawet ten ekscytujący okres wspólnej radości był tylko chwilowy.

- Ależ to był dzień - mruknęła.

- Dla nas wszystkich. - Daisy zatrzymała się chwilę nad swoim zdjęciem, na którym trzymali się z ojcem mocno za ręce. - Tata okazał się zadziwiająco dobrym instruktorem.

- Mnie to nie dziwi. - Greg przeprowadził córkę przez najtrudniejszy okres w jej młodym życiu i sumiennie chodził z nią na zajęcia w szkole rodzenia. - Powiedz mi coś... Czy pomyślałaś kiedyś, że to ja mogłabym ci towarzyszyć?

Daisy zmarszczyła brwi.

- Byłaś za granicą. Wiedziałam, że nie rzucisz wszystkiego po to tylko, by przez sześć tygodni chodzić ze mną na zajęcia.

- Wiedziałaś?

- Zakładałam. A zrobiłabyś to, mamo?

Sophie wpatrywała się w okno, obserwując kropelkę wody, która tworzyła się na koniuszku sopła. Odwróciła wzrok dopiero wówczas, gdy kropla spadła.

- Uczciwie mówiąc, nie wiem... Ale chciałabym, żebyś mnie o to poprosiła. - Popatrzyła na ostatnie zdjęcie, na którym razem z Gregiem stali po obu stronach Daisy, która trzymała na ręku dziecko, i zamknęła ostrożnie album. - Żałuję, że te zdjęcia nie mogą opowiedzieć innej historii. Nie zdawałam sobie sprawy... Przepraszam. Tak bardzo cię przepraszam. Chciałabym, żebyś miała lepsze wspomnienia...

- Chciałam to zapamiętać, mamo. Wszystko. I dobre, i złe. Dlaczego miałyby być inaczej?

Objęła córkę i zamknęła oczy. Obie były dorosłymi kobietami, ale miała wrażenie, jakby odbyła podróż w przeszłość. Pamiętała Daisy od dnia, gdy była delikatnym noworodkiem, później roześmianą dziewczynką, a w końcu niezależną młodą kobietą.

- Ja również pamiętam - szepnęła. - Każdą minutę. Daisy z uśmiechem odsunęła się trochę.

- Właśnie dziś sobie o tym myślałam. To chyba najdłuższe chwile, które z sobą spędziłyśmy od czasu, gdy byłam w ósmej klasie.

Miało to słodko-gorzki posmak.

- Tak dokładnie to śledzisz?

- Po prostu akurat na to zwróciłam uwagę. Ale byłam z ciebie dumna. Max również, chociaż nie zawsze to okazywaliśmy. Oboje wiemy, że praca dla Międzynarodowego Trybunału Karnego to coś znacznie ważniejszego niż członkostwo w komitecie podczas aukcji mundurków szkolnej orkiestry.

- Tyle że mnie przy was nie było.

- Byliśmy z Maksem otoczeni mnóstwem ludzi. Nie wychowywały nas wilki.

- Nie mogę się pogodzić z tym, że tak często wyjeżdżałam. Może gdybym była z wami, inaczej ułożyłoby ci się życie.

- Mamo, to moje błędy, nie twoje i nie taty, w ogóle nikogo, tylko moje. - Zdjęła bluzę i odwiesiła ją na oparcie krzesła. - Chyba masz za mało zajęć.

- Słucham?

- Powinnaś mieć więcej pracy, żeby nie martwić się o takie rzeczy. Po przyjeździe twoja megaaktywność spadła do zera.

- Tak miało być.

- Przecież możesz robić coś poza tym, że jesteś ze mną i Makssem. Nadal jesteś prawnikiem, mam rację?

- Nie prowadzę praktyki.

- Ale mogłabyś, gdybyś chciała. Chcę, żebyś była szczęśliwa w Avalonie, bo chciałabym, żebyś tu została. A uszczęśliwi cię praca, którą lubisz.

- Jestem szczęśliwa...

- Mogłabyś pomagać ludziom, nie tylko mnie. Nie chcę, żebyś poświęcała mi cały swój czas. Wiele osób potrzebuje pomocy. Zadzwoń do wujka Philipa.

Philip... Brat Grega.

- Dlaczego, na Boga, mam do niego dzwonić?

- Pracuje społecznie w izbie handlowej i zna wszystkich w miasteczku. Może cię przedstawić różnym ludziom. No wiesz, innym prawnikom, ludziom, którzy coś znaczą dla tej społeczności.

- Jesteś niesamowitą córką, Daisy.

- No proszę, to właśnie ja. Wyjdź do ludzi i zacznij ich poznawać. - Zniżyła głos. - Wiesz, Sonnet i Zach zaczęli zachowywać się dziwnie, więc odegrałam dla nich Sophie Bellamy.

- To znaczy?

- Rolę dyplomaty-rozjemcy. Sonnet powiedziała, że nie chce widzieć Zacha, ale na dworcu przekonałam ich, że mogą być z sobą w dobrych stosunkach, a przynajmniej zachowywać się, jakby tak było.

Z salonu dobiegały głosy. Sophie otarła twarz chusteczką i wyjęła puderniczkę, żeby poprawić makijaż. Ponieważ nie malowała się mocno, śladów po łzach nie było wi-

dać. Zamknęła puder i dołączyła do Daisy i jej przyjaciół. Charlie z uszczęśliwioną buzią siedział na kolanach Sonnet.

- Cześć, Sonnet - przywitała się Sophie, przywołując na usta swój najpiękniejszy uśmiech. - Miło cię znowu widzieć.

- Dziękuję. Ja również się cieszę, że możemy się spotkać. - Sonnet pokołysała Charliego. Dzięki niemu nie musiały podawać sobie rąk ani się obejmować. W gruncie rzeczy Sophie bardzo lubiła Sonnet. Była inteligentna i ambitna, studiowała w dobrym college'u, jednak była córką Niny Romano-Bellamy, a to dość niezręczna sytuacja.

Sonnet odziedziczyła po matce wyraziste amerykańsko-włoskie rysy. Jej ojciec, wojskowy w stopniu pułkownika, był Afroamerykaninem. Dziewczyna miała gładką, karmelową cerę, ciemnobrązowe oczy i gęste, mocno kręcone włosy. Wydawała się teraz szczuplejsza i jakby czymś zmartwiona. Zdaniem Sophie wyglądała na starszą, niż była w rzeczywistości.

- Cieszysz się z powrotu do Avalonu? - spytała. Zmartwioną minę zastąpił uśmiech.

- Mowy nie ma, żebym przegapiła Zimowy Karnawał. To wielkie wydarzenie w miasteczku.

- Tak właśnie słyszałam.

- Mamo, to jest Zach Alger - przedstawiła Daisy młodego człowieka, który siedział w rogu pokoju.

- Jestem Sophie. - Wyciągnęła rękę do cichego, bardzo jasnego chłopca.

- Miło mi panią poznać - powiedział, podnosząc się.

Miał niezwykłą urodę bardzo jasnego blondyna. Błada twarz intrygowała niezwykłą powagą. Daisy trochę jej o nim opowiadała. Ojciec Zacha, Matthew Alger, zdefraudował pieniądze z kasy miejskiej na internetowe kombinacje związane z hazardem, lecz zamiast zbić fortunę jako nielegalny bukmacher, popadł w długi. Z kolei Zach próbował ukryć przestępstwo ojca, okradając piekarnię, w której pracował po szkole. Skrajny przypadek odpowiedzialności dziecka za rodzica. Sophie potrafiła go zrozumieć. Sama to robiła, może nie tak dosłownie i lekkomyślnie, ale przecież także poświęcała swoje pragnienia dla dobra rodziców.

Wyczuła napięcie w pokoju, wiedziała jednak, że nie ma to nic wspólnego z jej osobą.

- Cóż, będę już szła. Na pewno się jeszcze zobaczymy. - Wzięła Charliego na ręce, przytuliła go, pocałowała w policzek i oddała Sonnet.

Daisy wyszła razem z nią na zewnątrz.

- Patrzyłam dziś, jak Logan bawi się z Charliem - powiedziała Sophie. - Bardzo dobrze mu to wychodzi.

- Też tak uważam. - Daisy otuliła się swetrem. - Co myślisz o wyglądzie Sonnet, mammo?

- Jest piękną dziewczyną.

- To wiem. Ale jak twoim zdaniem wygląda?

- Chyba jest chudsza.

Daisy skinęła głową i znowu zadrżała.

- No właśnie. Myślisz, że wszystko z nią dobrze, czy raczej jest przerażająco chuda?

Sophie zawahała się. Z jednej strony miała okazję zachować się jak prawdziwa mama i poradzić Daisy. Jednak z drugiej...

- Kochanie, ona jest córką Niny i z tego powodu nie zamierzam rozmawiać o jej sprawach.

- Jasne. Rozumiem. Właśnie znalazłam odpowiedź na swoje pytanie.

Sophie uściskała ją.

- Wiesz, jak być dobrą przyjaciółką, Daisy. Cieszę się, że mogliśmy chwilę porozmawiać.

- Zadzwoń do wujka Philipa. Chcę, żebyś dobrze się tu czuła, mammo. Naprawdę.

- Jakim cudem zrobiłaś się taka bystra?

Daisy podeszła do drzwi i odwróciła się z uśmiechem.

- Pewnie mam to po mamie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Sophie zdawała sobie sprawę, że córka ma rację. Jeżeli miała tu zostać na dobre, jeżeli Avalon miał stać się jej domem, powinna bardziej się z nim związać. Przyjazd tutaj traktowała jako swego rodzaju pokutę i spodziewała się, że będzie ją znosić dla dobra swoich dzieci, trafiła jednak całkiem niespodziewanie na szansę, by odbudować swoje życie, wypełnić je bogatą treścią prawdziwych związków. To prawda, osiągnęła to, co najważniejsze, bo w ciągu tych kilku tygodni stali się z dziećmi bliżsi sobie niż przez wiele lat. Już to wystarczyło, by cieszyć się życiem i pragnąć tu zostać.

Także to, co działo się między nią a Noahem Shepherdem - nie chciała na razie w żaden sposób tego określać - z każdym dniem stawało się dla niej ważniejsze. Wcale nie była pewna, czy to dobrze. Jej celem nie było przecież poznanie kogoś wyjątkowego. Dzieci i wnuk byli wystarczająco wyjątkowi.

Jednakże, jak to podkreśliła Daisy, w jej życiu było miejsce na znacznie więcej. Do tej pory praca po prostu ją określała. Wszystko w jej życiu kręciło się wokół celu i harówki w imię ideałów. Teraz rozumiała, że sprawiedliwość działa na różnych poziomach. Może dotyczyć całych narodów lub samotnej żony wojskowego, przyjaznej sąsiadki Gayle Wright.

Szturchaniec od Daisy był wszystkim, czego potrzebowała. Dzisiaj umówiła się na spotkanie z Philipem Bellamym, swoim byłym szwagrem. Obiecał przedstawić ją Melindzie Lee Parkington, prawnicze, która niedługo miała iść na urlop macierzyński i szukała partnera do pracy w niepełnym wymiarze godzin.

W parku Blancharda, gdzie Philip pracował z innymi wolontariuszami z izby handlowej, zjawiała się trochę za wcześnie. Minęła ludzi, którzy instalowali scenę na zbliżający się Zimowy Karnawał. Zespół Noaha miał również tu wystąpić. Sophie bardzo polubiła muzykę, którą grali, a poza tym wspaniale spędzało się z nimi czas. W przeszłości nie prowadziła zbyt intensywnego życia towarzyskiego. Noah wraz z przyjaciółmi pokazał jej, że można z tego zrobić prawdziwą sztukę, a poddanie się rytmowi i melodii dawało niespodziewane poczucie satysfakcji.

Philip nadzorował zespół studentów, którzy budowali naturalnej wielkości zamek z lodowych bloków.

- Jestem oczarowana - powiedziała, oglądając skrzące się mury. - Właściwie nie wiedziałam, czego mam się spodziewać.

- To cud inżynierski. - Zdjął kask. - Gotowa na spotkanie z Melindą?

- Bardzo ci dziękuję.

- Żaden kłopot.

Ruszyli w stronę centrum miasteczka, kilka przecznic od parku. Sophie czuła napięcie, które utworzyło się między nimi.

- Nie uważasz, że to trochę niezręczne? - spytała. - Mam na myśli, że Greg i ja...

- Nie ma w tym nic niezręcznego. Wiem, jak to jest po rozwodzie. Przeżyłem to dwadzieścia lat temu i nadal pamiętam ból i niepewność, które temu towarzyszyły. Ale także uczucie wolności.

- Brzmi znajomo. Powiedz mi jeszcze, że w końcu robi się łatwiej.

- Po prostu żyj. Mam nadzieję, że uda ci się to lepiej niż mnie. Przez całe lata, i w trakcie małżeństwa z Pamelą, i po rozwodzie, myślałem o dziewczynie z przeszłości. O kimś, kto w ogóle nie istniał.

Mówił o miejscowej dziewczynie, którą poznał kilkadziesiąt lat temu, jeszcze będąc w college'u. Była jego pierwszą miłością, a potem nagle zniknęła z jego życia, nie zawiadamiając nawet, że urodziła jego dziecko.

- Dla ciebie jednak istniała, tak? Wcisnął rękę do kieszeni.

- Tak. A gdy usychasz z tęsknoty do kogoś, kto już dawno odszedł, zmieniasz tę osobę, jak tylko chcesz. Nic dziwnego, że nie miałem szczęścia z kobietami. W wyobraźni stworzyłem ideał i nikt nie mógł się z nim równać.

- Cóż, akurat mi nie grozi, że będę wzdychać do jakiegoś tajemniczego mężczyzny.

- W Noahu Shepherdzie z całą pewnością nie było nic tajemniczego.

- Obecnie wszystko układa się tak dobrze, że aż się boję - powiedział Philip. - Obie córki są mężatkami, a my z Laurą właśnie wyznaczaliśmy datę. Weźmiemy ślub w pierwszą sobotę maja. Jesteśmy dowodem na to, że miłość nie zawsze się śpieszy. Ktoś, kogo znaleźliśmy od lat, nagle staje się centrum twojego życia.

Przeszli przez tętniący życiem rynek. Kancelaria prawnicza usytuowana była w starym, dwupiętrowym ceglany budynku z tynkowaną, rzeźbioną fasadą. Na parterze mieściły się księgarnia i bistro. Ku zdziwieniu

Sophie, ogarnął ją lęk. A jeśli ta cała Melinda Parkington okaże się przyjaciółką siostr Romano? Zanim jednak ta myśl na dobre zagnieździła się w jej głowie, uświadomiła sobie, że tak rozumować mogła dawna Sophie, która wolała założyć najgorsze i uciec. Postaram się już nią więcej nie być, postanowiła.

Melinda Parkington prosiła, żeby zwracać się do niej Mel. Była przystojną Azjatką, skończyła uniwersytet, o którym Sophie nigdy nie słyszała. Powitała gości z promiennym uśmiechem. Była w ósmym miesiącu ciąży z trzecim dzieckiem. Prowadziła praktykę adwokacką, która już wkrótce będzie musiała się przez jakiś czas obywać bez niej.

- Nie wstawaj - powiedziała Sophie, wyciągając rękę ponad biurkiem.

Mel uśmiechnęła się, opierając teczkę z aktami o duży brzuch.

- Dzięki. Przeglądałam twoje papiery - powiedziała po wyjściu Philipa. - Imponująca. Chyba jestem zazdrosna.

Sophie spojrzała na bogactwo dziecięcych prac wystawionych na jednej ze ścian: rysunki zrobione kredkami, dwie małe rączki odbite w glinie, mnóstwo zdjęć.

- Nie ma powodu. Masz piękną rodzinę. Kto zajmuje się twoimi dziećmi?

- Teściowa. Mam szczęście, że mieszka w pobliżu, ale z tym dzieckiem chcę przez pół roku zostać w domu. - Odłożyła teczkę na bok. - Czy jest jakiś szczególny powód, że przestałaś zajmować się prawem międzynarodowym?

Przygotowała się na to pytanie. Wiedziała, że padnie, a jej potencjalna współpracowniczka powinna wiedzieć, co się wydarzyło. Lecz chociaż oczekiwała tego pytania, nie spodziewała się, że tak trudno przyjdzie jej odpowiedzieć.

- W styczniu miał miejsce pewien incydent... tragiczny incydent w Hadze, a ja znalazłam się w samym jego centrum. - Podała Melindzie teczkę. - Tutaj jest oficjalny raport departamentu stanu. Może przeczytaj, a potem odpowiem na pytania.

Melinda przebiegła wzrokiem dokument. W końcu zamknęła teczkę i przez dłuższą chwilę przyglądała się Sophie.

- Nie mogę sobie pozwolić na pełny urlop - przyznała.

- Praktyka musi nadal działać. Oprowadzę cię po biurze.

Poza Mel pracował tam jeszcze jeden prawnik, Wendell, który nosił muszkę i był tak nieśmiały, że prawie nie spojrzął na Sophie, oraz Daphne, sekretarka i kierowniczka biura. Miała jaskraworóżowe włosy, a na półce przy biurku obok literatury fachowej i teczek z dokumentami trzymała kolekcję figurek przedstawiających bohaterów filmów animowanych.

- Tędy. - Melinda wskazała Sophie drogę. - Trochę brakuje nam miejsca, ale ten pokój ma za to widok.

- Gabinet nowego wspólnika był maleńki, dlatego też minimalistycznie wyposażony: biurko, komputer, szafki na książki, dwa krzesła dla klientów. Okno z napisem „Porady prawne”, tutaj widocznym od tyłu, wychodziło na główną ulicę miasta, która właśnie była dekorowana transparentami zapowiadającymi Zimowy Karnawał.

Sophie z trudem przypominała sobie widok ze szklano-betonowego budynku Międzynarodowego Trybunału Karnego. Były to płaskie tereny zalewowe, mokre chodniki, wzdłuż których stały domy, a także nieodłączny kanał. Na wiosnę pola kwiatów. A w oddali mosty. Jeden z nich był tym, po którym jechali tamtego wieczoru.

- Nie będę ci zabierać czasu - odezwała się Mel i Sophie uświadomiła sobie, że przeniosła się myślami w przeszłość.

- Przepraszam, co mówiłaś?

- Masz większe kwalifikacje, niż oczekiwałam, dlatego bardzo mi zależy na tobie. Pokażę ci, jakie mamy sprawy i czego możesz się spodziewać, a potem dasz mi znać, jeśli...

- Od razu ci to powiem - wpadła jej w słowo Sophie.

- Taki układ bardzo mi odpowiada. - Dostrzegła zdziwienie na twarzy Mel. Gdzie to zwyczajowe: „Za tydzień dam znać”? - Żeby wszystko było jasne. Uważam się za bardzo dobrego prawnika, ale nigdy nie pracowałam w małym miasteczku. Istnieją rzeczy, które mogą mieć wpływ na stosunek klientów do mnie. Czy Philip mówił ci, że byłam żoną jego brata Grega?

- Czy to cię niepokoi?

- W takim miejscu jak Avalon to może mieć wpływ na interesy.

Mel roześmiała się.

- W takim miejscu każdy jest czymś byłym. Mam rację, Daphne? - zwróciła się do sekretarki, która weszła, żeby podać jej jakieś akta.

- Jasna sprawa - przytaknęła Daphne. - Mel spotykała się kiedyś z jednym z okręgowych prokuratorów.

- Nigdy nie miało to wpływu na naszą pracę. Naprawdę nie masz się czym przejmować.

Pozostało omówienie szczegółów. Dwa dni w tygodniu Sophie opiekowała się Charliem, trzy pozostałe poświęciła na pracę.

- Nie mamy żadnej specjalizacji - wyjaśniła Melinda.

- Biorę wszystko, z czym do nas przychodzi.

- Mnie to odpowiada.

- Świetnie. Dzięki temu jest ciekawiej.

Sophie szybko przekonała się, jak bardzo jest ciekawie. Pierwszym klientem był mężczyzna, który chciał wnieść oskarżenie przeciwko striptizerce. Twierdził, że podczas wieczoru kawalerskiego, wykonując taniec erotyczny, kopnęła go w głowę pantoflem na szpilce. „Lekkomyślny i niedbały taniec” - jak Sophie musiała zanotować w opisie zażalenia - trudno było nazwać przestępstwem przeciw ludzkości. Jednak obrażenia mężczyzny były prawdziwe.

Wysłuchiwała też kobiety zamężnej od czterdziestu siedmiu lat, która chciała pozwać męża za otwieranie jej poczty, hodowcy pudli, który żądał odszkodowania od weterynarza za zbyt krótko przycięty ogon pieska (poczuła ulgę, gdy dowiedziała się, że winowajcą nie jest Noah Shepherd), a także chłopca, który chciał zmusić nauczyciela, żeby postawił mu piątkę zamiast czwórki z plusem, która psuła średnią ocen.

No dobra, myślała, świata tu nie zbawiamy. Ale potem pojawiła się sprawa państwa Fleischmanów, starego małżeństwa, które padło ofiarą oszustwa hipotecznego. A także pary młodych ludzi, którym ubezpieczyciel nie chciał rozszerzyć ubezpieczenia na dziecko adoptowane zza granicy.

Po odejściu Mel na urlop pozostało też kilka niedokończonych spraw rodzinnych. Pewnego dnia Sophie poczuła się dziwnie, siedząc naprzeciwko niejakiego Alfiego Gar-

nera, który rozwodził się z żoną. Miała wrażenie, że przeżywa déjà vu. Między nią a tym mężczyzną nie było żadnych wspólnych cech. On zarabiał na życie jako kierowca ciężarówki, żona była w domu z dziećmi, a mimo to każde słowo, które powiedział, wyraz klęski wypisany na twarzy, smutek w spojrzeniu - wszystko to było jej dobrze znane. Znane, a jednak... już dalekie. Tak, kiedyś tonęła w tej czarnej dziurze, ale teraz mogła spojrzeć Alfiemu w oczy i uczciwie powiedzieć: „Będzie lepiej”.

Szybko zdała sobie sprawę, że jeśli ma być dobra w prawie rodzinnym, musi lepiej rozumieć funkcjonowanie rodziny. Wciąż przerzucała się między dawną Sophie - ostrą, łatwo ferującą wyroki, zawsze opanowaną, a tą kobietą, którą stała się teraz - wyrozumiałą, elastyczną, współczującą. Co ciekawe, zauważyła, że mieszanka tych dwóch postaw wychodzi klientom na dobre. Sama na razie nie ufała jeszcze w pełni nowej Sophie. Wcale nie chciała być taka wrażliwa.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Daisy zatrzymała samochód przed domem kuzynki. Olivia i jej mąż, Connor Davis, zbudowali nad rzeką wymarzone gniazdko. Ściany wzniesiono z drewna i kamieni, a całość wyglądała jak posiadłość prezentowana w najlepszym czasopiśmie. Jednak wyjmując Charliego z samochodowego fotelika, Daisy nie myślała o domu. Jej myśli zajmował Julian Gastineaux.

Był młodszym bratem Connora, a raczej bratem przyrodnym, i właśnie przyjechał z wizytą. Być może każdy miał swojego Juliana z odległej przeszłości. Był wspaniałym chłopcem, czy już młodym mężczyzną, o którym myślało się, nawet jeśli od ostatniego spotkania minęło wiele miesięcy. Aż było żal, że nie podjęło się żadnych kroków. Taki właśnie był Julian. Rodzice zwykle boją się o takich chłopców jak on, niebezpiecznych, ekscytujących, potrzebujących ciągłego przyływu adrenaliny, kochających sporty ekstremalne, zawrotne sukcesy, ostrą muzykę. Lubił czarne T-shirty, dżinsy z niskim krokiem i jazdę na motocyklu. I oczywiście to wszystko sprawiało, że nie można było mu się oprzeć.

Wchodząc na ganek, zastanawiała się, czy bardzo się zmienił od czasu, gdy wyjechał na renomowany uniwersytet. Może po pierwszym semestrze w college'u Cornelia stał się głupkiem albo...

- Cześć, Daisy. - I oto stał przed nią w otwartych drzwiach. Najwyraźniej studia nie zrobiły mu nic złego. Uniwersytet Cornelia, a może upływ czasu lub też te wszystkie ekstremalne sporty sprawiły, że był jeszcze wspanialszy, niż pamiętała. Miał szerokie ramiona, figurę sportowca, uśmiech, który rozjaśniał całą twarz, i nadal nosił dredy.

- Cześć. - Uśmiechnęła się. - Jak miło znów cię zobaczyć. - Nie była pewna, czy powinna go objąć. A może podać rękę? Z dzieckiem na biodrze było to trochę niewygodne. Charlie wtulił buzię w jej ramię, jakby chciał się schować. W zimowym kombinezonie z kapturem wyglądał jak pluszowy miś wygrany na strzelnicy. - Obcy trochę go onieśmielają - wyjaśniła.

- Nie ma sprawy. Mnie onieśmielają dzieci. Roześmiała się, słysząc to szczere wyznanie.

- Jak większość facetów.

- Wejdz. Właśnie miałem pakować sprzęt. - Wybierali się z Sonnet i Zachem na wspinaczkę na wzgórze Deep Notch.

- Poczekaj. Oddam Charliego pod opiekę i ci pomogę.

Zostawiła buty przy drzwiach i ruszyła w głąb korytarza. Czuła, że ogarnia ją podniecenie. Poza czasem, który spędzała w college'u, nie wychodziła zbyt często z domu.

W kuchni zastała nie tylko Olivię, ale również Jenny Majesky i Ninę.

- Cześć. - Spojrzała na Ninę. - Nie wiedziałam, że też tu będziesz.

- Cześć. - Nina wyciągnęła ręce po dziecko.

- Myślałam, że to ja mam się nim opiekować - zaprotestowała Olivia.

Jenny roześmiała się.

- Taki młody, a już kobiety biją się o niego.

- Podzielimy się. - Nina zabrała się do rozbierania malca. Charlie ją znał i lubił, więc śmiał się zadowolony, gdy odpięła zamek i podniosła go, żeby Olivia mogła ściągnąć puchaty kombinezon.

Daisy podeszła do lodówki, żeby włożyć butelki.

- Co słytać? - spytała przez ramię.
- Jenny przyniosła nowinę - powiedziała Olivia.
- Naprawdę? - Nina uśmiechnęła się promiennie.
- Jesteś w ciąży? - spytała Daisy. Właściwie tego się spodziewała. Jenny rok temu wyszła za mąż za Rourke'a McKnighta i nie ukrywała, że pragnie jak najszybciej założyć rodzinę.

Jednak Jenny pokręciła głową.

- To inna nowina. Wiesz, że piszę.
- Całe życie - uzupełniła Nina. Jenny co tydzień pisała felieton kulinarny do miejscowej gazety. Teraz Nina wydawała się bardziej podekscytowana od Jenny. Wyglądała, jakby miała zaraz eksplodować. Były bardzo dobrymi przyjaciółkami. Poznały się w szkole podstawowej i przyjaźń trwała do dziś. Daisy wierzyła, że takie braterstwo, czy też siostrzeństwo, ma szczególną wartość. Lata wypełnione wspólnymi dobrymi i złymi chwilami sprawiały, że związek stawał się wyjątkowo trwały.

Sama nie miała takiej przyjaciółki. W szkole średniej była zbyt niedbała, zbyt płytka w kontaktach, lub też za bardzo zajęta podtrzymywaniem pozy imprezowiczki. Były blisko z Sonnet, ale przyjaźniły się zaledwie rok, a potem zaczęły prowadzić tak różne życie, że łączące ich więzy nie wydawały się już tak trwałe jak kiedyś.

Lecz Nina i Jenny to zupełnie inna historia. Daisy spojrzała na nie tak, jakby patrzyła przez wizjer aparatu. Wyglądały zupełnie inaczej. Włoszka Nina, ciemna, drobna, bardzo emocjonalna, skoncentrowany kłębek energii. Anglosaska Jenny, z wyglądu lady, spokojna i piękna, o delikatnych rysach, na pozór krucha jak porcelana. A jednak, choć poniosła w życiu okrutne straty i przeżyła potworne tragedie, nic nie zdołało jej pokonać. Teraz rozpromieniło ją jakieś szczęśliwe wydarzenie. Daisy miała nadzieję, że jej też kiedyś dopisze szczęście.

- No dobrze, ale jaka jest ta nowina? - spytała. - Ma jakiś związek z pisaniem?
- No! Zbiór moich wspomnień i przepisów z czasów, gdy dorastałam w piekarni Sky River, zostanie wydany! Będzie książka z moim nazwiskiem na okładce.

Daisy słyszała, że Jenny od lat nad tym pracowała. Niesamowite było zobaczyć kogoś, kogo marzenia spełniają się na twoich oczach.

- Brawo, Jenny! Wszystkim tak bardzo podoba się twoja piekarnia, spodoba się więc i książka.

- Liczę na to. Mam jedną prośbę. - Otworzyła dużą kopertę i wyjęła zdjęcia, które Daisy robiła w piekarni, kiedy pracowała tam po szkole. - Jeśli się zgodzisz, chciałabym pokazać je wydawcy. Jeżeli je wykorzystają, oczywiście dostaniesz zapłatę za swoją pracę.

- Mieliby je odrzucić? Nie są głupkami - wtrąciła Nina. - Zdjęcia są fantastyczne.

- Też tak uważam - przytaknęła Jenny. - Chcą zamieścić kilka archiwalnych fotografii, tyle że niestety większość spłonęła w pożarze. - Mówiła o pożarze, który przed rokiem doszczętnie strawił jej dom. - Chciałam tę fotografię zaproponować na okładkę. - Zdjęcie przedstawiało umięśnione kobiece dłonie, które z wprawą wyrabiały ciasto. Dłonie należały do Laury Tuttle, która pracowała w piekarni chyba już milion lat i w jej rękach widać było to nieskończone doświadczenie, a także pracowitą moc. Co nie znaczy, że te ręce wyglądały staro. Były po prostu silne i obeznane z zawodem. Zdjęcie zrobione w sepii tchnęło specyficzną, kameralną atmosferą. Daisy włączyła je do swojego portfolio, gdy starała się o przyjęcie na zajęcia z fotografii.

- Moim zdaniem znakomicie dopełnia tytuł książki - powiedziała Nina. - „Przemyslenia. Mądrości kuchenne z rodzinnej piekarni”.

- Zgadzasz się? - upewniła się Jenny.

- Jasne - zapewniła Daisy. - Mam tylko nadzieję, że okażą się wystarczająco dobre.

- Są znakomite - powiedziała Olivia. - Wszyscy tak mówią.

Ta wiadomość, pomyślała Daisy, jest dowodem na to, że marzenia mogą się spełnić nawet po tym, jak wydarzy się tyle nieszczęść. Przede wszystkim była to wielka radość dla Jenny, ale dla niej również. Nie mogła się doczekać, kiedy opowie o wszystkim mamie. Przyszło jej do głowy, że wspaniale jest wreszcie myśleć o mamie w ten sposób.

Między Sonnet a Zachem nadal panowało napięcie, ale przynajmniej już nie walczyli z sobą otwarcie. Sonnet przyznała wreszcie, że konflikt istniał między jej mamą a ojcem Zacha, a nie między nimi. Daisy zauważyła nawet, że podczas tego tygodnia z przyjemnością spędzali z sobą czas.

Julian pożyczył od brata dżipa i pojechali do West Kill, miasteczka, które leżało najbliżej Deep Notch.

Kiedy przetransportowali sprzęt do zamrożonego wodospadu, Daisy zrobiła kilka zdjęć. Przedstawiała Juliana, który w skupieniu prowadził ich przez las, pełną wątpliwości Sonnet i zaintrygowanego Zacha. Zimowe światło przebijało się przez cienką warstwę chmur, sylwetki nagich drzew wyraźnie odcinały się od śniegu.

- Ta wspinaczka po lodzie - zwróciła się Sonnet do Juliana - jest rzeczywiście taka, jak się wydaje?

- To zależy. - Uśmiechnął się łagodnie. - A jaka ci się wydaje?

- Niebezpieczna. Ekstremalna. Zabójcza. Myślisz, że sobie poradzę?

- Oczywiście. Przywiozłem cały potrzebny sprzęt. - Zaczął im wyjaśniać zastosowanie lin, węzły, sposób asekuracji, wpinania się, prowadzenia, opuszczania się i schodzenia z użyciem liny. Dla Sonnet nie była to nowość, bo wspinała się na skałki, ale gdy ich oczom ukazała się szeroka ściana lodu i rzędy sopli, które błyszczały jak szklane sztylety, uświadomiła sobie, że to będzie całkiem nowe wyzwanie.

Zbuntowała się, zanim jeszcze dotarli do miejsca, skąd mieli rozpocząć wspinaczkę.

- Nie idę.

- To dobrze - powiedział Zach. - Możesz trzymać mi linę.

- Aż tak mi ufasz?

- Powierzyłbym ci życie.

Wstrzymała oddech, najwyraźniej nie spodziewając się takiego oświadczenia. Ich spojrzenia spotkały się i Daisy zauważyła, że oczy Sonnet złagodniały.

W końcu stanęli pod lodową ścianą. Julian zademonstrował im technikę. Mówiąc najprościej, żeby zdobyć tę lodową ścianę, należało znaleźć dobre oparcie dla nóg, wbijać w lód parę czekanów i wspinać się, podciągając się na nich i na wbitych wcześniej przez Juliana śrubach. Kiedy wspinał się Julian, który był silny i poruszał się z dużym wdziękiem, wyglądało to całkiem łatwo, jednak Daisy już po chwili zorientowała się, że wcale takie łatwe nie jest. Nawet pokonanie krótkiej trasy sprawiło, że zaczęła odczuwać mięśnie, o których istnieniu do tej pory w ogóle nie wiedziała.

- Jesteś szalony, wiesz? - powiedziała, gdy dotarła na nierówną półkę.

- Przyszłaś tu za mną, więc co powiedzieć o tobie? Po chwili na górę wwindował się Zach. Usiadł na wystającej skale, zwieszając nogi w dół.

- Następny! - krzyknął do Sonnet.

- Mówiłam już. Nie idę.

Zach podniósł się i wziął linę od Juliana.

- Poćwiczmy tu przez chwilę.

Julian pokazał Daisy dłuższą i bardziej stromą ścianę.

- Spróbujesz?

- Jasne. - Mimo że ten sport wymagał strasznego wysiłku, pustkowie i ekstremalny wysiłek dawały jej cudowne poczucie wolności. Przez tych kilka godzin nie musiała o niczym myśleć. Cieszyła się, że jest z przyjaciółmi, oglądała widoki, spędzała wspaniałe czas. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz robiła coś podobnego. Podczas tych krótkich minut niebezpiecznej wspinaczki była wyłącznie Daisy, a nie samotną matką.

- Cała jesteś w uśmiechach - zauważył Julian, gdy dołączyła do niego na szczycie lodospadu.

Zdjęła kask oraz plecak i wzięła od Juliana butelkę z wodą.

- Zaczynam rozumieć, czemu tak to lubisz. - Jej uśmiech przygasł. - Tyle że czuję się trochę winna. Zawsze, gdy zostawiam z kimś Charliego, mam poczucie winy.

- On również był cały w uśmiechach, gdy zostawiłaś go u Olivii.

- No tak. - Wyjęła aparat. Chmury się rozstały i odsłoniły niebo, które można zobaczyć wyłącznie w zimie, tak intensywnie niebieskie, że aż oczy bolały. Z tym błękitem pięknie kontrastowały oślepiająco biały śnieg i pogrążone w cieniu góry. Zrobiła kilka ujęć, po czym skierowała obiektyw na Juliana.

Przez kilka chwil siedział spokojnie, a w końcu zerwał się na nogi.

- Idę dalej.

Osloniła oczy i odchyliła się, żeby spojrzeć na drogę na szczyt. Ten ostatni kawałek przyprawiał o zawrót głowy. Łód nie dość, że był całkiem pionowy, to w dodatku wydawał się odginać od powierzchni skały.

- Hm... tam nikt nie wejdzie - oznajmiła niepewnie. Uśmiechnął się.

- Właśnie dlatego chcę tam iść.
- Wolalabym, żebyś zrezygnował.
- Mój instynkt człowieka pająka mówi mi, że potrafię to zrobić.

Spojrzała na niego ponuro.

- Wezmę aparat i zarejestruję ostatnie chwile twojego życia.
- Słusznie - odparł ze śmiechem. - Pomoże ci to w karierze.

Włożył kask i gogle, sprawdził liny i ruszył w górę po lodowych filarach z zaciętością, którą Daisy wyłapała w kadrze. Spod nóg Juliana sypały się odłamki lodu. W pewnej chwili przyłgął do białej ściany z tak rozstawionymi ramionami i nogami, że naprawdę przypominał Spidermana, który zawisł w powietrzu. Daisy zrobiła najazd obiektywem, dzięki czemu widziała wszystko z detalami.

Także zbyt luźno wbity hak, na którym się opierał. Lód wokół zaczął pękać.

- Stracisz oparcie dla stopy! - krzyknęła. - Julian, uważaj!

Jej krzyk rozległ się w tym samym momencie, gdy lód pękł. Julian wbił w lód oba czekany i zawisł na nich, podczas gdy śruba spadła razem z gradem odłamków lodu i skały. Daisy z przerażenia zapało dech w piersiach. Stopy Juliana zawisły w powietrzu, wydawało się, że jest bezradny.

- Co mam robić? - krzyknęła, podbiegając do liny.
- Dam sobie radę - odkrzyknął Julian. - Nie przejmuj się...

Ze wstrzymanym oddechem patrzyła w górę. Julian znalazł w końcu oparcie dla czubka buta. Po tym, jak trwał przytulony do ściany, poznała, że jest zmęczony. Po chwili uniósł czekan i ruszył do góry.

Do góry?

- Julian...

- Stąd nie zejdem - powiedział, odczytując jej pytanie. - Bezpieczniej będzie wspinać się dalej.

Nie miała ochoty na to patrzeć, ale nie potrafiła też odwrócić wzroku. Wspinaczka wydawała się trwać całe godziny, choć w rzeczywistości były to zaledwie minuty. Biciem serca odliczała sekundy i nagle z całą ostrością uświadomiła sobie, jak niezwykle

kruche jest życie. W ułamku sekundy wszystko mogło ulec zmianie. W ułamku sekundy świeczka zapalała się, jajeczko zapłodnione... lub gasła, gdy następował kres.

Julian...

Nagle dotarło do niej, jak bardzo zależało jej, by Julian pozostał na tym świecie. Ta myśl była tak niespodziewana, że prawie przestała oddychać, czując się jak podczas żarliwej, bliskiej mistyki modlitwy.

W końcu, po nieznośnie długiej chwili, Julian dotarł na szczyt i zniknął za lśniąca wypukłością lodu. Daisy usiadła bezwładnie. Czuła się słabo, zrobiło jej się zimno. Po lodowej ścianie zsunęła się w dół lina. Czyżby Julian sobie żartował? Chce, żeby wspinała się na wędkę? Myśli, że pójdzie za nim na szczyt?

Charlie, pomyślała. Nie wolno mi już ryzykować.

Ponownie spojrzała na linę. To przecież Julian. Był szalony, ale przecież potrafił zrobić to bezpiecznie. Chyba...

Schowała aparat, zarzuciła na ramiona plecak, włożyła kask i gogle, ponownie sprawdziła uprząż, zabezpieczyła linę.

- Gotowa! - zawołała. - Jeśli tam dotrę, będziesz miał za swoje.

Wspinała się z większą uwagą, ale też z większym zapamiętaniem. Ramiona i nogi drżały ze zmęczenia, mięśnie były obolałe. Od czasu porodu nie stanęła przed tak wielkim wyzwaniem. Kiedy wreszcie znalazła się na szczycie, spływała potem i z trudem łąpała oddech. Ściągnęła kask i gogle.

- To był odlot - powiedziała.

Julian wyciągnął rękę, pomagając podnieść się Daisy, a gdy już stała, nie puścił jej dłoni. Znowu pojawiło się to uczucie, które ogarniało ją za każdym razem, gdy była blisko niego.

- Julian...

Nie pozwolił jej dokończyć. Pochylił się nad nią, objął jej twarz i pocałował. Nigdy wcześniej jej nie całował, chociaż tego pragnęła. Nie był to namiętny, rzucający na kolana pocałunek, ale delikatny i ciepły. Badawczy i... powitalny. A przy tym oszałamiający. Czuła, jak jej serce boleśnie wypełnia się uczuciem.

Gdy przerwał pocałunek, odsunęła się, ale wciąż nie puszczała jego kurtki. W końcu siłą woli zabrała rękę i cofnęła się o krok.

Julian przyglądał się jej z powagą.

- Już od dawna chciałem to zrobić.

- No to witaj w klubie - mruknęła i natychmiast się zawstydziała. - Tyle że... hm... chyba nie powinniśmy niczego zaczynać.

- Czemu?

- Ponieważ ty i ja... my... - Nie potrafiła tego wyjaśnić.

- Co takiego jest z nami, Daisy? - Wydawał się zdenerwowany i rozczarowany. - Możesz mi wytłumaczyć? Bo naprawdę chciałbym to wiedzieć.

- Jesteś jednym z moich najlepszych przyjaciół - zaczęła szczerze. - Żałuję... - Właśnie... Tak wielu rzeczy żałowała. Tego, że z powodu rozvodu rodziców była w tak fatalnym stanie, gdy poznała Juliana. Tego, że w tej chwili prowadzili tak całkiem inne życie. Tego, że potrafiła sobie wyobrazić, co myślał o Loganie...

Zamrugła. Miała nadzieję, że Julian jej łzy przypisze lodowatemu wiatrowi.

- Jakoś nie ma dla nas dobrego momentu. - Uśmiechnęła się, choć w rzeczywistości chciało jej się płakać. - Czego właściwie pragniesz, Julianie? Spotykać się ze mną? Zostać moim chłopcem? Chcesz być z kimś, kto mieszka setki kilometrów od ciebie i ma na wychowaniu dziecko? Bo tak właśnie wyglądają sprawy. Możemy wyjść razem i robić coś szalonego przez godzinę lub dwie, ale potem trzeba wrócić do rzeczywistości. Ty pojedziesz do Itaki, a ja wrócę do Charliego.

- Wygląda na to, że już podjęłaś za mnie decyzję.

Czy nie rozumiał? Przecież nie miała żadnego wyboru.

Już nie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Próbując poradzić sobie z pocztą, plikiem papierów oraz smyczą, Sophie otworzyła drzwi i czym prędzej poszła napalić w piecu. Opal rzuciła się do zabawy, więc rozpalala ogień przy wtórze stłumionych pisków psiej zabawki.

Tak właśnie wyglądało jej życie. Dni spędzała albo z Charliem, albo w kancelarii prawniczej. Po powrocie odbierała Opal z domu Noaha, gdzie Chelsea przychodziła po szkole zaopiekować się i suczką, i innymi zwierzętami. W niektóre dni wpadał z wizytą Max, innym razem Sophie jechała na trening lub mecz. Gayle przedstawiła ją kilku koleżankom, dzięki czemu Sophie dowiedziała się, że nie każda kobieta w Avalonie jest sprzymierzeńcem rodziny Romano. Powoli stawała się osobą, którą trudno byłoby rozpoznać. Mieszkanką małego miasteczka z własnym kręgiem rodziny i przyjaciół. Kimś, kto ma pieska.

A... kim właściwie był Noah? Partnerem? Bez względu, jak go nazwała, znał sposoby, żeby zająć dużo miejsca w jej życiu. Gdyby była z sobą szczerą, musiałyby przyznać, że nie chciałyby nic zmieniać. Lubiła jego poczucie humoru, czułość, wielką ochotę na seks, fakt, że zupełnie nie przejmował się tym, iż wplątali się w szalony romans, a także jego przekonanie, że to jest coś znacznie ważniejszego niż przygodna miłośćka.

Zadzwoił o zwykłej porze, tuż przed obiadem, i zaprosił na wędrowną z psami przez las.

- Jest lodowato - zaproponowała.

- Ubierz się na grubą cebulkę.

Spotkali się na ścieżce, która wiła się przez las otaczający starą farmę. Noah uśmiechnął się szeroko, przytulił Sophie i pocałował. Czy kiedykolwiek czuła się tak pożądana? Taka ważna dla kogoś? Kogokolwiek?

- Jak minął ci dzień?

Albo czy ktokolwiek zadawał jej takie pytania? Wziął od niej smycz i ruszyli.

- Sprawdziłam umowę dotyczącą nieruchomości, napisałam kilka listów w żargonie prawniczym, przygotowałam wnioski o sprawę w sądzie wyższej instancji, udzielałam porady klientowi.

Tak czy inaczej dzień pracy już się skończył. Tutaj nie zabierała problemów z sobą do domu, tak jak się to działo, gdy pracowała w Trybunale Karnym.

Ścieżka prowadziła przez las porastający wzgórza za farmą. Noah pokazał miejsca związane z jego dzieciństwem: drzewo hikory, na którym zbudował domek, zagajnik klonów cukrowych, gdzie zbierał sok na syrop. Była tam też skała, w którą uderzył, rozbijając głowę, kiedy zjeżdżał na toboganie, oraz strumień, w którym wiosną zbierał żabi skrzek, żeby zobaczyć, jak jajeczka przekształcają się w kijanki. Łatwo było go sobie wyobrazić, jak żyje w pobliżu domu, w swoim środowisku. Nic dziwnego, że wyrósł na zrównoważonego mężczyznę.

- Co to za mina? - spytał w pewnym momencie. - Powiedziałem coś niewłaściwego?

- Boże, nie! Tylko nagle dotarło do mnie, że od chwili, gdy się poznaliśmy, ciągle coś od ciebie biorę, nie dając nic w zamian. Roześmiał się.

- Nie powiedziałbym.

- A ja tak. Tak się skupiałam na zmianach w swoim życiu, że nigdy cię nie spytałam, czego pragniesz. O czym marzysz, Noah?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Życia, w którym będę szczęśliwy. I które będzie miało sens.

- To zbyt proste.

- Może. - Machnął ręką. - Ostrożnie. - Wskazał zagłębienie w śniegu. - Przejdziemy przez strumień.

- Nie widzę żadnego strumienia.

- Właśnie go przekroczyłaś. Bądź cicho, to usłyszysz.

Stała bez ruchu i po chwili do jej uszu dotarło słabe szemranie wody niewidocznej pod warstwą śniegu.

- Właśnie zaczyna odmarzać.

- A ja zaczynam zamarzać. Wracajmy już. - Rozejrzała się po lesie. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo to wszystko różni się to od tego, co zwykle robiłam po pracy - powiedziała z uśmiechem.

- Tak?

- Przede wszystkim bardzo rzadko wracałam do domu przed zapadnięciem zmroku. Po drodze do mieszkania wstępowałam do delikatesów po rolmopsa.

- Co to takiego?

- Najczęstsze danie na wynos, które jadłam na kolację. Marynowany śledź owinięty wokół ogórka, podawany z cebulką na bułce.

- Błeee.

- Dla mnie było to bardzo wygodne. Przynajmniej mogłam coś zjeść wieczorem, gdy siadałam do pracy.

- Czekaj. Więc wracałaś z pracy do domu i potem znowu pracowałaś? A co robiłaś dla rozrywki?

- Rozrywki?

- No wiesz, imprezy, wyjścia z przyjaciółmi.

- Tarik, mój przyjaciel i kolega z pracy, lubił chodzić do klubów, ale rzadko mu towarzyszyłam. - Roześmiała się. - Opowiem ci o przyjęciach w kręgu.

- Czy to jakiś holenderski zwyczaj?

- Bardzo lubią zapraszać na to cudzoziemców, choć jest to trochę... Sama nie wiem. Jakbyś przyglądał się schnącej farbie. Siedzi się w kręgu na składanych krzeselkach, wita się ze wszystkimi, pije letnią herbatę lub kawę, je niesmaczne ciasto i powtarza się, że wszystko jest po prostu *gezellig*. To mniej więcej to samo co miłe, przyjemne, serdeczne. Po prostu *gezellig*. Takie przyjęcie ciągnie się całymi godzinami.

- To już wolałbym zjeść rolmopsa.

- No właśnie.

- Ale dziś robię spaghetti.

- Czy to zaproszenie?

- Oczywiście. Więc rusz swoją *gezellig* pupę.

Kiedy wrócili do domu, Noah nawet nie udawał, że zabiera się do kolacji. Chciał się z nią kochać, a Sophie nie próbowała się opierać. To, co czuła - pożądanie, pociąg czy jakkolwiek by to nazwać - bez trudu poradziło sobie z jej zwykłą ostrożnością. Noah był jak ta woda pod śniegiem, ukryte źródło, które wywoływało w niej uczucie wolności.

Niczym para nastolatków kochali się na sofie w salonie, potem przeszli do łóżka, a na koniec wylądowali w głębokiej, staromodnej wannie.

- Czy ty masz pojęcie - spytał znacznie później - jak ja za tobą szaleję?

Była w jego sypialni i właśnie się ubierała w półmroku.

- Najmniejszego - odparła. - Może mi przypomnisz? Przytrzymał sweter, który właśnie włożyła.

- Do tego stopnia, że mógłbym zacząć od nowa. - Podciągnął miękki kaszmir.

Niewiele brakowało, by mu uległa.

- Czy nie wprawia cię w zażenowanie, że robisz to w tym samym domu, gdzie twoi rodzice...

Zamknął jej usta pocałunkiem.

- Nie myślę o tym, natomiast bardzo mi się podoba, że w tym domu panuje miłość.

- Roześmiał się, widząc jej minę. - Zgadza się, powiedziałem to słowo.

Miłość...

Obciągnęła sweter.

- Nie powinieneś nonszalancko rzucać takich słów.

- Kto mówi, że jestem nonszalancki? Kocham cię. To proste.

- Nie możesz tego wiedzieć.

- Wiem, co wiem. Wciąż próbujesz udawać, że między nami nic nie ma, ale mylisz się. Wystarczająco długo z sobą przebywamy, żeby zorientować się, czy to coś znaczy. To prawda, wszystko stało się niespodziewanie, dość nagle i w ogóle. Lecz to nie znaczy, że to nie jest prawdziwe. Możesz mi wierzyć, że to coś bardzo ważnego.

- To dzieje się... zbyt szybko... - Była tak zaskoczona, że nie wiedziała, co powiedzieć.

- Dzieje się teraz. I właśnie teraz, Sophie Bellamy, dokładnie w tej chwili, szaleję z miłości do ciebie.

To nie było to, co chciałyby usłyszeć. Kiedy słuchała tego wyznania, stało się coś, co niektórzy prawnicy nazwaliby zezowatym oświadczeniem. Jak z zezowatym okiem: trudno się zorientować, w którą stronę patrzy. Zawsze zostaje jakaś furtka. Teraz... Dokładnie w tej chwili...

Znowu się roześmiał.

- Sprowadzasz termin „rozważać” do nowego poziomu.

- Skąd wiesz, że coś rozważam?

- Niemal da się słyszeć, jak pracuje twój mózg. Ale nie przejmuj się. Jest sposób, żeby temu zaradzić. - Wsunął dłoń pod jej sweter. Wykonywał te same co zawsze, dobrze jej znane ruchy, a jednak zawsze wydawał się zaskoczony i podniecał się tak, jakby dotykał jej po raz pierwszy.

Tym razem nie opierała się i przez następną godzinę w ogóle przestała myśleć. Co więcej, nie musiała ciągnąć rozmowy, którą rozpoczął tym jednym krótkim słowem. Kiedy pieścił ją z taką czułością, nie była w stanie opanować ogarniających ją emocji. To było coś, czego jej zawsze brakowało w życiu, i aż do spotkania Noaha nie wiedziała nawet, co to takiego. Teraz już wiedziała. Była jakaś szczególna moc, a także gracia w tym, gdy się kogoś obejmowało i gdy znalazło się w czyichś objęciach, jakaś mieszanka siły i uległości, poczucie bezpieczeństwa.

Do tej pory nie miała problemu z tym, że nie przeżyła wielkiej miłości. Zresztą nie była pewna, czy ma na to ochotę. Wcale nie pragnęła budzić się co rano z myślą, że potrzebuje kogoś, kto ją przytuli.

Teraz jednak, gdy Noah trzymał ją w ramionach, wiedziała, że potrzeba jej tego jak powietrza i wody. Miał niezwykłą umiejętność spoglądania w głąb jej serca i po raz pierwszy od bardzo dawna, a może nawet od zawsze, nie czuła się potwornie samotna. W końcu dowiedziała się, co to znaczy miłość. Prawdziwa, romantyczna miłość. Jej siła była miażdżąca. Przerazało ją, że potrzebuje Noaha aż do tego stopnia. Przecież miała dać sobie radę sama...

- Dosyć - mruknęła, otrząsając się z błogiego zapadania w sen, gdy skończyli się kochać. - Obiecywałeś kolację.

- Może to był tylko fortel, żeby zwabić cię do łóżka. - Uśmiechnął się i usiadł. Prześcieradło zsunęło się, odsłaniając wspaniale zbudowane ciało.

Przez chwilę była gotowa zmienić zdanie i zrezygnować ze wstawania, jednak z pewnym wysiłkiem wyszła z łóżka i ubrała się. Poprawiła włosy, nałożyła szminkę i na chwilę zatrzymała się przed lustrem, oglądając się krytycznie.

- Skąd ta mina? - spytał Noah.

- Zakupy z Daisy to była sama przyjemność, ale nie jestem pewna, czy w mojej garderobie powinny się znaleźć dzinsy i kuse sweterki.

- A co w nich złego? Mnie się podobają.

- Wyglądają śmiesznie na kobiecie w moim wieku.

- Wyglądasz seksownie. Nie czepiaj się. Twoja córka ma dobry gust. Mam nadzieję, że wybrała ci również coś eleganckiego.

- Czemu?

- W sobotę wieczorem są tańce w remizie. Całe miasteczko stroi się na zabawę.

Ze zmarszczonym czołem znów spojrzała w lustro.

- To brzmi... hm... zabawnie.

- Możesz mi wierzyć, że nie przypomina holenderskiego przyjęcia w kręgu.

- Tyle że... to nie jest najlepszy moment, żeby...

- Odetchnęła głęboko. - Noah... Nie chcę, żeby moje dzieci dowiedziały się. To znaczy o nas. - Nie odważyła się spojrzeć w lustro, gdzie mogła napotkać jego oczy.

- Dlaczego?

- Przyjechałam tu dla nich. Nie... po to, żeby kogoś poznać, coś zaczynać. Nie rozumiałyby. - Odwróciła się do niego. - Ja sama tego nie rozumiem.

- Przestań się zamartwiać. Szaleję za tobą, ty za mną. Każde dziecko może to zrozumieć. Czego się naprawdę boisz, Sophie?

Jak bardzo będzie boleć, gdy się to skończy, odpowiedziała w duchu.

- Noah, ja nie...

Zadzwonił dzwonek do drzwi i po chwili dało się słyszeć otrzepywanie butów ze śniegu.

- Hop, hop, Noah!

- Uratował cię dzwonek. - Pocałował ją jeszcze raz, krótko i mocno. Znów dało się słyszeć dzwonek. - Chłopcy przyszli.

- Wiedziałaś, że mają przyjść?

- Jasne. Obiecałem im spaghetti, a potem mamy poćwiczyć. - Wyciągnął kraciastą flanelową koszulę i ją powąchał.

- Miło, że mi o tym mówisz. Teraz jestem w pułapce. Będą wiedzieli, że śpimy z sobą.

- Nie wiem jak ty, ale ja nie zmrużyłem oka. Nie martw się, nie powiedzą ani twoim dzieciom, ani nikomu innemu. - Najwyraźniej uznał, że koszula jest czysta, bo zaczął ją wkładać.

- Wiesz, co mam na myśli. Oni też będą wiedzieć.

- Są moimi przyjaciółmi. Lubią cię. Będą szczęśliwi z naszego powodu.

- Wiem. Tylko... Wolę zachować to... nas... w tajemnicy. - Dostrzegła w jego spojrzeniu ból i gniew. - Ze względu na mnie - dodała pośpiesznie. - Nie chodzi o ciebie. Jestem nowa w mieście i wszyscy ludzie znają mnie jako byłą żonę świętego Grega Bellamy'ego, kobietę, która porzuciła swoje dzieci, żeby prowadzić światowe życie w Europie. Jeszcze mi tylko potrzeba, by dowiedzieli się, że sypiam z kim popadnie.

- Nie sypiasz z kim popadnie. Sypiasz ze mną.

- Tak, ale...

- Słuchaj. Nie przyjechałaś tu, żeby zostać zakonnicej. Wróciłaś, żeby przebywać z dziećmi. A także, jak się domyślam, normalnie żyć. A ja jestem znakomitą partią, sama popatrz. - Rozłożył ramiona i stanął w komicznej pozie.

Miał uśmiech, który potrafił zmiękczyć każde serce. Widząc go, potrafiła uwierzyć, że mogłaby znieść wszystko. Zmierzyć się z całym światem.

Wieczorami zwykle siedziała sama przed komputerem, przeglądając sprawy. Teraz spędzała je z przyjaciółmi, rodziną lub z mężczyzną, który właśnie wyznał, że ją kocha.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Sophie zaplanowała popołudnie z Maksem i Daisy w kurorcie Mohonk Mountain. Jej najpiękniejsze wspomnienia wiązały się z wycieczkami, na które całymi latami wyjeżdżali. Pokazywała im wówczas nowe miejsca i uczyła nowych rzeczy. Sprawiało jej przyjemność, gdy myślała, jaką szczęśliwą rodziną kiedyś byli. Chciała wierzyć, że znów mogą być z sobą szczęśliwi. Zależało jej na tym, żeby zostać z dziećmi sam na sam, bo chciała omówić z nimi kilka spraw.

Przygotowała również pewną niespodziankę. Tarik przyjechał do Nowego Jorku w jakiejś sądowej sprawie i mógł się z nimi spotkać w historycznym rezerwacie. Sophie ciężko pracowała nad nowym życiem, lecz tęskniła też trochę za dawnymi czasami. A przede wszystkim za Tarikiem.

Kurort został zbudowany przez rodzinę Smileyów w sześćdziesiątych latach dziewiętnastego wieku, a teraz należał do ich spadkobierców. Sophie zdarzało się tu gościć jeszcze w czasach, gdy studiowała prawo międzynarodowe. Był to jedyny w swoim rodzaju zamek w Ameryce, ze wspaniałymi salonami, pokojami dla gości, stajniami i labiryntem, lodowiskiem, wytwornymi ogrodami, polem golfowym, kilometrami szlaków prowadzących przez rezerwat Mohonk i chwytającymi za serce widokami, które rozciągały się z każdego okna. Zawieszony wysoko na szczycie granitowego klifu, który wznosił się nad jeziorem Mohonk, był zadziwiającym połączeniem budowli z disneyowskiej krainy magii, zamku Ludwika Szalonego i widoczku ze starej pocztówki. Była pewna, że w dzieciach wzbudzi taki sam podziw jak w niej.

Przyglądała się, jak ich twarze się rozjaśniają, gdy oglądały mury z ciosanych kamieni i wieże. Daisy była dorosła, a Maks bardzo duży, lecz zachwyty na ich twarzach uświadomił jej, że dla niej zawsze pozostaną dziećmi.

- Mohonk znaczy jezioro na niebie - powiedziała. - Firma rytownicza Currier i Ives wykonała mnóstwo litografii tej budowli.

W ogromnej bibliotece, wśród wysokich szaf, pokazała im portrety prezydentów i dygnitarzy, którzy się tu zatrzymywali.

- Założycielami było dwóch braci - wyjaśniała. - Albert i Alfred Smileyowie. Byli oddanymi sprawiedliwości i pokojowi na świecie kwakrami. Mniej więcej sto lat temu właśnie tutaj powstał Stały Trybunał Arbitrażowy. Możliwe, że działo się to nawet w tej sali.

Daisy spojrzała na nią podejrzliwie.

- A nas to ma zainteresować, bo...?

- Bo teraz ma swoją siedzibę w Hadze. Pewnie zainteresuje was to, że proponowano mi tam stanowisko adiunkta. - Rozejrzała się po wielkiej bibliotece. Miała wrażenie, że niemal czuje, jak te stare zbiory tchną mądrością. - Odrzuciłam propozycję i następnego dnia wróciłam do was i do Charliego.

- Żałujesz, że nie przyjąłeś tej pracy? - spytał Max. Widać było, jak sztywnieje, szykując się na cios.

- Nie, nie żałuję. Prawdę mówiąc, jestem niesamowicie zadowolona, że wróciłam. - Zawahała się. - Zamierzam poszukać w Avalonie jakiegoś miejsca na stałe.

No, powiedziała to wreszcie. Oświadczyła, że nie jest gościem, lecz stałym mieszkańcem. Pełnoetatową mamą.

- Jakiego miejsca? - pytał Max.

- Chcę kupić dom.

- Nad jeziorem?

- Nie wiem. W przyszłym tygodniu mam umówione spotkanie z agentem. A dlaczego? Masz jakieś określone preferencje?

- No... Wolę tam, gdzie jesteście.

- Tam jest bardzo ładnie, mamo. - Daisy podeszła do okna i skierowała aparat na zaśnieżony krajobraz.

- A co z Opal? Teraz zostaje u Noaha, kiedy nie ma cię w domu. Gdzie pójdzie, jak się przeniesiesz? - zaniepokoił się Max.

- Wkrótce będzie na tyle duża, żeby zostawać sama w domu - uspokoiła go Sophie. Po prawdzie, jej również będzie brak sąsiedztwa Noaha, lecz chodziło przecież o rodzinę.

- Jeśli znajdę dom w mieście, nie będziesz musiał jeździć do mnie szkolnym autobusem.

- Nic mi to nie przeszkadza.

To było coś nowego. Z początku Max oświadczył, że nie znosi tego autobusu. Być może znalazł w nim jakichś kolegów.

- Wszystko będzie dobrze, Max - zapewniła. - Obiecuję. Zgoda?

- Zgoda. - Odszedł, żeby obejrzeć statek w butelce. Sophie odetchnęła głęboko. Informacja o szukaniu domu była łatwiejszą częścią rozmowy. Odczekała kilka minut, zastanawiając się, jak przejść do drugiego tematu.

- Chciałam cię spytać o coś w sprawie jutrzejszego meczu.

- Co takiego?

- Chcę kogoś z sobą zabrać. - Myślała o tym przez cały poprzedni wieczór, a także całe dzisiejsze rano, i doszła do wniosku, że Noah zasłużył na to, żeby wyjść z ukrycia. Był dla niej wspaniały, a tymczasem ona wciąż trzymała w tajemnicy ich związek. Było to niemądre, dziecinne i w ogóle bez sensu.

Max wciąż był zajęty statkiem, ale Daisy opuściła aparat i odwróciła się od okna.

- Nie będzie ci to przeszkadzać?

- To zależy. Kto to ma być?

Rzuciła okiem na Daisy. Cała zastygła z ciekawości.

- Noah Shepherd. Masz coś przeciwko temu? Max wzruszył ramionami.

- Jasne. Mówił mi, że podoba mu się hokej.

- Debil - mruknęła Daisy. - To mama mu się podoba. Max w końcu wyprostował się.

- Więc on jest tak jakby twoim chłopakiem lub kimś w tym stylu?

Lub kimś w tym stylu. Można tak powiedzieć, tym bardziej że Sophie nie potrafiła znaleźć słowa, które opisywałyoby, kim Noah był dla niej.

- Wydaje mi się, że można go nazwać moim... hm... chłopakiem. - Zająknęła się przy tym słowie. Wydawało się nieodpowiednie. Gdy dzieci milczały, ponagliła je niecierpliwie: - No i? No i co wy na to?

- Jak oni wkładają taki statek do butelki? - spytał Max.

- Ja bym raczej spytała - powiedziała Daisy - po co w ogóle to robią.

- Prawdę mówiąc - rozległ się miły głos z brytyjskim akcentem - robią to bez żadnego szczególnego powodu.

- Do sali wszedł Tarik, jeszcze bardziej przystojny i wytworny, niż go Sophie zapamiętała.

Z okrzykiem radości podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Jesteś wreszcie - powiedziała. - Bałam się, że nie przyjedziesz.

- Nigdy nie złamałbym danej ci obietnicy.

- Uwierzyć nie mogę, że cię widzę. Max, Daisy... Pamiętacie Tarika, prawda? - Zarumieniona z dumy pokazała mu Charliego, który wciąż słodko spał. Bez wątpienia był najpiękniejszym dzieckiem na świecie ze swoją gładziutką jasną cerą, ślicznie wykrojonymi ustami i rudymi loczkami.

Tarik zachwyił się nim stosownie do oczekiwań.

- Wspaniały! - powiedział, uśmiechając się promiennie. - Naprawdę wspaniały. Prześliczny. - Wyprostował się i spojrzał na Daisy i Maksa. - Brakuje mi waszej mamy. Jestem wstrętnym egoistą i wołałbym, gdybyśmy nadal razem pracowali, ale kiedy widzę ją z wami i tym maleństwem, rozumiem ją. - Zwrócił się do Sophie.

- Przywiozłem ci coś. Chciałem ci to przekazać w obecności twoich dzieci. - Otworzył teczkę i wyjął płaskie pudełko. - Królowa przyznała to waszej mamie, a zostało wręczone w Święto Trzech Króli.

Zesztywniała z niepokoju. Nigdy nie rozmawiała z dziećmi o szczegółach tamtego wieczoru.

- Tarik...

- Ale odjazd, mamó - zachwycał się Max, podziwiając wygrawerowany medal na wielokolorowej wstędze.

Tarik z całą powagą zawiesił medal na jej szyi. Było to zaledwie przelotne spojrzenie na to, jak wyglądało jej dawne życie, ale patrząc na miny dzieci, Sophie zarumieniła się z dumy. Napotkała spojrzenie Tarika i bezgłośnie mu podziękowała. Wiedziała, że tę chwilę zachowa na zawsze w sercu.

Charlie się przebudził i kiedy Daisy zajęła się synkiem, a Max poszedł zwiedzić ogrody, Tarik zamówił drinki.

- Tu jest naprawdę cudownie - powiedział - a ty wydajesz się szczęśliwa, Kwiatuszku. Cieszę się, bo nie byłem pewien, czy tak będzie.

- Ja również nie byłam pewna. Brak mi ciebie, Tarik. Nie chcę powiedzieć, że pragnęłabym wrócić do takiego życia, ale pracy też mi brakuje.

- Wybierz się z wizytą, a jeszcze lepiej odwiedź Umoję. Wybieram się tam za miesiąc.

Dotknęła palcami medalu.

- Kusząca propozycja, ale jestem tu potrzebna. Trochę dziwnie się czuję, mówiąc to, ale tak rzeczywiście jest.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Sophie siedziała po kolacji w salonie Noaha, starając się życzliwszym okiem patrzeć na neonowy zegar z baru piwnego, który wisiał nad kominkiem. Noah obiecał, że postara się polubić filmy, które chętnie oglądała - podczas tego weekendu w Kingston mieli wyświetlać stare filmy Felliniego - więc może ona powinna zaakceptować ten zegar. Nie miała żadnych problemów z polubieniem innych rzeczy, które dotyczyły Noaha. Także tego, gdy upierał się, że będzie zmywał naczynia. Właśnie teraz był w kuchni i kończył zmywanie.

Jak szybko nabrali różnych zwyczajów. Coraz częściej jedli razem kolacje. Poznawali swoje muzyczne gusty. Noahowi podobały się zupełnie inne gatunki niż jej, chociaż zaczynała doceniać zespoły o takich nazwach jak Bad Pennies czy Mastodon. Chodzili biegać z psami, czasem jeździli konno. Po prostu uczyli się, jak uczestniczyć nawzajem w swoim życiu.

Zaczęła żałować, że będzie musiała się przenieść. Cudnie było mieć go tak blisko.

Ominęła śpiącego szczeniaczka, podeszła do stolika i wyrównała stos powieści science fiction. Noah był fanem Bena Bovy, Theodore'a Sturgeona i Philipa Jose Farmerra. Obok leżał plik wydruków z internetu. Były to artykuły Brooksa Fordhama. Przeniknęła ją zimny dreszcz. Czemu Noah czyta artykuły Brooksa?

Usłyszała, że wraca z kuchni, więc szybko przykryła wydruki książkami. W oko wpadła jej stara książka telefoniczna, która już ze trzy lata temu powinna zostać oddana

na makulaturę. Kiedy Noah wchodził do pokoju, na końcu języka miała uwagę na temat bałaganu, lecz zamiast tego otworzyła spis telefonów.

- Adams Anna - przeczytała na głos. - 647 Mill Street 372-38-58, Ammon Bradley, 74 South Maple...

- Co robisz? - zdziwił się Noah.

- Czytam książkę telefoniczną. Kiedyś powiedziałeś, że nawet wtedy byłabym interesująca.

- Gdybyś czytała ją nago.

- Tego nie mówiłeś.

- Ale mówię teraz. - Chwycił ją w objęcia i zaczął rozpinąć bluzkę.

Odepchnęła jego dłoń i podjęła czytanie:

- Anderson Barbara, 2140 Lakeview Terrace, mieszkania 9 B. Archer... Aj!

Zaśmiała się bezradnie, a po chwili rozbawienie zmieniło się w pożądanie. I już się kochali na sofie. Pieszczoty Noaha sprawiały, że znów czuła się młodo. Tak młodo, jak nigdy dotąd. Przy nim była całkiem odmieniona, pełna nadziei i rysujących się przed nią możliwości.

Później, gdy leżała w jego ramionach, odezwała się nagle:

- Mam do ciebie prośbę.

- Cokolwiek zechcesz. Zrobię dla ciebie wszystko. - Ta sucha uwaga była bardziej przekonująca niż kwieciste zapewnienia. - Czego potrzebujesz? Mam przejść po rozżarzonych węglach? Iść za tobą na koniec świata?

- Gorzej. Chcę, żebyś wysiedział ze mną podczas dziecięcego meczu hokejowego.

- Au!

- Jako mój partner. Powiedziałam Daisy i Maksowi o... o tym, że się z tobą widuję. Czuję się niezręcznie, ale wydaje się, że zrozumieli. To co, zgodzisz się?

- Będziesz musiała zapłacić.

Gdy wyszeptał jej do ucha swój warunek, Sophie zaczerwieniła się.

- Chyba da się to załatwić.

- Trzymam cię za słowo.

Kiedy Noah rozpałał w kominku, podeszła do okna i wyjrzała na pogrążające się w niebieskawym zmierzchu zaśnieżone podwórze. Na tle nieba widać było jakiś czarny kształt. To był jeleń, który objadał korę z drzew. Przypomniała sobie wieczór, gdy się poznali. Miała nadzieję, że jeleń, którego potrafiła, przeżył.

Noah rozpałał już ogień, podszedł do niej i objął ją od tyłu ramionami. Odwróciła się do niego twarzą. Czowała, jak ogarnia ją spokój.

- Jest coś, o czym chciałam ci opowiedzieć - zaczęła. - To coś, co wydarzyło się w Hadze...

- Tak? Co takiego, skarbie? - spytał łagodnie.

Powtórzyła sobie raz jeszcze, że może mu ufać. Nigdy jeszcze nikomu nie wierzyła w takim stopniu jak jemu, nikogo jednak nie kochała tak bardzo. No powiedz, ponagliła się.

- Nie mówiłam tego nikomu. - Wskazała wydruki, które leżały na stoliku. - Nawet Brooksowi. Nie można tego przeczytać w żadnej z jego relacji. Myślałam, że nie będzie miało żadnego znaczenia, jeśli zachowam to dla siebie, ale myliłam się. To ma znaczenie, Noah. Ogromne.

Otworzył ramiona.

- Czy pomoże, jeśli cię przytulę?

- Zawsze pomaga. - Umościła się przy nim, czuła bijące od niego ciepło. - Pamiętasz, kiedy się poznaliśmy, mówiłam ci, że przeżyłam gorsze rzeczy niż rozcięte kolano?

- Rzuciłaś jakąś uwagę, że byłaś zakładniczką terrorystów i w pędzącym mikrobusie spadłaś z mostu... Tyle że... wcale nie żartowałaś, prawda?

- Byłam zadowolona, że tak uważasz. Dzięki temu wszystko stawało się mniej realne. I pomagało, przynajmniej na krótką chwilę. Niemniej jednak to się zdarzyło i wszystko, co czytasz, jest prawdą. Każde słowo. Kłamstwo jest tylko w tym, czego nie powiedziałam. - Przerwała, żeby odetchnąć. Teraz już nie miała odwrotu. - O niektórych faktach nie mówiłam nikomu, nawet lekarzom, którzy się mną opiekowali. Nie potrafię się z tym pogodzić, zarazem nie mogę przestać o tym myśleć, a w nocy mam koszmary. Kiedy było po wszystkim, lekarze nie stwierdzili u mnie zespołu stresu pourazowego, ale

wciąż jest ryzyko, że się pojawił, i czasami ogarnia mnie lęk z tego powodu. Tyle osób na mnie tutaj liczy...

- Te osoby ciebie kochają, Sophie. Nigdy o tym nie zapominaj.

Przy nim nie mogłaby o tym zapomnieć, ale wystarczyło, że zamknęła oczy, a natychmiast wracała do tamtego wieczoru, do sceny wewnątrz mikrobusu, do chaosu i wściekłości, do rozpacz i zaciętej walki o życie.

- Och, Sophie. Tak mi przykro, że musiałaś przejść przez coś...

- Posłuchaj... - Odwróciła do niego twarz i zmusiła się, żeby spojrzeć mu w oczy. - To była moja wina. To przeze mnie mikrobus spadł z mostu. - Wyjaśniła, jak terroryści musieli zmienić plany i uciekać, jak zabrali ją jako zakładniczkę. Opowiadała, co mówili w mikrobusie i jak pewność, że zaraz umrze, doprowadziła ją do podjęcia działania. Płacząc i drżąc ze zdenerwowania, ciągnęła: - Oni umarli, Noah. To moja wina. Jak mam z tym żyć?

- Umarli, bo byli mordercami. - Ujął jej twarz, kciukami ocierał łzy. - A ty przeżyłaś dla swojej rodziny, Sophie. I dlatego, że jesteś odważna, a serce masz tak wielkie jak cały świat.

Po wyznaniu wszystkiego czuła się wyczerpana, lecz wolna. Opowiadając Noahowi o tamtym wieczorze, o panicznym strachu i urazie, przez które jej życie zupełnie się rozsypało, rozładowała napięcie. Noah potrafił słuchać. Tulił ją w ramionach, nie zadając pytań. Opowiedziała mu o André i Fatou, o swojej bezsilności. Nie udawał, że rozumie, nie próbował doradzać, jak ma sobie z tym poradzić, tylko słuchał. Już to wystarczyło, żeby jej pomóc. W gruncie rzeczy nic się nie zmieniło, a jednak poczuła się, jakby odżyła. Chociaż zrobiło się późno, wcale nie była zmęczona.

Siedziała z policzkiem wtulonym w pierś Noaha, słyszała bicie jego serca.

- Nie wiem, co powiedzieć - odezwał się. Uśmiechnęła się.

- Już to powiedziałaś. To doświadczenie całkiem mnie odmieniło. Właśnie z tego powodu zrezygnowałam z pracy w Trybunale i wróciłam do dzieci.

- Nic dziwnego. Zrobiłbym to samo. Przytuliła go mocniej.

- Żałuję, że ani jeden z moich kolegów w Hadze tego nie powiedział. Czułam się tak rozdarta.

- Przyda ci się kieliszek wina.

- Może od razu cała butelka.

Kiedy wyszedł do kuchni, włączyła telewizor i po chwili patrzyła na reklamówkę informacyjną o sierotach w Boliwii. Właściwie uważała, że nie jest podatna na tę metodę reklamy, a jednak tym razem sięgnęła po długopis. Za cenę codziennej kawy mogła uratować małego Mattea od głodowej śmierci, a tak naprawdę pragnęła wziąć go na ręce i przytulić tak, jak tuliła Charliego, by wiedział, że jest bezpieczny.

Wyciszyła dźwięk, ale już było za późno. Poczucie winy, które ją ogarnęło, z pewnością było widoczne na jej twarzy.

- Co się stało? - spytał Noah, który wrócił z butelką wina i dwoma kieliszkami.

- Siedzę sobie wygodnie w cieple, a dzieci cierpią. Powinnam coś zrobić...

- Robisz. Poświęciłaś temu całe życie zawodowe.

- Ale można zrobić więcej.

- Robisz więcej. Wychowujesz Maksa, Daisy, a także Charliego. Uczysz ich, żeby stali się podobni do ciebie, wrażliwi i oddani. - Podał jej kieliszek. - W ten sposób zmieniasz świat, Sophie. Jedna osoba nie jest w stanie zrobić wszystkiego. Uwierz mi.

Uderzyło ją, że ma tak wyjątkowo rozsądne spojrzenie na wiele rzeczy. Nie mogła zmienić nic, co już się wydarzyło, ale mogła odmienić siebie. Do tej pory była przekonana, że musi bezpośrednio zajmować się jakimś problemem. I oto Noah twierdzi, że wystarczy, aby była dobrą matką. Nikt do tej pory nie powiedział jej, że zajmowanie się rodziną jest najważniejszym zadaniem na świecie.

Odstawiła kieliszek i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Noah, kocham to, jak myślisz, kocham to, co mówisz. - Odchyliła się, żeby na niego spojrzeć. - Kocham ciebie.

- A niech to! Mówisz to serio, prawda?

- Tak. Przepraszam, ale musiałam to powiedzieć.

- Przepraszam... - Roześmiał się. - Przepraszam?

- Przepraszam też, że nie powiedziałam ci tego wcześniej.

- W porządku. Dzięki temu będę zawsze miał nad tobą przewagę. Ja byłem pierwszy.

Zawsze... Wyglądało na to, że dla niego było całkiem naturalne, że mają przed sobą jakieś „zawsze”. Ze zdumieniem stwierdziła, że bardzo tego pragnie. A jeszcze bardziej zdziwiło ją, gdy uświadomiła sobie, że jest to możliwe.

Odsunął się troszkę i uśmiechnął do niej.

- A już myślałem, że potrzebny ci jestem tylko do uprawiania seksu.

- Czy coś nie tak z tym seksem?

- Boże, skąd! Seks z tobą jest niesamowity.

Wyłączył telewizor i otoczył ją ramionami. Ta noc najwyraźniej coś w niej wyzwoliła i na nowo rozpałała pożądanie. Był moment prawdy... i moment całkowitego zapamiętania. Z Noahem robiła rzeczy, na myśl o których dawna Sophie z pewnością by się czerwieniła. Natomiast z nim wszystko wydawało się właściwe.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Chelsea podała Maksowi telefon.

- Dzięki, że mi go pożyczyłeś. Moi dziadkowie nie chcą mi kupić komórki, ale kają się ciągle meldować. Wkurza mnie to. Jeśli spodziewają się, że będę dzwonić, powinni dać mi telefon.

Max włożył komórkę do kieszeni. Chelsea nie była entuzjastką hokeja, ale obiecała, że podczas meczu zaopiekuje się Opal. Max osłonił oczy i rozejrzał się po parkingu kompleksu sportowego nad jeziorem. Razem z Chelsea przyjechali tu samochodem mamy. Teraz Sophie parkowała auto, a oni poszli przejść się z psem. Maksowi trochę było szkoda Chelsea, która nie miała zbyt wielu kolegów. Wyglądało na to, że woli spędzić popołudnie, spacerując z psem, niż siedzieć w domu z dziadkami.

- Szukasz kogoś? - spytała.

Jak zwykle musiała wszystko wiedzieć.

Nie patrząc na nią, wzruszył ramionami. Właściwie nie byli przyjaciółmi, ale całkiem często z sobą przebywali. Przede wszystkim Max, kiedy tylko mógł, jeździł autobusem do mamy i zwykle podczas drogi rozmawiał z Chelsea. Poza tym Chelsea naprawdę potrafiła zajmować się zwierzętami, no i wykonywała różne prace w klinice i w

stajni. Sophie mówiła, że dom Noaha z tymi wszystkimi grami wideo, sprzętem do ćwiczeń i zwierzętami jest jak park rozrywki dla dzieci, które nie chcą wydorosnąć.

- Coś w tym stylu - odrzekł. - Noaha Shepherd. Będzie razem z mamą oglądał mecz.

- Jako jej chłopak?

Kiwnął głową, zadowolony, że zdecydował się powiedzieć jej o tym. Było to coś całkiem nowego i na razie próbował ustalić, jak sam się z tym czuje. Nie miał ochoty poruszać tej sprawy z tatą ani z Niną - o, nawet mowy nie ma! - a pozostali koledzy na pewno powiedzieliby, że to nic wielkiego.

- I co, dziwnie się z tym czujesz? - dopytywała Chelsea.

- Nie, wcale nie. - W każdym razie to właśnie sobie powtarzał. Kiedy małżeństwa się rozpadają, ludzie zaczynają spotykać się z kimś innym. Tak się zdarza, czy to się komuś podoba, czy nie. - Mnie tam Noah nie przeszkadza. Świetny facet.

- Jasne.

Parking szybko zapełniał się zawodnikami i widzami. Dla drużyny Maksa to miał być najważniejszy mecz w sezonie.

Spuścił Opal ze smyczy. Pies skakał wte i wewte, wciskając nos w śnieg i biegając zygzakami.

- Mogło przecież być gorzej - powiedział. - To znaczy z wyborem chłopaka. Zna mnóstwo nudnych prawników i dyplomatów. Przynajmniej to nie jest ktoś taki.

- Noah jest odjazdowy z tymi swoimi zwierzętami i w ogóle. A że chodzi z twoją mamą... Wiedziałam, że to tylko kwestia czasu.

- Co masz na myśli?

- No... To jasne, że się w niej kocha. Od razu to wiedziałam.

Maksa zatkalo.

- Mówił ci o tym?

- Nie, ale przecież tam pracuję, nie? Ciągle o niej opowiadał. No wiesz, pacjentom i przyjaciółom. Mówił, że właśnie przyjechała z Europy i jaka jest inteligentna i takie tam. Słyszałam, jak dzwonił do swojej mamy na Florydę i ona spytała, czy się z kimś spotyka, a on od razu przyznał, że tak.

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

Pochyliła się, ulepiła kulkę ze śniegu i rzuciła ją w stronę Opal, która skoczyła i rozbiła śnieżkę w powietrzu.

- To nie moje sprawy.

O... Max ucieszył się, że nie jest taką plotkarą jak niektóre znane mu dziewczyny. Chelsea naprawdę była w porządku. Nie to, że mu się podobała, ale można z nią było od czasu do czasu spędzić czas. Mieszkała z dziadkami i nigdy nie opowiadała o swojej rodzinie. Max też nie zadawał jej pytań, bo zaraz się obrażała i mówiła, jak ją to wkurza.

Szturchnęła go łokciem.

- Na co się tak patrzysz? I co cię rozśmieszyło?

- Nic. - Nie wiedział, jak to wyjaśnić, ale przy niej różne rzeczy wydawały się łatwiejsze. Na przykład mógł się wściekać i nie musiał udawać, że wszystko jest w porządku. - Chyba już pójdę. Muszę się przebrać do meczu. - Zawołał Opal, ale pies albo go zlekceważył, albo był za daleko, żeby usłyszeć, więc spróbował zagwizdać.

- Słabo ci idzie. - Chelsea z wprawą włożyła dwa palce do ust i gwizdnęła przenikliwie. Po chwili Opal przeskoczyła zaspę i w tumanach śniegu podbiegła, omal ich nie przewracając.

- Nieźle - pochwalił Max. - Jak to zrobiłaś?

- Spróbuj. Musisz sobie wyobrazić, jak sprawić, żeby powietrze z gwizdem przeleciało ci przez usta. Zobacz, używam tych palców. Niektórzy wolą gwizdać na palcu wskazującym i kciuku.

Max zdjął rękawiczkę i spróbował gwizdnąć, ale wyszedł z tego tylko świszczący głuchy dźwięk. Opal patrzyła na niego, najwyraźniej nie rozumiejąc, o co chodzi. Chelsea roześmiała się.

- Nie przejmuj się. To zabiera dużo czasu. Najpierw będziesz się cały zaplawał. Mojemu tacie zajęło niecałą minutę, żeby mi to pokazać, ale ja musiałam godzinami ćwiczyć, zanim załapałam.

- Tata nauczył cię gwizdać?

- No tak. On... - Naciągnęła rękawiczkę. - To było bardzo dawno temu. - Przygarbiła się.

Max zapiął smycz i zrównał z nią krok, ale nie nalegał, żeby mu coś jeszcze opowiadała. O niektórych rzeczach się nie mówi. Na przykład o jego mamie i Hadze. A prawdziwy przyjaciel nie zmusza cię do tego.

Widział, że zawodnicy z kijami i workami kierują się w stronę budynku.

- Hej, Bellamy! Co to za suka? - ryknął Altshuler.

Max poklepał psa, który dreptał przy jego nodze.

- Opał. Już ją widziałeś.

- Nie, chodzi mi o tę drugą - zarżał Altshuler.

Dwa idealnie okrągłe rumieńce pojawiły się na policzkach Chelsea. Max liczył na to, że się odezwie i każe Altshulerowi spadać, ale tylko spuściła oczy. Przemknęło mu przez myśl, że sam powinien coś powiedzieć, ale miał zupełną pustkę w głowie.

- Dobra, do zobaczenia po meczu - mruknęła Chelsea, odebrała od niego smycz i uciekła.

Max poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku. Spojrzał z ukosa na Altshulera.

- To było nie fair - zauważył.

- Bronisz jej? Chłopie, to dziwaczka. Nikt jej nie lubi. A ja tak. Tyle że nigdy by się do tego nie przyznał.

W każdym razie nie wobec Kurta Altshulera, który był jednym z najpopularniejszych chłopaków w szkole. Każdy chciał zostać jego przyjacielem. Ale trzeba było uważać, co się przy nim mówiło.

- Cześć, Max. - W ich stronę szły mama i Daisy.

- Cześć.

Sophie odwróciła się do Altshulera.

- Witaj, Kurt. Gotowy do walki?

- No tak... Jasne. - Altshuler wyprostował się i mało brakowało, a zsalutowałby jak skaut.

- Noah zaraz przyjdzie - powiedziała. - Będziemy siedzieć przy bandzie na zwykłym miejscu.

My. Mama i Noah. Max poczuł, jak wali mu serce.

- Spoko.

- Powodzenia, najlepszy z Maksów. Przepraszam, że robię to przy twoim koledze, ale... - Uścisnęła go mocno i pocałowała w policzek. - Życzę wspaniałego meczu. Tobie również, Kurt.

Altshuler stał z otwartą buzią, patrząc za nią.

- Chłopie, twoja mama to prawdziwa MKCP.

- Co takiego? - nie zrozumiał Max.

- Matka, którą chciałbym...

- Zamknij się - warknął Max - bo cię walnę. Przysięgam, że to zrobię.

- Och, ale się boję. - Altshuler szturchnął Maksa w ramię. Raz, dwa razy, trzy... -

No, dawaj, Bellamy. Pokaż, co potrafisz.

Max odepchnął go. Gdzieś w głębi umysłu pojawiła się myśl, że bójka przed meczem to fatalny pomysł, w dodatku z zawodnikiem z tej samej drużyny, ale jego gniew był silniejszy. Rzucił się na Altshulera.

Czyjaś duża pięść zacisnęła się na jego kurtce i pociągnęła do tyłu.

- Cześć, chłopaki - powiedział Noah Shepherd wesóło. - Chyba już czas się przebrać.

Altshuler próbował zabić Maksa wzrokiem.

- Oczywiście, doktorze Shepherd. - Podniósł torbę i odszedł.

- Życzę wam powodzenia - dodał Noah.

- Dzięki - mruknął Max, sięgając po swoje rzeczy i ruszając w stronę wejścia.

- Hej! - zawołał za nim Noah.

Max stanął i odwrócił się. Był ciekaw, czy ten facet myśli o mamie to samo co Altshuler.

- Tak?

- Cokolwiek to było, zostaw to sobie na mecz.

Sophie weszła na widownię u boku Noaha Shepherd. Czowała się jak królowa balu maturalnego. Była w siódmym niebie, że zdecydowała się na ten związek... że się zakochała.

Usiedli z Daisy, Charliem i kolegą Daisy, Julianem Gastineaux. Sophie była ciekawa, czy Daisy i Juliana łączy coś więcej niż przyjaźń. Wydawali się bardzo wyczuleni na siebie, a Daisy promieniała.

Greg i Nina również się pojawili. Uprzejmie pomachali do niej i dyplomatycznie zajęli miejsca w pewnej odległości. Przyszli razem z siostrą Niny, Marią. Sophie pochwyciła spojrzenia innych matek, które przyglądały się jej i Noahowi, po czym pochyliły się do siebie, coś szepcząc.

- Mój były mąż - mruknęła do Noaha, wskazując Grega.

Niezręczną sytuację rozproszyły krzyki publiczności i szybka akcja na lodowisku. Noah skinął głową i ponownie skupił się na meczu. Z zazdrością pomyślała, że chciałaby podobnie jak on brać wszystko za dobrą monetę i nie przejmować się tym, co pomyślał inni.

Max i Kurt grali w obronie. Max wydawał się taki dorosły w masywnym stroju, z sylwetką i postawą zawodowego hokeisty. Za każdym razem, gdy zawodnik przeciwnej drużyny oddawał strzał, reagował błyskawicznie. W trzeciej tercji, kiedy wynik był remisowy, ruszył, by zablokować strzał, i zderzył się z drugim obrońcą, Kurtem. Po chwili kolizja przerodziła się w szarpaninę. Przez maskę widać było, że twarz Maksa jest czerwona z gniewu.

Ta chwilowa dekoncentracja otworzyła możliwości dla przeciwnej drużyny. Krążek minął obu chłopców i wpadł do bramki. Widownia zaczęła szaleć, trener wrzeszczał na Maksa i Kurta, którzy wylądowali na ławce.

- Co to było, na miłość boską? - zdenerwowała się Sophie.

Noah objął ją ramieniem.

- To nic wielkiego. Są tylko dzieciakami.

Po meczu Max pojechał do domu z ojcem. Greg obiecał, że porozmawia z nim o całym wydarzeniu. Noah wychodził z Sophie.

- Zamów nam kawę, a ja pójde poszukać Chelsea i Opal.

Trochę niepewnie poszła do małego barku w budynku obok lodowiska. Ludzie jeździli na łyżwach, podziwiając lodowe rzeźby, które ozdabiały park. Wmieszała się w

tłum, zamówiła dwie kawy i zobaczyła - ależ mam szczęście, pomyślała - matkę Kurta. Ilsa Altshuler powitała ją wymuszonym uśmiechem.

- Fatalna sprawa z tym meczem, prawda? - zauważyła.

- Bez wątpienia - przytaknęła Sophie. - Niemiło jest przegrywać. Z tego, co wiem, trener miał wiele do powiedzenia Maksowi i Kurtowi na temat tej szamotaniny. Oboje z ojcem Maksa też sobie z nim porozmawiamy.

- Och, my nie poprzestaniemy na rozmowie - oznajmiła Ilsa.

Sophie skinęła głową.

- Max również będzie miał zakaz wychodzenia.

- I słusznie. Musi się nauczyć panować nad sobą.

Sophie przygryzła wewnętrzną stronę policzka, powstrzymując się od odpowiedzi. Ze swojego miejsca widziała, że to Kurt rozpoczął bójkę, ale ostatecznie, czego pragnęła, to sprzeczka z tą kobietą.

- Pewnie zobaczymy się na którejś z imprez w czasie weekendu - powiedziała.

Ilsa patrzyła na nią z kwaśną miną.

- Możliwe. Zamierzamy w sobotę iść na tańce. Widziałam cię z Noahem Shepherdem - dorzuciła. - Nasz pies Sammy jest jego pacjentem.

- Nie wiedziałam. - Może jednak postanowiła być miłą, pomyślała z nadzieją Sophie.

- Jesteś bardzo odważna, spotykając się z takim młodym mężczyzną - ciągnęła Ilsa.

- Mnie by to krępowało.

Młodym mężczyzną? Prawdę mówiąc, Sophie nie wiedziała, ile lat ma Noah. Ten temat nigdy nie wypłynął. Dopiero teraz pojawiła się dręcząca wątpliwość.

- Nigdy mi nie przyszło do głowy, że powinno mnie to krępować. - Uznała, że nie pozwoli, by uwaga Ilsy zbiła ją z pantałyku. - Ale dziękuję za troskę.

- Och, właściwie wcale mnie to nie niepokoi. Podziwiam cię, że pokazujesz się z kimś o tyle lat młodszym. - Ominęła Sophie i odmaszerowała w stronę parkingu.

Sophie powoli ruszyła na poszukiwanie Noaha. Tyle lat młodszym... Słowa wciąż odbijały się echem w jej myślach. Dobry Boże... O ile lat młodszym?

Noah czekał przy samochodzie.

- Ile masz lat? - spytała prosto z mostu, podając mu kawę.

Spojrzał na nią zaskoczony, po czym nagle odwrócił wzrok.

- Dlaczego pytasz?

- Są sprawy, o których powinnam wiedzieć, zanim będziemy... Po prostu są rzeczy, które powinnam poznać. Na przykład twój wiek. Czy to tajemnica?

- Kurczę, nie. A jak myślisz, ile mam lat?

- To nie jest gra w dwadzieścia pytań. Po prostu powiedz.

- W styczniu skończyłem dwadzieścia dziewięć. - Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął portfel.

Na zdjęciu w prawie jazdy był uśmiechnięty. Kto, na Boga, uśmiecha się, robiąc zdjęcie do prawa jazdy?

Ano właśnie, ludzie urodzeni w 1979 roku. Pobladła. Czowała, jak krew odpływa jej z twarzy, a serce zamiera. Mój Boże... A więc to prawda. Był od niej o całych dziesięć lat młodszy. Myślała - jeśli w ogóle o tym myślała - że może ma rok lub dwa lata mniej od niej. No, może trzy, góra pięć. Sześć to już byłaby katastrofa. Siedem i więcej - nie do przyjęcia.

Ale... dziesięć! Było to niesamowicie przykre odkrycie. Zupełnie jakby ugryzła śliczne, przepyszne jabłko, i znalazła w nim robaka. Pół robaka...

Dziesięć lat.

Dziesięć. Dwucyfrowa liczba. Był bliższy wiekiem córce Sophie niż jej samej. Jak mogła to przegapić? Zaszokowało ją, że mogła popełnić taki błąd i nie sprawdzić każdego faktu dotyczącego Noaha. Czyżby przy nim jej mózg całkiem rozmiękł?

Odsunęła się od niego, omal nie przewracając się na śliskiej nawierzchni. Nie widziała już Noaha, którego знаła, lecz kogoś całkiem innego. Nie mężczyznę, którego pokochała, ale... chłopca. Młodego kochanka. Żigolaka...

Teraz wszystko stało się jasne. Młodzieńczy styl życia, garażowy zespół. Może po prostu nie chciała tego widzieć, nie pozwoliła swoim myślom tak daleko wędrować. Nic dziwnego, że Noah miał tak nieopanowany apetyt na seks, a jego gusty filmowe i muzyczne wydawały się takie dziecinne. Nic dziwnego, że mieszkał niczym nastolatek wśród tylu zabawek. Był przecież niewiele starszy od nastolatka. Spotykała się z dziecia-

kiem. Wesołym, seksownym młodym chłopakiem. Była jak pani Robinson dla Absoluta.

Będzie się smażyła w piekle...

- Daj spokój - odezwał się Noah. - Przecież to nie problem.

- Dla mnie tak. Nie mogę uwierzyć, że nic mi nie powiedziałaś.

Zawahał się i w tym momencie zorientowała się, że wiedział o tym od jakiegoś czasu.

- Nie do wiary - powiedziała ostro. - Ukrywałeś to przede mną.

- To nie ma znaczenia. Dlatego o tym nie mówiłem. Domyślałem się, że zaraz zacznieś się tym gryźć.

- I to był powód, żeby trzymać to w tajemnicy? Bo sądziłeś, że będę się gryźć?

- To nic przyjemnego, gdy się taka robisz, Sophie.

- Wcale nie zamierzałam być przyjemna!

Rozłożył ręce.

- Nie chciałem nic ukrywać. Byłaś przecież w moim gabinecie, widziałaś dyplom na ścianie. Mogłaś spojrzeć na datę.

- Spojrzałam. Widziałam rok, kiedy skończyłeś studia, ale założyłam, że miałeś jakąś przerwę. Wiele osób tak postępuje. Pomyślałam, że przed weterynarią musiałeś robić coś innego...

- Jasne, rozwoziłem gazety. - Uśmiechnął się. - Żartuję. Nie miałem przerwy. A poważnie mówiąc, to przecież nic wielkiego. Wiek to zaledwie liczba.

- Łatwo powiedzieć. A moje dzieci? Co one sobie pomyślą?

Roześmiał się.

- To akurat proste. Jesteś ich mamą, a one chcą, żebyś była szczęśliwa. Ja chcę cię uszczęśliwić. Wystarczy, że mi na to pozwolisz.

- Ale...

- Może takie roztrząsanie wszystkiego czyni cię znakomitym prawnikiem, ale niepotrzebnie doprowadzasz się do obłędu, rozmyślając nad drugorzędnymi sprawami.

- Noah, mnie się to nie podoba. Wydaje się... po prostu niewłaściwe.

- Czy myślałaś tak pięć minut temu, zanim jakaś wścibska baba nie poruszyła tej kwestii?

Nie potrafiła skłamać.

- Wtedy wydawało mi się to tym najlepszym, co mi się przydarzyło.

- No widzisz. Będiesz szalona, jeśli pozwolisz, żeby czyjaś opinia miała wpływ na nasze uczucia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

- Powiedziałam mu, że potrzebuję czasu, by to przemyśleć - opowiadała Sophie następnego dnia, gdy po porannym bieganiu wpadła do sąsiadki. Uważała Gayle za swoją pierwszą prawdziwą przyjaciółkę w Avalonie. Jej dom był zawsze ciepły, zagracony i pełen życia. W tej właśnie chwili trójka dzieci bawiła się z Opal w salonie, w którym było więcej zabawek niż mebli.

- Czy uważasz, że robię coś okropnego, pozostając w związku z facetem o dziesięć lat młodszym? - spytała Sophie. - Czy zachowuję się jak kobieta zdesperowana? Albo żałosna? A może zdesperowana i żałosna?

- To ty musisz na to odpowiedzieć. Nie ja. A na pewno nie te mamuśki z treningów.

- Tyle że nie potrafię być obiektywna.

Gayle roześmiała się serdecznie.

- No to już masz odpowiedź.

- Wiesz, w niektórych kulturach kobiety często na swoich partnerów biorą młodszych mężczyzn.

- Pod względem biologicznym to nawet ma sens - zgodziła się Gayle.

- Wczoraj wieczorem bardzo długo rozmawiałam o tym ze swoją córką. Daisy mówi, że nie widzi żadnego problemu w tym, z kim się spotykam.

- Sophie, nie musisz się nikomu i z niczego tłumaczyć.

Co za wspaniała myśl: po prostu z nim być. Po prostu się zakochać. Dlaczego miałyby robić coś więcej?

- A jak podoba ci się rola babci? - spytała Gayle.

- Uwielbiam to. Charlie jest dowodem na to, że naprawdę potrafię być dobrą mamą.

- Nie wierzę, że kiedykolwiek mogłaś być złą.

- Nigdy nie byłam taką mamą, jaką bym chciała. Gayle roześmiała się.

- A czy ktoś jest takim rodzicem? Czasem, kładąc się spać, zastanawiam się, czy zrobiłam tego dnia coś poza darcim się na dzieci, sprzątaniami bałaganu i składaniem prania.

- Ale byłaś obecna. Właśnie to się liczy. Teraz, gdy opiekuję się Charliem, widzę, jak śmiesznie proste są niektóre sprawy. Często zbyt wielkie starania nie są tak ważne jak sama obecność. Przed laty, gdy Max albo Daisy coś robili, biegłam do swoich książek na temat wychowania dzieci, żeby sprawdzić, jak mam zareagować. A powinnam robić to, co zawsze robił mój mąż. Po prostu być przy nich. Greg przecież nie kochał ich bardziej, ale postępował lepiej, bo trwał przy nich.

- Ale teraz wróciłaś i wszystko się ułoży - zapewniła ją Gayle.

Sophie bardzo chciała w to wierzyć. Pragnęła tego całym sercem. A sytuacja z Noahem... W gruncie rzeczy nie był to problem, jeśli sama nie będzie robić z tego wielkiej sprawy. Może powinna po prostu zaakceptować to i żyć dalej.

Rozległ się dzwonek komórki. Ze zdumieniem odczytała nazwisko na wyświetlaczu. Fordham, Brooks.

- Powinnam odebrać - powiedziała do Gayle.

- Ja też muszę wziąć się do pracy - odparła, odprowadzając ją do drzwi.

Wyszła na zewnątrz i otworzyła telefon, zastanawiając się, po co Brooks Fordham dzwoni tym razem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Bo Crutcher znów był pijany. Właściwie zawsze tak było, gdy w niedzielę wieczorem szli z Noahem do Hilltop Tavern pograć w bilard i wypić piwo.

Po rozmowie, którą przeprowadzili po meczu hokejowym, Noah postanowił dać Sophie trochę luzu. Nie zaskoczyło go, że tak trudno było jej zaakceptować różnicę wieku między nimi. Kurczę, dlatego właśnie nic jej nie mówił ani nie przyznał się, że od początku o tym wiedział. Jednak gdy będzie miała trochę czasu, by o tym pomyśleć, sama z pewnością dojdzie do wniosku, że to nie jest problem.

Najwidoczniej jeszcze sobie tego nie uświadomiła. Wcześniej tego wieczoru zadzwonił, bo chciał się z nią zobaczyć.

- Dziś wieczorem jestem zajęta - powiedziała.

Była zdenerwowana, poznał to po głosie. W końcu udało mu się z niej wyciągnąć, co to za zajęcie. Kolacja. Z Brooksem Fordhamem.

- Chodzi o interesy - wyjaśniła, jakby chciała się usprawiedliwić.

Noah przeczytał kilka artykułów Fordhama z archiwalnych numerów „New York Timesa”. Dziennikarz nadawał korespondencje z takich miejsc jak Zanzibar, Portofino, Haga... Był obecny tamtego wieczoru, gdy terroryści wzięli zakładników. Fordham miał imponujący życiorys, dyplom jednego z najlepszych uniwersytetów, całą listę nagród, wiele publikacji. A na dodatek był siwowłosym, dystygowanym dżentelmenem. Odnosił sukcesy i był dojrzały. Jednym słowem był takim mężczyzną, z jakim Sophie mogłaby się spotykać.

Za późno, przyjemniaczku, pomyślał Noah. Ona już jest zajęta. Przyglądał się, jak Bo składa się do uderzenia i chybia. Cóż, siedem czy osiem piw zrobiło swoje.

- Dobra, kolego - powiedział. - Zróbmy sobie przerwę.

- Jasne. - Bo odstawił kij i wytarł dłonie o dzinsy. - Teraz ja stawiam kolejkę.

- Za chwilę. - Noah skierował przyjaciela do ich boksu. Usiedli i przez chwilę przyglądali się ludziom.

- Co cię tak gryzie, bracie? Kłopoty z kobietą? - spytał Bo, unosząc jedną brew.

Noah opowiedział mu, co się wydarzyło po meczu.

- Nie cierpi myśli, że jest ode mnie o dziesięć lat starsza.

- A ciebie także nie cierpi?

Wciąż słyszał jej szczery, miękki głos: „Kocham cię, Noah”. Na jego usta wypłynął uśmiech.

- Raczej nie.

- Więc co ty tutaj robisz?

- Może powinna mieć trochę czasu, żeby o tym pomyśleć.

- Niby ile czasu? Czeka, aż dorośniesz? To nigdy nie nastąpi.

- Je dzisiaj kolację z gościem, którego znała, gdy mieszkała w Holandii.

Bo gwizdnął cicho.

- Nie odpuszczaj, chłopie. Bądź z nią, kochaj ją. A jeśli trzeba, pomogę ci pozbyć się tego faceta.

- Spokojnie! - Noah uniósł dłoń, powstrzymując przyjaciela. - Nikogo nie będziemy się pozbywać. Nie chcę tego zawalić. Chcę, żeby wszystko się ułożyło.

- No to pracuj nad tym. - Bo dał znać kelnerce, żeby przyniosła im jeszcze dwa piwa.

- Muszę się zastanowić nad następnym ruchem - podjął Noah. Kiedyś Sophie spytała go, o czym marzy, ale wtedy nie miał gotowej odpowiedzi. Teraz już wiedział. Pragnął samej Sophie. Nigdy nie znał nikogo podobnego do niej. Była piękna i wrażliwa, ale to nie wszystko. Kiedy trzymał ją w objęciach, kiedy jej dotykał, pojawiały się uczucia, których nigdy wcześniej nie zaznał. Dopiero teraz dowiedział się, że może być z kobietą i odczuwać znacznie więcej niż pożądanie. W końcu odkrył miłość tak głęboką, że mogła trwać wiecznie.

Zawsze wyobrażał sobie, jak założy rodzinę właśnie tu, gdzie sam dorastał. Że zwiąże życie z kimś, kogo będzie kochał po wsze czasy. Z każdą chwilą, którą spędził z Sophie, coraz mocniej wierzył, że to będzie właśnie ona. Sprawiała, że zaczął myśleć nie szablonowo. Życie tutaj było dobre, ale świat był wielki. Sophie, która mówiła wieloma językami i podróżowała po świecie, mogła zabrać go w miejsca, o jakich nawet nie słyszał.

Mamy wiele do omówienia, pomyślał.

Najwyraźniej nie tylko jemu przyszło to do głowy. Kiedy tego wieczoru po powrocie do domu wypuszczał na dwór Rudy'ego, zobaczył Sophie, która szła podjazdem.

- Cześć - powitał ją. - Jak minął ci wieczór?

- Interesująco. Brooks sprawdza niektóre fakty do swojej książki.

- Cóż, muszę ci coś powiedzieć. Jestem o tego faceta potwornie zazdrosny.

- Nie ma żadnego powodu. Brooks wiele wycierpiał. Zarówno podczas, jak i po samym ataku. Być może jeszcze przez wiele lat będzie się zmagał z efektami urazu głowy... - Kiedy podniosła wzrok, odniósł wrażenie, że w jej oczach widzi dręczące wspomnienia. Żółtawe światło padające z ganku nadawało jej twarzy nieziemski odcień. - Brooks zamierza wziąć udział w obchodach święta narodowego Umoi i chciał wiedzieć, czy też pojedę.

- A pojedziesz?

- Nie wiem. Wszystko wydaje się takie odległe, nie tylko w geograficznym sensie. Ale nie przyszłam rozmawiać o tym. Noah, jeśli chodzi o to, co się wydarzyło...

- Nic się nie wydarzyło - powiedział szybko.

- Masz rację. Nic się nie wydarzyło. Tylko to, że jestem o dziesięć lat starsza od ciebie. - Pokręciła głową. - Czuję się tak głupio. Kiedy dzwoniłam do Bertie Wilson w sprawie psa, powiedziała o tobie „mały Noah Shepherd”. A ja nawet nie próbowałam oponować.

- Czasami się mną opiekowała.

- Cudownie. Będę o tym pamiętać, gdy pójdziemy do łóżka.

Gdy pójdziemy do łóżka, powtórzył w duchu. Dzięki Bogu! Omal nie usiadł z wrażenia.

- Nie będę udawać, że mnie to nie wytrąca z równowagi. - Podeszła bliżej, wyciągając z torby opakowanie filmów na DVD „Gwiezdne Wojny”, wydanie kolekcjonerskie, i do tego sześciopak piwa. - Ale staram się być wolna od uprzedzeń.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Sophie nie odrzuciła z miejsca propozycji Tarika, żeby pojechać do Umoi. Byłaby to piekielnie długa wyprawa, lecz szansa obejrzenia rezultatów działania aparatu sprawiedliwości z pewnością dałaby jej dużo satysfakcji. Ale jeżeli pojedzie, to raczej później, może w lecie. Na razie chciała delektować się bliskością swojej rodziny. Nie było już mowy o skróconym do granic możliwości harmonogramie wizyt. Teraz mogła się rozluźnić, bo miała tyle czasu, ile dusza zapragnie.

Uznała, że powinna pracować nad włączeniem się w tutejszą społeczność, tak samo jak pracowała nad każdą inną sprawą. Należało nakreślić plan, a potem go realizować. Energicznie szukała domu, który mogłaby kupić. Następny punkt planu zakładał nawiązanie przyjaźni. W swoim życiu miała kilkoro bliskich przyjaciół: dziewczyny z college'u, Tarika. Jednak wszyscy byli bardzo daleko. Bliżej miała wyłącznie Gayle Wright. A skoro miała pozostać w Avalonie, powinna powiększyć krąg przyjaciół. Tylko jak to zrobić?

Na razie zaprosiła na kawę Hattie Crandall, właścicielkę księgarni. Potem poszła do kina z Becky Murray, która prowadziła zajęcia w szkole rodzenia, gdzie chodziła Daisy. Dziś natomiast zabrała na lunch Daphne McDaniel.

Poszły do popularnego baru na rynku, gdzie wszystkie dania były z produktów naturalnych, a nazwy wzięły od postaci z „Władcy Pierścieni”.

- Wezmę kanapkę boromir - zamówiła Sophie.
- Nawet nie przeczytałaś opisu - wytknęła jej Daphne.
- Zachęcili mnie nazwą. Boromir to taka tragiczna postać. Najpierw zdradził przyjaciół, potem okupił wyrządzoną krzywdę, tyle że zapłacił najwyższą cenę. - Kanapka okazała się znacznie mniej dramatyczna: razowa pita z kiełkami lucerny i hummusem.
- Czyżbyś była entuzjastką Tolkiena? - spytała zaskoczona Daphne.
- Powinnam ponownie przeczytać te książki. - Sophie uświadomiła sobie ze zgrozą, że jej wydanie ma przynajmniej ćwierć wieku. - A ty? Zauważyłam, że czytasz Roberta Silverberga.

Daphne kiwnęła potakująco głową.

- Od jakiegoś czasu polubiłam science fiction. Jeden z moich byłych chłopaków dawał mi do czytania klasyczne pozycje i bardzo polubiłam Silverberga oraz Theodorem Sturgeona.

Noah też był wielkim entuzjastą fantastyki.

- Były chłopak? - rzuciła Sophie, patrząc badawczo na Daphne. - A teraz się z kimś spotykasz?

Daphne pokręciła głową. Jej uśmiech wydawał się trochę smętny. Była ładną młodą kobietą, choć jej uroda nie rzucała się w oczy. Przyjęła najwyraźniej styl postaci z japońskich filmów animowanych: jaskraworóżowe pasemka we włosach, piercing na twarzy oraz lśniąca czarna odzież. To wszystko zdawało się przyćmiewać jej urodę.

- Zerwaliśmy jakiś czas temu - odparła Daphne.

- Osiem lub dziewięć miesięcy temu. - Dołała sporą łyżkę miodu do herbaty z róży.

- W każdym razie jest wiele rzeczy, przez które bardzo mi go brakuje.

- Na przykład?

- Na przykład... właściwie wszystko.

- Może nie powinniście się rozstawać.

- Codziennie o tym myślę, możesz mi wierzyć. Ale powodem zerwania była sytuacja niemożliwa do rozwiązania.

Sophie czekała. Nie chciała sprawiać wrażenia ciekawskiej, choć marzyła, żeby usłyszeć coś więcej.

- On chciał mieć dzieci, a ja nie - podjęła Daphne. Oczy zamglily się jej z żalu. - To jedna z tych spraw, gdzie nie można pójść na kompromis. Co prawda ja uważałam, że kompromisem byłoby wzięcie psa, ale Noah miał inne zdanie.

Sophie zamarła. Czy ona mówi o tym Noahu? Jej Noahu? O Panu Niewiarygodnym Kochanku? O Szlachetnym Drwalu i Ratowniku Prosto z Bajki?

Zmusiła się, żeby zadać pytanie.

- Czy to... hm... może Noah Shepherd?

- Tak. Znasz go?

Gdybyś wiedziała, jak dobrze, pomyślała Sophie.

- Mieszkamy po sąsiedzku. - Słowa uwierały ją, jakby miała w ustach kostki lodu.

- Też zaczniesz mi tłumaczyć, że jestem szalona, pozwalając mu odejść? Pewnie jeszcze mi powiesz, że któregoś dnia sama zapragnę mieć dzieci, a nigdy nie znajdę lepszego mężczyzny niż Noah, żeby zrealizować to pragnienie?

- Wygląda na to, że już to wszystko słyszałaś. - Sophie trochę kręciło się w głowie, jakby ją ktoś zniecka uderzył.

- Owszem. Właściwie od wszystkich.

- I?

- Tęsknię za nim obłądnie, bo to naprawdę wspaniały facet. Poczekaj, aż go lepiej poznasz.

Na nic nie czekałam, pomyślała Sophie. Od razu poszłam z nim do łóżka.

- Ale nic by z tego nie było. Wciąż nie chcę mieć dzieci - ciągnęła Daphne. - I to się nie zmieni. Jestem najstarsza z piątki rodzeństwa. Wychowywałam braci i siostry, kiedy rozchorowała się mama. Mam dość. Wystarczy mi. A Noah nie chciał się z tym pogodzić.

Sophie całkiem wyszło w ustach. Duszką wypięła wodę. Uczucie chłodu, które ją ogarnęło, wywołało ból w piersiach.

- Ale skoro go tak kochałaś, nie mogłaś czegoś wymyślić?

Daphne uśmiechnęła się rzewnie.

- Może by się nawet udało, ale wiesz co? On bardziej pragnął dzieci niż mnie. - Ugryzła kęs kanapki, przez chwilę żuła w zamyśleniu, po czym dodała: - Wiele moich przyjaciółek nadal uważa, że musiałam zwariować, pozwalając mu odejść.

- Sama najlepiej wiesz, czego chcesz - orzekła Sophie. - Nie zmienia się swoich celów z powodu faceta. - Uznała, że na tym powinna poprzestać.

- Czy przemawia przez ciebie doświadczenie?

- Tego bym nie powiedziała. Pierwsze dziecko urodziłam, zanim w ogóle zaczęłam się zastanawiać, czy chcę kiedyś mieć dzieci. - To, co przed chwilą usłyszała, nie dawało jej spokoju. Noah rozstał się z dziewczyną, która nie chciała mieć dzieci.

Próbowała dokończyć lunch, ale kanapka zaczęła mieć smak papieru. To prawda, że nie rozmawiali z Noahem o zakładaniu rodziny. Na to było o wiele za wcześnie. Teraz, gdy zaczęła myśleć o tym, co powiedziała Daphne, wszystko zaczęło nabierać sensu.

Noah był człowiekiem o wielkim sercu. Miał do zaoferowania więcej miłości niż jakikolwiek znany jej człowiek. To jasne, że rodzina musiała być jednym z jego marzeń.

Jakoś udało jej się zmienić temat, ale nie mogła przestać rozmyślać o tym, czego się dowiedziała. Owszem, Noah ją kocha, ale wkrótce płomień namiętności przygaśnie, a wtedy przypomni sobie, że chce mieć dzieci. A Sophie nie tylko nie chciała, ale wręcz nie mogła mu ich dać.

Znowu padał śnieg. Nowy podmuch zimy przyniósł opady i wiatr, który świstał nad jeziorem. Zaraz po powrocie z pracy Sophie opatuliła się mocniej i ruszyła do domu Noaha. Wrócił dopiero z kliniki i wciąż jeszcze był w roboczym ubraniu.

- Cześć. - Przyciągnął ją do siebie, pocałował i uśmiechnął się. Wydawał się bardzo zmęczony. - Wczynie dziś przyszłaś.

- Przepraszam. - Zdawała sobie sprawę, że powinna od razu przejść do rzeczy, zanim zacznie prawić piękne słówka, co zwykle prowadziło ich prosto do łóżka. To, czego dowiedziała się od Daphne, będzie powodem do rozstania, więc nie było sensu tego odkładać. Jednak nie mogła nie zauważyć smutku w jego oczach.

- Co ci jest? - spytała. Oparł się rękami o szafkę.

- Nic. Tylko... musiałem uśpić jednego psa. Trzeba było... ale to nigdy nie jest łatwe.

Poczuła się okropnie. Nie tylko z powodu psa, lecz również dlatego, że była taka ślepa. Noah miał swoje potrzeby, ale prawie nigdy ich nie okazywał. Całą zimę zajmowała się swoimi sprawami. Nic dziwnego, że nie zauważyła nawet, o czym najbardziej marzy.

- Och, Noah... Tak mi przykro.

- Dziękuję. Nic mi nie będzie. Ryzyko zawodowe. - Odwrócił się do zlewu i umył ręce. Tymczasem Sophie podeszła do lodówki i wyjęła dla niego piwo. Uśmiechnął się, widząc, że otwiera butelkę. - Już mi lepiej.

Odetchnęła głęboko. Lepiej będzie mieć to za sobą. Śnieg za oknem sypał mocno, zupełnie jak tamtego wieczoru, gdy się poznali.

- Miałam dziś interesującą rozmowę z Daphne McDaniel - powiedziała. - Twoją byłą dziewczyną.

- O? Nie wiedziałem, że ją znasz. - Nie wydawał się przejęty.

- Pracuje w kancelarii.

- Tego też nie wiedziałem. Nie utrzymujemy kontaktów, Sophie. Nie widziałem jej od wielu miesięcy.

- Powiedziała mi, że zerwaliście, bo ty chcesz mieć dzieci, a ona nie.

Zawahał się na moment, ale Sophie to zauważyła.

- Ona ci to powiedziała? - spytał po chwili.

- Powiedz mi, że to nieprawda.

- Poczekaj moment. Powiedz mi, czemu rozstaliście się z Gregiem Bellamym.

- Słucham?

- Podaj mi powód, czemu rozwiodłaś się ze swoim byłym mężem.

- Próbujesz zmienić temat.

- To prawda, ale mam w tym określony cel. Więc jaki był ten powód?

- Rozmawialiśmy o tym. Rozstaliśmy się z wielu powodów.

- Dziękuję. To właśnie miałem na myśli. Ludzie nie zrywają z sobą z jakiegoś jednego powodu. Zawsze jest ich znacznie więcej.

- Nie można porównywać długoletniego małżeństwa do randek z dziewczyną.

- A ty nie możesz wiedzieć, czemu Daphne McDaniel mnie rzuciła.

- Wiem to, co mi powiedziała. Wiem również, że my, ty i ja, mamy taki sam problem. Może jeszcze nie dziś, ale w końcu kiedyś się pojawi. A nie jest to sprawa, którą można ot tak, po prostu odłożyć i udawać, że nie ma znaczenia. - Przewidywała, że rozmowa nie będzie łatwa, nie spodziewała się jednak bólu, rozczarowania i poczucia straty.

- A musisz wiedzieć, że ja nie będę miała dzieci. Kiedy rodziłam Maksa, pojawiły się komplikacje i już nie mogę rodzić.

- Nie powinniśmy teraz o tym rozmawiać. To znaczy... jest na to za wcześnie. Po prostu bądźmy z sobą...

- I co? Odłożymy tę rozmowę na później, gdy jeszcze więcej zainwestujemy w nasz związek? Nie ma dla nas przyszłości. W każdym razie takiej, która odpowiadałaby każdemu z nas. - Odwróciła się do okna i patrzyła na płatki śniegu, które wirowały w świetle padającym z ganku. Noah kiedyś powiedział, że nie ma w nim nic przerażające-

go, ale mylił się. Przerażające było to, że tak szybko i mocno go pokochała, a teraz tak bardzo cierpiała, że musi go zostawić. Odetchnęła głęboko. - Noah... Masz dwadzieścia dziewięć lat i wszelkie prawo do takiego życia, o jakim marzysz. Także do własnych dzieci. Lecz to, czego najbardziej pragniesz, nigdy nie może się spełnić. W każdym razie nie ze mną.

CZEŚĆ SIÓDMA

Wiosenne roztopy

Danie na pociechę

Mleczne ciasto Oumy jest tradycyjną południowoafrykańską potrawą.

Składniki na ciasto:

3 łyżki masła

3 łyżki drobno zmielonego cukru

1 jajko

1 szklanka mąki

2 łyżeczki proszku do pieczenia

Składniki na nadzienie:

5 szklanek mleka

1/2 szklanki białego cukru

2 łyżki mąki kukurydzianej

6 jajek (żółtka oddzielone od białek)

2 łyżki mąki

1 łyżka masła

2 łyżeczki esencji waniliowej

1/2 łyżeczki soli

cynamon i gałka muszkatołowa

Nagrzej piekarnik do 180°C. Ubij masło z cukrem na gładką masę, dodaj jajko i nadal ubijaj. Na koniec dodaj mąkę i proszek do pieczenia, żeby powstało miękkie ciasto. Rozłóż je na formie do tart i odstaw.

Przygotuj nadzienie. Wymieszaj cukier, żółtka, mąkę, mąkę kukurydzianą, sól i esencję waniliową. Rozpuść masło w rondelku i dodaj mąkę. Ubijając trzepaczką, dodaj mleko i podgrzewaj ostrożnie, aż masa zacznie gęstnieć. Dodaj masę jajeczną, wciąż ubijając trzepaczką, żeby uniknąć grudek. Zdejmij z ognia.

Ubij białka, aż będą błyszczące i zaczną tworzyć sztywne szpice, i wmieszaj je do kremu. Wylej masę na ciasto. Piecz na dolnym poziomie piekarnika przez około dwadzieścia pięć minut lub do czasu, gdy wierzch zrobi się złotobrązowy. Posyp cynamonem i gałką muszkatołową i zostaw do całkowitego ostygnięcia. Podawaj z jagodami lub innymi owocami.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Sophie wyprowadziła się z domu przy ulicy Nabrzeżnej, a Noah nie mógł w żaden sposób temu zapobiec. Nie zamierzał jej błagać. Byłoby to żalosne i nic by nie osiągnął. A jeśli Sophie miała rację? Jeśli naprawdę nie będzie mógł wyobrazić sobie życia bez dzieci?

Wziął udział i zwyciężył w zimowym triathlonie, ale kiedy przekraczał linię mety, nie poczuł szczególnej satysfakcji. Wygraną stłumiło uczucie frustracji, z którym nie potrafił sobie poradzić. Kochał Sophie, lecz gdyby zostali z sobą, nie mogłby mieć tego, co znaczyło dla niego najwięcej. Dzieci, rodziny, domu pełnego miłości.

Razem z chłopakami z zespołu zagraли dla pełnej uznania i chyba zbyt wyrozumiałej publiczności. Wziął udział w zwykłych imprezach Zimowego Karnawału. Zauważył, że potrafi go zafascynować widok mężczyzny, który ciągnie tobogan wyładowany dziećmi, albo kobiety w ciąży, która zamawia w stoisku gorącą czekoladę.

- Widzisz, Clem? Zgłupiałem z miłości - powiedział do dużego pomarańczowego kota, któremu dokuczała astma.

Długi dzień pracy zbliżał się do końca, ale Noahowi nie było spieszno do domu. - Eddie mógłby napisać o tym piosenkę.

- Piosenkę o czym? - spytał ktoś od drzwi.

Noah odwrócił się, przywołując uśmiech na twarz.

- O, Tina i Paulette. Cześć.

- Przyniosłyśmy ci trochę ciastek na rozweselenie - powiedziała Tina, podając mu półmisek owinięty w folię.

- Dzięki.

- Oby cię rozweseliły - powiedziała Paulette. - Tak nam przykro z powodu ciebie i Sophie.

Cóż, to właśnie ryzyko mieszkania w małym miasteczku. Wystarczyło kilka godzin, żeby informacja o nim i Sophie dotarła do sąsiadów.

- Fakt, jest okropnie. Tylko nie mówcie mi, że będzie lepiej i że znajdę miłą dziewczynę, która będzie chciała założyć rodzinę i mieć dzieci.

- Nic nie będziemy mówić - obiecała Tina. - Nadal chcemy mieć dziecko z Paulette i czasami rzeczywiście jest okropnie.

- Co będzie, jeśli okaże się, że to niemożliwe? Popatrzyły na siebie.

- Wymyślimy jakiś sposób, żeby się udało. Porażka nie jest rozwiązaniem. To ulubione powiedzenie mojego taty z czasów, gdy grał w hokeja.

- Dobrze. Tyle że w sprawie dzieci trudno iść na kompromis. - Poczęstował się ciastkiem.

- Tak samo jest w sprawie miłości - stwierdziła Paulette.

Noah wciąż czekał, żeby ból serca choć trochę ustąpił, niestety żadne ilości ciasteczek ani dobre rady przyjaciół nie były w stanie mu pomóc. Kilka razy sięgał po telefon i wybierał numer Sophie, zamierzając zapytać... Właściwie o co? „Czy tobie też jest tak ciężko?”.

Z tego, co zaobserwował, Sophie układało się całkiem dobrze. Brooks Fordham złożył jej kolejną wizytę. Noah wiedział, że pracuje nad książką o Umoi, afrykańskim państwie. Pewnie odwiedza Sophie w celu zebrania informacji, uznał.

Kiedy jednak przypadkiem zobaczył ich w księgarni czy bistrze, stwierdził, że był w błędzie. Zrozumiał, że oszukiwał samego siebie. Jak mógł się łudzić, że ma szansę u Sophie? Bywały w świecie Fordham pasował do niej znacznie bardziej. Wytworny facet w eleganckim garniturze, włoskich butach, o manierach światowca.

Chociaż przypominało to dotyknięcie bolesnego miejsca, Noah odszukał informacje na temat Umoi. Sophie prawie nic nie mówiła o swojej przeszłości. Wciąż dręczyło go wspomnienie opowieści o wydarzeniu, które przyczyniło się do tego, że zakończyła karierę w Hadze. Czy okazał jej wystarczająco dużo współczucia? Zrozumienia? Mówił właściwe rzeczy?

Zaczął studiować politykę międzynarodową. Przeczesał media w poszukiwaniu informacji na temat zmiennych kolei losu Umoi. Co i raz natykał się na nazwisko Sophie Bellamy i stopniowo zaczynało do niego docierać, z czego zrezygnowała. Jego nazywała zaklinaczem jeleni i swoim bohaterem, ale to wszystko bagatela w porównaniu z jej osiągnięciami. I nagle, w połowie życia, ta właśnie Sophie Bellamy zrobiła zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i zmieniła całkowicie kierunek działań.

To wszystko sprawiło, że zaczął kwestionować to, co do tej pory myślał o sobie. Niepodważalne przekonanie, że jego przeznaczeniem jest dbać o zwierzęta i założyć rodzinę w domu swego dzieciństwa, przestało wydawać się takie oczywiste. Raptem świat, który dla siebie zbudował, okazał się bardzo ciasny. Dlaczego więcej nie podróżował? Nie obejrzał innych krajów? Nie nauczył się innego języka? Teraz, gdy prowadził praktykę, nie mógł wyjechać. A może? Prawdę mówiąc, zawarli kiedyś umowę z weterynarzem w Maplecrest; zastępowali się nawzajem, gdy pojawiła się taka potrzeba. Tyle że... cholera, nawet nie miał paszportu.

Sophie nie zdołała kupić domu w Avalonie, jednak nie mogła już dłużej mieszkać w sąsiedztwie Noaha, dlatego coś wynajęła. Obecnie od Daisy dzieliły ją dwie przecznice, a przy dobrej pogodzie mogła spacerem iść do kancelarii. Przynajmniej nie była uzależniona od gościnności Wilsonów.

W każdym razie tak sobie to tłumaczyła. Za żadne skarby nie ujawniłaby, jaki był prawdziwy powód przeprowadzki. Nawet przed samą sobą nie chciała przyznać, że Noah

Shepherd przedarł się przez zapory, którymi się otoczyła. Że za bardzo zapadł jej w serce i dlatego uciekła. Jak zwykle...

Wynajęty dom był umeblowany. Wszystko tu było jasne i nowe. Agent poinformował ją, że dom należał do rozwiedzionego małżeństwa. Nawet nie zdążyli w nim zamieszkać. Sophie twierdziła, że nic jej to nie przeszkadza, ale czasem, gdy patrzyła na starannie dobrane elementy wyposażenia, ogarniał ją smutek. Budowa nowego domu niesie z sobą tyle nadziei, a tymczasem to miejsce na każdym kroku przypominało, że mimo najlepszych intencji nie zawsze nam się układa.

Najczęściej była zajęta, a wtedy udawało jej się odsuwać takie myśli. Prawdę mówiąc, nie musiała sobie wyszukiwać zajęć. Mel urodziła już śliczną dziewczynkę i Sophie przejęła większość spraw w kancelarii. Dni, które spędzała z Charliem, bywały niezwykle spokojne lub szaleńczo radosne, a czasem też musiała wykazywać się wielką cierpliwością, ale bez względu na wszystko bardzo je lubiła. Nadal aktywnie uczestniczyła w wożeniu Maksa i jego kolegów na treningi, choć wciąż nie mogła znaleźć wspólnego języka z panią Altshuler i resztą matek.

Jednak potem nadeszły wiosenne ferie i nagle została sama. Max pojechał z ojcem i Niną do Miramar na spotkanie rodziny Romano. Podczas jego nieobecności psem opiekowała się Chelsea i Sophie nagle zauważyła, jaki pusty jest dom, gdy zabrakło Opal. Daisy zabrała Charliego na Long Island, gdzie miał poznać swoich dziadków ze strony ojca. O'Donnellowie w końcu poprosili o pokazanie im wnuka. Charlie również miał swoją drugą rodzinę. Lepiej późno niż wcale, pomyślała Sophie.

W gruncie rzeczy oszukiwała się, sądząc, że jej tu potrzebują. Wcale nie była potrzebna, w każdym razie nie tak, jak to sobie wyobrażała. To nie wokół niej koncentrowało się życie rodzinne. Z takiej roli zrezygnowała wiele lat temu. Kusiło ją, och, jak bardzo kusiło, żeby znów uciec, wrócić do świata, do którego pasowała, i do życia, które znała. Wiedziała jednak, że tego nie zrobi. Była zdecydowana dotrzymać swoich obietnic. Wciąż mogła odegrać tutaj ważną rolę i sprawić, że życie jej dzieci będzie lepsze.

Wyjrzała przez okno. W prognozach pogody mówiono o wiosnie, lecz w Avalonie jedyne jej oznakami były brudne zwały śniegu wzdłuż ulic oraz popękana pokrywa

lodowa na jeziorze. Zapewne kolor, który przybrało niebo, miał jakąś nazwę, ale nawet zastanawianie się nad tym wydawało się zbyt przygnębiające.

Zatopiona w myślach, spojrzała na bliznę w kształcie sierpa księżyca na kolanie. Wciąż była widoczna, ale już niebolesna. I to było ważne. No właśnie, pomyślała. No właśnie. Zdołała przeżyć wszystko, na co się w życiu natknęła. Przeżyje i to.

Sięgnęła po telefon i wybrała numer Brooksa. Dziennikarz nie ukrywał, że się nią interesuje. Sophie również starała się okazać mu zainteresowanie, lecz wszystkie próby spaliły na panewce. W każdym razie zostali przyjaciółmi i chętnie z nim rozmawiała.

- Potrzebuję jakiejś rozrywki - powiedziała, kiedy Brooks odebrał telefon.

- Potrafię być bardzo rozrywkowy - odparł znacząco.

- Nie musisz się wysilać. Po prostu... dotrzyмай mi towarzystwa. Przechodzę gorszy okres. Tylko nie pomyśl, że narzekam. Nigdy nie spodziewałam się, że przez cały czas będzie łatwo.

- Może mieszkasz w niewłaściwym miejscu. Przenieś się do miasta. Możesz pracować dla ONZ-etu, żyć w cywilizowanym świecie, działać w międzynarodowych sądach, a jednocześnie wciąż byłabyś blisko rodziny i mogłabyś uczestniczyć w ich życiu.

- Już tego próbowałam. To nie to samo. Złożyłam obietnicę i zamierzam jej dotrzymać.

- Świetnie. Tylko czy twoje dzieci chcą mieć matkę, czy męczennicę?

- Zadzwoiłam do ciebie, żeby się rozerwać.

- Zadzwoiłaś - poprawił ją - ponieważ zaczęłaś się zastanawiać nad wyborem, którego dokonałaś.

Nie mogła znaleźć sobie miejsca, więc zabrała się do sprzątanania, choć właściwie nie było to potrzebne. Mieszkała sama i w domu panował porządek. Jednak bezmyślne wycieranie kurzu i szorowanie kuchni uspokoiło ją trochę.

Kiedy włączyła odkurzacz, natknęła się na ulubioną zabawkę Charliego, kolorowego kłowna z obciążoną podstawą, który niezmiennie go rozśmieszał. Wspomnienie wnuka sprawiło, że się uśmiechnęła, a jednocześnie poczuła, jak ogarnia ją dziwna tęsknota. Jakby wyglądało jej życie, gdyby zdecydowała się na jeszcze jedno dziecko? Czy byłaby w stanie to zrobić? Podjąć się tego ryzyka razem z Noahem? Cóż, nawet gdyby tego

chciała, nie mogła już urodzić. Zrezygnowana, przewróciła kłowna. Podniósł się, a jego głupkowaty uśmiech zdawał się z niej drwić.

Raptem zadzwonił telefon. Chwyciła słuchawkę, jakby to było koło ratunkowe.

- Mamo! - rozległ się dźwięczny głos Daisy.

- Cześć. Jak tam na Long Island? - spytała. - Jak się ma mój wnuk?

- Jedno i drugie znakomicie. Poważnie. O'Donnellowie są naprawdę wspaniali. I mają niesamowity dom w Montauk. Cieszę się, że tu przyjechaliśmy.

- To dobrze.

- Tyle że tęsknimy za tobą - dodała Daisy pośpiesznie.

Sophie uśmiechnęła się. Po jej przyjeździe do Avalonu nawiązała się między nimi przyjaźń. Stały się dla siebie powierniczkami. Daisy była nad wiek rozsądna, a Sophie ufała jej bez zastrzeżeń.

- Mnie także was brak. Wydaje się, że ta zima nigdy się nie skończy.

- Między innymi dlatego dzwonię. W pociągu pomyślałam sobie, że może... ty też powinnaś wyjechać. Mówię serio, mamo. I nawet wiem, gdzie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Umoja, południowa Afryka

Podmuchy wiatru unosiły z umojskich równin drobny czerwony pył, który pokrywał wszystko, co znalazło się w zasięgu. Osłoniwszy oczy, Sophie była w stanie odróżnić zalane deszczem wzgórza porośnięte dziewiczą roślinnością i z tak bogatą fauną, że za sprawą ONZ-etu znalazły się pod ochroną. Te ziemie nie będą już więcej plądrowane, nie będą widziały okrucieństw zadawanych z powodu zachłanności. Owszem, być może było to zbyt idealistyczne założenie, lecz w trakcie swojej długoletniej kariery Sophie nauczyła się, że ideały mogą mieć wielką moc.

Bibi Lateef, prawniczka, z którą ostatnio widziały się w Hadze, była teraz w Nosob, stolicy kraju, ministrem opieki społecznej. Na cześć wizyty Sophie madame Lateef zorganizowała wycieczkę po mieście. Pojechały też do sierocińca nazwanego Wioską

Dziecięcą. Przebywały w niej dzieci, które w czasie wojny straciły wszystko. Niektóre z nich zostały sierotami, zanim nauczyły się mówić i nie potrafiły nawet podać swoich imion. Odbyła się tam mała ceremonia, podczas której Sophie otrzymała książeczkę ze zdjęciami, tkaną makatkę i naszyjnik z kolorowych paciorków. Jedna wizyta w sierocińcu to o wiele za mało, obiecała więc, że jeszcze dziś wróci tu na kolację.

Pod koniec dnia kierowca odwiózł Sophie do hotelu Paradeis, gdzie pokoje były skromne, ale czyste i bezpieczne. Miała akurat tyle czasu, żeby wziąć prysznic przed kolacją.

Włosy miała wciąż wilgotne, gdy obładowana słodyczami stanęła na chodniku, czekając na samochód. Do miasta wjeżdżał właśnie autobus z lotniska, który każdego wieczoru przywoził nowych wolontariuszy i od czasu do czasu jakiegoś reportera.

Nagle jej uwagę przyciągnęła zgraja bezpańskich psów, które zaczęły z sobą walczyć o resztki. Wokół nich uniół się tuman kurzu, z którego wyłonił się raptem wysoki mężczyzna o szerokich ramionach. Jeszcze jeden wolontariusz, pomyślała, patrząc na jego sylwetkę oświetloną od tyłu przez zachodzące słońce. Na ramieniu niósł worek marynarski, a sposób poruszania wydał jej się dziwnie znajomy.

Wpatrywała się w niego oniemiała, gdy szedł przez zakurzony plac w jej kierunku. Dobry Boże, czy to możliwe? Zasłoniła dłonią usta, powstrzymując okrzyk zdumienia.

- Kiedyś mówiłem, że gotów jestem jechać za tobą na koniec świata - powiedział Noah, kładąc worek na ziemi i biorąc ją w ramiona. - Czy możemy uznać, że to już jest koniec świata?

- Jesteś... - głos jej się załamał - kompletnie szalony.

W tym momencie ją pocałował. Sophie odchyliła się do tyłu i roześmiała się głośno. Nie śmiała się tak od chwili, gdy się rozstali. Nie była w stanie się powstrzymać i powiedziała to, co czuła w głębi serca:

- Uwielbiam cię, więc wychodzi na to, że ja także jestem szalona.

- Na to właśnie liczyłem. Sophie, strasznie to schrzaniłem. Aż trudno powiedzieć, jak bardzo. Nie powinienem pozwolić ci odejść.

- W takim razie oboje to schrzaniłiśmy, bo ja powinnam była zostać i znaleźć jakiś sposób... - spoważniała i spojrzała mu w oczy - ...żeby nam się ułożyło. Och, Noah, myślisz, że to może się udać?

- Po tym, jak odbyłem tę podróż, myślę, że wszystko jest możliwe. - Przeczesał palcami włosy i rozejrzał się po placu. - Do tej pory nigdzie jeszcze nie wyjeżdżałem.

Ujęła jego rękę, podniosła ją do swojego policzka, potem ucałowała dłoń.

- Pewnie dlatego, że wszystko, czego potrzebujesz, masz w Avalonie.

- Już nie. Kocham cię i jedyne, czego potrzebuję, to być z tobą. Gdziekolwiek to będzie.

Stał przed nią mężczyzna, którego kochała, i mówił coś, od czego rosło jej serce. Tyle że... musiała to powiedzieć...

- Jednak różnicy wieku między nami nie da się zmienić.

- Twój wiek to jedna z rzeczy, które mnie się w tobie podobają. - Uśmiechnął się. - Miło jest kochać się z kimś, nie martwić się o kolczyki na języku.

- Kolejna zaleta dojrzałości. - Wciąż trzymając go za rękę, odsunęła się o krok. - Jednak ty jesteś stworzony do założenia rodziny. Chcesz być ojcem, a ja nie mogę dać ci dzieci.

- Chcę mieć żonę, a nie klacz rozplodową. Mówisz, że najbardziej zależy mi na rodzinie, dzieciach. No więc mylisz się. Najbardziej zależy mi na tobie.

- Chcę w to wierzyć, ale przecież nie możesz tak po prostu zrezygnować ze swoich pragnień...

Położył palec na jej ustach.

- Poczekaj chwilę. Daj mi skończyć. Podczas tego niesamowicie długiego lotu wszystko dokładnie przemyślałem. Największy błąd popełniłbym, rezygnując z ciebie. Kiedy cię poznałem, wszystko się zmieniło. Moje priorytety, moje życie. Zresztą sama popatrz. Nigdy przedtem nie wyjechałem za granicę, a teraz okrążyłem pół świata. I mam paszport. Pragnę być twoim mężem. Proszę... - W tym momencie zrobił coś, czego nie przewidziałyby w najśmielszych snach. Nie puszczając jej dłoni, przyklęknął na kolano. - Błagam cię, Sophie. Marzę o tym, żeby cię poślubić.

Miałyby wyjść za mąż za Noaha? Spędzić z nim resztę życia? Część jej pragnęła wybuchnąć zdecydowanym „tak”, zaraz jednak zdrowy rozsądek przytłumił tę radosną myśl. Patrząc mu w oczy, pociągnęła go za rękę, aż podniósł się z ziemi.

- Teraz tak mówisz, lecz co będzie dalej? Za dziesięć lat będę dobiegać pięćdziesiątki.

- A ja czterdziestki. To wyobraź sobie, jacy starzy będziemy, jeżeli się nie pobierzemy. - Położył ręce na jej ramionach i przybliżył twarz do jej twarzy. - Kochasz mnie? - spytał prosto z mostu.

Próbowała uniknąć jego spojrzenia. Czy go kochała? O rany... Jeszcze jak! Nigdy przedtem nikogo nie darzyła takim uczuciem.

- Tak, ale...

- Samo „tak” wystarczy. - Znów ją pocałował. - Popatrz tylko. Jesteś idealna. Znasz najprzeróżniejsze języki. Masz dwoje wspaniałych dzieci i Charliego. A ja cóż? Wiejski weterynarz, który obija się po pustym domu. I ty mnie kochasz... Przecież to cud.

Była bliska łez, lecz jego słowa rozbawiły ją. Cóż, taki miał już talent.

- Możesz mi wierzyć, że nie muszę się wysilać. Bardzo łatwo jest ciebie pokochać.

Przyciągnął ją do siebie.

- Nie mogę przyrzec, że zawsze będzie tak łatwo, ale obiecuję, że zawsze będę cię kochał. A także twój wiek, twoją rodzinę i cokolwiek zechcesz. No i co, Sophie? Co na to powiesz? - Gdy zawahała się, przytulił ją jeszcze mocniej. - Nie myśl - szepnął jej do ucha. - Znacznie lepiej ci idzie, gdy tyle nie myślisz. Powiedz mi prosto z serca, czego pragniesz.

- Pragnę ciebie, Noahu Shepherdzie. Więc tak. - Wreszcie przestała kontrolować swoje odczucia. Nawet łzy jej nie przeszkadzały, bo przecież także pojawiły się z miłości do niego. - Tak, wyjdę za ciebie.

- Tak! - Na krótką chwilę przymknął oczy, zaraz jednak uniósł powieki i spytał: - Kiedy? Moim zdaniem im szybciej, tym lepiej. Może tutaj? Teraz. Dzisiaj... Czy to byłoby legalne?

- Możliwe, lecz nie zrobię tego bez Daisy i Maksa. - Oczy jej się zamglily. - Zbyt często byli nieobecni w moim życiu. Nie chcę tego powtarzać. - Podniosła wzrok na

Noaha, którego twarz w zachodzącym słońcu przybrała złocisty odcień. - Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Pokiwał głową.

- Bardziej niż myślisz, Sophie. Bardziej niż myślisz.

Zacisnęła ręce na jego dłoni.

- Co zamierzasz robić w porze kolacji?

- Nic nie planowałem. Masz coś szczególnego na myśli?

- Może chciałbyś poznać moich przyjaciół?

EPILOG

Hrabstwo Ulster, stan Nowy Jork

Lato

Noah i Sophie wysiedli z samolotu na małym lotnisku w słonecznym sercu gór Catskill. Każde z nich trzymało na ręku małe dziecko... ich dzieci. Synka i córeczkę. Uba i Aissa byli rodzeństwem osieroconym podczas walk w Umoi. Kontrolę paszportową przeszli w Nowym Jorku na lotnisku Kennedy'ego, a teraz podróż dobiegała wreszcie końca.

Swoje dzieci poznali w Wiosce Dziecięcej podczas pierwszego pobytu w Umoi. Przebywały wśród całego morza bezdomnych sierot z kartonowymi identyfikatorami na szyi. Madame Lateef udzieliła im znacznego wsparcia, przyspieszając formalności adopcyjne, i w ciągu kilku miesięcy państwo Shepherdowie zostali szczęśliwymi i dumnymi rodzicami cudownej pary dzieci. Brat i siostra mieli trzy i sześć lat, byli drobni i nieśmiały, lecz już lgnęli do Sophie i Noaha, czując, że przy nich są bezpieczni w tym obcym świecie.

Daisy i Max czekali na nich na lotnisku. Też uczestniczyli w podejmowaniu decyzji o adopcji i ku ogromnej radości Sophie byli równie tym podekscytowani.

Daisy, która doskonale wyczuwała zmęczenie i obawy dzieci, przyklękła na kolano i objęła każde z nich. Zaraz potem to samo zrobił Max. Daisy przedstawiła dzieciom

Charliego, który akurat drzemał w spacerówce, po czym wyjęła aparat i zrobiła kilka zdjęć. Planowała, że z czasem zrobi o dzieciach fotoreportaż.

- Jestem z was bardzo dumna. - Sophie zwróciła się do maluchów po umojku. - Jesteście bardzo dzielni. - Zrobiła Noahowi krótki kurs ich języka, żeby umiał powiedzieć „kocham cię” lub spytać „może chcesz iść do toalety?”. Podczas wizyt, które odbywali, załatwiając adopcję, pokazywała dzieciom zdjęcia ich nowego domu i rodziny: Daisy, Maksa, Charliego, a także Rudy'ego, Opal, koni i dużego odmalowanego domu na szczycie wzgórza z widokiem na Wierzbowe Jezioro.

Teraz dzieci po raz pierwszy spotkały się z nową rodziną. Uba był cichutki. Aissa przyłgnęła do nogi Noaha, ale jej oczka żywo rozglądały się dokoła.

- Jesteście niesamowici - powiedziała Daisy. - Jesteście jedyną parą, jaką znam, która z podróży poślubnej wraca z dwojgiem dzieci.

- Teraz nas najbardziej potrzebują - odparł Noah. - Dla nich to najtrudniejszy okres. Max usiadł na podłodze holu lotniska, wyciągnął czapkę drużyny Avalon Hornets, włożył ją na głowę, po czym każdemu z dzieci podał jedną czapeczkę.

- Widzicie? To się tak nosi.

Uba wziął czapkę, obejrzał ją z poważną miną, po czym włożył na głowę, rozciągając usta w szczerbatym uśmiechu. Natomiast Aissa oddała swoją Maksowi, prosząc bez słów, żeby to on jej włożył czapkę.

Sophie ze wzruszeniem patrzyła, z jak wielką czułością syn to robi.

- Zupełnie jak Brad i Angelina - powiedziała Daisy, ocierając oczy. - Chyba taka para celebrytów powinna mieć specjalne imię. - Uniosła aparat, naśladując paparazzich. - Co by tu... Soph-Noah? Snophie? Sofa?

- Cha, cha, cha! - skrzywił się Noah, sadzając sobie Aissę na biodrze. - Lepiej zabierzmy waszą siostrzyczkę i waszego braciszka do domu.

